

# Po drugiej stronie

Rafał Cuprjak



# Po drugiej stronie

Rafał Cuprjak

GENIUS  
CREATIONS



Rafał Cuprjak

# Po drugiej stronie



**Po drugiej stronie**

Copyright © Rafał Cuprjak

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2015 r.

druk ISBN 978-83-7995-036-2

epub ISBN 978-83-7995-037-9

mobi ISBN: 978-83-7995-038-6

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja na okładce: Paweł Dobkowski

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: Studio Grafpa

Redaktor serii: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

**Książka dostępna w księgarni: [www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)**

**i [www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)**

*Marzence*

*Rafał Cuprjak nie istnieje naprawdę  
wymyślili go  
zrobili na niego casting  
w Realu Tesco Makro Biedronce  
wyselekcjonowali  
wybrali najlepszego  
dostał cztery taki  
umie odpowiadać na pytania  
umie się ubrać tak jak chcą  
założyli mu konto na Facebooku  
sfilmowali go z kochanką  
będzie Bogiem jutro i pojutrze*

# Szkic

Odnalazł mnie patrol Straży Granicznej. Jakimś cudem wypatrzyli samochód ukryty w krzakach na poboczu. W środku byłem ja. Myśleli, że nie żyję, bo leżałem półnagi, bez ruchu, cały we krwi. Potem się przerazili, bo rzuciłem się na nich z nożem w rękę. Byłem jednak zbyt słaby, żeby zrobić im jakąkolwiek krzywdę. Zabrali mnie do szpitala, tam okazało się, że cierpię na amnezję pourazową i postarają się mnie odnaleźć na liście zaginionych, bo ja nie pamiętam niczego. Imienia, nazwiska, daty urodzenia, mojej rodziny. Zupełnie niczego. Spytali mnie skąd pochodzę. Z Australii, ale czy z Sidney, czy z Melbourne, czy z Perth? Mieszają mi się, koala, strusie, krokodyle, Aborygeni, kangurek Hip Hop, góralska chatka, pociąg. Nie wiem, kim jestem. Naprawdę nie wiem.

Jutro odwiedzi mnie żona.

Czekałem na nią, miałem nadzieję, że ta wizyta wszystko wyjaśni.

– Znalazłam cię, Adaś – szepnęła, stojąc przy łóżku. Uśmiechnęła się i pocałowała mnie w usta, taka śliczna, z piegami na twarzy, z blond warkoczami.

Przyszła z dziećmi, z chłopczykiem i dziewczynką, mówili do mnie tatuś, przytulali, starałem się żeby nie zauważyli, że w ogóle ich nie pamiętam, że pierwszy raz ich widzę i nie mam pojęcia jak się do nich zwracać. Próbowałem to wszystko ukryć, zachowywać się, jakby nic się nie stało, jakbym ich znał. Nie obchodzą mnie słowa lekarza, że to minie i żebym się nie martwił, że muszę jak najszybciej wrócić do domu, że potrzeba czasu. Mam dość.

Zabrali mnie tydzień później, pokazali, gdzie mieszkam, gdzie jest łóżko, płyty, komputer, kaptcie, rowerek do ćwiczeń. Opowiadali, jak malowałem pokój, jak wspólnie remontowaliśmy kuchnię, jak spadłem z drabiny. Nie mogłem się nadziwić. Obejrzałem zdjęcia, fotografie rodziców, dziadków. Przekonali mnie, że to mój dom. Dzisiaj czuję się już trochę lepiej, nauczyłem się ich imion, nawet poznaję własne odbicie w lustrze.

Powiedzieli, że zabiorą mnie do brata, mam tam zostać sam, żebym odpoczął, żebym się zrelaksował. Mój brat jest malarzem. Jego też nie pamiętam.

Wszedłem po schodach, zadzwoniłem.

– Otwarte!

W drzwiach stoi kobieta, jego żona. Jak się z nimi witać? Czy podawać rękę, czy się obejmować, unikam takich rzeczy, zrezygnowałem i po prostu przycupnąłem gdzieś z boku.

– No proszę. Usiadłeś w swoim ulubionym fotelu.

Staram się nadrabiać uśmiechem. Dostaję do ręki kubek z kawą, talerzyk z ciastem, łyżeczkę. Próbuję, smakuje wyśmienicie.

– Chodź, zobaczysz, nad czym teraz pracuję.

Brat prowadzi mnie do innego pokoju. Słysząc głośną muzykę, Coltrane, *Blue Train*, wreszcie coś rozpoznałem, to dobry znak. Na środku dużego pomieszczenia stoi sztaluga, na niej niedokończony obraz przedstawiający stary drewniany domek, krzywy płot, krzywe drzewo i zarys trzech postaci siedzących na ławce. Obok sztalugi mały stolik, na nim popielniczka z wypalonym papierosem i dwa kieliszki wódki. Wszędzie porozrzucane farby i pędzle, na ścianach rysunki i grafiki.

– Podoba ci się?

– Nie wiem. Nie znam się.

– Zawsze tak mówisz.

Raczymy się bimbrem, gadamy o głupotach, filmach, muzyce, jednocześnie słuchając świetnego klasycznego jazzu. Co jakiś czas zagląda jego żona i powtarza żebyśmy nie chlali, bo przecież mi nie wolno, po czym donosi ciasto, parzy kawę, a my i tak pijemy dalej. Powoli zaczynam się rozluźniać.

– Jak to jest, jak się tworzy?

– Jestem bogiem! – odpowiada, wstaje, rozkłada szeroko ręce, już podpity, prawie się przewraca.

– Jestem bogiem, ale nie tym z Paktofoniki, i nie Jezusem Chrystusem, nawet nie Zeusem, tylko takim małym bogiem, bożkiem. Jak zasypiam, obrazy się budzą, życie w nich toczy się normalnie, tak jak u nas, wyobraź to sobie, tam też jedzą, płodzą dzieci, łożą wódę, jarają gandzię, kłócą się.



Mija wiele kieliszków, zanim przyjeżdża po mnie taksówka. Całuję ich na pożegnanie, ściskam, jakbym rzeczywiście się za nimi stęsknił i spotkał ich po paru latach nieobecności.

– Nie przejmuj się! Zobaczysz, będzie dobrze! – słyszę, gdy odjeżdżam, ale nie odwracam się, podnoszę jedynie rękę do góry, na więcej nie mam siły.

– Dawno pana nie było, panie Adamie. Jedziemy do domu, czy zajrzeć jeszcze gdzieś po drodze?

Jestem pijany i pomału przestaje mnie drażnić to, że wszyscy mnie znają, a ja nikogo. Żeby nie słuchać głędzenia taksjarza, udaję mocniej nawalonego, niż faktycznie jestem, udaję, że nie mogę się wysłowić, że zasypiam. Tuż przed domem udaję, że się obudziłem, płacę, żegnam się i wychodzę na świeże powietrze.

Po takiej dawce alkoholu podwórko wydaje się bardziej znajome niż wcześniej. Wchodzę do mieszkania, po cichu, jest późno, na szczęście śpią, tak ślicznie przy tym wyglądając. Włączam telewizor, nalewam lampkę mojego podobno ulubionego chivas i skaczę po kanałach kablówki, oczywiście żaden mi nie odpowiada, i nie jestem w stanie się skupić, mam dziwne wrażenie, że ktoś ciągle mnie obserwuje, podgląda, albo nie, każe wykonać jakieś zadanie, jakąś czynność, tak, koniecznie, ale co by to miało być?! To uczucie wciąż się wzmacnia, a ja nie potrafię przestać o tym myśleć, nie potrafię się na niczym skoncentrować. Zaczynam chodzić od ściany do ściany, mam nadzieję, że jak to zobaczę, to mi się coś skojarzy. Idę do łazienki, do przedpokoju, odsuwam szuflady, zaglądam do szafek, grzebię w swoich ciuchach. Przy okazji dokopuję się do koszulki, tej z gór, z samochodu, jest już wyprana, prawie nie ma na niej śladów krwi.

Przypomniało mi się, czego szukam! Noża! Przecież znaleźli mnie z nożem! To jego tu brakuje! Byli z policji, zwrócili, chyba tak, trochę mi się myli, niepotrzebnie tyle wypięm. Tylko gdzie ja mogłem... gdzie ona mogła... moja żona go zabrała... mówiła, że daleko od dzieci, żeby nie dosięgły. Znowu szuflady, półki, barek. Nie ma.

– Kurwa mać!

Już wiem! Schowek w kuchni, wysoko, muszę stanąć na krześle. Sięgam. Jest tutaj! Leży zawinięty w szmatkę, w plastikowym worku. Chciałbym go

obejrzeć, dotknąć. Udaje mi się go zdjąć, błyszczy, głaszczę ostrze opuszkami palców, łapię za rękojeść i zamykam oczy.

Zmiana.

Przewróciłem się, uderzyłem mocno, ale niemal od razu się podniosłem. Otwieram oczy i już wszystko wiem. Odzyskałem świadomość, zrozumiałem.

# CIAŁO

## 1. Sen, kroki, góry.

Śniło mi się, że kogoś zabiłem. To był bardzo prawdziwy sen o przyszłości. Miałem o czymś pamiętać. O czymś istotnym, co kiedyś uratuje mi życie. Budzik zadzwonił o czwartej piętnaście. Wstałem, umyłem zęby. Zmusz się, skoncentruj, pomyślałem, to niezwykle istotne. Odszukaj jedną rzecz, jeden fakt, jeden punkt zaczepienia, cokolwiek. Niestety, wszystko, co pamiętałem to krew na rękach. Ale przecież ja nie mogłbym zabić. Jestem tylko Antonim, a tacy goście jak Antoni, tacy niepozorni, nie zabijają, nie są w stanie. Jak niby facet po trzydziestce, który od niedawna jest kierownikiem logistyki w dużej spółce budowlanej, który nie narzeka, mimo że często startuje o ósmej, a kończy o dwudziestej, niejednokrotnie cały tydzień w drodze, Olecko, Warszawa, Kraków, Wrocław, Szczecin, który nocuje w tanich hotelach z nadrukami na ręcznikach i pościeli, z jednorazowymi mydełkami, ciepłym piwem i ciągle niedziałającą kablówką, jada obiady w hotelowych restauracjach serwujących przesoloną jajecznicę, flaki wołowe z mrożonki i czerstwe bułki – jak niby mogłby to zrobić?

– Dobra, Antoni. Bądź wreszcie dużym chłopcem. Zabijanie? Krew? Nie, nie dzisiaj.

Dzisiaj już nie chcę tego roztrząsać, bo wreszcie wyszedłem na szlak. Idealna pogoda, ani śladu ludzi. Kawał czasu czekałem na ten urlop. Kilka dni w Bieszczadach, później weekend u siostry w Mieście, ale wcześniej droga, wędrówka, pot, odciski na stopach, czysta przyjemność.

– Jeden głupi sen nie może tego popsuć!

Jesteś w górach, daj spokój, przecież to uwielbiasz. Powtórz, jesteś w górach, przecież to uwielbiasz. Strome podejścia, liczenie kroków, dziesięć długich, przerwa do złapania tchu, dziesięć następnych, odpoczynek. Po czterdziestu pięciu minutach postój. Szukam przewróconego drzewa, wielkiego kamienia, jakiegoś stabilnego miejsca, żeby na chwilę przysiąść. Parę łyków wody, kostka czekolady i tętno wraca do normy. Siedzę i obserwuję las, wsłuchuję się w jego oddech, w szum potoku, w niesiony

przez wiatr trzask złamanej gałęzi. Mam dziwne wrażenie, że nie jestem sam, wyczuwam spojrzenia dzikich zwierząt, duchów puszczy, biesów i czadów. Wierchy dają znać, że powinienem iść. Zbieram się, chociaż najchętniej zostałbym tu na wieczność.

– A jeśli to ostrzeżenie?!

A jeśli jestem kolejnym wcieleniem Kuby Rozpruwacza, ale póki co uśpionym? Do teraz, bo właśnie budzik o czwartej piętnaście zapoczątkował spiralę wydarzeń i w sumie nie wiem, jak one się skończą? Może nawet ktoś kiedyś nakręci o tym film. Już sobie go wyobrażam. Antoni, scena pierwsza, ujęcie pierwsze. Moje biuro, opieram się o komputer, mówię do kamery. Od czego mam zacząć? Powiedz, czym się zajmujesz. Specjalizuję się w analizach logistycznych, w wyszukiwaniu wąskich gardeł łańcucha dostawy do klienta, w znajdowaniu wąskich gardeł i wad systemu. Dzięki mnie koncern w zeszłym roku zaoszczędził prawie milion złotych. Jestem kimś w rodzaju firmowego policjanta, który optymalizuje procesy, wytyka błędy. Potrafię wskazać słabe ogniwo, ponieważ każdy element, każdy składnik da się zmierzyć i oszacować.

Boją się mnie, unikają mojego wzroku, bo mógłbym ocenić ich jako mało przydatnych, bo przeze mnie dołożą im obowiązków, może nawet zwolnią.

Cięcie.

Przeskok do przeszłości. Dzieciństwo. Podstawówka. Siedzę w ławce ubrany w granatowy sweterek z czerwoną naszywką „wzorowy uczeń”, jestem z niej dumny, chociaż śmieją się ze mnie i wyzywają od kujona. Moja wychowawczyni wprowadziła zasadę, że lepsi uczniowie muszą po lekcjach pomagać słabszym. Nikt ze słabszych nie chce trafić na mnie, bo traktuję to jak misję i nie odpuszczam, męczę ich jeszcze po lekcjach, w domu. Nie znoszą mnie, a ja wcale się nie dziwię. W ósmej klasie wygrywam olimpiadę matematyczną, dzięki czemu mogę wybrać sobie liceum. Stawiam na ekonomik, arytmetyka, finanse, statystyka, miałem ochotę je zgłębiać, odkrywać ich tajemnice, nic innego mnie nie interesowało. Nigdy nie pojechałem na żadną wycieczkę, nie byłem na żadnej randce, na żadnej imprezie. Nie miałem ochoty. Moja siostra litościwie namówiła koleżankę, pewnie nawet ją ubłagała, żeby poszła ze mną na studniówkę. Dziewczyna była prześliczna, miała na imię Baśka, farbowane na czerwono włosy i glany

zamiast obcasów. Rozmawiało się miło, nawet przeszło mi przez myśl, że mam u niej jakieś szanse. Jednak, gdy odwoziłem ją do domu okazało się, że ma chłopaka i poprosiła, żebym nikomu się nie wygadał, że ze mną była, bo się rozniesie i będzie miała kłopoty. Czar prysnął.

Potem matura, poszła jak po maśle, w zasadzie bezstresowo. Cieszę się, że to już koniec tej głupiej budy, bo mam dość, liczę na przełom, na wyrwanie się z domu, z dwupokojowej klitki, w której pachnie biedą, gdzie normalnie mogę rozmawiać tylko z siostrą. Pragnę wyjechać, wynająć małe tanie lokum, samemu albo z kumplami, waletować w akademiku, chodzić na zajęcia – albo zamieszkać z dziewczyną, wkuwać na egzamin, gotować obiady, a wieczorem wychodzić na miasto zgraną paczką, rozmawiać o sztuce, o filmach i obrazach, których nie rozumiem, o których nie mam zielonego pojęcia, by za chwilę wrócić i kochać się z dziewczyną, bez ustanku, do białego rana i wyskakiwać z łóżka prosto na zajęcia.

Cięcie.

Korytarz, uczelnia, Politechnika, logistyka, tak wybrałem. Część moich marzeń się spełniła, a część nie. Poznałem wielu ludzi i zżyłem się z nimi, niektórzy do tej pory dzwonią, żeby się umówić, a ja zupełnie nie mam czasu, zresztą wtedy też nie miałem, bo się uczyłem, co dopiero teraz, w kółko praca, od rana do wieczora. Ale wtedy to co innego, wtedy wciąż żyłem nadzieją, że przytrafi mi się jakaś samotna panienka, gdzieś w śpiworze, o czwartej piętnaście nad ranem, po imprezie, w której się zakocham bez pamięci. I spełniło się, tylko że przestała odbierać telefon, ale wpadłem na nią na innej imprezie, obściskiwiała się z jakimś niskim grubasem, a ja i tak się łudziłem, że go zostawi i wróci do mnie, tyle że nie chciała, więc się upijałem i oblewałem egzaminy, jeden za drugim, i piłem dalej, aż spotkałem kolejną, która mnie zostawiła. I następną, ale przy niej przynajmniej nie zawałem żadnego egzaminu. Znowu byłem najlepszy. Wysoka średnia, zadowoleni profesorowie, oferty pracy jeszcze w trakcie studiów, staż w firmie, dyplom, zaproponowali mi nawet posadę na stałe. Świetnie prosperujące, międzynarodowe konsorcjum budowlane, dobrze płatna pierwsza robota. Właściwie wcale się nie wahałem. Po trzech latach awans, służbowe mieszkanie, samochód, laptop, telefon, zawodowo wszystko idealnie się ułożyło. Zawodowo tak, prywatnie nie. A ja

wyobrażałem sobie, że moje życie będzie doskonałe. Potrzebowałem kogoś bliskiego, kogoś obok, kobiety, która szykowałaby mi kanapki do pracy, tęskniła i pozwalała raz lub dwa razy w roku wyjechać w góry, albo żeby nawet jeździła tam ze mną i czekała, aż zejść z trasy. Bo taki już jestem, gdy kilka miesięcy nie poczuję pod butami traktu, zaczynam być dla siebie ciężarem, gorzej pracuję, mam problemy z koncentracją, z rozdrażnieniem, apatią, irytacją, bo szlak jest dla mnie nagrodą, wycofaniem się ze świata wykresów liczbowych i wejściem w wykresy rzeczywiste, w wykres podchodzenia, ukośnego zejścia, spadających kamieni, linii drzew przy połoninie. Upajam się tym, tu nic nie muszę, wystarczy iść.

Cięcie.

Cisna, mała miejscina w sercu Bieszczadów. Zjadam śniadanie przed spożywcakiem, nagabywany przez miejscowych pijaczków, o bułkę, o pięć złotych, o papierosa. Oczywiście się nie odzywam, odmawiam i jeden powstrzymuje drugiego, żeby mi nie zrobić krzywdy, bo to turysta, a turystę trzeba szanować, kłóć się, szarpią. A ja nie mam najmniejszej ochoty na tutejszy folklor i ruszam w drogę. Zarzucam plecak, mijam główne skrzyżowanie, przechodzę obok stacji kolejki wąskotorowej, przez mostek nad rwącym potokiem, by zaraz odbić w gęsty las. Zawsze staram się być przygotowany, mapa, kompas, latarka, naładowany telefon, profesjonalne buty trekkingowe i śpiwór, ciepła sportowa kurtka, zapas jedzenia i wody, całość dopięta na ostatni guzik, nic cię nie zaskoczy, Antoni, nic a nic. Początek jest łatwy, chociaż wszędzie pełno błota, przecież parę tygodni temu leżał tu śnieg, potem padało, a słońce nie zdążyło jeszcze dotrzeć, na dobre zawita pewnie dopiero latem, rozpuści wtedy gęsty gnilny zapach życia.

Pierwsze podejścia nie są takie urwiste, ale oddech już zaczyna przyspieszać, już za moment liczenie kroków, spuchnięte palce, mokre od potu ciało, krótkie odpoczynki w miejscach bez wiatru, bo może będę miał farta i uda mi się cyknąć zdjęcie sarence, jeleniowi, może żubrowi albo niedźwiedziowi, to byłoby coś. Wciąż posuwam się do przodu, z każdym krokiem bardziej bolą plecy a ja jestem zadowolony, bo znowu wygrałem. Niebawem główna nagroda, w końcu wychodzę z lasu na połoninę, widok zapiera dech, powinienem się na chwilę zatrzymać, na chwilę przestać

patrzeć, bo to zbyt dużo, trzeba po trochu, dlatego skupiam się na wejściu na pierwszy duży szczyt, Małe Jasło. Wreszcie mogę usiąść w trawie i podziwiać, jakbym był w jakimś boskim teatrze. Kolejny raz sam, ale fajnie mi z tym, o tej porze roku nikogo tu nie ma, to nie Tatry, nie Alpy, nie Pireneje, pełne ludzi, a jeśli nawet ktoś się pojawi, to raczej nie będzie to przypadkowy niedzielny turysta, nie ktoś, kto mógłby przeszkodzić w odbiorze. Po tym kawałku świata chodzi się jak po grzbiecie pradawnego smoka, który zasnął tu kiedyś przez pomyłkę. Stąpam uważnie, żeby go nie obudzić. Szkoda tylko, że droga musi mieć metę, że musi być zachód słońca, a po nim noc. Wolałbym żeby tak nie było, wolałbym wędrować bez ustanku i dalej opowiadać własną historię, udawać, że gadam do kamery, wyjawiając nawet te złe rzeczy z przyszłości, te podłe i okrutne. Przedemną Jasło i granica ze Słowacją na Okrągliku, czyli najładniejsza część trasy. Obiecuję sobie, że nikogo dzisiaj nie spotkam, a nawet jeśli spotkam, to będę udawał, że nie spotkałem, że jestem tu jedynym człowiekiem. Może wtedy mi się przypomni, o czym śniłem, co miałem zapamiętać.

Cięcie.

## 2. Cypis i Monika, wyjazd, wspomnienia.

Spotkałem ją na koncercie na skłocie, przyszło dużo więcej ludzi niż zwykle, a wśród nich ona. Chyba nie było gościa, który nie zwróciłby na nią uwagi, takich dziewczyn nie spotyka się na ulicy, kolesie ciągle szturchali się łokciami, popatrz ziomuś, mówili, popijając browary, a później zniknęła mi z oczu, jeszcze później wpuściłem się w muzykę *Włochatego*, w jej prostotę, w przekaz, który nas poniosł wszystkich tak, że pot skraplał się na suficie, żeby znów spaść, i znów wyparować, i tak w kółko, żeby przerodzić się w energię, której nikt nie jest w stanie powstrzymać, i która we mnie nigdy nie zginie, nawet gdy przestaną grać i rozjadą się do swoich miast, domów, mieszkań, nawet gdy zostanę tu sam. Ale jeszcze nie czas, jeszcze jak zwykle po koncercie mała imprezka, trochę piwa, trochę palenia.

Nawet nie wiem, kiedy usiadła obok, nawet nie wiem, kiedy powiedziała, że ma na imię Moni, że jest tu pierwszy raz, bo wcześniej słyszała, ale do tej pory nie była i tak wyszło, że zajrzała dopiero dzisiaj, i jest zajebiście, naprawdę. A ja prawie wcale się nie odzywałem, bo ścisnęło mnie w gardle od jej głosu, od tego szczebiotu, zapachu ciała, dołków w policzkach, od tego jak opierała się ręką o moje ramię. Nie musiałem się bać, że zawalę, że palnę jakąś głupotę, bo klepała bez ustanku, opisywała mi swoje życie, jakbyśmy znali się od lat, nie miała pojęcia, co robić, bo starzy się rozeszli, bo jest sama i przez to jej odpierdala, wciąż w pustym domu, a ojciec wiecznie gdzieś jeździ w interesach i, debil, wysłał ją do prywatnego katolickiego liceum pełnego bogatych durnych lalun, a ona nie ma najmniejszej ochoty tam chodzić i wołałaby do normalnej szkoły, albo najlepiej w ogóle się nie uczyć, bo to i tak nie ma sensu. W końcu się upiła i zasnęła w fotelu, w pokoju Judyty, więc przyniosłem koc i ją nakryłem, a ona się uśmiechnęła, tak bardzo pragnąłem wierzyć, że do mnie, a gdy wychodziłem wypuściła z siebie szeptem dwa słowa:

– Dzięki, Cypis.

Nie mogłem zasnąć przez to „dzięki, Cypis”. Wyobrażałem sobie, że jesteśmy razem, że dziwnym sposobem trafiła do mnie, do mojego wszechświata, ale gdzie tam, chłopie, czy ty widziałeś, jak ona wygląda? Przecież może mieć kogo zechce, serio, a to, że siadła akurat przy tobie, to



czysty przypadek, nie masz szans, ogarnij się! Czym niby miałbyś zaimponować takiej lasce? Urokiem, kurwa, osobistym?! Tym, że mieszkasz na skłocie? Weź przestań! No dobra, może nie jesteś najbrzydszym gościem na Ziemi, może masz coś do przekazania, ale, człowieku, to jest po prostu inna liga! I błagam cię, nie wpuszczaj się! Słyszysz?!

Rano ekipa spotkała się na śniadaniu, kanapki, kawa, śmiechy, wspólne zeznania o tym, kto co zapamiętał, bo tradycyjnie przeholowaliśmy z piciem i z jarami. Oprócz ciebie, Cypis, bo ty jak zwykle wszystko pod kontrolą, dwa piwka, jeden lolek i teraz wstajesz świeży, nie to co my, ty to potrafisz, każdy by tak chciał. Ona też zeszła, w świetle dziennym jeszcze piękniejsza, mimo że we wczorajszym makijażu, nieuczesana, w pogniecionych ciuchach, wzięła krzesło i siadła obok i patrzy, jej śliczne niebieskie oczy, krótkie włosy zafarbowane na rudo. Odezwij się wreszcie.

– Wolne?

Znowu mówi ona, a ciebie stać za ledwie na to żeby przytaknąć, nic więcej. I wkładasz kawałek bułki do ust, żeby to odwlec, żeby to ona ciągnęła rozmowę, opuszczasz wzrok, próbujesz dokładnie obejrzeć kubek od kawy, łyżeczkę, swoje paznokcie, bo nie wolno jej pokazać, nie ma prawa się domyślić, dowiedzieć, jak ślicznie wygląda, jak łakniesz jej słów.

– Ty chyba nie za bardzo mnie lubisz, Cypis, co?

– Weź przestań. To nie tak.

Nie wiem co dalej, nie daję rady! Odezwij się! Zamiast tego nie robisz nic, siedzisz jak sparaliżowany, jakbyś odraczał wyrok. A ona nakrywa palcami twoją dłoń, jej kciuk delikatnie przesuwają się po twojej skórze, wciąż nie reagujesz, ani drgniesz.

– Popatrz na mnie, Cypis.

Prosi cię, a ty w końcu podnosisz głowę. Poddajesz się, bo jesteś pewien, że wystarczy, że na chwilę na ciebie zerknie i od razu pozna całą prawdę, bo już nic nie jesteś w stanie ukryć, więc chyba tak będzie lepiej. Uśmiecha się i czujesz dreszcze na plecach.

– Wpadnę za parę dni. Czekać na mnie.

Na koniec rzuca głośne „na razie”, potem wychodzi i już jej nie ma. Czas pozbyć się złudzeń, Cypis! Ona nigdy tu nie wróci! No dobra, nawet jeśli wróci, to co z tego? To nic nie znaczy. Dlatego panuj nad sobą, kolego!

Pamiętaj, możesz liczyć wyłącznie na siebie! Od zawsze! Przypomnij sobie, zamieszkałeś tutaj na skłocie, bo nie miałeś nikogo, ani jednej bliskiej osoby. Ale już nie jesteś sam! Obok są przyjaciele, razem pokazujecie ludziom, jak żyć inaczej, jak być wolnym i iść inną drogą, w której nie ma miejsca na chorą ambicję, karierę, wyścig szczurów, poświęcanie się dla kasy. Przecież to wcale nie jest potrzebne, te gigantyczne rezydencje, zamknięte osiedla, luksusowe samochody warte w chuj kasy, a później jeden z drugim narzeka, że smog w mieście, że korki, że córeczka taka ładna, ale ma nadwagę. No jak ma, kurwa, nie mieć, jak, idioto, wszędzie wozisz ją autem! Pomyśl o swoich dzieciach! Pomyśl, na jakim świecie je zostawisz, jak odejdziesz. Pomyśl sam, chociaż raz. Bo nie chcę cię zmieniać na siłę, chcę, żebyś się zastanowił, żebyś się zatrzymał i zobaczył, że mógłbyś to robić w inny sposób. Spójrz na mnie i zrozum, że wybrałem inny los i ty też mógłbyś. Nie twierdzę, że jest łatwo. Naprawdę muszę nieźle zasuwać, żeby mieć co włożyć do garnka. Pracuję u Mariuszka. To kumpel, stary punkowiec. Wspólnie szyjemy wojskowe ubrania, kurtki, spodnie bojówki, torby, plecaki. Kokosów z tego nie ma, ale to nic, kasa nie jest aż tak ważna. Ale komu ty to tłumaczysz, Cypis, kogo próbujesz przekonać, po co? No tak, racja! Jest jeden powód. Pojawiła się ona i może wywrócić wszystko do góry nogami, rozwalić układankę, wystarczy, że poprosi, wystarczy, że rozkaże, wystarczy, że przyjdzie do mnie za trzy dni i powie, że ma sprawę.

– Cześć, Cypis. Mam sprawę. Pogadamy?

No jasne! Pewnie, że tak. I zabrałeś ją na górę. Do twojego terytorium, twoich czterech kątów. Te godziny, gdy jej nie było, dłużyły się w nieskończoność. Teraz jest, przyszła przed sekundą, ręce ci się trzęsą, spodziewałeś się, przeczuwałeś, nie mogłeś pracować, marzyłeś o tym, wymyślałeś strategie, o czym zagadasz, jak się zachowasz, a i tak zaschło ci w gębie i nie jesteś w stanie wydobyć z siebie nic więcej, prócz banalnego:

– Zapalisz ze mną?

Ona oczywiście się zgadza, więc skręcasz džointa, odpalasz, najpierw Moni, ty potem, materiał sadzony przez ciebie, podlewany, dbałeś o niego, a on odwdzięcza ci się w idealnym momencie, bo jesteś bardzo ujarany, nawet za bardzo, i zaczynasz gadać, i nie zamykają ci się usta, Moni leży obok, słucha cię uważnie, czasem tylko zapyta, poprosi o coś, a tym razem to ty

spowiadasz jej się z całego życia, ze swoich zasad, z tego, że unikasz alkoholu, z tego, że nie jesz mięsa, że można bez niego normalnie funkcjonować, że jedyna twoja używka to właśnie to jranie, ale z dala od dilerów, bo to bez sensu, bo kupiliście ziarenka i macie z kumplami takie miejsce, gdzie hodujecie i doglądacie, i że nie jesteście od nikogo zależni, ale zaraz, przecież miałaś do mnie sprawę, a ja w ogóle nie pozwoliłem ci dojść do głosu. Chwila ciszy. Później ona:

– Jutro urywam się z domu. Nie mam już siły. Muszę uciec na parę dni. Zajebałam ojcu trochę siana.

Podnosi się, bierze kolejnego macha i kładzie się z powrotem obok. Leniwie wypowiedane wyrazy docierają do mnie jeszcze wolniej, nie do końca rozumiem ich sens.

– Chciałabym żebyś ze mną jechał, Cypis – dodaje.

– Jechał? Gdzie?

– Czy to ważne?

– W sumie...

Śmiech, przytula się, jej zapach, dłonie na moim kolanie, wirujący pokój pędzi coraz szybciej. Wstaję.

– Mówisz poważnie? – pytam, patrząc na nią, nie mogąc oderwać wzroku, gdybyś wiedziała, że możesz zrobić ze mną, co zechcesz, że na jedno słowo padnę przed tobą na kolana, gdybyś wiedziała, że zmieniłaś kolor i teraz jesteś niebieska, twarz, włosy, ale to nic, to chyba nawet lepiej. – Pewnie, że z tobą pojedę.

Opadam na plecy, na łóżko, całuje mój policzek, aż przechodzą mnie ciarki, warto było, choćby miało nic z tego nie wyjść.

– Moni?

– No?

– A właściwie to gdzie mnie zabierasz?

– Niespodzianka, zobaczysz jutro.

– Już jutro? Kurwa, tak szybko?! Daj zapalniczkę!

Znowu palimy, wreszcie Moni się zbiera, długo to trwa, bo od godziny szukamy jej kurtki, którą wciąż ma na sobie. Spotkamy się rano na pekaesie, musimy się spakować, wyjeżdżamy, świetnie, i rzeczywiście wyglądała na zadowoloną, przez co jest mi tak ciepło na sercu, czy to możliwe, żeby ona?

Zebym ja? Mam nadzieję, że to nie sen i że naprawdę wyjeżdżam na wakacje.

Zaraz, zaraz, kiedy ja ostatnio gdzieś byłem? Chyba z rodzicami, dawno temu. Jak matka żyła, to co roku jeździliśmy na wczasy do Międzywodzia. Super klimaty, wielki pokomunistyczny ośrodek zakładowy, do plaży dwieście metrów, do centrum też dwieście, zawsze dużo dzieciaków, było z kim pograć w nogę, czy w siatkę. Wieczorami uciekaliśmy po kryjomu nad wodę, żeby się wykapać, powyglupiać, pierwsze przyjaźnie, miłości, synowie i córki robotników, od świtu do zmierzchu na świeżym powietrzu, a nasi starzy w tym czasie bania u cygana, czy deszcz, czy słońce. Matula cały rok zasuwiała na hucie, żeby raz w roku przez dwa tygodnie popuścić pasa, rozwalić kasę, byłem wtedy taki szczęśliwy. Rany, to już pięć lat, ale ten czas zapierdala. Jak wykryli u niej raka, nikomu się nie przyznała. Powiedziała, że ma zapalenie oskrzeli i że bardzo słabo się czuje i żeby dać jej spokój. Dwa tygodnie później już nie żyła. Jest jeszcze kochany, wiecznie pijany tatuś, ale nic o nim nie wiem, uciekłem od niego, bo po jej śmierci nie potrafił przestać chlać, nie miałem ochoty tego oglądać, więc bujałem się trochę po dalszej rodzinie. Miesiąc u jednej ciotki, miesiąc u drugiej, miesiąc u znajomych. Jak tylko skończyłem osiemnastkę, zamieszkałem na skłocie. Teraz to mój dom, moi najbliżsi. Ale może rzeczywiście to dobry moment na parę dni odpoczynku.

– Dosyć tego uzalania! Do pracy rodacy!

Trzeba spakować ciuchy, śpiwór, buty, kasę, blanty, materiał, no i muszę dać cynk wszystkim, zadzwonić do Mariuszka, bo chwilę mnie nie będzie, ale to spoko gość, na pewno zrozumie, nastawić budzik, ale super, rewelacja. Nie mogę się doczekać. Ale za pięć minut. Ostatni lolek, ostatni strzał, zresztą i tak już nie pamiętam, co miałem zrobić.

### 3. Schronisko, getto, Izaak.

Budowa trwała wiele lat. Całość wykonałem sam, od początku do końca własnymi rękami, każdy kamień, każdą deskę, od fundamentów aż po dach. Było ciężko, ale się udało. Pomiędzy Okraglikiem a Fereczatą w Bieszczadach powstało schronisko. Jest trochę oddalone od szlaku, żeby nikt przypadkowy nie mógł tutaj dotrzeć. Schronisko czeka wyłącznie na nich. Trafia tu, gdy nadejdzie właściwa pora i stanie się to, co im pisane. Nawet najdrobniejszy szczegół został dokładnie zaplanowany. To nieuchronne.

Jeszcze niedawno byłem jak oni. Zwyczajny facet, mający rodzinę, pracę, marzenia, problemy. Ten świat minął bezpowrotnie, bo pojawił się NÓŻ. Chociaż teraz już wiem, że był ze mną zawsze, że to jedynie ja niekiedy się od niego odsuwałem. Pamiętam dzień, gdy ujrzałem go pierwszy raz. Pamiętam Miasto za okupacji, moje rodzinne, ukochane, w którym mieszkam i pracuję jako komisarz granatowej policji, pół Polak, pół Niemiec, ale przede wszystkim kolekcjoner i znawca sztuki, pasjonat. Tu się zaczęło. Większość mieszkańców doskonale orientowała się w tym, co mnie fascynuje, że można u mnie sprzedać obrazy, antyki, biżuterię. I przyszedł stary znajomy, Żyd Mojsze. Przed wojną handlował ze mną złotem, ubiliśmy sporo interesów, kiedyś chodziliśmy na kawę, a dzisiaj ledwo go rozpoznałem. Getto niszczy ludzi, łamie ich.

– Mam coś dla ciebie, Adam. Coś nadzwyczajnego.

Odwinął go ze szmatki. Rzut oka, jakbym był dzieckiem oglądającym prezent pod choinką, jakby ktoś właśnie spełnił moje marzenia. Masz rację, to jest to, czego szukam! Dokładnie to! Ale nie dałem tego po sobie poznać, jestem dobry w te klocki.

– Ile? – spytałem, mając nadzieję, że wymieni jakąś ludzką sumę, a wtedy powiem mu, że daję połowę, a gdy się będzie targował, dorzucę parę groszy ze względu na dawne dzieje i na podłą sytuację, dodam, że to prezent, że na szczęście.

– Chcę żebyś mnie stąd zabrał. Chcę żyć.

– To za mało – wskazuję stół, na którym leży fant, chociaż w tej chwili już zawija go z powrotem, wyznając załamany głosem, że więcej nie ma, tylko to, bo rodzina zdążyła wyjechać, i prosiłem go w myślach, żeby już przestał

mnie katować, bo wiem jak mu pomóc, wsparłem już wielu. Dopiero gdy wychodził, złapałem go za ramię.

– Ktoś widział, dokąd idziesz? Nikt cię nie śledził?

Zresztą po co pytać, nie ma sensu. Przypadek, mały zbieg okoliczności i już po mnie. Wciąż na krawędzi, wystarczy jeden mały donos, ale on zapewnia, zarzeka się, przysięga, chociaż nie powinien, bo wreszcie znalazłem to, czego szukałem, tak blisko mnie. Dla niego jestem w stanie naprawdę dużo zaryzykować, zgodzę się, nie mam innego wyjścia.

– Zostaw to i przyjdź jutro wieczorem. Spróbuję ci pomóc.

Może się cieszyć, bo dotrzymuję obietnic, oni są tego świadomi. Już niedługo dołączysz do swojej rodziny, będziesz bezpieczny. On dziękuje, całuje mnie w rękę, zabieram ją, mówiąc, że nie trzeba, ale uważaj na ten przedmiot, on nie jest do końca bezpieczny, to najważniejsza pamiątka rodzinna, jest taka legenda, że Kain ugodził Abła właśnie tym nożem, tyle że ja w to nie wierzę.

– Idź już! Zaraz będę miał gości, nie mogą cię zobaczyć!

Przyjechali. Zdążyłem w samą porę. Mój przyjaciel Paul, szef niemieckiej policji przybył w asyście kilku oficerów, przywiózł trochę biżuterii, obrazów do wyceny. Większość trafi do magazynu, którym zarządzam, przy Senatorskiej, w sercu żydowskiej dzielnicy. Niektóre rzeczy sprzedam, inne to inwestycja, zabezpieczenie na przyszłość. Oni je przynoszą, ja określam wartość, na niektóre potrzebuję czasu, to musi poczekać, a tamto zabierzcie. Paul rozsiada się w fotelu.

– Co dzisiaj widziałeś, Adam? – pyta.

Uwielbia słuchać opowieści o getcie. Są dla niego niczym muzyka, twierdzi że pod wpływem jego obecności tamto miejsce się zmienia, bo wszyscy go znają i ukradkiem obserwują. Dlatego woli mieć podglądacza, kogoś mniej wyróżniającego się, a bardziej anonimowego, czyli mnie. Ważne są szczegóły: jak wyglądała ta bójka o chleb, jak się słaniało na nogach umierające dziecko, czy coś krzyczało, czy może nie, czemu nikt nie zwrócił na nie uwagi. Nazywają go panem życia i śmierci, choć w Mieście jest raczej panem śmierci. Byłem świadkiem, gdy kazał kiedyś zatrzymać samochód na środku ulicy, wysiadł, podszedł do Żyda stojącego na chodniku i strzelił mu prosto w głowę.

– To był akt łaski, Adam. Po prostu skróciłem mu cierpienie. I tak długo by nie pociągnął. Poza tym nie wiem, czy słyszałeś, ale oni, jak zdychają, wydają z siebie taki odgłos, jakby odgłos... ulgi. To prawdziwie oczyszczający dźwięk.

To nie był pojedynczy wypadek, ale zwykła codzienność. Choć Paul miał też drugą twarz, domową, rodzinną. Tam był panem życia, kochającym ojcem dwóch ślicznych córek, przykładnym mężem. Z takim Paulem się przyjaźniłem, z takim piłem kawę, koniak, bawiłem się, podziwiałem sztukę. Wszystko inne, ta bieda, śmierć i wojna, to zostawialiśmy za drzwiami, odsuwaliśmy daleko, nie rozmawialiśmy o tym. Paul odwiedzał mnie często. Ale ta wizyta była szczególna, głęboko utkwiała mi w pamięci. Nigdy nie spotkałem go w takim stanie jak wtedy. Po swoim tradycyjnym „co dzisiaj widziałeś?” już mnie nie słuchał, był gdzie indziej, błędził.

– Co ci jest? – spytałem.

Ocknął się, wyglądał jak wyrwany z głębokiego snu, potem podniósł głowę i spojrzał w sufit, ale tak jakoś dziwnie, inaczej.

– Dobrze mnie już znasz – powiedział z błyskiem w oczach, po czym wstał szybko, podszedł i pochylił nade mną, zajrzał głęboko w oczy, wydawało mi się, że próbuje wydostać ze mnie najgłębsze tajemnice.

– Likwidujemy getto!

Chwila przerwy, zastanawiał się jak zareaguję, a ja zastygłem, nie drgnąłem ani na milimetr. Ci głupcy nie interesowali mnie aż tak jak sądził, nie obawiałem się jatki, miałem to gdzieś, nie bałem się już niczego. Więc przestał się uśmiechać, wyprostował się, odwrócił i kontynuował.

– Oni mają takie święto, Jom Kippur, czyli sądny dzień. Gdy minie sądny dzień, zabraknie Żydów w Mieście. Według ciebie to dobra data?

– To nie moja sprawa, Paul.

Roześmiał się głośno.

– Mówiłem ci już, że cię lubię, Adam? Wpadnij do mnie – to właśnie jego słowa na pożegnanie.

Popatrz, Mojsze, jednak urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą. Mało brakowało, a byś nie zdążył. Udało ci się, masz farta. Zobaczymy ten twój skarb. Wyciągam go z szuflady, odwijam, jest piękny. Czekałem na ciebie, powtarzam w myślach. Wygięte esowate ostrze, rękojeść z kości słoniowej,

klina zastrzona jedynie po wewnętrznej stronie, na początku wąska, później rozszerzająca się, w dziwny sposób odbijająca światło. Sprawia wrażenie dłuższego niż jest, prawie jak miecz. Pragnę go dotknąć, nie mam wyboru.

– Znalazłem cię – wyszeptane w ciszy.

Podnoszę go, a on przyczepia się do mnie i nie chce wypuścić.

Od tego dnia wszystko się zmieniło, jakbym urodził się na nowo. Życie działo się obok, byłem tylko ja i NÓŻ. Nie od razu zrozumiałem, o co chodzi, co się dzieje, nie panowałem nad tym, nie umiałem tego wykorzystać. Tymczasem w Mieście zaczął się pogrom. W rześki, słoneczny poranek na główny plac targowy na Nowym Rynku, tam, gdzie znajdował się centralny punkt selekcji, tam, gdzie siedzieli panowie na drewnianych krzesłach, wyrokując – zdolny do pracy albo do wagonu, pędzono tłumy ludzi, gęsto, zawiesiście, a pociągi godzina za godziną odjeżdżały do Treblińki. Kilkanaście dni, kilkanaście nocy, czterdzieści tysięcy kobiet, mężczyzn, dzieci, starców, dwa tysiące zginęło na miejscu, zbiorowe mogiły na Kawiej, strzały, dym, płacz, w powietrzu zapach krwi, nawet w oddali, nawet za miastem, na budynkach, ulicach, ubraniach żołnierzy. A gdy padał deszcz, wydawało się, że pada deszcz krwi, bo brukiem płynęły czerwone strugi, zlewające się w kałuże, albo ściekające do rynsztoka, obmywające martwe ciała. Część płacze, część się modli, niektórzy idą w milczeniu, do końca próbując mieć nadzieję. W dwa tygodnie getto przestało istnieć. Zostało niecałe sześć tysięcy ludzi, w większości tania siła robocza dla huty i zakładów włókienniczych. Wśród nich on. Ma na imię Izaak. Wydostałem go z transportu. Maszynista już ruszał, niewiele brakowało, ale on musiał przeżyć. Jest wyjątkowy, ma do odegrania inną rolę. Załatwiam mu dokumenty, będzie pracował u Peltza, będzie zbierał siły, w odpowiednim momencie NÓŻ trafi w jego ręce, zabierze go z magazynu, razem z bronią i chemią do produkcji ładunków wybuchowych. Ale powoli, spokojnie, jeszcze nie teraz. Na razie obserwuję Paula, jak spaceruje dostojnym krokiem wąskimi uliczkami. Nie mam pojęcia, o czym myśli. Jest ósmy października czterdziestego drugiego roku. Nie ma już Miejskiego Getta. Dla ocalałej resztki Żydów stworzono Małe Getto. To tylko kilka budynków całkowicie otoczonych drutem kolczastym, z jednym wyjściem,



którym co rano mieszkańcy odprowadzani są do pracy, i którym wracają późnym wieczorem. Wśród nich jest Izaak, właśnie przechodzi obok Paula, tak jak inni maszeruje z opuszczoną głową, nie wolno mu ani na chwilę podnieść wzroku. Paul wreszcie mnie zauważa, nie pamiętam, kiedy ostatnio go spotkałem, wciąż był zajęty. Podchodzi do mnie i pyta:

– Co dzisiaj widziałeś, Adam?

## 4. Venus i Penafort, sama, nowe życie.

*Witamy!*

*Serwis przeznaczony jest jedynie dla osób powyżej osiemnastu lat. Kliknij Akceptuję, jeżeli zgadzasz się na warunki operatora zawarte w umowie.*

*Okno dialogowe i kamera otwarte dla użytkowników serwisu, życzymy miłej zabawy.*

Venus: dawno cie nie było

Penafort: pracuje ciężko mam mało czasu ile za priv?

Venus: jak dla ciebie kochany dwieście zetonów i spełnię każde życzenie:))

Penafort: ok lan minut

*Okno dialogowe zamknięte, użytkownik prowadzi obecnie prywatną sesję, możesz skorzystać z innych okien, życzymy miłej zabawy.*

Venus: czego pragniesz kotku?

Penafort: wiesz co lubie najpierw potancz troche pozniej zobaczymy

Nareszcie ktoś się trafił. Już miałam dość tych bzdurnych gadek, nudnych koleś, którzy chcieliby wszystko za darmo, nie dając nic, zero przygód, żadnego zaskoczenia. Już prawie zerwałam połączenie, ale jest. Dobrze, że wrócił, nie było go chyba z miesiąc, pewnie to jakiś wiejski biznesmen handlujący kapustą albo parówkami. Na bank ma kasę, zresztą przez ten rok, odkąd zaczęłam, wydał na mnie już z pięć tysięcy, więc musi mieć hajs. Swobodne ruchy, bez pośpiechu, obserwuję się w lustrze, ładna jestem, podobasz mi się laleczko, w tle słyszę cichą muzykę, Coltrane, *Blue Train*, moje ulubione, zapomniałam wcześniej wyłączyć, ale właściwie to niech gra, nawet lepiej.

Penafort: pokaz cycuszki

Już, misiaczku, już. Rozpinam stanik i zsuwam go powoli, jednocześnie zasłaniając piersi. Nie mogę ci pokazać od razu, poczekaj chwilę. Dotykam ich lekko, subtelnie, pomału podnosząc do góry, opuszki palców łagodnie ocierają sutki, następnie oliwka, zwilżam nią szyję, krople wolno przesuwają się w stronę biustu, a tam moje ręce energicznie je rozmasowują. Mam nadzieję, że kręci cię to tak jak mnie.

Penafort: pokaz cipke

Venus: mam dla ciebie niespodzianke ogolilam się

Penafort: dawaj!

Zrzucam swoje koronkowe stringi i kładę się przed kamerką, rozchyłam uda podnosząc nogi wysoko do góry. Dzisiaj rano pierwszy raz w życiu wygoliłam się do zera, jest bardziej intensywnie, przyjemnie, jestem już gotowa.

Venus: jak lubisz?

Penafort: paluszkiem bejbe

Pieszczę się zmysłowo, delikatnie, tym razem niczego nie udaję, jestem mokra, niech patrzy, niech też to robi.

Venus: poruszaj nim! masz ochotę mnie polizac?

Penafort: moj jezyk jest w tobie w srodku wysysam twoje soki czujesz mnie?!!1

Venus: cudnie ;))))))

Dobry jest. Głaszczę swoje piersi, potem schodzę niżej. Palec wskazujący zostaje wewnątrz. Zagięłam go, szukam tego miejsca, drugą dłonią muskam łechtaczkę, to wystarczy, już niedługo dojdę, już blisko.

Venus: mam konczyc?

Penafort: jeszcze nie! wibrator wez wibratorem

Venus: mały czy duży?

Penafort: małym

Pewnie też masz małego, pewnie wolałbyś być obok, kłaść się i wchodzić we mnie, w tym momencie, natychmiast. Trzymam cię tam mocno i patrzę lubieżnie. Lubisz mnie taką, co? Łagodnie wsuwam go w siebie. Sztuczny kutas już drży, oprócz tego przez cały czas pracuję palcami.

Penafort: possij go troche

Zaczynam ciągnąć, uważając żebyś nie zobaczył mojej twarzy. Na ekranie kompa widać jedynie usta, a właściwie mnie widać tylko od linii nosa w dół. Nie pokazuję twarzy nawet na privach, nie ma takiej ceny, tylko czasem, jak mocno się rozkręcę, gdy przestaję uważać, kilka razy zdarzyło mi się odsłonić zbyt wiele, ale dzisiaj będzie inaczej, chociaż jestem już bardzo rozgrzana. Wyobrażam sobie, że mam w ustach prawdziwego fiuta, a drugi mnie pieprzy. Przydałby się trzeci koleś, który by mnie lizał. Ponownie oglądam swoje rozgrzane ciało w lustrze, idealnie!

Venus: tak dobrze?

Penafort: zrob to od tyłu

Venus: takkkkkkk!1 kocham to jak jesteś za mną!11

Penafort: teraz anal

Venus: musisz dopłacić takie zasady ;)

Penafort: ile?

Venus: dorzuć 100 i masz każdą moją dziurkę

Penafort: wydusisz ze mnie ostatni grosik

Venus: patrz! nie przestawaj!

Jestem na kolanach, wypuszczam powietrze z płuc, uspokajam się i wkładam go, pomału, bez pośpiechu, jest, najprzyjemniejszy ból na świecie, wygina mnie, łamię od pierwszej chwili, pragnę to zatrzymać w środku, głęboko, najgłębiej jak się da, drugą ręką znowu szukam łechtaczki, zaraz finał.

Venus: pierdol mnie w dupę!1111

Penafort: krzycz szmato!

Naprawdę jestem blisko. Dochodzę.

Venus: to już prawie

Penafort: krzycz, kurwo!1

Krzyczę. Tak jak mi kazał. Orgazm niemal rozsadza mi czaszkę, jest tak silny, że popuściłam na łóżko, a miałam nad sobą panować, ale wstyd. Rzut oka na ekran, wpłynęło jeszcze pięćdziesiąt zetonów napiwku. Opadam z sił. Już dawno nie było tak super.

Venus: niezły z ciebie ogier całkiem odleciałam zyjiesz?

Penafort: było pięknie! wow!

Venus: rozgrzałeś mnie i się stało dzieńx za napiwek

Penafort: powtórzmy to w realu?

Venus: sorki uwielbiam być tutaj sama i sobie ciebie wyobrazić

Penafort: rzuc kwotę

Venus: nie ma takiej słoneczko

Lubię cię, ale jesteś taki przewidywalny. Wszystkim wam się wydaje, że możecie mnie kupić, że zawsze jest jakaś cena. Ale nie o to chodzi. Uwierz mi. Nie umówię się z tobą nigdy i nigdzie. Nie robię tego dla pieniędzy, kiedyś tak, ale w tym momencie nie, zupełnie nie. Nie brakuje mi kasy, możliwe, że mam jej więcej niż ty i pewnie to ja mogłabym cię kupić,

gdybym tylko chciała. Ale nie chcę. Wolę właśnie w ten sposób. Dzisiaj to część mojego życia, dzisiaj to czysta rozkosz.

Penafort: jest jakaś szansa że ujrze kiedyś twoją słiczną buźkę?

Venus: znasz reguły

Zrozum człowieku, że nie mam zamiaru się spotykać, choćbyś był najprzystojniejszym facetem na świecie, choćbyś się miała w tobie zakochać, wyjść za ciebie, mieć z tobą dzieci. Teraz już nie, już za późno. Zrozum, że jesteś moją tajemnicą, moją ucieczką, moim doładowaniem baterii. Każdy ma coś takiego, każdy ma swoją strategię na to, żeby nie zwariować. Ja też. Ja kocham się pierdolić przed ekranem komputera, na który patrzą obcy ludzie, ubóstwiam ich i siebie, wtedy, w tej sytuacji. Wtedy wreszcie czuję się lepiej, dużo lepiej. Przez kilka dni oddycha mi się łatwiej, uśmiecham się, normalnie rozmawiam. I nic nie poradzę na to, że potem przychodzi załamanie, spada na mnie ta moja deprecha, nie mam ochoty wychodzić z domu, ani nawet się ruszyć, duszę się, leżę w łóżku, biorę jakieś prochy, zaczynam się nienawidzić, bardziej i bardziej, i znowu muszę to zrobić. Więc włączam Internet, loguję się i już.

Penafort: przyrowadzisz kiedyś koleżankę albo kolegę i poruchacie się razem?

Venus: już ci nie wystarczam :(((

Penafort: nie o to chodzi była bajka ale czasem po prostu potrzebuje odmiany czegoś nowego kapujesz?

Venus: ok pomyślimy

Już to przechodziłam, to źle, że mi o tym przypomniałeś, do niektórych sytuacji nie wolno mi wracać, nie mogę się cofać, nie zdążyło się zagoić.

Penafort: kiedy następny numerek?

Venus: trochę mnie nie będzie odezwe się

Penafort: wakacje?

Venus: tak jakby

Penafort: no to już mi ciebie brakuje buziaki

Venus: pa lowju! ☺☺☺☺☺

*Okno dialogowe i kamera zamknięte, zapraszamy ponownie.*

Przerwa. Rozłączyłam się. Czas na chwilę odpoczynku. Gorąca kąpiel, w tle głośna muzyka, mocniejsza, cięższa, hałaśliwsza, Nomeansno, krzyczę

razem z nimi. Po piętnastu minutach wracam do formy, wchodzę do pokoju, laptop na biurku. Może by tak jeszcze raz? W sumie czemu nie?

*Okno dialogowe i kamera otwarte dla użytkowników serwisu, życzymy miłej zabawy.*

Venus: ktoś chętny na młodą gorącą cipkę?

Jestem *online* już od godziny, ale nie trafia się nikt konkretny, w kółko same gnojki, wyzwiska, przekleństwa, bo jestem za cienka i nic nie pokazałam, bo pewnie nic tam nie mam pod spodem, i oprócz tego przechwałki, w jaki sposób by mnie jebali, jak darłabym się, gdyby mnie dopadli. Powoli przestaję się odzywać, zrzucam majtki i robię to sama, szybko i mocno, męczę się, nie zwracam najmniejszej uwagi na to co piszą, na komentarze, zwyczajnie cieszę się że patrzą, pragnę żeby było ich jak najwięcej, wyobrażam ich sobie teraz, jak się dotykają, jak się poca, wyobrażam sobie ich spermę tryskającą na podłogę, na komputer, na ich dłonie. Nie trwa to długo. Jestem cała obolała, ale znowu dochodzę.

Venus: słodkich snow

*Okno dialogowe zamknięte, zapraszamy ponownie.*

Koniec na dzisiaj, mam dość. Jestem padnięta, ale spoko, zaraz powinnam do siebie dojść. Poza tym muszę kogoś odwiedzić, taki jest plan.

Właściwie wszystko gotowe. Ojca nie ma od przedwczoraj, interesy, jak zwykle. Zostawił mi kartę, klucze, telefon, pokazał, gdzie jest kasa, tak na wszelki wypadek. Powiedział, że wróci za dwa tygodnie, żebym się nie martwiła, żebym się odezwała, gdyby coś poszło nie tak, że on też będzie się odzywał, ale wiem swoje, nie ma najmniejszego zamiaru zadzwonić, już dawno przestało go interesować moje życie. Przestałam cię obchodzić, tatusiu, ja, twoja córuchna, twoja kochana Moni, nie jestem ci już do niczego potrzebna. Ta kasa od niego plus moje oszczędności to jakieś osiem tysięcy, jest też karta kredytowa, przynajmniej dopóki jej nie zablokuje. Czyli mam już za co, ale do niedawna nie miałam pojęcia, gdzie. Ostatnio oglądałam stare zdjęcia i przypomniały mi się wakacje z rodzicami w Bieszczadach, Cisna, Wetlina, moja ulubiona tama w Solinie, ten deptak, spacer, to jak trzymaliśmy się za ręce, razem, wspólnie. I zdecydowałam, że właśnie tam. Ale z kim? Nie chciałam być tam sama, albo dopiero kogoś szukać, gdy przyjadę, dużo łatwiej z kimś pojechać, wędrować po górach i

chodzić za rękę. I już wiem, z kim. Ma na imię Cypis, mieszka na skłocie i chyba się we mnie kocha. Za jakąś godzinkę do niego zajrzę i mam nadzieję, że na to pójdzie, że wyjedzie ze mną na parę dni, albo najlepiej na zawsze, bo nie mam zamiaru tu wracać. Oby tylko się zgodził.

Nie mogę się doczekać.

## 5. Burza, schronisko, towarzystwo.

W kilka minut pogoda całkowicie się zmieniła. Dochodzę do Okrąglika, przede mną ogromna granatowa kula burzowych chmur. Przeglądałem wczoraj prognozy, ani zdania o jakichkolwiek opadach, miało być słońce, prawie bezchmurnie, duża widoczność, intensywny wiatr. Miałem zrobić sobie dłuższy odpoczynek na szczycie, a teraz to nie wygląda ciekawie, teraz się zastanawiam, czy wracać na dół przez Jasło, czy zaryzykować i nadal maszerować. Po drugiej stronie jest wiat, mógłbym minąć szczyt, schować się tam na moment i przeczekać. Może nie będzie aż tak źle, może się jakoś rozejdzie albo pójdzie dołem, mijając połoniny.

Zdecydowałem, idę. Przecież jestem przygotowany, poza tym nic się nie stanie jak trochę zmoknę, chowam mapę, do deszczochronu dwadzieścia minut truchtem. Uda mi się.

W ułamku sekundy lunęło jak z cebra. Wielkie ciepłe krople zacinają boleśnie z każdej strony, nie mogę złapać oddechu, na szczęście to jedynie kawałek, zbiegam z góry, już blisko, dam radę.

Nagle ogromny huk. Nie wiem skąd, z której strony. Coś mnie popycha i przewraca. Zatyka uszy, kłuje piaskiem! Rozglądam się dookoła. I już wiem. Parędziesiąt metrów przede mną uderzył piorun. W powietrzu roznosi się zapach ozonu i spalonej trawy. Strach mobilizuje, adrenalina dodaje sił, w głowie buczy „spierdalaj!”. W ułamku sekundy zbieram się i biegnę najszybciej, jak się da, kompletnie nie dostrzegając ciężaru plecaka, nie zauważając własnego zmęczenia. Za mną kolejne grzmoty, wpadam do lasu, ślizgam się, Boże! To chyba oberwanie chmury! Na razie jestem jeszcze w miarę suchy, zdążyłem założyć kurtkę, plecak jest wodoodporny, buty też, ale lepiej poszukać jakiegoś schronienia, powinienem się gdzieś zadekować, koniecznie. Schodzę coraz niżej i zauważam drewnianą tabliczkę z napisem „schronisko”, ze strzałką skierowaną w stronę małej ścieżki, na północ, odbijającej mocno w lewo od szlaku. Stoję jak zamurowany. Jakie schronisko?! Tu nie ma żadnego schroniska! Nigdy nie było. Na żadnej mapie! Wiedziałbym o tym, to trzeba zbudować, to musiałyby trwać, byłoby o tym głośno, to niemożliwe, jakiś żart. Dosłownie zdębiałem. Chwila konsternacji. Ty tu rządzisz. Dobra, spróbuję!



Droga prowadzi stromo pod górę. Jakoś daję radę, chociaż jest ślisko, moje uszy wychwytyją dziwny dźwięk, niepasujący do tego miejsca. To skrzypi brama, tylko skąd brama w środku lasu? Ale jest! Odpoczywam przy niej, moknę. Wydaje się być z innej epoki, w niektórych miejscach zdobienia porzewiały, ale i tak wygląda imponująco. Rozglądam się i zauważam go między drzewami, wyrasta kawałek przede mną. Posuwam się w jego stronę. Jesteś. Typowa bieszczadzka bacówka. Piętrowa, drewniana chatka z kamienną podmurówką, przy niej studnia i wiatrak. Całość ustawiona w ciemnym zagajniku, z przepływającym obok rwącym strumykiem. Do wejścia wiodą murowane stopnie, nad nimi solidny dach, niżej masywne drzwi. Podchodzę bliżej, w pełni przeświadczony, że coś tu nie gra, coś jest nie tak, coś nie pasuje. Wciąż mogę wrócić, ale ta pogoda... Długo tu nie zostanę, obiecuję to sobie. Plan nie jest zbyt skomplikowany, wejść, przebrać się, wypić gorącą kawę i ruszyć w trasę, jak przestanie padać.

Szarpię za klamkę i otwieram drzwi. Dostaję się do głównego korytarza. Wszędzie czuć zapach nowości, odnoszę wrażenie, że zaraz znajdę gdzieś na ścianie kartkę z napisem „świeżo malowane”. Na wprost zauważam wejście do recepcji, delikatnie pukam i pakuję się do środka.

– Dzień dobry – trochę za cicho, żeby ktoś mnie usłyszał. Podchodzę do kontuaru, powtarzam głośniej, w odpowiedzi kroki, pomału się wyłania, już go widzę.

– Witaj! W czym mogę pomóc?

Starszy szpakowaty pan, na oko koło pięćdziesiątki, wygląda bardziej na szefa luksusowego hotelu niż właściciela schroniska. Opalona twarz, biżuteria, złoty sygnet, markowe ciuchy.

– Chciałbym się przebrać i czegoś napić.

– Kawa?

Zgadzam się. Zrzucam z siebie mokre łachy i siadam na stołku. Później on wraca, z dużym kubkiem w dłoniach, z łyżeczką, mlekiem i cukrem.

– Dzisiaj lepiej już nie będzie. Nie radzę ci stąd wychodzić, to szaleństwo.

Patrzy na mnie, jego oczy są dziwne, nie mogę się oderwać. Jak na zawołanie niedaleko uderza piorun, a deszcz coraz głośniej bębni o dachówki.

– A nie mówiłem?!

Powoli zaczynam mu wierzyć, ale jeszcze się waham, łudzę się, może przejdzie, wtedy wyruszę, na razie raczej się na to nie zapowiada, ale jeśli osłabnie, to czemu nie, do Smereka są ponad trzy godziny, musiałbym się nie zatrzymywać, to jest realne, najpierw zjem obiad, może w tym czasie się poprawi. Ponownie podchodzę do baru, on wyłania się znowu, zamawiam zupę i pierogi, stoi pochylony nad kartką, notuje, ale jakby nie słuchał, jakby wcale nie zapisywał tam nazw dań, ale rysował je, projektował zaczarowanym ołówkiem, jak w tej kreskówce. Dopiero teraz podnosi głowę, przez moment nasze spojrzenia się krzyżują, walczą ze sobą, po czym on pierwszy opuszcza wzrok, dziękuje, odwraca się i odchodzi.

– Włączę panu muzykę.

Z małego głośnika zawieszonego przy suficie wypływają znajome dźwięki, rozchodzą się delikatnie, rozpoznałem je bez trudu, Incarnations, *Radio retro*, czyli mamy podobny gust, blues idealnie tu pasuje, ociepla klimat, rozsiadam się wygodnie. Tak tu miło, nie to, co na dworze, – zimno, nieprzyjemnie. Potem wnosi jedzenie, przepyszne, domowe, dawno nic mi tak nie smakowało. Na zewnątrz jest dużo gorzej niż było, w kółko się błyska i grzmi, czy ta ulewa kiedyś się skończy?

– Dobra, poddam się. Przenocuję tu.

Wynająłem pokój. Marzę o kąpielu, ale nie ma ciepłej wody, trzeba trochę poczekać, więc zamawiam piwo, wracam po plecak, wyciągam netbooka, włączam, nie ma zasięgu. Spodziewałem się tego, sprawdzam stare maile, większość to śmieci, oprócz jednego, z pracy, w przyszłym miesiącu następna redukcja, z trzech biur mają zostać dwa, muszę zrobić analizę, znaleźć słabe ogniwo, znowu kogoś zwolnią, znów związki zawodowe będą negocjować wysokość odpraw, znowu będą wlepić gały, bo to przecież moja wina, to przeze mnie, ale ja nie mam wyrzutów sumienia, czuję się jak lekarz odcinający chorą tkankę, tylko tyle, nic ponadto. Dodatkowo coś od szefa, pytanie, czy mógłbym skrócić urlop i wrócić dzień lub dwa wcześniej. Czyli jest jakiś plus tej sytuacji. Nikt się do mnie nie dodzwoni, nie dotrze żadna wiadomość. Mam spokój, bo nawet jak nie przestanie lać, to jutro i tak powinienem zejść na dół. Dlatego zdecydowałem, że położę się spać przed dziesiątą, nastawię budzik na czwartą albo czwartą piętnaście i wyruszę bez śniadania, tuż po wschodzie słońca, tak nadrobię postój, tę

bezczytność, lenistwo, obżarstwo. Dobry plan, chociaż to miejsce... Nie jestem pewien, o co tu dokładnie chodzi, mam złe przeczucia.

– Dziękuję, obiad był naprawdę rewelacyjny. Mam takie pytanie, często chodzę tym szlakiem i nie wiem, czy to jest nowe schronisko, przechodziłem obok tyle razy, nigdy nic nie zauważyłem, a tu nagle...

– Jesteś pierwszym gościem. Póki co jedynym, ale przez tę pogodę może ktoś do nas dołączy.

Przerwał, zatrzymał się i ponownie popatrzył w ten sposób, tym razem to ja odwracam wzrok.

– Strona internetowa rusza w przyszłym tygodniu, wtedy ukażą się wszystkie informacje, rozumiesz, formalnie nas tu nie ma. Aha. Jest już woda, jeśli masz ochotę się umyć.

Zostawia mnie samego, chyba zmienia płytę, po chwili słychać VooVoo, staram się przypomnieć sobie tytuł płyty, Waglewski śpiewa że *ma głęboko w duszy*. Wyglądam przez duże balkonowe okno, widać, jak bieszczadzki las nasiąka, jak chłonie wilgoć. Na pewno dzisiaj stąd nie wyjdę.

– Chciałem wyruszyć na szlak koło czwartej, mam nadzieję, że nie będzie z tym problemu. Kurczę, do rana to się już chyba wypada.

Zagaduję, bez odpowiedzi, czyżby wyszedł? Nie mam pojęcia. Nie zajmuję się tym, teraz kąpiel. Schodzę do łaźni, jest czysto, całość w błękitnym kolorze, małe szafeczki na ręczniki, kwadratowe okna wysoko na ścianie, widać przez nie, jak ruszają się liście. Dwa duże lustro, wyglądam w nich na zmęczonego. Zaczynam ściągać ciuchy, ale zatrzymuję się. Wydaje mi się, że ktoś mnie obserwuje, ktoś się przygląda, ale nie erotycznie, nie intymnie, raczej jak drapieżnik wypatrujący ofiary. Spaceruję nago od ściany do ściany, aż w pewnym momencie zatrzymuję się przed lustrem.

– Nieładnie tak się gapić, co?!

Gadam sam do siebie, albo do niego, co za różnica, po prostu kręci mnie to, że mógłby mnie podglądać. Potem wchodzę do kabiny i odkręcam wodę. Pełen relaks. Postoję tu trochę, nie mam zamiaru wychodzić zbyt szybko.

Ale w końcu muszę. Wracam do baru, nie zastaję nikogo, więc targam ze sobą bety, komputer i idę na piętro, do swojego pokoju. Okazuje się, że to mała klitka, ale widok z okna wręcz genialny. Rozkładam rzeczy,

przygotowuję ubranie na rano, przebieram się i kładę na łóżku. Tak. Powoli zmieniam zdanie, coraz bardziej mi się tu podoba.

Leżałem jeszcze jakieś piętnaście minut, nie myśląc o niczym, zanim się podniosłem. Nudno tu samemu. Zabieram ładowarki, telefony, całutki sprzęt, żeby jutro nie brakło baterii na szlaku, będę w trasie wiele godzin. Zamykam drzwi i schodzę na dół. Po drodze spotykam właściciela.

– Mamy towarzystwo. Już nie jesteśmy sami.

Uśmiecha się przy tym i patrzy tak, że aż boli, aż paraliżuje ruchy, mam ochotę krzyknąć, żeby dał mi spokój. Zamiast tego przyspieszam kroku, prawie zbiegam. Może to jednak lepiej, że ktoś do nas dołączył.

## 6. Zabawa, diabły, taka mokra.

Punktualnie o szóstej trzydzięci wparowałem na dworzec. Moni się spóźniła, ale na luzie zdążyliśmy na busa. Kupiła dwa bilety do Leska, najpierw zastanawiałem się, gdzie to w ogóle jest, później trochę protestowałem, bo też mam kasę, ale powiedziała, że to przecież ona mnie zabiera i żebym się nie wygłupiał. Spytała, czy byłem kiedyś w Bieszczadach, zresztą i tak na pewno mi się spodoba i że w Lesku przesiądziemy się na pekaes do Soliny, tam zostaniemy parę dni i zobaczymy, co dalej.

– Gra?

Mogłem jedynie przytaknąć, bo wydawała się jeszcze śliczniejsza niż wczoraj i znowu zaniemówiłem, znowu zaschło mi w gardle, ale bym teraz zapalił. Usiedliśmy z tyłu, wyciągnęła zza pazuchy piersiówkę.

– Napijesz się? Łiskacz tatusia.

Wezmę małego łyeczka, bo nie przepadam, ale nie krępuj się. I rzeczywiście się nie krępowwała, po godzinie była już nieźle wstawiona i tłumaczyła, dlaczego Solina, że to piękna okolica, że jeździła tam często ze starymi.

– Będzie cudownie, zobaczysz.

Miałem wielką ochotę jej uwierzyć. Dlatego, że dla mnie największe znaczenie miało, że jadę z tobą, Moni, a to, gdzie, w jakie miejsce, to było drugorzędne, nieważne. Wystarczy, że siedzisz obok, tak jak w tej chwili i opowiadasz o różnych rzeczach – o czym myślisz, marzysz, o tym jak rodzice się rozwiedli, jak matka was opuściła i wyjechała, o tym, na jakich facetów trafiałaś do tej pory, że same świry albo pozerzy, i że jest jeden taki, który ci bardzo namieszał w życiu, żeby cię w końcu olać, wystawić do wiatru, a ty nie potrafisz o nim zapomnieć, ale tak naprawdę możesz mówić o czymkolwiek.

– Bylebyś tylko mówiła do mnie.

Pierwszy półgodzinny postój w jakiejś mieścinie na szczanie, kawę, a w naszym przypadku na jaranie, bo pokazałem Moni mój zapas i od razu chciała spróbować, przez co do busa wróciliśmy totalnie zajebani. Tym razem to ja zacząłem gadać, a ona słuchała, albo przynajmniej się starała,

dopóki nie zasnęła z głową na moim ramieniu. Nie miałem zamiaru się ruszyć, nawet na milimetr, żeby się nie obudziła, żeby tak trwała przy mnie i najlepiej, gdybyśmy jechali jak najdłużej. I jechaliśmy, potem też zasnąłem. Tak minęła droga. Wysiedliśmy w Lesku strasznie głodni, czyli obiad i piwko, i oczywiście lufka. Później czas na zwiedzanie, niedużego rynku z pomnikiem ku czci bohaterów Armii Czerwonej, synagogi, bo muzeum zamknięte, żydowskiego cmentarza, ale chyba niepotrzebnie, źle się tam poczułem. Zabytkowe nagrobki nakryte ziemią, jakbym deptał po zwłokach, a my kompletnie ukopceni, nie to, że cykam, ale co nieco znam historię, to źle, że tu łazimy tacy załatwieni, to brak szacunku.

– Chodźmy stąd.

– Kurwa, która godzina?! Szybko, bo nie zdążymy!

Pobiegliśmy. Za parę minut znów w busie Moni się przytula, odpoczywamy, szkoda, że tak krótko, że już trzeba wysiadać.

– Witaj, Solino!

Najpierw wycieczka na tamę. Okazało się, że to duży betonowy deptak, z fajnym widokiem na wodę, na niej łódki, a daleko w tle góry. Przed nami taka przestrzeń, że dosłownie mnie zatkało.

– Wiedziałam, że ci się spodoba.

Miała rację, objąłem ją, przyciągnąłem do siebie i tak staliśmy, a wiatr rozwiewał jej włosy, aż przez moment pomyślałem, że byłoby super zostać w tej pozycji na zawsze, zastygnąć, jak na obrazie. Ale co z tobą, Cypis! Wyluzuj! Kawalek cycków i miękną ci nogi?! Rusz się, idziemy! No i poszliśmy obejrzeć miasteczko, to znaczy popatrzeć na zamknięte budy z fast-foodem, knajpy, dyskoteki. Kilka pubów otwartych, ale wszędzie pustki, no to wybraliśmy tandetny niby okręt piracki przerobiony na pizzerię, gdzie piliśmy browary i trochę jedliśmy gadając o pierdołach, nabijając się z ludzi, obgadując kelnerki i pojedynczych gości. Siedzieliśmy tam do wieczora. Dobrze, że po drugiej stronie można było wynająć pokój, bo nie mieliśmy już siły się ruszać, załatwieni na amen. Ledwie pamiętam jak zapłaciłem za spanie i jak wbiliśmy się do naszego tak zwanego apartamentu.

– Zajmuję kojo przy oknie! – krzyknęłaś i rzuciłaś swój plecak na łóżko.

– Jak chcesz – odpowiedziałem, bo plątał mi się język i naprawdę miałem zlewkę. Marzyłem jedynie o tym, żeby przytulić się do poduszki, zajebicie by było, żeby przy tobie, ale widzę, że zaległaś już w wyrku, dlatego tylko cię przykrywam, wychodzę na korytarz, uchylam okno i ściągam dwa machy, tak na zapas. Dopiero wtedy się kładę, a właściwie padam jak betka.

Każdy dzień wyglądał mniej więcej tak samo, jaranie, pizza, gadanie o bzdurach, na przemian z poważnymi rozmowami o Bogu, sensie, wszechświecie i innych takich, w przypadku Moni zakrapiane dużą ilością alkoholu. Oczywiście przez cały czas nie pozwoliła się dotknąć, chociaż nie naciskałem i poza paroma buziakami do niczego nie doszło. Powtarzałem sobie, bądź cierpliwy, nie wolno ci tego spieprzyć.

Sytuacja zmieniła się w weekend. Pootwierały się lokale, o których istnieniu nie mieliśmy pojęcia, zjechała się zgraja buraków z okolicy, w klimacie czerwonych kabrioletów, zimnych łokci, dresów, złotych łańcuchów na szyi, w towarzystwie wypacykowanych różowych blondynek. Dookoła wszechobecne techno, agresywne kibolskie okrzyki, laseczki obciągające pijanym gościom nad wodą, zapach potu z dyskoteki, scena, w której najebane mięśniaki kopią na tamie kolesia, a naprzeciwko słania się powoli grupka równie napierdolonych małolatów żrących hot dogi, kebaby czy inne gówno, jednakowo uwalonych ketchupem, majonezem, musztardą, sałatką, dosłownie Armagedon, i my w centrum tego, ukopceni, wtuleni w siebie, omijający trupy, jak na plaży w Normandii w *Szeregowcu Rynie*.

– Mówiłem ci już, że za dużo palę?

– Mówiłam ci już, że za dużo piję?

Mam ochotę ją złapać i zerwać z niej ciuszki, gdy tak patrzy, ale tradycyjnie nic nie robię, bo kolejny raz uchlewa się do nieprzytomności, a ja kolejny raz śpię sam.

W poniedziałek Solina znowu opustoszała, znowu większość barów zamknięta, nie uświadczysz człowieka. Zadekowaliśmy się w innej knajpie, tuż przy plaży, z widokiem na wodę. Niby nic specjalnego, ale na zewnątrz lokalu, na drewnianym tarasie sterczał wielki żółty parasol reklamujący jakiś badziewny browar. Z tego parasola, nieprzerwanie, od rana do wieczora, waliło gorące, kurewsko żółte światło, co w połączeniu z notorycznym upieprzeniem marysią dawało kosmiczne efekty. Nie ruszaliśmy się stamtąd,

w kółko jedliśmy pierogi z mikrofal, przepijając je Żywcem z beczki. W tym żółtym pokoju wszystko stawało się żółte. Nasze ciała, włosy, szklanki, żarcie, nawet krzesła i stoliki. Zaczęliśmy świrować. Musimy zmienić miejscówkę, jeszcze parę dni tutaj i zwariuję, głupawka mi nie przechodzi, twój wybór, Moni, twoje wakacje. Uśmiecha się do mnie coraz ładniej, coraz bardziej żółto, czuję, jak się do mnie zbliża, a dzisiaj rano mnie pocałowała, przytuliła jak kobieta mężczyznę i przeleżeliśmy w łóżku całutki ranek. Puszczala mi swoje ulubione kawałki z empetrójki, gadała, co ją kręci, wypas, nabieraliśmy sił na następną imprezę, a ja cieszę się każdą minutą i rzeczywiście nie ma dla mnie różnicy, co dalej, gdzie, w jakim kraju.

– Spadamy stąd, Cypis!

Rano złapaliśmy stopa, który wyrzucił nas w Cisnej. Rozejrzała się.

– No i co? – spytała.

– Okej, może być Cisna.

W ciągu pół godziny byliśmy już rozpakowani i zbieraliśmy się do wyjścia. Sprawdzimy, co się tu dzieje, jak wygląda życie nocne. Szybko znaleźliśmy odpowiednie miejsce. Klub nazywał się „Zima leśnych ludzi”. Był zajebisty. W środku półmrok przesycony zapachem piwa i fajek. Na ścianach i suficie obrazy, rysunki, grafiki i rzeźby prezentujące diabła. Diabła w różnych pozach, stylach malarskich, technikach, od małych rysunków kredą po duże olejne płótna. W oknach witraże przedstawiające demony, na suficie spreparowane jelenie rogi, w stare drewniane stoły powbijane i unieszkodliwione masywnymi łańcuchami siekiery. Przy jednym z nich zastaliśmy trzech tutejszych pijaczków, gości koło pięćdziesiątki, z dużymi piwnymi brzuchami, ubranych w moro, z zapuszczonymi brodami, dyskutujących o czymś niewyraźnie, zagłuszanych przez głośną muzykę; to chyba Nick Cave. Na początku prawie z Moni nie rozmawiamy, komentujemy wystrój, nie mogąc oderwać wzroku od diabelskich wizji szalonego artysty, na bank ćpuna albo psychopaty. Później jaramy, a ja totalnie odjeżdżam. Faktycznie przesadziłem, nie ma co. Zdawało mi się, że coś wpadło mi do głowy i wyłączyło światło, że obserwują mnie złe duchy, że starają się wciągnąć mnie do swojego świata. Patrzyły na mnie, a ich spojrzenie przestrzegało, że mój los jest już przesądzony, że nie mam szans.



– Już niedługo będziesz mój! – słyszałem i zamykałem oczy, próbowałem uciec.

Doszedłem do siebie dopiero rano. Obudziłem się na podłodze, przykryty śpiworem. Gdy wstałem, dotarło do mnie, że Moni jest na mnie megawkurwiona, opowiadała mi, co wyczyniałem, jak padłem na stół i nie chciałem wyleźć, a gdy cudem mnie wytargała, przy chamskim akompaniamencie pijanych grubasów, to narzygałem jej na buty i tylko w kółko klepałem:

– Taki wieczny bounce, to byłoby coś! Moni! Taki wieczny bounce! Zróbmy to!

I ma mnie dość, i ma nadzieję, że to ostatni raz, bo jak się powtórzy, to zostawi mnie samego, choćby na ulicy, w środku nocy i ona nie żartuje. Dlatego przeproszam ją, tłumaczę się, obiecuję, przyrzekam, aż brakuje mi już, kurwa, słów, bo widzę, że ciągle jest wściekła, przez co kończę gadać, milczę, czekając na wyrok, niech będzie jak najłagodniejszy.

– Pakuj się. Idziemy w góry. Odstawiamy picie i zioło!

Oczywiście przytaknałem i dziękuję za łagodny wymiar kary, Moni, na pewno wyjdzie nam to na dobre, bo już mi się miesza pod czaszką od tych dragów, a tak zawsze to trochę ruchu, zmienimy klimat, poza tym Bieszczady to nie Himalaje i spokojnie damy radę. Trzeba kupić mapę w kiosku na dole i będzie ekstra. Moni wybrała niebieski szlak na Okrąglik, sześć godzin drogi wolnym krokiem, a gdy będziemy na szczycie, to zastanowimy się, w którą stronę zejdziemy, co dalej, czyli kupujemy żarcie, wodę, no i w drogę.

Zaczęło się spokojnie, ale po godzinie przestało być wesoło. Przy pierwszej górcie dostałem takiej zadyszki, że myślałem, że wypluję płuca. Ona w przemoczonej koszulce i z potarganymi włosami prezentowała się tak seksownie, że miałem na nią coraz większą chrapkę, ale nic nie mówiłem, wystarczy, że raz podpadłem. Bawiła ją ta wyprawa, z rogałem na buzi, w szybkim tempie wyprowadzała nas wyżej, sprawiając wrażenie, jakby już w ogóle się na mnie nie gniewała, jakby się nie męczyła, a ja jestem już cały mokry od potu, glany obtarły mnie dosłownie do krwi. Ale warto było, Moni znowu się śmiała, żartowała, ocierała się o mnie, więc dałem sobie spokój, grałem twardziela i nadal maszerowałem. Właśnie

wtedy wyszliśmy z lasu na otwartą przestrzeń i ukazał nam się naprawdę rewelacyjny pejzaż, krajobraz jak z bajki, w środku ona, a ja parę metrów dalej. Za moment zdobywamy szczyt i chowamy się w trawie, robiąc tam wielkie suszenie, rozebrani do majtek. Dobrze, że szlak był pusty, bo gdyby ktoś szedł za nami, zobaczyłby na grzbiecie dwójkę ześwirowanych golasów. Trawa kłuła w dupę, słońce przygrzewało i na dodatek półnaga Moni tuż obok. Dałbym wiele, żeby móc cię dotknąć, poczuć bliżej, wyznać prawdę. Ale nie! Uważaj, bo możesz wszystko zepsuć! Zjedliśmy szybko, napiliśmy się, ciuchy trochę podeschły, a ona powiedziała, że szkoda czasu, bo jest niezła jazda i nie ma co się opierdalać, zwiedzimy jeszcze kawałek tej podniebnej krainy. Chociaż byliśmy już mocno ściorani, ruszyliśmy dalej. Po drodze okazało się, że nie był to jednak najlepszy pomysł. Nie wiadomo kiedy lunęło jak z cebra i od nowa byliśmy całkiem przemoczeni. Ale Moni to nie przeszkadzało, dobry humor jej nie opuszczał i już po chwili znalazła drogowskaz do schroniska.

– Ale mamy szczęście. Chodź, Cypis. Dzisiaj biba w bacówce. Należy się nam.

Minęliśmy starą bramę, a ona pobiegła w stronę drewnianego domu przed nami. Byłem zbyt wypompowany, żeby ją gonić.

– Ślicznie wyglądasz! – krzyknąłem w jej stronę.

– Co? Nie słyszę!

– Jesteś piękna, nawet jak nie słyszysz – tym razem cicho, do siebie.

## 7. Izaak, koniak, telefon.

Izaak urodą nie przypominał Żyda, a raczej Włocha czy Hiszpana. Od urodzenia mieszkał w Mieście, tu się wychował. Te wąskie przecinki i zniszczone mury nie miały dla niego tajemnic. Był sierotą, przygarniętym przez ciotkę, która nie miała czasu się nim zajmować, przez co już od dziecka nauczył się radzić sobie w życiu. Poza tym wszyscy go tu znali, wystarczyło spytać o małego Izaaka. Kiedy był nastolatkiem, ktoś zaprosił go na zebranie komunistów. Poszedł, posłuchał i szybko się zaraził. Po paru miesiącach to on prowadził zebrania. Mówili, że jest urodzonym przywódcą, ale jeszcze za wcześnie, jeszcze jest za młody, trzeba czasu, by stanął na czele organizacji. To była połowa lat trzydziestych. Następnie przyszła wojna i nic nie było już takie jak dawniej. Do Miasta weszli Niemcy, a on obserwował, jak mordowali bezbronnych, jak spalili synagogę, jak zbrodnie i terror stały się codziennością, tak że ludzie przestali zwracać na nie uwagę. Wreszcie ujrzał getto – ulice i budynki, w cieniu których dorastał, teraz miały stać się miejscem kaźni. Gdzieś w głębi serca złożył przysięgę, dał słowo, że nie będzie już dłużej biernie się temu przyglądał, nie będzie wyłącznie świadkiem. Chciał walczyć, zresztą nie miał nic do stracenia, ani bliskich, ani rodziny, tylko starą ciotkę, która i tak o nim nie pamiętała.

Mieszkał na Garncarskiej, w kawalerce po rodzicach. To jedyne co mu po nich zostało. Właśnie tam się zaczęło, tam próbowali zorganizować opór, żeby im pokazać, że oni też potrafią podnieść głowę, że też mają własną godność. Również tam poznał Krysię, na ławce przed wejściem do kamienicy. Była łączniczką Armii Krajowej, z którą nawiązał kontakty w celu zdobycia broni dla getta. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Już po kilku tygodniach byli prawie nierozłączni. Takie lata, wtedy nikt się nie zastanawiał, nikt nie odwlekał decyzji, bo nie wiadomo było, co przyniesie jutro. Załatwił jej fałszywe papiery na żydowskie nazwisko, dzięki czemu była w stanie swobodnie poruszać się po terenie getta. Od tej pory razem organizowali środki na zakup broni, razem werbowali żołnierzy, wciąż razem, nierozzerwalnie. Krysia była piękną kobietą, wysoką, szczupłą brunetką, o długich kręconych włosach, dużych

oczach i delikatnych rysach twarzy. Pochodziła z tradycyjnie katolickiego polskiego domu. Domyślała się, że jej rodzina nigdy nie zaakceptuje takiego mezaliansu, dlatego ukrywała romans przed najbliższymi. Pragnęła, aby wspólnie przetrwali, za wszelką cenę, ona i Izaak, żeby jak to się skończy wyjechali gdzieś w obce strony, gdzieś, gdzie byliby szczęśliwi, może za granicę, może do ciepłych krajów albo do Ameryki. Wiedziała, że Izaak rwie się do walki. Wiedziała, jakie to niebezpieczne. Nie dopuszczała jednak do siebie myśli, że mogłoby mu się cokolwiek stać. Ślepo wierzyła, że ich miłość jest niezniszczalna, że przewycięży wszystko, nawet śmierć i wojnę. Była pewna, że ocaleją, że zamieszkają gdzieś wspólnie, będą mieli dzieci, synów, bo gdy o tym rozmawiali, on zawsze mówił o synach.

Wczoraj minęli mnie na ulicy. Przeszli obok, spuszczać wzrok, udając, że ich nie ma, że nie istnieją. Niedaleko magazynu na Senatorskiej, tego, w którym trzymam dzieła sztuki, całe kolekcje, tego, w którym jest też mały skład chemii i materiałów wybuchowych, tego, w którym tkwi NÓŻ, wabiąc ich nadprzyrodzoną siłą. Kręcili się obok, sprawdzali, jak jest zabezpieczony, kto go pilnuje, czy są jacyś strażnicy, czy opłaca się ryzykować. Przyjrzałem się im, a szczególnie jemu, zlustrowałem posturę, sposób poruszania się, gestykulacji. Miałem ochotę wniknąć w jego organizm, zakosztować bycia następnym władcą skarbu, wyobrażałem sobie którą ręką będzie go gładził, żeby nie za mocno.

Minęło kilka godzin, zanim się włamali. Oprócz NOŻA zabrali trochę złota i biżuterii. Oczywiście poczułem to od razu, od momentu, gdy go dotknął, gdy wziął w dłonie. Byłem świadomy tego, że schował go gdzieś w domu, że przypatrywał mu się często, że delikatnie pieścił ostrze. Zazdrościłem mu.

Większość łupów, których nie byli w stanie wykorzystać, sprzedali na czarnym rynku. Potrzebowali pieniędzy, liczył się każdy grosz. Z dnia na dzień byli coraz silniejsi. Izaak miał dar przyciągania ludzi. Przez rok stworzona przez niego grupa liczyła już ponad pięćdziesiąt osób, młodych, pełnych zapału, chętnych do walki. Szkolenie wojskowe prowadził jego najlepszy przyjaciel Mojek, były podoficer Wojska Polskiego. I gdy już planowali szczegóły, gdy dyskutowali nad tym, gdzie, jak, kiedy, gdy zastanawiali się nad detalami ruszyła akcja likwidacji getta. Już pierwszego

dnia prawie trzydzieści osób z jego oddziału zginęło na miejscu w Mieście, a kilka wywieziono do Treblinki. Izaaka zatrzymano i uwięziono, ponieważ ktoś doniósł na niego, ktoś chciał się uratować z pociągu, ocalić własne życie. Parę godzin później policja żydowska aresztowała go i przekazała sprawę gestapo.

Wkrótce pojawiła się u mnie Krysia. Gdy wszedłem do biura, czekała na korytarzu. Ściągnąłem palto i buty i wezwałem ją do środka. Mój gabinet mieścił się na parterze zabytkowej kamienicy w centrum, na Teatralnej, blisko dworca. Przyjmowałem w nim handlarzy dziełami sztuki i innych interesantów. Teraz przyszedł czas na nią, łaknąłem jej obecności, tutaj, pod moim dachem. W końcu weszła dostojnym krokiem, by zdecydowanym ruchem zamknąć za sobą drzwi. Rozejrzała się dookoła, spojrzała na mnie, siedzącego za starym drewnianym biurkiem, na rozrzucone papiery, telefon, na odsunięty fotel przygotowany specjalnie dla niej, na obrazy na ścianie, świetnie wykonane kopie, reprodukcje Kandinskiego, Ernsta i Baargelda i na stojącą pod nimi rozkładaną kanapę. Stała przede mną, ubrana w długi szary płaszcz, zasłaniając piersi skórzaną torebką, z zapuchniętymi od płaczu brązowymi oczami. Boże, cóż za uroda!

– Mam na imię Krystyna i jestem córką...

– Wiem, kim pani jest i po co pani tu przyszła – uprzedziłem, ale ona mówiła dalej, nie zwracając na mnie uwagi, jakbym w ogóle się nie odezwał.

– Panie Adamie, jestem tu w sprawie mojego przyjaciela. Oni go wsadzili do więzienia. Widzi pan, on jest niewinny, to majster od Peltza, on jest niezbędny Rzeszy. Ja... Ja zrobię wszystko, żeby tylko on... Pan to załatwi bez problemu... Błagam! Ja nie mam pojęcia, do kogo pójść, ja mam pieniądze...

– Niech pani spocznie – zatrzymałem ją znów, gdy już otwierała usta.

– Czego się szanowna pani napije? Może być koniak? – Zignorowała moje pytanie, wytrąciło ją z równowagi, w ułamku sekundy jednak się opanowała i zaczęła powtarzać to samo, żeby pomóc, że przyjaciel, że niewinny.

Postawiłem moje krzesło naprzeciwko jej krzesła, w ten sposób, że gdy usiadłem, moja twarz była zaraz przy jej twarzy, blisko, jedynie parę centymetrów. Podałem jej kieliszek, chwyciła go, mówiła coraz szybciej.

– Proszę się zatrzymać – przerwałem jej – i skosztować.

Posmutniała, na policzki pociekły łzy, bardzo powoli, a usta zadrżały delikatnie.

– Gadali, żebym nie przychodziła do pana, że to nie ma sensu, że trzeba się pogodzić z losem, po prostu się poddać, że pozostała już wyłącznie modlitwa...

– Kochasz go? – spytałem.

Zacisnęła mocno powieki i wzięła głęboki oddech.

– To byłby dobry uczynek, nic więcej. Przecież pan nie jest złym człowiekiem, przecież dla pana to pestka.

– Pytałem, czy go kochasz?

Przechyliła głowę, przez moment patrzyła w sufit, żeby wrócić odmienioną i zajrzeć mi głęboko w oczy.

– Tak, kocham. Jak nikogo na świecie!

Przełknęła ślinę wpatrując się nieruchomo, z obawą.

– I zrobisz dla niego wszystko, tak?

Przytaknęła. Następnie spuściła wzrok i trwała tak. Przez te parę sekund jej twarz zupełnie się zmieniła, stała się twardsza, bardziej wyostrzona. W jej dłoni ciągle tkwił kieliszek.

– Wiem, o co panu chodzi.

Koniak dotknął jej ust. Napiła się, pomału wstała i ponownie podeszła do biurka. Tam przez pewien czas wpatrywała się w obraz, wydawało mi się, że szuka w nim ratunku, ale ten nie mógł przyjść. Wciąż milczałem i czekałem, aż wreszcie odstawiła kieliszek.

– Znakomity – powiedziała, ale nie rozumiałem, czy miała na myśl któreś płótno, czy koniak, czy coś całkiem innego.

Zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku obok drzwi, tuż przy torebce. Później zaczęła odpinać guziki długiej szarej sukni, wciąż tyłem do mnie. Ujrzałem nagie plecy i chude dłonie, zrzucające stanik. Potem na podłodze wylądowały buty, pończochy i w końcu majtki. Dopiero wtedy się odwróciła, wygięła lekko i rozłożyła ręce, jakby miała za chwilę odlecieć. Ujrzałem jej boskie ciało w pełnej krasie, niczym nieosłonięte, drżące, może z zimna, może z emocji. Czarne kręcone włosy zasłaniały małe sterczące piersi, pod nimi odstająca linia żeber odbijała światło, jeszcze niżej płaski, lekko umięśniony brzuch z drobnym wklęsłym pępkiem i chude uda

złączone idealnym łonem, a całość podtrzymywana przez smukłe stopy. Jej ciało było najpiękniejszym dziełem sztuki, jakie kiedykolwiek widziałem.

Podszedłem do niej wolnym krokiem i stanąłem vis-à-vis, patrząc prosto w oczy, pełne łez, poświęcenia dla ukochanego mężczyzny, pełne miłości i oddania. Wyciągnęła dłoń i dotknęła mojego policzka. Mogę zrobić z tobą, co zechcę, powiedziałem sobie w myślach, a ona chyba się zorientowała, bo wysunęła twarz w moim kierunku próbując mnie pocałować. Powstrzymałem ten ruch gestem dłoni.

– Kogo teraz kochasz? – spytałem, muskając ją opuszkami palców, odsłaniając tak, żebym się lepiej przyjrzał, aż wygięła się pod moim wzrokiem, oparła o krzesło i przejechała łagodnie kolanem po moim udzie, a jej ciało krzychało, że jest na mnie gotowa.

– Ciebie kocham – rzuciła mi w twarz, ale nie arogancko i bezczelnie, lecz bezwstydnie, nieprzyzwoicie.

Położyła mi dłonie na szyi, pogłaskała mnie.

– Chodź – wyszeptała do ucha.

Odepchnąłem ją mocno, może trochę za mocno.

– Ubierz się. On jutro będzie w domu.

Moje słowa zadziałały jak zaklęcie, przeobraziły ją w inną osobę, w tę, która tu przyszła, w skromną, zapłakaną cierpiącą kobietę. Obserwowałem, jak pospiesznie zakłada bieliznę, drżącymi rękami, niedbale, niedokładnie, byle już nie stać nago, żebym tylko nie patrzył.

– Dziękuję panu bardzo.

Usłyszałem to, siedząc z powrotem za biurkiem, delektując się kaukaskim koniakiem, jego aromatem, idealną ilustracją.

– To ja już pójdę – wyszeptała nieśmiało.

– Zapomniałaś o czymś. – Cień strachu na jej twarzy, napięcie, wstrzymany oddech. – Koniak. Nie dokończyłaś koniaku.

Wypięła szybkim ruchem, złapała pod rękę torebkę i płaszcz, i otworzyła drzwi. Zatrzymała się na progu, wciąż tyłem do mnie, wciąż się wahając.

– Wierzę panu, wiem, że wróci.

– Do widzenia, Krysiu – odparłem.

Chwilę później drzwi się zamknęły i już jej nie było. Siedziałem tak, jeszcze rozpamiętując ten krótki moment, gdy stała tu przy mnie, chętna

spełnić każdą prośbę, a jej aromat wciąż się unosił, wciąż był ze mną.

Pozostał jedynie telefon z prośbą o przysługę, z obietnicą odwdzięczenia się z mojej strony, z wymienieniem kwoty. Przecież dla mnie w tym mieście nie ma rzeczy niemożliwych, wszystko da się zrobić, a ten chłopak, ten Izaak, jutro go wypuszczą, mam się nie przejmować, śpij spokojnie, Adam.



## 8. List, TO, pobudka.

Nieraz dopada mnie coś takiego, takie uczucie, że już nie mam siły, że nie chce się żyć i pytam siebie, po co to ciągnąć, skoro i tak przeminę i nikt o mnie nie będzie pamiętał. A jeśli kiedyś mam odejść, nie być niczego świadomą, nie istnieć, to czemu nie teraz, nie w tej chwili? Co za różnica? Od niedawna zdarza mi się to coraz częściej, topię się w tym, zanurzam coraz głębiej i do tego nie bronię się za mocno, nie mam ochoty się bronić, tak mi lepiej.

Dopadło mnie wczoraj, w tej knajpie pełnej diabłów. Cypis śpi obok, pewnie długo się nie obudzi, wczoraj przesadził, wyszły z niego złe rzeczy, stracił przytomność i zasnął, ale to nie jego wina, to ja, to we mnie zamieszkał upiór, który od czasu do czasu otwiera oczy i bierze mnie we władanie, kieruje mną, a ja mu się poddaję, bo jest silniejszy i nie potrafię z nim walczyć. Radzę sobie z tym tak samo jak kiedyś, mimo że dzisiaj to już prawie nie pomaga. Ale zrozum, muszę spróbować, bo to chyba moja ostatnia szansa, więc zrobię to, napiszę list do mamy, to mój sposób na demony. Nigdy go nie wyślę, a ona nigdy go nie przeczyta, zniszczę go od razu po napisaniu albo gdzieś podrzucę, tuż po tym, jak ten list zamknie oczy potworowi, który wreszcie mnie puści, przynajmniej na razie da mi spokój, i przestanę się zadrećcać, chociaż na krótko.

Dobrze, zaczynam. Tylko od czego? Jak zwykle. „Kochana Mamo!” Dziwnie to brzmi, jak się czyta, dziwnie się na to patrzy, taki zbiór liter napisany do niej, której nie jestem w stanie wybaczyć, która mnie zostawiła z ojcem, nieumiejącym znaleźć choć kilku minut dla córki, niepytającym, co słychać, jak minął dzień, jakie masz plany na weekend. Nawet tego nie mam, ale już się nie spodziewam, nie łudzę. Tak bardzo czekam na jakąkolwiek wiadomość od ciebie, na urodzinowy prezent czy wizytę na święta. Na to, że zadzwonisz do mnie, bo jestem w Bieszczadach, Mamo. Byliśmy tu kiedyś wspólnie, wszyscy. Tatuś szeptał: zamknij oczy Moniczko, dorośli zaraz będą się kochać, i przytulał cię, obejmował. Ile wtedy miałam lat?

Ciągle się zastanawiam, czy nie poszukać twojego adresu, numeru telefonu, konta na Facebooku albo Naszej Klasie, przecież to nie jest trudne.

Tyle że wciąż brakuje mi odwagi. Nie widziałam cię już od lat, a marzę o tym, żeby spytać o mnóstwo rzeczy. Już nie pamiętam, jak wyglądasz, przypomnij mi swój głos, wyrecytuj wiersz, jakąś bajkę z dzieciństwa. Gdybym mogła z tobą porozmawiać. Ale tak naprawdę musiałoby to wyjść od ciebie, przeprosiny, wyjaśnienia, zresztą nie ma na to idealnego wytłumaczenia, nie może być. Swoją drogą wiem, że się nie odezwiesz, nie ma szans, dlatego opowiem ci o tym, tak po prostu. O tym, że miałam nadzieję, że przyjazd tutaj coś da. Wpadłam na pomysł, że zabiorę najfajniejszego faceta, jakiego w życiu poznałam, na koniec świata, że będę się z nim bawić, rozmawiać, przebywać i minie. Nie minęło. Nadal jestem słaba. Jemu również nie potrafię dać tyle, na ile zasługuje, nie potrafię w pełni się odwdziaczyć. Co rano budzę się zmęczona, nienawidzę cię, poranku, za to, że znowu jesteś. Najchętniej leżałabym w łóżku od rana do nocy, najchętniej wzięłabym kilo prochów, żeby przespać dobę albo i dłużej. Wyłącznie dzięki niemu, dzięki temu, że jest obok, ze mną, trochę mi lżej. I zdarza mi się uśmiechnąć, zdarza mi się nie wracać do przeszłości. Ale z drugiej strony nic nie trwa wiecznie, kiedyś trzeba będzie wrócić. Odsuwam ten moment jak najdalej, nie mam zamiaru tego roztrząsać, nie teraz.

Minęły już prawie dwa lata. Wiesz, Mamo, to z jego powodu upadłam tak nisko, to przez niego nie jestem już dzieckiem, przez niego jestem zła. To z nim był mój pierwszy raz. Wydawał się taki miły, taki silny. Zakochałam się po uszy, zatraciłam. Tłumaczyli mi, że to nie jest dobre rozwiązanie, bo to skurwysyn i żadnej nie przepuści, żebym dała sobie spokój. Oczywiście zgadzałam się, przytakiwałam, a później robiłam swoje, nie umiałam nad tym zapanować. Najpierw zwyczajne randki, kolacje w miłych miejscach, kwiaty, prezenty. Aż nadszedł ten wieczór, niby niczym nie różnił się od innych, oprócz tego, że może za dużo wypiałam. To było na imprezie u jego kumpla, a on zabrał mnie stamtąd do domu. Tańczyliśmy, całowaliśmy się, potem mnie rozebrał, powoli i spokojnie. Wstydziłam się trochę, ale on tak patrzył, jakbym była rzeczywiście ładna. Czułam się taka doceniona, wreszcie komuś się podobało, że jestem blisko, ktoś słuchał moich słów, do tego był taki łagodny i delikatny. Powiedziałam mu, że jestem dziewicą i żeby uważał. Było fantastycznie, chociaż na początku zabolalo, ale pieścił mnie, doprowadzając do rozkoszy wszystkie moje zmysły.

To był jedynie wstęp. Od tej pory nie mogłam już obejść się bez niego. Spędzaliśmy ze sobą każdą wolną chwilę. Nie zadawałam pytań, bo bałam się usłyszeć coś złego, bałam się, że mnie zrani, że będzie miał ochotę odpocząć i wyjechać gdzieś na tydzień, albo najgorsze – że mnie zostawi, skazuje na samotność. Kiedy już o czymś wspominał, próbowałam zmienić temat, nie byłam na to gotowa, ale nieraz i tak docierało do mnie, że ciężko mu idzie w związkach, że nic nie gwarantuje, że czas pokaże. A ja modliłam się, zanim zasnęłam żeby czas nic nie pokazał. Do tej pory nie modliłam się wcale, ale wtedy płakałam po nocach, wysłuchaj mnie, Boże, pomóż mi, jeśli jesteś, błagam.

Ale nie pomógł. Nie minął nawet miesiąc, a on zaczął przychodzić coraz rzadziej, zwodził mnie, oszukiwał, przez co stałam się cholernie zazdrosna. Chodziłam za nim, niby przypadkiem, rejestrując, co, z kim, dokąd, robiłam mu sceny, kłóciliśmy się, wrzeszczeliśmy. Któregoś dnia, kiedy się kąpał, zajrzałam do jego telefonu i znalazłam takie esemesy, że mało co nie zemdlałam. Pisał w nich do innej, że ostatnim razem było znakomicie, że tęskni za jej ciałem, że jej pragnie. Wściekłam się jak nigdy i kiedy wyszedł z wanny, rzuciłam się z pięściami, krzyczałam, chciałam go uderzyć, zabić, chciałam, żeby zapłacił za winy, żeby cierpiał, żeby zdychał jak nic niewarty śmieć. Uniknął ciosu i sam trafił mnie pięścią prosto w policzek. Chyba straciłam przytomność, bo gdy się ocknęłam, byłam już na łóżku, a on głaskał mnie i przytulał. Nadal dzwoniło mi w uszach, ale słyszałam, jak przeprasza, jak obiecuje, miał łzy w oczach. Czyli jednak kocha! Jednak będzie ze mną! Obiecał mi, że od teraz będę się liczyła jedynie ja, że mam się nie martwić, bo jest już po sprawie. Wybaczyłam mu, a on znów mnie oszukał. Nie rozstał się z nią.

Minęło kilka tygodni i wstyd się przyznać, ale zaakceptowałam to. Zgodziłam się, że był mój tylko na moment, na chwilę. I korzystałam z tego intensywniej niż się dało, pożerałam go, żeby rzygać nim bez końca. Zarzucał mnie prezentami, biżuterią, drogimi perfumami. Potem wracał do niej, a ja właściwie stawiałam jeden warunek – nic o niej nie wiedzieć, w niczym się nie orientować, zwyczajnie jej nie znać. Kiedyś znów się zapomniał i zostawił telefon. Spojrzałam na ułamek sekundy na TEN numer i zapamiętałam go na zawsze. Zadzwoiłam na drugi dzień. Od razu

odgadła, kim jestem. Spotkajmy się natychmiast, koniecznie, nalegała. I spotkałyśmy się, pogadałyśmy, wyzaliśmy się. Mamo, jaka to piękna, dojrzała kobieta, przecież ja jej do pięć nie dorastam. Zrozumiałam, że ma rację, że oczywiście, że ona, a nie ja. Kazałyśmy mu wybrać. Znowu kluczył, miotał się, odwlekał.

Przeobraził moje życie w piekło. Nie dzwonił, zachowywał się jak potwór, przychodził w środku nocy, często pijany i agresywny, jakby polubił sprawianie mi bólu. Dzień po dniu stawałam się kłębkim nerwów. Niczego ci nie obiecywałem, mówił, wystarczy słowo i już mnie nie ma. Nie mogłam z siebie wydobyć tego słowa, nie umiałam.

Wykorzystał sytuację. Zaczął mnie zmuszać do oglądania dziewczyn. Przychodził, włączał komputer, kazał siadać obok i patrzeć, jak się rozbierały, jak się szmaciły, niektóre naprawdę śliczne, naciskał, wymagał żebym kochała się z nim, obserwując ekran. Czułam się taka poniżona. A on założył mi konto na TAKIEJ stronie i kazał mi TO robić przed monitorem. Broniałem się, ale zagroził, że odejdzie. Zgodziłam się, uległam i nawet nie mam pojęcia, kiedy tak bardzo, bez reszty mnie to pochłonęło. Zdarzało się, że był ze mną, zdarzało się, że przyglądał się z drugiego pokoju i robił TO sam sobie. Stałam się jego niewolnicą, spełniałam jego zachcianki i było mi z tym dobrze, nie przejmowałam się niczym.

Wiem, jak to brzmi, ale posłuchaj, daj wyjaśnić. Nie musiałam niczego rozważać, starać się, decydować, samo się działo. Aż wreszcie uzależniłam się od TEGO. Moni odeszła, a narodziła się VENUS. Była ze mną bezustannie, prześladowała mnie. Marzyłam żeby wrócić do domu jak najprędzej, żeby się zalogować, dotknąć, a później TO zrobić, bez niego, bo TO skracało czekanie, więc im częściej TO robiłam, tym szybciej przychodził, czyli w sumie się opłacało. Mimo że gdy już go nie było, to kłuło nieznośnie, najgorzej, każda godzina bolała, koło się zamykało, a ja coraz częściej myślałam o samobójstwie. Raz prawie się udało. Połknęłam dwie garści tabletek ojca i zasnęłam. Obudziłam się w nocy i wszystko zwymiotowałam. Nie potrafiłam się zabić. Nie potrafiłam istnieć w ten sposób. Utknęłam na rozdrożu. Przestałam chodzić do szkoły, widywać się z przyjaciółmi, znajomymi. Wynurzałam się z domu tylko wtedy, gdy on mnie gdzieś zabierał, albo żeby go znaleźć, wytropić w mieście.

Tak trafiłam na skłot. Zwykły zbieg okoliczności, miał tam być, szukałam go. Zostałam przez moment i tak poznałam Cypisa. Przyciągnął mnie, zaczarował i na chwilę zapomniałam o TYM. Wydawało mi się, że to znak, że może coś się zmieni. Jestem pewna, że by ci się spodobał, polubiłabyś go, mojego Cypiska. On jest inny. Mogłabyś mu zaparzyć kawę albo herbatę w ruskim samowarze, albo upiec ciasto, gdyby nas odwiedził, najlepiej sernik, bo on uwielbia sernik. Ale nie ma na to szans, nigdy do tego nie dojdzie, Mamo, wiem.

Kończę, bo on się budzi, do zobaczenia, gorące pozdrowienia, niedługo znowu napiszę.

Buziaki, Monika.

## 9. Spotkanie, kłótnia, netbook.

Gdy zszedłem na dół, okazało się, że ci nowi ludzie w schronisku to para dzieciaków, niemających zielonego pojęcia o górach. Chłopak i dziewczyna, niedzielni turyści, bez wyposażenia, w butach nienadających się na szlak, bez kompasu i wodoodpornych ciuchów. Mam jedynie nadzieję, że nie będzie imprezy do rana. Powiniennem się wyspać, wyruszyć wcześniej na trasę, żeby odrobić dzisiejszy postój. Na szczęście do baru na dół zabrałem netbooka, przynajmniej czymś się zajmę, nie będę musiał z nimi gadać. Zamówiłem herbatę, odpaliłem sprzęt i prawie od razu odleciałem, odłączyłem się, wciągnęły mnie liczby i obliczenia. Ocknąłem się po kilku minutach i zobaczyłem, że ten koleś gdzieś zniknął, zostawił ją samą. Ona odwróciła się i obserwuje mnie, ale jestem niewzruszony, moje palce dalej krążą po klawiaturze. Słyszę jak wstaje, jak podchodzi. Podniosłem wzrok, a ona już siedziała naprzeciwko.

– Hej, jestem Monika.

Odpowiedziałem „cześć”, nie patrząc na nią, dając do zrozumienia, że nie mam ochoty rozmawiać, bo jestem zajęty, mam pracę, ale widocznie nie dotarło, widocznie to dla niej za trudne.

– Masz jakieś imię, czy mam sobie coś wymyślić na poczekaniu?

Tym razem udało jej się mnie oderwać, spojrzałem, a ona wyciągnęła do mnie rękę, wstrzymałem się na moment, nie zamierzam niepotrzebnie tracić czasu, mam inne rzeczy do roboty niż gadanie z panienkami, nie lecę na ciebie, kotku.

– Antoni – wybełkotałem wreszcie.

– Powiedz mi, Antoni, co robisz w takiej dziurze, do tego sam. Nie nudzisz się?

Próbowałem ją zbyć, no wiesz, zaległości i takie tam, wołałbym być teraz sam, poza tym nie lubię, jak mi ktoś przeszkadza. Mówiłem to, wlepiając oczy w ekran i udając, że pracuję. Ale na nią to nie działało. Nie miała zamiaru dać mi spokoju, słuchała, ale jakby nie słyszała, jakby nie docierał do niej sens. Więc powoli zacząłem zerkać, ukradkiem, bo była bardzo ładna, chociaż rzeczywiście młodzianka. Kiedyś będziesz piękną kobietą,

Monika, na razie brakuje ci dojrzałości, ale gdy już jej nabierzesz, będziesz doskonała, naprawdę.

– Weź wyluzuj! Zostaw to, pogadajmy trochę, póki co przez tę pogodę jesteśmy na siebie skazani. Racja?

Odsunąłem komputer na bok i uważnie jej się przyjrzałem, wychyliłem się i zmierzyłem ją od nóg po czubek głowy, może bezczelnie, ale to nie moja wina, to ona była pierwsza, to ona się przysiadła do mnie, a nie ja do niej.

– Twój chłopak nie będzie miał nic przeciwko?

– Że co? Że rozmawiamy? Cypis? Co ty! Po za tym to nie jest mój chłopak. Zresztą, nie martw się, on tylko tak groźnie wygląda. Poszedł na górę, zaraz przyjdzie. Poznasz go, to się przekonasz.

Czyli niedługo dołączy, zatem nic tu po mnie, pora kończyć herbatę i zbierać się do pokoju. Tyle że miałem coś zjeść, miałem zamówić jakąś kolację i dopiero wtedy uciec. Pewnie będę musiał znosić ich obecność, pewnie tak łatwo się nie odczepią, ale to nic takiego, nie przesadzaj, Antoni.

– Nie stukniesz się ze mną?

Podniosła szklaneczkę z drinkiem, chyba wódka z colą, brzydki zapach czystej, ciemny kolor, bąbelki. Podsunęła mi ją pod nos, w odpowiedzi uniosłem swój kubek.

– Na zdrowie!

– O wilku mowa!

Ja również zauważyłem jej przyjaciela. Stał w drzwiach i przez jakiś czas nam się przyglądał. Wkurzona mina, mruczenie pod nosem, potem podszedł i dosiadł się do nas.

– Na chwilę cię z oka spuścić nie można – rzucił, nie patrząc na nią, a ona się uśmiechnęła i przez ten uśmiech jeszcze wyładniała.

Przedstawiła nas sobie. Później on przyniósł piwo, spytał, gdzie pracuję, jak tu trafiłem, skąd jestem, i okazało się, że pochodzimy z tego samego miasta. Usłyszałem parę historii, parę ciekawostek, coś o remontach, o korkach, i o tym, że właściwie to niewiele się dzieje. I w sumie to fajnie nam się gadało, bo okazało się, że wcale nie jest głupi, a ja niepotrzebnie tak źle go oceniłem, zanim w ogóle się odezwał. Następnie stwierdzili, że idą zajarać, że wrócą za moment, żebym poczekał. Palenie i chodzenie po górach, żenada, ale nie skomentowałem, nie wy dobyłem z siebie ani słowa.

Poszedłem do baru wybrać coś na kolację. Wziąłem też dla nich, przecież nie będę tak sam siedział przy talerzu, mogę dzisiaj robić za sponsora, prawdopodobnie nie mają za dużo pieniędzy, a ja nie zbiednieję.

Przyszli w dużo gorszym stanie, wygląda na to, że to nie było wyjście tylko na papierosa. W każdym razie usiedli, ale wcześniej kolejny browar, według mnie bez sensu, bo byli już mocno załatwieni. Cypis coraz bardziej arogancki, niemiły, wręcz chamski, Monika natomiast gaśnie, sprawia wrażenie kompletnie nieobecnej, a ja od razu pożałowałem, bo po co zamawiałem to jedzenie? Wciąż waham się, czy zostać, czy szybko popędzić do siebie. Już miałem wstać, ale właściciel wszedł z tacą z pieczywem, wędlinami, z żurkiem z kielbasą, no to zostałem.

– Smacznego, częstujcie się – powiedziałem.

Wtedy Monika roześmiała się, bo okazało się, że Cypis jest wegetarianinem i nici ze wspólnego posiłku, bo on odpada, a ona nie ma ochoty. Czyli sam to musisz zjeść, Antoni, my będziemy się przyglądać, jak ci idzie.

– Szczególnie ja! – dorzucił.

I wystartowałem ze swoim idiotycznym wykładem, nadawanym zza stołu, z drwiącym uśmiechem, niby ironicznie, niby spokojnie, widziałem jednak, że w środku cały się gotuje. Ale z drugiej strony – co mnie to obchodzi, chciałem być grzeczny, a teraz jestem głodny, poza tym powtarzam, to wy dosiedźcie się do mnie, dlatego będę powoli i cierpliwie jadł! Mam was gdzieś, chociaż jeszcze się nie ruszyłem, wlepiłem gały w swoje buty, zamknąłem się w sobie, udając, że mnie nie ma, tak jak Monika, ona też nie zwracała uwagi na to, co się dzieje. Nieobecnym wzrokiem błędziła po ścianach, a on nie, on w kółko klepał to swoje posłuchaj, można nie jeść mięsa, można nie zabijać zwierząt, nie kreować cierpienia na świecie, można żyć zdrowo, bez zawałów, miażdżycy, cholesterolu, budzić się z czystym sumieniem, bez krwi na rękach, że tacy ludzie jak ja na co dzień płaczą nad losem wielorybów, ginących gatunków, bieszczadzkich wilków, a w niedzielę zajadają babciny rosołek albo schabowego z bigosem, i że niedługo przeze mnie nie będzie żadnej dzikiej natury. Potem przeszedł do tego, że całkiem mnie już rozgryzł, bo patrzę na ludzi z góry, czuję się lepszy, a tak naprawdę to jestem konformistą, niewolnikiem pieniędzy, władzy, kariery, a chora



ambicja wyżera mi mózg. I żebym spojrział w lustro, i żebym się nie wystraszył tego, co zobaczę.

– Ostygnie mi – przerwałem mu. Przeszał mówić, zatrzymał się.

Przysunąłem talerz z zupą, wziąłem sztucce i odkroiłem kawałek kielbasy. Podniosłem go i uważnie obejrzałem zatrzymując na moment przed sobą, jakby to było dzieło sztuki nowoczesnej, a nie zwykła ślaska. Następnie leniwym ruchem umieściłem ją w ustach i zacząłem żuć, jednocześnie patrząc mu głęboko w oczy.

Bardzo precyzyjny prawy prosty trafił mnie dokładnie w szczękę. Nie zdążyłem zareagować i w mgnieniu oka leżałem nakryty krzesłem na drewnianej podłodze z nożem i widelcem w dłoniach. Cypis przefrunął nad stołem próbując skoczyć na mnie.

– Nieceeee! Zostaw go, kurwa! Zwariowałeś?! – Monika złapała go i razem runęli na podłogę tuż przy mnie.

Zadziałałem odruchowo i trzymany przeze mnie widelec wbiłem w udo leżącego obok Cypisa. Cios okazał się wyjątkowo precyzyjny. Cypis spokojnie, niemal zdziwiony, pomału wyciągnął go z ciała. Wszystkie cztery ząbki zalane krwią i on, wyglądający na człowieka, który zapomniał o nas, o naszym istnieniu, o tym, co się stało. Cały czas gapił się wyłącznie w ten widelec.

– Czy was już do końca popierdoliło?! Normalni jesteście?! – Dopiero jej krzyk wyrwał mnie z letargu. Wstałem. On też. Spojrzeliśmy na siebie, zatrzymując świat, zatrzymując wskazówki zegara. Zdawało mi się, że patrzemy tak od zawsze.

– Przepraszam.

Samo wypłynęło z moich ust, w sumie nie wiem, dlaczego, z jakiego powodu, wydawało mi się, że muszę się odezwać, a to słowo pierwsze przyszło mi do głowy, pomyślałem, że reszta jakoś pójdzie.

– To nie pana wina. Ja nie mam pojęcia, co mnie naszło. Ja taki nie jestem, coś mi palnęło i... To ja powinienem przeprosić – powiedział, a ja obserwowałem sączącą się juchę, która powoli wsiąkała w jego spodnie.

– To nic, prawie nie boli.

– Na pewno jest tu jakaś apteczka, trzeba to zdezynfekować, opatrzyć ranę. Poszukajmy właściciela i go spytajmy...

– Niech pan idzie spać, dam sobie radę. – Doszedł do mnie opanowany głos gospodarza, tuż zza pleców. Odwróciłem się, a on stał oparty o framugę drzwi. Ciekawe, jak długo tu jest, ile z tego widział.

– Proszę wyjść, porozmawiamy później. Nalegam! – dotarło jeszcze dobitniej, więc nic nie zrobiłem, tylko wyszedłem bez żadnego dodatkowego dźwięku czy gestu i już po chwili byłem w pokoju. Włączyłem światło, zamknąłem drzwi na zamek i zaległem w łóżku. Ból w szczęce pulsował coraz szybciej i mocniej. Wyjąłem z plecaka tabletki, jeden paracetamol, nie, lepiej dwa, nawet trzy. Ile tego można wziąć na raz? Opamiętaj się! Weź się w garść! Co ci strzeliło do głowy? Co ty, kurwa, odpierdalasz?! Wbić widelec drugiemu człowiekowi? Przecież ja nigdy nikogo nie skrzywdziłem, nigdy z nikim się nie biłem, nikogo nie uderzyłem. Nigdy! Od początku miałem złe przeczucia. To вина tego miejsca! Ono jest jakieś fałszywe! Powinienem bardziej uważać. To musi być вина tego miejsca!

Boże, komputer! Zostawiłem go na dole. Nie, nie. Teraz nie mogę po niego iść, może rano? Albo inaczej! Poczekam, aż pójda do siebie, aż zasną. Tu wszystko słyhać, zejda, gdy ich już nie będzie i pogadam z nim, z tym szefem. Jakoś mu się wytłumaczę i wezmę netbooka. Na razie połów się i oddychaj. Spokojnie! Pomyśl o czymś przyjemnym.

## 10. Opatrunek, niemal, miłość.

- Boli?
- Trochę.
- Nie wierć się.

Od właściciela schroniska dostaliśmy wodę utlenioną i bandaże, pomogliśmy mu posprzątać i dopiero wtedy wróciliśmy na górę. Potem jeszcze Moni zeszła do łazienki, żeby zaprać moje zakrwawione spodnie i swoją bluzę i żeby chociaż na moment odpocząć, bo ostatnio w ogóle, kurwa, nie da się ze mną wytrzymać. Więc siedziałem sam, totalnie zdołowany i od nowa wymyślałem tłumaczenia, a kiedy przyszła, nie potrafiłem się odezwać, wydawało mi się, że nie ma sensu mówić, zawałem i nic już nie dało się zrobić. Położyłem się na brzuchu, w łóżku w naszym pokoju, a ona starała się oczyścić ranę.

– Ty rzeczywiście jesteś jakiś pojebany! Ten gość mógłby być twoim ojcem! Ja pierdołę! Wstań i sprawdź, czy dobrze związałam.

Przespacerowałem się po pokoju, trochę kłuło i szczypało, ale w sumie dało się chodzić.

– Dzięki – powiedziałem, mimo że pewnie lepiej by było, gdybym już całkiem się zamknął, bo znowu wydzierała się na mnie, znowu wrzeszczała, tak, miała rację, zasłużyłem. Jak już mogę chodzić, to powinienem iść się umyć i spać, żeby jutro na szlaku nie być dla niej ciężarem i nic jej nie obchodzi, że mnie uwiera, że za ciasno, w dupie to mam, Cypis!

Jakoś udało mi się dokuśtykać do toalety, modląc się po drodze, żeby nie spotkać Antoniego, nie musieć z nim rozmawiać, nie tym razem. Na szczęście nigdzie go nie było. Martwiłem się o opatrunek, przez co nie wszedłem pod prysznic, ale spróbowałem umyć się w umywalce. Odruchowo spojrzałem w lustro i zobaczyłem coś dziwnego. Nie uwierzyłem własnym oczom. Najpierw zaskoczenie, a następnie strach zatrzymał w bezruchu każdy, nawet najmniejszy kawałek mojego ciała. Bałem się. Ale to i tak za mało, żeby opisać, co poczułem. Z drugiej strony patrzył na mnie inny Cypis. Niby odbicie, niby ja, jednak tak naprawdę nie ja. Oczywiście był niemal identyczny, ale tylko niemal. Miał mgliste, złe spojrzenie. Odniosłem wrażenie, że to on mnie obserwuje, a nie ja jego.

Dotknąłem powierzchni zwierciadła, powoli zbliżyłem dłoń, przesunąłem ją, aż nagle zdałem sobie sprawę z tego, że moja ręka jest już po drugiej stronie, a drugi on, mój sobowtór, niecierpliwie czeka, żebym sięgnął jeszcze głębiej. Jakby się o to prosił.

– Kuuuurrrrrwa!

Krzyknąłem, uciekając stamtąd, nie odwracałem się, nic mnie już nie bolało, to nie jest wcale tak daleko, chcę do łóżka, pod kołdrę, chce się schować jak dziecko, parę schodów i już jestem w pokoju. Otwieram drzwi, chyba trochę zbyt gwałtownie, bo aż podskoczyła. Już miałem jej wszystko opowiedzieć, ale postanowiłem, że wcześniej przekręcę klucz w zamku, tak na wszelki wypadek. Stop! uważaj, tutaj też jest dziwnie, inaczej, ona drży, ma podpuchnięte od płaczu oczy.

– Co się stało?! Ktoś tu był? Ktoś cię skrzywdził?!

Wyciąga do mnie ręce, mówiąc coś, ale zbyt niewyraźnie.

– Co?

– Przytul mnie, Cypis!

– Co się stało? – ciszej, łapiąc ją mocno, rozglądając się, szukając jakiegoś śladu, podpowiedzi.

– To ja, to o mnie chodzi, bo ja nie umiem już żyć, boję się, co będzie jutro, wydawało mi się, że on tu wszedł, żeby ze mną skończyć i nawet gdzieś w środku się ucieszyłam, że nie będę już musiała się męczyć i zaczęłam płakać, ale w inny sposób... z radości, że to już... już po mnie. I nic się, kurwa, nie stało, Cypis, jarzysz? Nic! Nic się nie stało!

Szarpnęła się, ugryzła mnie w rękę, wbiła mi paznokcie w szyję, wierzgała, rzucała się, bo trzymałem ją z całej siły.

– Spokojnie, kochanie. Jestem z tobą. Nic ci nie będzie.

Powtarzałem w kółko te trzy zdania, jak mantrę, jak zaklęcie, które niedługo potem zadziało, i odwróciła się do mnie, poczułem jej oddech, dotknęła mnie ustami, pocałowała.

– Puść mnie – szepnęła.

I puściłem. Oderwała się, wstała i zgasiła światło. Zapanowała idealna ciemność. Nie było widać absolutnie nic. Rozbiera się. Dźwięk zamka bluzy, ściąganych spodni, chyba zrzuciła też koszulkę, chyba coś jeszcze, i wskoczyła do łóżka.

– Chodź do mnie – powiedziała.

Poszedłem. Leżeliśmy obok siebie nadzy, a jej ręce mnie szukały, kolano musnęło udo, dłoń otarła się o policzek, później o szyję, opuszkami palców przejechała po brodawkach, intensywny smak podniebienia, warg, jej drżący brzuch i szybsze oddechy, krągły kształt piersi, ręce w gorących i wilgotnych miejscach dostrajające tempo ruchów, gwałcę cię, ty mnie gwałcisz, wypowiedane z kwaśnym powietrzem w tle, jestem w tobie, ruszam się, nie mogę cię zobaczyć, czy może być czarniejsza czerń? Język delektuje się solą twoich uszu, twojego karku, wyginasz się z rozkoszy i mówisz, że powoli, żebym się nie spieszył, pokażesz mi, a ja uczę się ciebie, i znam cię lepiej, aż prosisz żebym zwolnił, zwolnił tak, żebyśmy nigdy nie doszli, nigdy, rozumiesz?! Powstrzymujemy się, jest rozkosznie ospale, bawimy się tym, rozpędzamy i hamujemy, gorąco i ślisko od potu, już nie wytrzymam, już mnie boli, skończmy razem! Błagasz, żebym wczuł się w ciebie, zrobmy to wspólnie, umiem cię – odpowiadam, i wtedy to się staje, odbywa się, i trwa bez ustanku, krzyczymy, ty głośniej, teraz nasze sylwetki parują, leżymy przytuleni, intymnie, zostałem w tobie, jesteśmy jedno.

– Kocham cię – wyznane po cichu.

Nie mam pojęcia, czy słyszałaś, ale ważne, że to wreszcie z siebie wyrzuciłem, ważne, że to czuję. To mi wystarcza. Zasypiasz, a ja ściskam cię mocniej, przytomny, ale na krótko, bo nadszedł sen. Nadszedł od razu i był inny, jakby nie był snem. W tym śnie–nieśnie byłem świadomy. Odczuwałem, mogłem kreować, zmieniać, co zechcę. Najpierw opuściłem ciało i stanąłem z boku, przyglądając się sobie i Moni, tym spokojnym, ciepłym i żywym organizmom. Ciemność nie była już dla mnie przeszkodą. Widziałem wszystko niezwykle dokładnie. Kiedy tak stałem, zaczęły docierać do mnie wibracje z jakiegoś obszaru niżej, z dołu budynku. Przyciągały mnie jak magnes. Walczyłem z nimi, bo bałem się opuścić własne Ja. Ale opór okazał się daremny. Byłem bezsilny. Zszedłem schodami, potem do toalety, a hałas rozbrzmiewał coraz głośniej. Rzut oka na lustro, już puste, bez mojej twarzy, bez mordy sobowtóra. Odgłosy dochodziły stamtąd, z miejsca, w którym powinno być odbicie. Podeszedłem bliżej, zajrzałem. Tak, to na pewno tam. Postawiłem nogę na umywalce i przebiłem się przez zimną błonę, wpadając do wewnątrz. Granica

zwierciadła odkształciła się na moment, po czym wróciła nienaruszona na swoją pozycję. Znalazłem się w środku, w podobnym pomieszczeniu, w nieco brzydszej i brudniejszej kopii schroniskowej łazienki. Dookoła niósł się błotny, stęchły zapach, nieprzyjemnie zatykając nozdrza. Sunąłem korytarzem do odpowiednika mojego pokoju, po drodze mijając tamtą wersję baru. Otworzyłem drzwi. Pusta sala, w jej centralnym punkcie krzesło. To ono emituje ten dźwięk, nienormalnie się przy tym deformując, wyginając się, kurcząc i rozprężając.

Wołało mnie.

Wiedziałem, że muszę na nim usiąść. Podszedłem i siadłem. Cisza. Następnie ruch. Ściany centymetr po centymetrze, bezgłośnie, stopniowo zbliżają się do mnie. Nie mogę nic na to poradzić, zresztą nie mam zamiaru, wolę czekać. Powietrze zrobiło się gęstsze, zamknęło mi oczy, wykrzywiło tułów, pokój ścisnął mnie, dusił, jedynie krzesło wytrzymywało. Usiłowałem przykleić się do niego, połączyć z nim, miałem wrażenie, że to jest moja jedyna szansa, nie miałem już czym oddychać, odpływałem. Nagle ktoś potrząsnął mną, mocno trącił kolanem.

– Wstawaj! Tu się nie śpi!

Podniosłem głowę, rozejrzałem się. Jestem gdzie indziej. Wiem! „Zima leśnych ludzi” – ta knajpa w Cisnej. Siedzę przy stoliku z trzema brodacami, oni na ławce, ja cały czas na tym samym krześle. Plotą bez sensu, nie rozumiem, o czym, bełkoczą w innym języku, albo jest za głośno, albo jestem za bardzo pijany, czy upalony, albo wszystko na raz. Zerkam dookoła i zauważam Moni. Pije piwo i ogląda obraz, który różni się od reszty, to jakaś reprodukcja, chyba Modigliani czy ktoś taki, kobieta leży na łóżku, tylko że ta kobieta na obrazie nie żyje! Jest martwa! Poza tym zajebicie przypomina Moni, ale ona chyba tego nie zauważa. Nagle odkrywam, że obok Moni ktoś śpi. Ten ktoś to ja! Śpię na stole! Czyli to jest przeszłość! To się już stało. Próbuję się wyrwać, ale powstrzymuje mnie któryś z brodaczy.

– Pogadajmy.

Zasłaniają mnie tak, że już nic nie widzę nic oprócz nich.

– Najpierw słuchasz, potem odpowiadasz. Ale wyłącznie, gdy padnie właściwe pytanie. Pamiętaj, dopiero wtedy możesz zabrać głos, dopiero

wtedy zdecydujesz. Bądź gotów.

Znowu rozmawiają, a ja znowu nic z tego nie łapię. Papka, jak słowa wymyślone przez dzieci, albo może jak średniowieczny zapomniany język. Skup się, kombinuj, może to szyfr? Oni chyba nad czymś debatują, naradzają się.

– Teraz pytanie. Razem czy osobno? Wybieraj!

Czuję pod skórą, że to ma związek ze mną i z Moni, że jest ważne, że dotyczy czegoś złego, chciałem jeszcze dopytać, dowiedzieć się więcej, ale jeden z nich od razu podniósł rękę, uprzedzając, zamilcz wreszcie, Cypis! Tymczasem Moni zaczęła mnie podnosić, tego innego mnie, tego, który spał po drugiej stronie, starając się wyprowadzić go z lokalu, szarpała nim, wrzeszczała, a tamten ja praktycznie zastygł w miejscu. Żadnym sposobem nie udawało jej się wyrwać go stamtąd. Brodacze pękali ze śmiechu, przeklinając przy tym głośno. W końcu jakimś cudem tamten się obudził. Moni mu pomogła i półprzytomny ruszył z nią do wyjścia. Zdawałem sobie sprawę, że muszę zareagować, że nie wolno mi tego przegapić. Chwila koncentracji.

– Razem!

Słowo zabrzmiało niczym zaklęcie i świat na ułamek sekundy zahamował, żeby za moment coś przypominającego olbrzymi lejek zassało rzeczywistość i rozłożyło ją na elementy pierwsze, jak puzzle układanki, żeby złożyć w zupełnie inny kształt. W kształt pokoju w schronisku i mnie leżącego na łóżku. Na pustym łóżku. Ja wróciłem zza lustra, z przeszłości, ze snu, a Moni już tu nie było. Jestem sam.

Dotarł do mnie mój własny krzyk:

– Niiieeeee!

## 11. Strzelanina, słowo, dziecko.

Czwarty stycznia czterdziestego trzeciego roku. Małe getto, wylot na Rynek Warszawski od Koziej. Jest wcześniej rano, dość mroźno, delikatnie prószy śnieg. Na ulicy nie ma prawie nikogo. Z miejsca, w którym stoję, da się w tajemnicy obserwować cały plac. Niebawem przyjechali. Bruno, zastępca Paula, w towarzystwie trzech oficerów. Wysiedli i zaczęli mocno przebierać nogami, próbując je rozgrzać, potem zapalili po papierosie. Bruno wyciągnął z płaszcza butelkę, chyba wódki, każdy z nich wypił łyka na rozgrzewkę. Następnie ruszyli wąskimi uliczkami. Niby zwykły patrol, dzień jak co dzień, ale tym razem mieli też trochę innych zadań, a przy okazji chcieli sprawdzić nowe plotki krążące po mieście. Podobno Żydzi handlują żywnością z aryjską stroną, trzeba by złapać paru i postraszyć, to na pewno wszystko wyśpiewają. I jeszcze jedno jest do zbadania, ale po cichu, bo ja w to do końca nie wierzę – mówił Paul. Chodzą słuchy, że z getta znikają ciała, że ktoś potrafi je przerobić, ktoś się tego nauczył, ktoś umie z nich wyprodukować jedzenie. Rozumiecie?! Żydzi żrą Żydów! Nieprawdopodobne!

– Co w tym dziwnego? – spytał któryś.

– Są jak zwierzęta, wszystkiego można się po nich spodziewać, nie takie historie słyszałem, naprawdę – dodał Bruno. Więc maszerują, wolnym, rytmicznym krokiem, od niechcienia, rozcierając zmarznięte uszy. Nieliczni przechodnie na ich widok spuszczaają wzrok, jednocześnie delikatnie zmieniając kierunek marszu, byle jak najdalej, ale nie zbyt gwałtownie, bo tym zwrócisz uwagę, to grozi śmiercią, tu się nie wykonuje nagłych ruchów. Później nawinęło się to rodzeństwo. Zauważyłem ich pierwszy. Parka dzieciaków targająca duży worek. Mogli mieć jakieś osiem, może dziesięć lat, chłopiec nieco starszy, dziewczynka raczej młodsza. Nie zorientowali się, nie zdążyli uciec, a teraz stali obok, trzymając się za małe, szczupłe rączki. Żołnierze rozwiązali worek. Pięć ziemniaków i trzy duże cebule przykryte kilkoma szczapami suchego drewna i siekierą.

– Skąd to macie?!

Groźby, dzięki jęki, hałas. Już nie mają zamiaru ich wypuścić. Bruno znów przekazuje butelkę, alkohol przyspiesza tętno, ośmiela, ich oczy zachodzą



mgłą. Zamieszanie tuż za mną. Ktoś biegnie, widzę kobietę, staram się ją zatrzymać.

– Puść mnie! To moje dzieci!

– Zabiją cię! Zostań!

Spojrzała przelotnie, w tym wzroku nie było pragnienia życia, wyłącznie nadzieja, że może uda się uratować dzieci, poświęcić siebie, umrzeć zamiast nich, skrócić własne cierpienie. Puściłem ją, pędzi wprost na nich, krzycząc i wymachując rękami. To tylko ich rozbawiło. Parę kroków i już tam jest, łapie dzieci w ten sposób, że ich twarze wciska w swój brzuch, jakby nie pozwalała im tego oglądać. Odsuwa je, nie przestając płakać, klęka, rzuca się na kolana. Bruno poczęstował ją kopniakiem w głowę. Włożył w to tyle siły, że kobieta straciła przytomność, padła bez ruchu. Potem wyciągnął pistolet z kabury i strzelił jej w głowę na oczach syna i córki. Może dlatego wcześniej nie dała im patrzeć, może to wyczuła. One nie wydają już żadnego dźwięku, pochylają się nad matką i głaskają jej włosy, szyję, ramiona. Roznosi się wrzask, ale dochodzi z innej części placu. Jeden z esesmanów zaczyna biec w tamtą stronę i strzelać gdzie popadnie. Bruno razem z drugim nieprzerwanie dręczą malców, żeby coś z nich wydobyć, dowiedzieć się czegokolwiek, jednak chyba sami już nie wierzą, że się uda. Zapalają następnego papierosa. Jednocześnie z naprzeciwnka, od ulicy Garncarskiej, szybkim, stanowczym krokiem zbliża się do nich dwójka Żydów. Wydają się inni niż wszyscy. Emanują godnością i odwagą. Rozpoznaję ich od razu. To Izaak i jego najlepszy przyjaciel Mojek, były wojskowy. Są ubrani w długie płaszcze z gwiazdami Dawida na ramionach. Mojek niesie karabin maszynowy, Izaak trzyma nóż, TEN NÓŻ. Właśnie dlatego tu jestem. Przyszedłem po niego. Powoli wysuwam się z bramy. Ja także idę w ich kierunku, tych dzieci, tej martwej kobiety, pijanych hitlerowców. Dziwnym zbiegiem okoliczności zostajemy zauważeni dopiero w ostatniej chwili. Mojek odbezpiecza broń.

– Nie ruszać się. Ręce do góry! – krzyczy głośno łamanym niemieckim, celując prosto w nich.

Esesmani są na tyle zdziwieni, że całkiem nieruchomieją. Wtedy odzywa się Izaak. Wypowiada to samo zdanie w trzech językach. Po polsku, po niemiecku i w jidysz.

– Już nikt więcej przez was nie zginie!

Mówiąc to krok po kroku zbliża się do Bruna, ciągle trzymając NÓŻ. Jego przyjaciel cały czas go ubezpiecza. Izaak jest coraz bliżej, dwa metry, metr, bierze zamach i... słyszy wystrzał. Po kilku sekundach już nie żyje. Jego zwłoki padają przed jeszcze bardziej zaskoczonymi żołnierzami. Rozglądam się. To tamten trzeci oficer, ten, który przed momentem gdzieś pobiegł. To on strzelał. Trafił idealnie. Moje zareagowałem najszybciej, jak mogłem. Wycelowałem i nacisnąłem spust. Niestety, zamek się zaciął. Spróbowałem ponownie, znów bez efektu. Zabił go Bruno. Dwie kule w głowę, dwie w klatkę piersiową.

Podszedłem do nich. Na początku w ogóle się nie odzywali, patrzyli tylko po sobie.

– Co się stało? Skąd oni się tu wzięli. Skąd ty się tu wziąłeś? – pytali mnie, nerwowo łypiąc dookoła. A ja przysuwałem się, pragnąłem przechwycić NÓŻ, pragnąłem go dotknąć, poczuć jego moc.

– Widziałeś to?! Żyd mnie chciał zabić! Żyd! Tym! Rozumiesz coś z tego?! – krzyczy Bruno, trzyma NÓŻ, zapoznaje się z nim, ocenia, potem chowa za pasem. Nie wiem, co mam robić. Poprosić, żeby mi go oddał? Zażądać?! Nie mam pojęcia! Zapanował chaos. Zauważyłem chłopca, który oderwał swoją siostrę od ciała matki, siostrę, która nie miała zamiaru iść, ale mimo to zaraz odeszła, po cichu, niezauważenie. Udało im się, uratowali się.

– Stój! Chodź tutaj!

Zatrzymują następnego Żyda. Przebiegał w pobliżu, przewrócił się, zwrócił na siebie uwagę. Miał jakieś piętnaście lat, był chudy jak patyk. Zmusili go żeby odrąbał Izaakowi głowę siekierą, tą, która leżała między burakami i cebulą. Narzędzie było tępe, chłopak słaby, uderzył parę razy, ale nic z tego nie wyszło, więc kazali mu rąbać aż do skutku. Sprawdzą jak wrócą, bo aktualnie mają ochotę na spacer.

– Idziesz z nami, Adam?

Nie mogę odmówić. NÓŻ mnie przyciąga. Wolę iść, wolę kroczyć tuż za nimi, oby tym razem szczęście mnie nie ominęło i oby NÓŻ wreszcie wpadł w moje ręce. Łudzę się, bo oni ciągle piją, śmieją się, strzelają na oślep, słyszę jedynie strzępy rozmów.

– Żyd, który chciał zabić Niemca! To nawet brzmi bezsensownie!

Na czele bezlitosnego pochodu kroczy Bruno, jest wściekły, pragnie zemsty, nadszedł czas zapłaty, za własną nieostrożność, głupotę, słabość. Jak mogło do tego dojść?! W końcu odłączam się od nich. Daję za wygraną. Wychodzę z getta, ale nie wracam do domu. Włóczę się bez celu po ulicach. Podziwiam zachód słońca, jest piękny, rdzawy, to chyba przez tę krew. Wygląda no to, że śnieg również się zbuntował i postanowił przestać padać, może rzygał od patrzenia na to, a może po prostu nie lubi krzyku. Tęsknię za NOŻEM.

Kryścia dowiedziała się o śmierci ukochanego jeszcze tego samego dnia. Niedawno znowu udało im się zebrać oddział. Kilka osób gotowych zginąć z bronią w ręku. I znowu zastanawiali się, gdzie i kiedy uderzyć. Byli gotowi, w każdej chwili, choćby i dzisiaj. To był przypadek, że stało się to akurat tego dnia, ślepy los. Do mieszkania Mojka na Nadrzecznej wpadł ich młody informator, Dawid, krzyżąc, że jacyś pijani Niemcy szaleją przy rynku. Nie wychodźmy, bo mordują. W suterrenach tego domu znajdowała się mała zbrojownia, schowanych tam było parę erkaemów, granatów i bomb domowej roboty. Właśnie tym się wtedy zajmowali. Ze skradzionych chemikaliów starali się wyprodukować ładunki wybuchowe. Kryścia została w domu, źle się czuła, miała jakąś infekcję, mówiła, że od tej chemii. Zajmowała się nią żona Mojka – Pola. Izaak obiecał jej, że nie zrobi nic głupiego, że poczeka, kazał jej leżeć i odpoczywać. Tymczasem Mojek przybiegł z piwnicy z dwoma karabinami maszynowymi:

– Teraz! Zróbmy to teraz!

Izaak się wahał, nie chciał złamać słowa. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że taka okazja pewnie się nie powtórzy.

– Szkoda broni i amunicji, mam nóż – odpowiedział.

– Nie żartuj, nóż?! Zwariowałeś?! Możesz się zemścić, a chcesz zrobić to nożem? Zginiemy przez ciebie!

– Nie zginiemy, zaufaj mi.

Znali się od dziecka, Izaak nigdy go nie okłamał, dlatego Mojek na nim polegał. Izaak był przekonany, że czuwa nad nim obca siła, która nie dopuści, żeby wydarzyło się coś złego. Wiele razy śnił, że ma synów, a Kryścia jest jego żoną. Wierzył w przeznaczenie.

– Będę żył sto lat, albo i dłużej. Obiecuję ci – zapewnił Mojka.

Pobiegli, bez strachu, z uśmiechami na twarzy. Potem krew ponownie zalała bruk.

Osobą, którą Niemcy zmusili do odrąbania głowy zabitemu, był Dawid. Popędził za nimi, gdy ruszyli do walki. Dawid przeżył. To on powiadomił Krysię i Polę. Kiedy zdyszany wpadł na Nadrzeczną, nietrudno było odgadnąć, co się stało. Krzyki, lamenty, obwinianie Dawida, obwinianie samej siebie. Krysia została w mieszkaniu Izaaka. Tam spędziła kilka tygodni prawie nic nie jedząc, nie wpuszczając nikogo do środka. Przychodziła tylko Pola, która codziennie przynosiła jej cudem zdobyte resztki pożywienia. Nie rozmawiały ze sobą. Krysia w kółko przypatrywała się pustym ścianom, próbując wskrzesić wspomnienia. Szukała impulsu, wskazówki na przyszłość. Modliła się o jakiś znak, który wypowiedziałby jej, co dalej. Nie czekała długo. Któregoś dnia zorientowała się, że jest w ciąży. Już wcześniej zauważyła oznaki, ale myślała, że to z tęsknoty, z choroby czy przemęczenia. Dzisiaj już nie miała wątpliwości. Nosiła w sobie dziecko. Dziecko Izaaka.

– Byłam przy nadziei już wtedy, gdy go zabili. Źle się czułam, dlatego poszedł sam. Ono uratowało mnie przed śmiercią. Teraz ja je uratuję. Znalazłam sens – mówiła, chociaż nikt jej nie słuchał.

I chroniła je. Przed głodem, brudem, nędzą, łapankami, przed powstaniem w getcie, ciężką artylerią, moździerzami. Chroniła je w dzień i w nocy, a nawet podczas ucieczki podkopami pod Starym Rynkiem do lasu.

Po tym wszystkim spotkałem ją zaledwie raz, pod koniec wojny. To był ostatni dzień mojego życia.

## 12. Sen, oparzenie, światło.

Miałam zły sen. Śniło mi się, że wróciłam do „Zimy leśnych ludzi” i znowu na stole obok mnie leży pijany Cypis. Niby nic. Tylko że oprócz niego centralnie naprzeciwko tkwił drugi Cypis, jego sobowtór, może brat bliźniak. Siedział z bandą miejscowych, rozmawiał z nimi i obserwował mnie. Udawałam, że go nie widzę, starałam się patrzeć w innym kierunku, unikałam jego wzroku. Nie mogłam się stamtąd wydostać. Miałam wrażenie, że jestem przywiązana do krzesła.

Wreszcie udało mi się obudzić, tyle że koszmar całkowicie wytrącił mnie z równowagi, upiór ponownie doszedł do głosu. Wstałam z łóżka i zakręciło mi się w głowie. Było mi duszno. W pokoju roznosił się kwaśny odór brudnych ciał. On spał twardo jak kamień, jak zabity, nie drgnął ani na milimetr, gdy się ubierałam. Zapragnęłam zmyć z siebie dzisiejszy dzień. Pomyślałam, że zejść do łaźni, może tam ułożę plan. Jak z tego wybrnąć, Moni, żeby go nie skrzywdzić? Po prostu być w porządku, może to jakoś rozwikłać. Schodzę jak najciszej, niestety podłoga okropnie skrzypi, boję się, że obudzę właściciela albo Antoniego. Na szczęście nic takiego się nie dzieje, na dole jest pusto.

Gorąca kąpiel przyniosła ukojenie, chociaż na krótko. Sterczałam tam, aż woda zrobiła się zimna. Problemy uleciały, na chwilę przestały mnie dręczyć. Chciałam się uczesać, ale lustra zaparowały. Przetarłam ręcznikiem najbliższe z nich. Dziwne doznanie, moje odbicie zdawało się być dużo piękniejsze niż w rzeczywistości, wręcz nie mogłam od niego oderwać wzroku. Tamta ja z drugiej strony wydawała mi się dojrzała, mądrzejsza. Marzyłam, żeby być dokładnie taką osobą. Dlatego nieprzerwanie śledziłam każdy swój lustrzany gest. I gdy tak stałam, przypomniła mi się pewna historia z dzieciństwa, jedno z moich najwcześniejszych wspomnień.

Miałam niecałe siedem lat, a mama i tata byli jeszcze razem, taka zwyczajna przeciętna rodzina. Pojechaliśmy wtedy w Bieszczady. Matka wpadła na pomysł, żeby odwiedzić kuzyna w Wetlinie. Właśnie tam zatrzymaliśmy się na dwa tygodnie wakacji. Kuzyn miał na imię Roman, był starym kawalerem i mieszkał z rodzicami. Wspólnie pracowali w małym gospodarstwie. Mieli karego konia Murzyna, krowę Bubę, dwa małe psy i

świnkę, których imion nie pamiętam i brzydkiego, leniwego rudego kota, Wandzię. Z boku kamiennego domu wystawała drewniana stodoła, a za nią, na zboczu niewielkiego wzgórza wznosił się sad z jabłonią i gruszami. Przez środek prowadziła wysypana żwirem ścieżka, wzdłuż której rosły w szeregu krzaki czerwonej i czarnej porzeczki oraz agrestu. Miejsce jak z bajki. Tylko że ja już pierwszego dnia zachorowałam. Na pozór wszystko toczyło się normalnie, od samego rana bawiłam się, biegałam, poznawałam wiejskie życie. Ale gdy przychodziła noc, zaczynały się mdłości, wymioty, często parę godzin rzygania. Kiedy wschodziło słońce, dolegliwości mijały, a ja jedynie spałam trochę dłużej, jakby zupełnie nic się nie stało. Mówili, że to przez zmianę diety, bo codziennie na śniadanie wypijałam dwie szklanki świeżego mleka, które smakowało orzeźwiająco, śmietankowo-maślano, a później jadłam chleb z domowym masłem posypany odrobiną soli, popity gorącym kakao. Tak słodko o to prosiłam, błagałam moim dziecięcym głosem, że nikt nie potrafił mi odmówić. Potem pędziłam na podwórko, gdzie wariowałam aż do popołudnia, podjadając owoce z sadu, tropiąc i męcząc Wandzię, która za mną nie przepadała. Zdarzyło mi się kilka razy spróbować wejść na Murzyna, przecież marzyła mi się przejażdżka konna po sadzie, po lesie, wycieczka do miasteczka. Nie dałam rady, a on na szczęście był odporny na szczeniackie figle.

Do obiadu siadaliśmy wspólnie w dużym pokoju, przy olbrzymim drewnianym stole, zastawionym pysznie pachnącym jedzeniem. Dorośli rozmawiali, śmiali się, pili wódkę, słuchali radia, planowali wycieczki, które zazwyczaj nie dochodziły do skutku: do cerkwi w Łopience, na połoniny, do klasztoru w Komańczy, na rynek w Ustrzykach. Uwielbiałam ich za to. Choroba powoli ustępowała, a ja z dnia na dzień czułam się lepiej. Tyle że moje cudowne, niezapomniane wakacje pomału się kończyły. W sobotę tuż przed wyjazdem lunęło chłodnym deszczem i zrobiło się zimno, tak na rozstanie, więc od rana bawiłam się sama w kuchni. Trochę lalkami, trochę klockami, trochę układankami. Co jakiś czas ktoś z dorosłych zaglądał do mnie, żeby sprawdzić, co słyhać, czy mi czegoś potrzeba. Najczęściej przychodził ojciec, wpadał na papierosa, podпиты śliwownicą od Ukraińców, którą pili razem z Romanem, na pożegnanie. Nie lubiłam, gdy był taki.

Zmieniał się w inna osobę. Ruchy, wyraz twarzy, wydawało mi się, że jego oczy tracą kolor, zachodzą mgłą. Dla mnie stawał się gorszym tatą.

Najciekawszy w kuchni był stary węglowy piec. Biło z niego przyjemne ciepło, roznosił się aromat gotowanych potraw, ustawionych w żeliwnych garach. Stał na nim również wysłużony ruski samowar w którym bezustannie wrzała herbata. Mama nie pozwalała mi jej pić, bo podobno była za mocna i zbyt gorzka. Ja też się nią nie interesowałam, za to niezwykle ciekawił mnie ten zdezelowany samowar. Lubiłam mu się przyglądać, kiedy spokojnie drżał na tafli pieca. Podsuwałam stołek jak najbliżej, obserwowałam, słuchałam jak pyka. Wiedziałam, że nie wolno mi nic dotykać. Ale wtedy, ostatniego dnia wakacji, wyciągnęłam rękę w jego stronę. Nie pamiętam już, czy miałam zamiar go złapać, czy jedynie delikatnie pogłaskać. Właśnie w tamtej chwili wszedł tatuś. Zatrzymał się, a gdy cofnęłam dłoń zaczął wrzeszczeć.

– Zostaw to! Na głowę upadłaś?!

Zaniemówiłam. Trwałam nieruchomo i wpatrywałam się w niego, nie będąc w stanie wydobyć z siebie dźwięku, co jego rozwścieczało jeszcze bardziej, a mnie zamykało, i z każdą sekundą było tylko gorzej.

– To jednak nie boisz się gorąca?! Nie boisz się wrzątku? Chcesz spróbować?! Chcesz się poparzyć! Chcesz?!

On podnosił głos, a ja dalej milczałam. Mogłam wyłącznie czekać, nic ponadto. Później już nawet nie byłam świadoma jego słów.

Ojciec podniósł samowar. Nie spuszczając mnie z oka, zbliżył się i przechylił go delikatnie. Na moją różową bluzeczkę spadło kilka kropli gorącej herbaty. Nie poczułam nic.

– Boli? – spytał.

Nie zareagowałam. Bałam się.

Drugi raz przechylił samowar, tym razem wylało się dużo więcej płynu, który powoli wsiąknął w tkaninę. Już nie musiał pytać, czy boli. Męka była okrutna. Do tego dziwne wrażenie, jakby moja skóra wibrowała, jakby się gotowała. Ze strachu aż się posikałam. W pewnym momencie w kuchni pojawiła się mama i zerwała ze mnie parujące ciuchy.

– Oszalałaś?! Co ty jej zrobiłaś?! Boże, on zwariował!

Starła się przesłedzić wzrokiem wszystkie kawałki mojego dziecięcego ciała. Tuż poniżej linii szyi, pomiędzy lewym obojczykiem a żebrami, widniała czerwona plama wielkości mojej dłoni. Piekła i paliła niemiłosiernie.

– Masz nauczkę! Teraz zapamiętasz do końca życia!

Mówiąc to, tata bez pośpiechu postawił samowar na piecu. Następnie chwiejnym krokiem wyniósł się z kuchni. Potem chyba płakałyśmy z mamą, może mnie przytulała, albo zaśpiewała kołysankę, nie mam pojęcia.

To właściwie cała opowieść. Rana leczyła się parę miesięcy. Wdała się infekcja, pod strupem ciało ropiało, ślimaczyło się. Ojciec nigdy mnie nie przeprosił, nigdy nie wspominał tej historii, tamtych wakacji. Już bardziej wolałabym usłyszeć: to się nie wydarzyło, córeczko, nie ma o czym gadać. Zamiast tego nic, ani słowa. A ja odtąd za każdym razem, gdy stawałam przed lustrem w naszej łazience, przyglądałam się tej ranie. Kiedy rana się zagoiła, przyglądałam się bliźnie. Była zawsze przy mnie. Kojarzyła mi się z naszyjnikiem z dużym bursztynem. Stała się moją ukochaną osobistą biżuterią. Aż do dzisiaj.

Przed chwilą zauważyłam, że już jej nie ma. Zniknęła, nawet nie wiem kiedy. Nie było jej, ani w odbiciu, ani w rzeczywistości. Ktoś mi ją ukradł. Pierdolony złodziej!

– Kto mi ją zabrał?! – spytałam.

Zwierciadło nie odpowiedziało. Wyszłam z łazni, szukałam czegoś, wytłumaczenia, znaku. Wciąż głaskałam miejsce, gdzie powinna znajdować się blizna. Korytarz. Drzwi do recepcji cicho zapiszczały, nie były zamknięte, więc zajrzałam do środka. Pomocy! Pusty pokój oświetlał mdły blask żarówki. W rogu stał komputer Antoniego, ciekawe, czemu go nie wziął. Na stole leżało coś jeszcze. Gdy podeszłam bliżej, spostrzegłam, że to nóż. Wydał mi się niesamowicie piękny, niemal nieludzki, przerażał mnie. Czyżby to on był rozwiązaniem? Wzięłam go do ręki i w ostrzu zobaczyłam moją twarz. Znowu była ładniejsza. Zasmuciło mnie to. Podniosłam go do góry, wysoko. Zdawało mi się, że na mnie patrzy. Przysunęłam go krawędzią do otwartej dłoni. Zimny metal dotknął skóry. Miłe doznanie. Chyba każdy doświadczył kiedyś czegoś podobnego. Stojąc na wysokim balkonie wieżowca, nad krawędzią przepaści, na dachu budynku.



– Może skoczyć?

To samo poczułam teraz.

– Może przeciąć? Może skończyć to gówniane życie i mieć święty spokój. Nie musieć się martwić. Nie musieć rozmawiać. Nie użerać się więcej z nimi wszystkimi. Może tak będzie lepiej?

– Może skoczyć?

Zawahałam się. Trzymałam nóż tuż nad pulsującą linią żył, a cała moja krótka historia przelatywała mi przed oczami. Czy jest coś, dla czego warto tu zostać?! Cokolwiek! Jest jakiś powód, żeby to ciągnąć?

Oświeciło mnie.

**NIE MA ŻADNEGO SENSU TKWIĆ TU CHOĆBY SEKUNDĘ DŁUŻEJ!**

Nóż wbił się dużo głębiej niż myślałam. Przełożyłam go do lewej ręki i szybko przeciągnęłam po nadgarstku prawej. Aż zaskrzypiał o kość. Straszny dźwięk. Ból. Odgłos kapiącej krwi. Pulsujące tortury w uszach. Już tylko trochę. Wytrzymam. Nie krzyknę, nikt mnie nie usłyszy. Cicho. Ktoś idzie. Szybciej, proszę. Drętwieję. Spotkam Boga? Kroki dudnią o schody. Błagam! Już dobrze. Oddech słabnie. Serce bije wolniej. Przyjemniej. Ciepłej. Światło. Umarłam.

# KONTRAST

## 1. Aleksander, skrytka, być silnym.

Wszystko mi się już miesza, no jak mogłem tak naciągnąć to płótno, blejtram cały zwichrowany, powyginany. Jak ja mam pracować? Zaraz powinienem zacząć malować, tyle że nie mam na czym! Do tego farby się kończą, błękitu już nie ma, znowu niebo będzie ciemne. Poradzę sobie, na pewno sobie poradzę. Niedługo przyjdą po diabła na krzyżu, po zaległe drewniane rzeźby, będzie trochę pieniędzy. Kupimy nowe pędzle, dużo kleju, zjemy gorący obiad, mięso, kartofle. Delikatnie naprostuję z tej strony, ociupinkę wygnę z tamtej i będzie dobrze. Prawda, Aniołku, prawda, że się ułoży?

– Prawda, dziadku.

Podpowiedz mi, kochany Aniołeczku. Ta tama i oni się tulą i jaki kolor nieba. Już mówiłeś, racja, ale ja niemłody jestem, nie pamiętam, myli mi się. Deszcz wtedy nie padał? Wiem, słońce, upał, łódki na wodzie, oni samotni, odwróceni od świata, tylko ten błękit, jak ja to zrobię bez niego? Brakuje mi już nerwów, coraz bardziej jestem zmęczony. Kiedyś to człowiek miał krzepę. I to jaką! Workiem cementu się rzucało, jakby to poduszka była, parę miałem jak tur, na rękę nie było silniejszego w mieście. Z respektem patrzyli, czuli szacunek. A teraz sił ubyło, plecy bołą, moc w dłoni jest jeszcze, ale latka lecą, nie będzie łatwiej. Drzewa jakie na wzgórzu? Strzeliste, iglaste? A może dęby, niziutkie, krępe? Na razie szkicuję, tak na próbę. Pomóż aniołeczku, przypomnij.

– Sosny na pagórku, wysokie. Zbocze skaliste, gołe. Ona po prawej stronie, on po lewej, stoją tyłem. On trzyma rękę na jej ramieniu, wiatr wieje w ich twarze, nieznacznie wyginając sylwetki, rozwiewając jej rude włosy. Dasz radę, dziadku.

Naturalnie, że tak, nie takie malunki się tworzyło. Lepsze to niż te czorty, bo w kółko diabły i diabły, zawsze to odmiana, coś miłego nakreślić, jezioro, przyroda, statek. To mi się podoba, takie zmiany to częściej, a nie na

okrągło demony, biesy, trolle, cmentarze i inne. Takie zmiany to tak, to śmiało.

Zróbmy małą przerwę, na jeden kieliszek jedynie. Brymucha piękna sprawa, po niej ręka mniej się trzęsie, po za tym ostatnia flaszeczka, przez to ostrożnie muszę, żeby nie dużo naraz. Dyniowa, od Czarnego, mocna, że w jelitach pali, ale zdrowa, Czarny szczyn nie pędzi, nie dodaje gówna, nie podlewa niczym, przyzwoity chłop, mało takich zostało.

– Niech dziadek to odłoży. Nie słyszy dziadek pukania?! To kurier przyszedł po pakunki, w kuchni leżą. Niech je dziadek zanieś pod drzwi. A! I o rzeźbie niech dziadek nie zapomni!

Już biegnę, otwieram, Aniołeczku, słuch już nie ten, szczególnie w prawym uchu, głuchym prawie. Już biegnę.

– Kto tam?

– Kurier, panie Aleksandrze, po obrazy. Proszę otworzyć, na litość boską, czasu nie mam.

Wy czasu nie macie, a co ja mam powiedzieć? Wy młodzi, całe życie przed wami. No wejdź dalej, człowieku, lepiej żebyś sam to zabrał, bo ciężkie jak cholera, a mnie w krzyżu rwie już od paru dni.

– Dzień dobry, panie Aleksandrze. Boże, jak śmierdzi, co za fetor! Nie może pan tu posprzątać?! Jezu! Gdzie ta paczka?

– W kuchni, weź sam, synku. Słabawy dzisiaj jestem.

– Tak, słabawy. Widziałem jak pan ostatnio pralkę na dół znosił. Jakby była z papieru, tak to wyglądało.

– Właśnie po tej pralce mnie tak połamało. Siły nie te, a pralka mnie tu po co? Przecież w wannie przepłukam i czyste od razu. To wzięłem ją pod pachę, zapakowałem na wózek, na złom zawiozłem, zawsze parę złotych wpadnie, kiełbasy nakupiłem, salcesonu. Że z papieru? Nieprawda synku, dawno się tak nie zmachałem.

– Kiełbasę i salceson? A wódą daje, że na dworze czuć. Co się z panem stało?! Gdyby pana świętej pamięci żona to zobaczyła, lewą nogą by się przeżegnała.

– Tak, tak. Ale nie zobaczy, biedaczka. Masz pan wszystko, to idź pan już!

– Nie tak szybko! Koperta dla pana. Podpisać tu i tu.

– A, koperta, owszem, koperta. Dziękuję, dziękuję, synku.

– To uciekam. Zdrowia życzę szanownemu panu!

No to poszedł. Dziadku do mnie mówi, a czy ja taki stary jestem? W październiku sześćdziesiąt dwa lata stuknie, to taki stary? Ale nieważne, nieważne. Bo piękne wiadomości od rana. Otworzymy kopertę, przeliczymy, sprawdzimy. Na długo musi wystarczyć. Narobimy bigosu na boczku, grochówki, od Czarnego skrzyneczkę bimbru, spłacimy kreskę w jatce. No i farby oczywiście, może na nową sztalugę zostanie, może na płótno oprócz tego. Tylko ile tego jest? Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści... na terpentynę i werniks, prąd zapłacimy, żeby włączyli, będzie można dłużej malować... czterdzieści, pięćdziesiąt... i wagon tytoniu, nowe cygaretki, te już popękane, i dla Działowej stówka, pożyczyła babinka, oddam na pewno... sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt stówek. Osiem tysięcy. W sam raz, idealnie. Buty znajdę, kurtkę, trzeba iść, najpierw pooddawać, kupić później. To ci przyjemna niespodzianka. Więcej sobie wleję, dokończę butelkę, jest co fetować.

– Nie pij tyle, dziadku, twój obowiązek to kreować, powoływać do życia, budować przestrzeń, perspektywę. A ty wlewasz w siebie takie ilości. Zabraniam ci! Zachłasz się na śmierć!

Nie martw się, Aniołeczku. Długo jeszcze pociągnę. A tak z drugiej strony, to co mi zostało. Haruję od świtu do nocy, nie dojadam, nie dosypiam, z ludźmi w ogóle się nie spotykam. Ciągłe praca i praca. Tempery się wyczerpią, to w glinie, glina się zużyje, to w drewnie dłubię. Taki cały boży rok. To butelka raz na kiedy się nie należy, pytam? Chwila przyjemności dla przemęczonego i niemłodego już człowieka to co, zakazany przywilej? To dla zdrowotności, na bóle wszelakie, na żołądek służy. To nie tak, jak myślisz.

– Urzniesz się, dziadku, weźmiesz wypłatę, wyjdiesz z domu i cię okradną, wszystko ci zabiorą. Nie będziesz miał na czym ani za co tworzyć. Schowaj pieniądze, póki jesteś w stanie.

Masz rację, słusznie prawisz, wyjmę jedynie to, co na dzisiaj potrzebne i pójdę. Resztę wetknę pod podłogę, tam gdzie zawsze, gdzie cenne rzeczy, gdzie na dnie skarb tkwi w gazety zawinięty. Wyłącznie ty, Aniołeczku możesz wskazać mi dzień i godzinę, gdy i on ujrzy światło dzienne i do

czego się przyda, ale na razie to za wcześnie. Dowiem się, uprzedzisz mnie przedtem.

Tę skrytkę znam, odkąd się urodziłem. Pamiętam, jak mój kochany tatuś dolary za komuny w tym miejscu skrywał i złoto od ruskich, i biżuterię rodzinną, no i klejnot najważniejszy, oczywiście. Pod żadnym pozorem nie wolno nam było zbliżyć się do niego, choćby na krok, rodzice zakazali, powiedzieli, że przyjdzie odpowiednia pora, zrozumiecie, użycie w wielkim celu. Mój starszy brat czasem próbował podejrzeć z ciekawości, kusiło go szalenie, mimo że często kończyło się laniem. Tatuś nie szczędził pasa, a on tak wtedy płakał, że serce bolało. Ile poza tym rzeczy leżało w tej kryjówce, ile cudów z przeszłości, Bóg jeden wie. Nawet pierścionek zaręczynowy dla mojej lubej miał tam przez moment swoje lokum. Pół roku odnawialiśmy kościół świętego Jakuba, ściany, sufity, ornamenty, renowacje, poprawki. Mówiłem księdzu, że nie chcę nic, żeby się za naszą wspólną przyszłość pomodlił, to wystarczy. Zorientował się, że usychamy z miłości, widział nas razem, domyślił się. Przyniósł go kiedyś po robocie, zawołał mnie na bok. Duży prawie jak sygnet, z małymi diamentami w środku, piękny, naprawdę. Nie zgodziłem się, bo to za wiele, zbyt kosztowne. Zażądał, żeby wziąć, nakazał, bo nikt mu po wojnie nie został, nie ma rodziców, rodzeństwa, a to po babci, że on dzieci przecież miał nie będzie, że obrączki to sobie sami sprawicie, a tak wspaniale pomalowaliśmy i żeby tylko na zapowiedzi do niego przyjść później. Wziąłem i leżał tydzień w schowku pod podłogą i dotykał skarbu dla pomyślności, żeby fortuna sprzyjała, aż wziąłem się na odwagę i poprosiłem ją o rękę, a ksiądz na naszym weselu bawił się jak nigdy, to jego słowa. Szczęśliwi byliśmy, układało się nam, dzieci zdrowe się rodziły, praca jako taka była. Beztróskie lata.

Ostatni łyceczek na dnie. Jak to się stało, że obróciłem całą flaszkę? Wspomnienia wróciły i całkiem się zapomniałem. Dziś już nigdzie nie pójde, śpiący jestem, wręcz padnięty. Aniołku? Nie przytulisz się na minutkę?

– Tak też się spodziewałem! W ogóle mnie nie słuchasz! Śmierdzący ochlapus! Przytulić się, jeszcze czego! Miałeś oddać dług, dom i pracownię zaopatrzyć. Liczyłem na ciebie i co? Znowu klapa! Nic już z tego nie

będzie. Jesteś alkoholikiem, powinieneś się zaszyć. Tak się na tobie zawiodłem.

Masz rację, jestem coraz bardziej pijany i może przez to się ciebie już nie boję. Wiesz, dlaczego, Aniołku? Wiesz, dlaczego? Bo ciebie nie ma! Istniejesz wyłącznie w mojej głowie, nikt oprócz mnie cię nie dostrzega. Rzeczywiście jestem chory, bo mam zwidy, omamy, a ty nie możesz ani ulżyć w mych cierpieniach, ani zrobić mi krzywdy, jesteś moim snem na jawie. Więc przestań mi rozkazywać!

– To, że mnie nie widać, wcale nie świadczy, że nie istnieję. Boga też nie można oglądać jak człowieka, a wiadomo, że jest. Wiatru ujrzyć nie można, tak jak obrotu Ziemi, dźwięku, zapachów. Ich też nie widać, lecz czy znaczy to, że ich nie ma? Czy Boga też nie ma?

Nie bluźnij! Zjawą jakąś jesteś, marą, szatańską sprawką. Lekarze gadali, żebym brał leki, że wtedy mi przejdzie, schizofrenia w tym stadium jest całkowicie wyleczalna, mówili, że to szok po śmierci żony, że da się z tego wyjść, kazali żyć spokojnie, łykać tabletki i się modlić.

– I co ci z tego przyszło, dziadku? Przecież ani trochę nie pomogli. Te ich lekarstwa jedynie cię ogłupiały. Spałeś potem po dwadzieścia godzin na dobę, byłeś jak warzywo. Nie pamiętasz już? To ja cię uratowałem! Załatwiłem zlecenia, ludzi, znalazłem sposób na przetrwanie. Dzięki mnie jakoś się trzymasz. Gdybyś tylko nie pił! Gdybyś tylko zaczął o siebie dbać! Bo musisz o siebie dbać. Musisz być w dobrej formie, niedługo nadejdzie ten dzień, dlatego masz obowiązek być silnym. Od tego zależy przyszłość ludzkości, od tego zależy los twoich dzieci, dziadku. Dziadku? Śpi! To moczymorda jeden!

## 2. Rajmund, Justyna, Henryk.

– Panie Rajmundzie, to gdzie jedziemy, do domu czy na Krakowską?

– Najpierw na obiad, do greckiej knajpy, później na Krakowską. Ale szybko, Zenek, głodny jestem. Od rana nic w ustach nie miałem.

– Tak jest, panie prezesie.

Jaką minę zrobił, jakby mnie za karę woził. Taki to ma robotę! Obowiązki prawie żadne, wystarczy jedynie porządnie umieć kręcić kierownicą i język za zębami trzymać, nie paplać nikomu, cała filozofia. Świat stanął na głowie. Co się z tymi ludźmi dzieje? Porządne pieniądze mu płacę, z nadgodzinami to ponad pięć tysięcy, inny dałby się za to pokroić. Tak to już jest z tymi prostaczkami, palec dasz, zaraz za rękę będą cię ciągnąć. Oni wszyscy w ten sposób okazują wdzięczność za zapewnienie bytu rodzinie, za perspektywy na przyszłość, za prestiż. Dziękować na kolanach powinieneś, a nie grymasić! Do niedawna, Zenek, pekaesem kierowałeś, a teraz wozisz jednego z ważniejszych ludzi w Mieście. A z drugiej strony, po co ja się tak stresuję? Nie ma sensu, niech sobie marudzi, ważne, żeby dobrze jeździł. Przynajmniej potrafi korki omijać, chociaż dziurami, ale ani się obejrzałem i jesteśmy na miejscu. Szkoda tylko, że tak leje. Pogoda w tym roku całkiem do dupy. Spokojnie, Rajmund, jeszcze trzy tygodnie i wreszcie trochę odpoczniesz. Dziesięć dni konsultacji ekonomicznych w Blanes na Costa Brava, czterdzieści godzin wykładów, parę zebrań, kolacji biznesowych, resztę mogę przeznaczyć na przyjemności. W końcu odsapnę, w końcu zregeneruję utrudzone ciało, w końcu plaża, ciepłe morze, piękne dziewczyny. I ja, zwykły anonimowy turysta z dalekiego kraju. Najgorzej, że Justyna się dowiedziała i naciska, żebym ją zabrał ze sobą, a ja nie jestem w stanie jej spławić. Szkoda, to miały być samotne wakacje.

Spotykamy się już od ponad roku. To właściwie pierwsza babka na stałe od czasów mojej byłej żony. Raczej nie jest ideałem piękna, seksapilu, mądrości, nie zakochałem się w niej i nie chcę mieć z nią dzieci. Chodzi o coś zupełnie innego. Tak naprawdę to nikt nie ma o tym pojęcia, nikomu nie zdążyłem powiedzieć, ale za dwa lata mam zamiar wystartować w wyborach do Sejmu. Poznałem kilku ważnych polityków, z niektórymi nawet blisko się przyjaźnię, wielu z nich pomogłem i jestem pewien, że

odwdzięczą się, gdy będzie trzeba. Ale to za mało, więc szukałem dodatkowej szansy, atutu, czegoś ekstra. Wpadłem na nią przypadkiem na bankiecie po Forum Gospodarczym w Berlinie. Przedstawił nas sobie prezydent Miasta. Okazało się, że jest córką ministra skarbu, do tego rozwódką, trochę młodszą ode mnie. Dla mnie jako dla kandydata na posła partia idealna. Wierzyłem, że z takimi koneksjami rodzinnymi, z takim poparciem moje szanse na „jedynekę” w Mieście będą rosły w niewyobrażalnym tempie. Dlatego zacząłem się z nią pokazywać publicznie: kolacje, bale, koktajle, uroczystości. Ostatnio rzeczywiście wszędzie razem. Tak na poważnie to mi jej żal. Mąż ją zostawił dla jakiejś młodej dziuni, podobno koleżanki córki. Nie twierdzę, że jest głupia, ma przecież dyplom z polonistyki czy historii sztuki, czy z czegoś takiego, ale wydaje się naiwna jak mała dziewczynka. Marzy o wielkiej miłości, o księciu z bajki, o kimś, kto dałby jej poczucie bezpieczeństwa, uporządkował życie. I właśnie w tym miejscu ja wkraczam na scenę. Jak tylko się spręzę, to umiem zrobić wrażenie na kobiecie. Nie mam już dwudziestu lat, ciała młodzieniaszka, czarnych loków jak kiedyś. Ale u mężczyzn w moim wieku panie szukają czegoś zupełnie innego. I ja to posiadam.

– Na razie masz wolne, Zenek, to potrwa z godzinkę. Zadzwoń.

Bardzo lubię tutaj jeść. Nie jest to może najmodniejszy lokal, okolica też nie za ciekawa, ale żarcie autentycznie pierwszej klasy. Przeprowadził mnie tu Henryk, szef policji. W latach dziewięćdziesiątych pracował za granicą, prowadził interesy budowlane w Grecji i zasmakował w tamtejszej kuchni. Kiedy się ustatkował i osiedlił w Polsce, jego żona otworzyła tę knajpkę w centrum Miasta. Pierwszy raz przyszedłem po koleżeńsku, trochę z przymusu, bo Heniek wszystkich namawiał. Ale spodobało mi się i już od dawna jestem stałym gościem. Na przystawkę zamówiłem sałatkę choriatiki, na obiad mussaka z mieloną jagnięciną – moje ulubione greckie danie. Do tego oczywiście szklaneczka ouzo. Mam w tej knajpce swój ulubiony stolik przy oknie, z widokiem na ulicę, na dawną żydowska dzielnicę, na zabytkowe kamienice, gdzie zza przyciemnianej szyby podglądam miasto, delektując się południowymi smakami. Pochłania mnie to i relaksuje. Dzisiaj trafiło mi się rewelacyjne przedstawienie. Ze swojego krzesła obserwuję ekipę lumpów, ulewa minęła, a oni w bramie przed



momentem sfinalizowali degustację trunku o smaku jabłkowym, wiśniowym, czy śliwkowym, zapewne niezmiernie pysznego, i rozglądają się, pewnie próbując znaleźć fundusze na zakup kolejnej butelki. Ustawili się obok Biedronki i zagadują ludzi wychodzących z zakupami. Są z nimi dwie baby, chociaż trudno wśród nich rozróżnić płeć, wyglądają prawie identycznie. Ta wyższa została przy głównej ulicy, żeby pilnować ciuchów, zdezelowanego wózka i toreb. Reszta rozdzieliła się i ruszyła na łowy. Pierwszy stanął na parkingu, w kółko zaczepiając kierowców pakujących zakupy do samochodów. Drugi utknął na zebrach tuż przy wyjściu na miasto. Dwóch zaczęło grzebać w koszach na śmieci wysypując przy okazji całą ich zawartość – no i mamy parę łupów, pusta puszka, pół kartonu soku, wchłonięte z gracją przez pierwszego, roztopiona resztką batonu oraz kilkanaście dokładnie przesortowanych petów. Druga baba od razu wpakowała się do środka, do sklepu, i na bank tam usiłuje wywalczyć jakieś drobne. Cokolwiek proszę pani, jestem biedna, nie jadłam od wczoraj. Patrzyłem, jak ostatniego Zenek częstował papierosem. To dureń, ten to wiecznie się daje naciągnąć. Skończyłem przystawkę, mały łyk ouzo i chwila przerwy przed daniem głównym. Tymczasem na chodniku pojawiła się grupka smarkaczy. Sami chłopcy, wracają najprawdopodobniej ze szkoły, śmieją się, trochę popychają. Zatrzymali się na krótko przed przejściem dla pieszych, najniższy wyciągnął telefon, zajrzeli mu przez ramię, skomentowali to, co pokazał, poza tym trochę wygłupów, przybicie piątki i już się rozchodzą. Ten od telefonu pobiegł w stronę marketu, potem się rozejrzał i podszedł do jednego z mętów, tego od soku, mówiąc coś do niego. Przestałem jeść. Menel odwrócił się, złapał dziecko i podniósł do góry. Zamarłem! Następnie chłopczyk mocno uściskał mężczyznę, wręcz wtulił się w niego. Czyli prawdopodobnie to jego ojciec! Ale numer!

Nie zauważyłem, kiedy kelner przyniósł mussakę, dopiero jej aromat mnie obudził, pozwolił wrócić do rzeczywistości. Szkoda tylko, że Henryk już nie żyje. Zawsze siadał obok i wspólnie komentowaliśmy wydarzenia za oknem. Gadaliśmy też o sporcie, o siatkówce, o kopaczach, czy doczekamy się, że będą potęgą jak kiedyś, o boksie, tenisie. Był moim przeciwieństwem. Od czterdziestu lat żył z żoną, miał z nią czterech synów. Mimo że bywało różnie, to ani przez moment nie przeszła mu przez głowę myśl o rozstaniu.

Uważał, że wyłącznie Bóg może unieważnić małżeństwo. Ja za to szybko się rozwiodłem, bawiłem się kobietami, pod byle pretekstem zmieniałem je, gdy mi się nudziły, nie miałem ochoty wiązać się na stałe. Po co mi to, Heniu, za stary jestem i lubię swoje życie, szczerze, lubię jak jest tak, jak teraz. Odpowiadał, że są wyższe wartości, a ja jestem pusty i zgnity w środku, że nie wiem, co to prawdziwe uczucie. Często po paru głębszych śpiewaliśmy piosenki z naszej młodości, Czerwonych Gitar, Niemena czy Skaldów, byle nie Grechutę, nie znosił Grechuty. Byliśmy w stanie pokłócić się właściwie o wszystko, mogliśmy się spierać godzinami na każdy temat. Poznaliśmy się jeszcze za komuny, zrobiliśmy razem sporo biznesów, niektóre bardziej, inne mniej udane. Był moim przyjacielem, chociaż nigdy mu o tym nie powiedziałem. Nigdy między nami to nie padło, w żadnej rozmowie czy sprzeczce. Trochę żałuję, ale przecież on wiedział. Nieraz słowa nie są potrzebne. Oj, Heniu! Co ci palnęło do tej łysej głowy?

Pewnego dnia zadzwonił. Umówmy się, pogadajmy. Ma problemy i nie wie, jak z nich wybrnąć. Wszedł blady jak ściana, usiadł i od razu się przyznał. Mam kogoś, Rajmund, jest młoda, piękna, ale to nieważne, bo są zakochani i nawet jeśli byłaby gruba i brzydka, niczego by to nie zmieniało, a że prawie trzydzieści lat różnicy to co z tego, między nami jest braterstwo dusz, rozumiemy się bez słów. Byłem przekonany, że mi przejdzie, że to jedynie kwestia czasu, chwilowe zauroczenie, zerwę z nią, bo męczy mnie sumienie, bo ja naprawdę kocham swoją żonę i nie mam najmniejszego zamiaru jej zranić, nie mówiąc już o synach, oni są moja największą wygraną i nie mógłbym ich skrzywdzić. Tylko, że to jest takie silne, że nie potrafię normalnie funkcjonować, jeść, spać, pracować. Więc wreszcie podjąłem decyzję. Przyrzekłem sobie, ostatni miesiąc, Henryk, potem koniec, odejdę od niej, rodzina jest ważniejsza od moich uczuć, zachcianek, a ja jakoś wytrzymam, dam radę. Dwa dni temu uprzejmie mnie poinformowała, że jest w ciąży i że to moje dziecko. Chce urodzić, chce żebym rzucił wszystko i zaczął z nią nowy rozdział. Liczę na ciebie, misiaczku, wyszeptane prosto do ucha, aż ciarki przeszły.

- Mam dość! Ja pierdołę!
- Pozwól mi się tym zająć.

Od początku byłem pewien, co będzie lepsze dla niego i dla niej. Próbowałem go nakłonić, żeby wrócił do domu, a ja posprzątam brudy, załatwię to jak trzeba. Nie ma się co martwić, znajdziemy tej paniencie pracę w innym mieście, odpowiedniego lekarza, żeby się pozbył problemu.

– To nic takiego, Heniu, każdy się może wpieprzyć.

– Okej. Masz rację. Ale daj mi moment, muszę się zastanowić.

– Nad czym tu się, kurwa, zastanawiać!?

Ale już dobrze, zgoda. Kazałem zadzwonić albo przyjechać, jego wybór. Henryk dwa dni później wyszedł wcześniej z pracy, specjalnie o takiej porze, żeby nikogo nie było w domu. Wszedł do łazienki, rozebrał się do bielizny i powiesił na rurce gazowej, na pasku od spodni. Nie zostawił żadnego listu, żadnej wiadomości.

Całkowicie opróżniłem talerz, smakowało nawet lepiej niż zwykle. Ostatni łyk ouzo i szklanka już pusta. Menele uskładali na kolejną nalewkę. Życie w getcie toczy się dalej.

– Szkoda, że cię tu nie ma, Heniu.

### 3. Natalia, praca, urodziny.

Nie umiem się zwlec z łóżka. Ta pogoda doprowadza mnie do szału, wciąż tylko deszcz i deszcz. Przynajmniej zajęcia zacznę dopiero o dziesiątej. Najpierw wykład z rachunkowości, bite trzy godziny nudy, potem statystyka z Nowakiem. Ten pewnie jak zwykle będzie się czepiał, idiota. To chyba jedyny wykładowca traktujący tę szkołę poważnie. Na każde ćwiczenia mamy obowiązek przygotowywać konspekty, własne pomiary, wkuwać, normalnie jak w ogólniaku. Reszta profesorów dokładnie zdaje sobie sprawę, że na prywatną uczelnię idzie się po papier i że dziewięćdziesiąt procent tak zwanych studentów jest tu wyłącznie po to, żeby odbębnić swoje godziny, przecież płacą za to, finansują tę budę. Nowak jest jednak inny, próbuje nas kształcić, realizować program, wychowywać w duchu wartości. Dobrze, że mamy na roku parę osób, które chcą dorobić, bo inaczej nie mam pojęcia, jak dałabym radę. Jest jeszcze Patryk, ten akurat ma dużo kasy, pomaga mi raczej z innych powodów. Biedactwo chodzi za mną od pierwszego roku. Pozwalam mu przygotowywać prace domowe, robić projekty, ściągać na egzaminy. Niedawno zaproponował, że napisze za mnie licencjat, a właściwie to załatwi, żeby ktoś napisał. Domyślam się, w jaki sposób miałabym się odwdziżyć. Ale wykluczone, chłopcze. Na razie musi mi wystarczyć, że od czasu do czasu pozwolę się zabrać na herbatę, na drinka czy na dyskotekę. Nadskakuje wtedy, słodzi, komplementuje. Nawet całkiem fajnie się z nim bawię, ale kompletnie nie jest w moim typie, dla mnie jesteśmy dobrymi kumplami i nic nie obiecuję, niech się nie nastawia, tłumaczyłam mu już tyle razy, ale jest uparty, nie dociera to do niego.

To dlatego, że wyglądam tak, jak wyglądam. Podobam się mężczyznom i potrafię to wykorzystać. Jestem naturalną blondynką, metr siedemdziesiąt wzrostu, o wymiarach nie powiem, bo mam za szerokie biodra i zdecydowanie zbyt duże piersi, ale im to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Nieustannie słyszę: jaką masz piękną buzię, śliczne oczy, mogłabyś zostać aktorką i wyjechać do Hollywood. Oczywiście sama uroda to nie wszystko. Żeby na co dzień być atrakcyjną, żeby móc bez zbędnych ceregieli wskoczyć w średniej jakości byle jaki ciuszek i prezentować się w nim w miarę efektownie, trzeba w to włożyć cholernie dużo pracy. Aerobik, siłownia,

pilates, basen, fryzjer, kosmetyczka, salon odnowy to dla mnie codzienność. No i oczywiście dieta. Dużo owoców i warzyw, chude gotowane mięso, zero cukru i smażonych tłustych dań. Wolne chwile uwielbiam spędzać w jedynej w naszym grajdołku galerii handlowej, wybierając ciuchy, buty, torebki, kosmetyki, a nieraz po prostu spacerując i szukając okazji, żeby wpaść niby przypadkiem na jakiegoś bogatego oszołoma, który w ramach rewanżu zaprosiłby mnie na kawę, a może i na coś więcej. Ktoś mógłby spytać, skąd biorę na to fundusze, przecież nie mam bogatych rodziców, żadnej majątnej ciotki czy wujka, a biżuteria, drogie ubrania, prywatne studia – to zżera kupę kasy. Właśnie dzięki temu, że tak wiele zainwestowałam w swoje ciało, teraz ono odpłaca mi się z nawiązką. Żyję z trzema facetami. Dwóch jest żonatych, jeden po rozwodzie, ale w stałym związku, każdy ma przynajmniej jedno dziecko, każdy jest zamożny i każdy potrzebuje zdrowej, pięknej i gorącej kobiety, żeby zapomnieć o zbliżającej się starości, o przemijaniu, powspominać tamte historie, tamte miłości. A ja ich wyzwalam, uzdrawiam ich, dzięki mnie stają się silniejsi, bardziej męscy, dowartościowani. Nie są to młodzi ludzie, ale dojrzały, ustatkowany kulturalni dżentelmeni, którzy z moją pomocą spełniają swoje głęboko ukryte fantazje, obdarzając mnie w zamian kosztownymi prezentami, albo zwyczajnie gotówką. Poza tym każdy z nich myśli, że ma mnie na wyłączność i często nieźle się muszę nakombinować, żeby mieć czas dla nich wszystkich, żeby się nie zorientowali. Staram się, by wierzyli, że się w nich zadurzyłam, że jestem nimi zafascynowana i marzę, by w niedalekiej przyszłości być żoną, a nie kochanką, bo są moimi ideałami, moim przeznaczeniem, ale ja poczekam, wiem, że powinnam być cierpliwa, jeszcze tylko kilka miesięcy, rozwód to nie jest nic łatwego, już niedługo będziesz mogła się do mnie wprowadzić, obiecuję. Podobne teksty słyszałam nieskończoną ilość razy. Zwykle po takich słowach są dużo hojniejsi, niż zwykle. I o to mi chodzi.

Próbuję to utrzymać w tajemnicy. Zaraz by pluli, zaraz by chcieli ukamienować, nawiedzeni hipokryci, a ja wcale nie mam na to ochoty, ani trochę, więc nikt nie zna prawdy. Znajomi z uczelni raczej o nic nie pytają, zresztą do płatnej szkoły biedni ludzie nie idą, z rodziną natomiast, może oprócz mojego najdroższego braciszka, nie utrzymuję kontaktów, można by

nawet powiedzieć, że nie mam żadnych krewnych, dzięki czemu ukrywanie moich rozwiązłych zwyczajów nie jest tak trudne, jakby się wydawało. Panowie, z którymi się spotykam, również nie lubią pokazywać się ze mną w miejscach publicznych, wręcz tego unikają. Doskonale ich rozumiem i niewątpliwie jest mi to na rękę. Widujemy się z reguły w moim mieszkaniu lub u nich w domu. Czasem któryś z nich zabierze mnie w delegację, przeważnie do przyjemnego ciepłego miasteczka na południu Europy. Dzięki temu zwiedziłam już ładny kawałek świata. Uwielbiam podróże, jachty, prawdziwych samców prężących się przede mną z tym ich przepychem, z romantycznymi spacerami po promenadzie, po pięknej piaszczystej plaży, bo tam nie mają zamiaru mnie chować, tam się mną chwala.

– Masz wyrzuty sumienia? Chociaż takie małe, minimalne. Przecież wykorzystujesz ich, a oni postępują z tobą jak z rzeczą, jak z zabawką.

– Jasne, że nie mam! No co ty!

Czasem sama siebie o to pytam, sprawdzam, czy układa ci się w życiu, Natałka, czy aby jest w porządku, jest okej, bo nie chcę się zapędzić w sytuację bez wyjścia, nie chcę się zgubić. Tłumaczę sobie, że większość ludzi w tym kraju musi zarabiać, żeby normalnie funkcjonować. Dlatego sprzedają to, co mają do sprzedania, to, na co jest akurat popyt. Niektórzy wiedzę, inni umiejętności, jeszcze inni sylwetkę i urodę. Więc czym ja się różnię od lekarza, modelki, piosenkarki, górnik, czy sprzątaczk?! Niczym! Oddaję swoje zadbane młode ciało w wynajem innym ludziom, oczywiście na wyznaczonych przeze mnie zasadach, w których nikt nikomu nie robi krzywdy, wszyscy są zadowoleni, a szczególnie ja.

– Jesteś kurwą, słyszysz?!

– Nieprawda!

Po pierwsze – nie puszczam się z każdym, kto ma pieniądze. Sama wybieram swoich mężczyzn. Są zadbani, inteligentni, kulturalni i czysti. Zwykle preferuję tych starszych, od zawsze mam słabość do dojrzałych kolesi. Goście w moim wieku wydają mi się tacy niepoważni, zero szyku, wytworności, klasy. Po drugie, najzwyczajniej w świecie to lubię. To są przystojni i eleganccy panowie i po prostu bardzo mi się podobają. Umieją zadbać o mnie w łóżku, wysłuchać, są delikatni i wrażliwi. Po trzecie,

traktuję to jak przyjemną, świetnie płatną pracę, idealną dla mnie, kobiety wampa, nimfomanki, lubiącej być podziwianą i rozpieszczaną. Jestem całkowicie spełnioną osobą, uwierz mi.

– Rzucisz to kiedyś?

– Tak, pewnie. Gdy kogoś pokocham.

Zostawię to dla niego, dla mojego faceta, wyleczę się z dnia na dzień dla mojego księcia z bajki, będę go wielbić, będzie dla mnie spełnieniem największych pragnień, moją miłością. Będziemy mieć dziecko, najlepiej syna, wyjedziemy gdzieś daleko, żeby spędzać czas wyłącznie ze sobą. Ale jeszcze nie w tym momencie, jeszcze go nie spotkałam.

Na razie mieszkam z kotem, Saszką, mieszańcem persa i dachowca. Jest dość duży, ma błyszczące białe futro z miedzianymi poprzecznymi pręgami i tak jak ja chodzi własnymi drogami. Kiedy robi się ciepło, wyłazi przez okno i znika, często nawet na kilka dni. Gdy wraca, przeciąga się dumnie, by później zalec na posłaniu. Niekiedy przyniesie jakiegoś wróbla czy mysz, wściekam się wtedy na niego. Poza tym rozumiemy się bezbłędnie. Uwielbiam chwile, gdy przychodzę do domu, a on wita mnie już od progu, mrużąc i ocierając się. Nie lubi, gdy ktoś mnie odwiedza. Muszę wtedy zamykać go w kuchni, bo potrafi być agresywny. Zachowuje się, jakby bronił swojego terytorium. Wreszcie jest ktoś, kto o mnie walczy.

Po zajęciach znowu przypałał się Patryk. Uparł się na mnie. Jak na swój wiek może i jest atrakcyjny, zauważyłam, że podoba się dziewczynom, ale co z tego, zupełnie mnie nie kręci. Czasem mam na końcu języka słowa „nie masz szans, chłopaku, za wysokie progi, znajdź sobie kogoś innego, szkoda mi ciebie. Ale z drugiej strony – czemu mam być niemiała?

– Ktoś po ciebie przyjedzie? Nie odwieźć cię?

Te same oklepiane teksty co zwykle. Dokładnie wiesz, że mieszkam sto metrów stąd, ale co za problem, parę dodatkowych tanich komplementów, na które nie reaguję. Domyślam się, że ma jakiś interes, ale mu nie pomagam, niech sam to z siebie wyrzuci.

– Słuchaj, Natalia. Mam dzisiaj urodziny i zaprosiłem wszystkich do Studenckiej. Posiedzimy, napijemy się, pobawimy. Wpadnij, jeśli oczywiście masz wolny wieczór, startujemy koło ósmej...

– Urodziny? I dopiero teraz mówisz?

W trakcie zajęć napisał do mnie Rajmund, jeden z moich panów. Mam ochotę wstąpić do ciebie po południu, słoneczko. Zgodziłam się, jasne że tak, to mój najbardziej szczodry sponsor. Tyle że on raczej nie zostaje na długo, wpada i wypada, godzinka, dwie i po sprawie, właściwie nigdy nie spędził ze mną całej nocy, nigdy nie obudziłam się przy jego boku, nie zrobiłam mu śniadania do łóżka. W sumie to mogłabym gdzieś wyjść. To nie jest zły pomysł.

– Okej. Będę, ale później. Na ósmą na pewno nie dam rady.

Ucieszył się, powiedział, że mu miło, żebym nic nie kupowała, nie chce żadnych prezentów, ważne, żebym przyszła, to dla niego najlepszy prezent, potem znowu trochę posłodził, zmęczył mnie tym, już muszę lecieć, trzymaj się Patryk, do zobaczyska. Czułam jego wzrok na moim ciele, gdy odchodziłam. Czułam, jak mnie nim pożera.



## 4. Pożegnanie, ucieczka, umieranie.

– Jesteś dziwnym człowiekiem, Adam. W ogóle nie potrafię cię rozgryźć. Może zobaczymy się kiedyś po wojnie? Usiądziemy, pogadamy, napijemy się wina? Może odwiedzisz mnie w mojej rezydencji w Monachium? Moglibyśmy wspólnie zapolować. Co ty na to?

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli szansę jeszcze się spotkać. Nie dożyję do końca wojny, ale dziękuję za zaproszenie.

– Nie bądź takim fatalistą.

Uśmiechnął, się podchodząc z wyciągniętą dłonią. Uściskaliśmy się mocno, poklepał mnie po ramieniu.

– W biurze zostawiłem dla ciebie prezent, mam nadzieję, że się ucieszysz.

Po chwili siedział już w aucie. Kiedy kierowca ruszył, Paul w geście pożegnania podniósł do góry prawą rękę. Tak go zapamiętam. Nie obejrzał się, jego postać zniknęła gdzieś między kamienicami. Wróci tu dopiero za kilka lat, już jako więzień, uznają go winnym i powieszą za zbrodnie wojenne. W zimne deszczowe popołudnie o czwartej piętnaście pan życia i śmierci zawiśnie na szubienicy. Nie zdążymy razem zapolować.

Jest szesnasty stycznia czterdziestego piątego roku. Niemcy właśnie opuszczają miasto, walki nie trwały zbyt długo. Już jutro wkroczy tu armia radziecka. Upominek pożegnalny od Paula to NÓŻ. Bruno przyniósł mu go wczoraj. Odkąd go mam, źle się czuję, źle śpię. Powiedział „tobie na pewno się spodoba, ty lubisz takie cacka, weź, nie jest mi już potrzebny”. I rzeczywiście spodobał mu się, jego także fascynowały antyki. Nie zdawał sobie jednak sprawy z nadzwyczajnej mocy tego przedmiotu. Nie zżył się z nim tak jak ja, nie wychwytał potencjału, nie miał tego magicznego oka, niezbędnego, żeby dostrzec jego wielkość. Doskonale wiedział, jak bardzo NÓŻ jest ważny dla mnie, jak bardzo mi na nim zależy. Równie dobrze mógł zabrać go ze sobą. Nie zrobił tego. Odjechał, a NÓŻ pozostał ze mną. To chyba moje ostatnie zwycięstwo. Teraz wszyscy stąd uciekają, nawet Niemcy, w pośpiechu, nie chowając swoich towarzyszy broni. Dookoła panuje chaos, nikt nie ma pojęcia, czego się spodziewać. Może to nie ma większego znaczenia, może to jedynie zbieg okoliczności, ale dzisiaj zginął Bruno. Niespełna parę godzin po tym, jak zwrócił NÓŻ swojemu dowódcy.

Był niezwykle doświadczonym żołnierzem, zaprawionym w boju. Siedem razy ranny, wielokrotnie odznaczany, wychodził bez szwanku z sytuacji, w których nikt nie powinien ocaleć. Zawsze miał ogromnego farta, jak wtedy w getcie, z Izaakiem i Mojkiem. Również na polu walki fortuna się do niego uśmiechała. Podczas odwrotu spokojnie wrócił do wolnego jeszcze od starć centrum. Tam tylko na chwilę opuścił swoich, chciał pożegnać się z kobietą, z Polką, z którą od dawna się spotykał. Miał ją poprosić, żeby przyjechała do niego, wręczyć jej złoty pierścionek, oświadczyć się. Kiedy skręcał w Narutowicza, zauważył go zwiadowca oddziału Armii Krajowej. Partyzanci wkroczyli do miasta dwa dni wcześniej, starali się wykonać jak najwięcej akcji dywersyjnych, rozprawić z kolaborantami, ukarać zdrajców. Przypadkiem trafił im się samotny, uzbrojony zaledwie w karabin Bruno. Wiedzieli, że Niemcy wyjadą lada moment, że w ich szeregach panuje bałagan i mogą zignorować nieobecność pojedynczego oficera. Swoją drogą, na ulicach czuć już było oddech sowietów. Dopadli go, gdy wracał. Zaczaili się w wąskim zaułku pomiędzy bramami. Dwóch przypilnowało głównego wejścia od strony placu, reszta zastawiła pułapkę. Najpierw go rozbroili, potem zaczęli się nad nim znęcać. Bruno się nie bronił. Adrenalina stłumiła ból.

– Stop! Zostawcie go! Ja to zrobię!

Nie rozumiał języka, mimo że mieszkał tu już od wielu lat. Domyślał się jednak, że nadchodzi koniec. Wstał zakrwawiony, bez strachu wrzeszcząc prosto w ich pełne pogardy twarze:

– Pierdolone polskie świnię!

Dowódca odbezpieczył pistolet i nacisnął spust. Tym razem broń się nie zacięła, a Bruno przestał być szczęściarzem. Przestał być kimkolwiek. Jego zwłoki leżały w tym samym miejscu kilka dni. Następnie spoczęły w masowym grobie na wzgórzu na przedmieściach, bezimiennie. Ale zanim to się wydarzyło, zanim nadeszło wyzwolenie, w Mieście zapanował totalny bezład. Opustoszałe podwórka wstrzymały oddech. Dym szczypał w oczy, ludzie bali się wychodzić z domów, radość mieszała się ze strachem, a niepokój z euforią.

Przemykam opuszczonymi przecinkami starówki. Jest cicho. Prawie wyczuwam przyspieszone tętna mieszkańców. Patrzą na mnie, śledzą każdy

mój ruch. Powietrze przepelnia zapach prochu. Mroźny wiatr potęguje hałas wystrzałów i dudnienie ciężkiej artylerii. Są już blisko. Mam mało czasu. Na ulicach walają się śmieci, nie działa komunikacja miejska, sklepy są zamknięte, tak samo kościoły, tylko szabrownicy próbują coś znaleźć, wykorzystać sytuację. Idę na Kawia, do byłego mieszkania Izaaka. Od paru dni mieszka tam Krysia z synem. Przybyła wraz z partyzantami. Jest sama w domu, jedynie z dzieckiem, jej oddział sprząta miasto przed przybyciem Armii Czerwonej. Nie mogę już niczego odkładać, nie ma na co czekać. Moja pozycja i wpływy właściwie nie istnieją. Dzisiaj to ja jestem królikiem, a oni mają strzelby. Jest tutaj bardzo wiele osób, które z przyjemnością i bez zmużenia oka zrobiłyby mi krzywdę. Dlatego unikam wszystkich, staram się przedostać niezauważony. Przede mną najgorszy odcinek, kilkadziesiąt metrów otwartej przestrzeni, tu jestem całkiem nieosłonięty, bezbronny jak niemowlę. Muszę się uwijać, przechodzę przez nasyp, mijam tory, na nich wykolejony, niemal doszczętnie spalony pociąg, z wciąż wyraźnie widocznymi śladami niebieskiej farby. Nie spotykam nikogo, ale wiem, że mnie widzą. Wreszcie jestem. To ta kamienica. Wchodzę po schodach, dopadam do jej mieszkania i delikatnie pukam. Nic. Cisza. Nikt nie odpowiada. Uderzam ponownie, głośniej. W końcu tłukę z całej siły.

– Kto tam? – jej przytłumiony, tak dawno niesłyszany głos.

– Swój, otwórz!

– Odejdź, bo zawołam męża!

– Jesteś sama Krysiu, nie kłam. To ja, Adam. Przyszedłem się pożegnać.

Otwórz, proszę.

Cisza trwała jakąś minutę, po czym otworzyły się drzwi. Ukazała się w nich Krysia z małym pistoletem Walther w dłoni. Jeszcze piękniejsza niż ostatnim razem. Jej uroda nabrała przebłysku dojrzałości, delikatne zmarszczki dodatkowo ją wzbogaciły. Drżącą dłonią celowała wprost w moją głowę.

– Jak śmiesz tu przychodzić?! Ty zdrajco! Zabiję cię!

Ręka dygotała, usta mocno się zacisnęły, w pełnych odrazy oczach pojawiły się łzy.

– Czego chcesz?

Cały czas trzymała mnie na muszce. Zdawałem sobie sprawę z tego, że może nacisnąć spust, wystarczy mały impuls, próbowałem to zrobić jak najostrożniej.

– Przyniosłem ci NÓŻ.

Wyciągnąłem go z kieszeni płaszcza, zawiniętego w bawełnianą szmatkę i położyłem na podłodze, tuż przy progu, obok jej bosych stóp. Czułem go pod palcami. To chyba najtrudniejsze rozstanie w moim życiu. Podniosłem się i spojrzałem na nią. Dostrzegłem zdziwienie, które powoli przechodziło we wściekłość. Opuściła rękę z pistoletem, a potem splunęła mi w twarz.

– Nie jestem w stanie cię zabić! Nie jestem taka jak ty! Niedługo ktoś cię znajdzie! Dopadną cię!

Nieoczekiwanie ze środka mieszkania doszedł do nas głośny dziecięcy płacz. Wyprostowała się i wykonała taki gest, jakby miała się odwrócić, ale zawahała się, nie uczyniła tego.

– To wasz syn. Twój i Izaaka.

Ponownie do mnie wycelowwała.

– Powiedz coś! Cokolwiek i strzelę!

Płacz nie ustawał.

– Żegnaj, Krysiu.

Odwróciłem się i zacząłem zbiegać po schodach. Kiedy byłem na półpiętrze, usłyszałem dźwięk zamka. Zabrała go. Krysia знаła dokładnie historię śmierci Izaaka i Mojka, Dawid opisał jej szczegółowo każdą scenę. Dlatego była świadoma roli, jaką NÓŻ odegrał w tej opowieści, wiedziała, że Izaak zginął trzymając go w ręku. Teraz była jego właścicielką. Moje serce wypełniła zazdrość. Wybiegłem na ulicę i skierowałem się w stronę magazynu. Pędziłem ku przeznaczeniu. Mój czas w ciele Adama dobiegał końca. Możliwe, że czekali tam na mnie. Marzyłem tylko, żeby jeszcze ostatni raz ujrzeć swoje zbiory, nacieszyć się nimi, wypić szklaneczkę koniaku w ich towarzystwie. Niestety, spóźniłem się. Magazyn opanowali partyzanci. Z rozpędu niemal nie wpadłem na jednego. Na szczęście nie zauważył mnie, więc postanowiłem się wycofywać, po cichu wymknąć się stamtąd. Nogi jednak odmówiły posłuszeństwa, zresztą gdzie mam uciekać, dokąd?

Nagły tępy ból przeszył mi głowę. Upadłem, tracąc przytomność, uderzony z tyłu kolbą karabinu. Widocznie któryś z nich zaczął się za mną. Ciemność.

Kiedy się ocknąłem, byłem już w budynku. Siedziałem z rękami przywiązany do urwanej belki stropowej. Ból rozsadzał czaszkę. Pilnowało mnie dwóch żołnierzy, stali kawałek dalej, zasłaniając wyjście. Palili papierosy, zawzięcie o czymś dyskutując. Nie słyszałem, o czym. W uszach pulsował regularny, wysoki, piszczący jazgot. Z pomieszczenia obok wyłonił się postawny mężczyzna, niosący jakieś papiery. Wartownicy zasalutowali i wskazali ręką na mnie. Podeszedł spokojnym i stanowczym krokiem.

– Rozumiem, że pan Adam.

W ręce trzymał moje dokumenty.

– Od dawna chciałem się z panem spotkać.

Martwiłem się wyłącznie o to, że nie będą się spieszyć, że będę cierpieć. Bałem się tortur, bałem się zemsty.

– Szeregowy, wykonać!

Chłopak miał jakieś szesnaście lat. Pewną ręką wycelował pistolet w moją stronę i zadziwiająco niskim głosem zaczął recytować, że zostałem skazany w imieniu Rzeczypospolitej, że za zdradę ojczyzny. A ja pragnąłem jedynie, żeby to trwało jak najkrócej, prosiłem go w myślach o skuteczność, o zdecydowane ruchy.

Dokonał tego wreszcie. Był precyzyjny, niczego nie poczułem.

– Nienawidzę takiego ścierwa!

Oprócz tego, że mnie zastrzelił, jeszcze kopnął kilka razy. Widziałem, jak to robił, ale nie umiałem zareagować. Przyjemnie sobie umierałem.

## 5. Zakupy, talent, prośba.

Jestem szczęśliwy, Aniołeczku. Jak ślicznie prezentuje się nasz dom, tyle farb, tyle odcieni, tak ciepło i żołądek pełny w końcu. Zapasów tak wiele, że na rok albo i więcej będzie dość, dwadzieścia butelek bimberku, grzybki marynowane, boczek, herbatniki. Kuchnia wyposażona, nawet włączyłem lodówkę. Aż nie mogę uwierzyć w te cuda.

– Tylko się nie schłaj, bardzo cię proszę. Większość pieniędzy wydałeś na wódkę. Weź się w garść i zacznij znowu pracować. Najpierw ten obraz z tamą, on jest najistotniejszy, dopiero później reszta. Pamiętasz, dziadku?

Jak mam zapomnieć, jak ciągle mielesz i mielesz. Najadłem się, odpocznę momencik i już się biorę do roboty. Spokojnie, nie ma co się martwić. Dobrze wiesz, że jestem obowiązkowy. Niekiedy po prostu potrzebuję przerwy, wytchnienia, jak każdy. Jeden dzień mi wystarczy, od jutra rozpoczynam. Dzisiaj to jeszcze za wcześnie. Dzisiaj się położę i posłuchamy razem radyjka, jak dawniej, pobyczymy się, polenimy, choć na krótko. Pozwól, Aniołeczku.

– Dobrze już, dobrze, zgadzam się. Ale zwolnij, dziadku, z tym piciem, bo ci sił braknie i od nowa będę cię musiał przywracać z zaświatów.

Świeżutki jutro będę, zwawy jak po sanatorium w Ciechocinku, Aniołeczku. Wstanę o świcie i ruszamy z harówką, jak pierwszy promyk słońca ze wschodu uderzy w okno. Piękne malunki przy takim świetle budziły się do życia, oj piękne. Przypomnij sobie, jak sąsiadkę naszą Działową portretowałem, a dzieci zaglądały przez ramię, komentowały, że nos nie taki, że włosy innego koloru. Stare dzieje. Ludzie się lubili, odwiedzali nawzajem. Na imieniny pół kamienicy przychodziło i balowało do rana. Potomstwo można było swobodnie na podwórko wypuścić, bośmy się znali i nikomu włos z głowy nie miał prawa spaść. I po równo wszyscy mieli. Kolorowy telewizor, wczasy nad morzem, rower Romet albo Jubilat. Że były kolejki – fakt, zgadza się, ale zawsze to jakaś rozrywka, ile małżeństw kolejkowych w tym kraju powstało, tego nie da się policzyć. Samochody jedynie partyjni mieli, w dodatku wyłącznie ci ważniejsi, ale to lepiej, bo codziennie rano w autobusie i czas na żarty był, i na poważne rozmowy. Teraz na komunę łatwo psioczyć, bo sklepy puste, bo za granicę

nie dało się wyjechać, bo kartki, bo cenzura, bo milicja lała pałami. Dużo w tym racji, nie powiem. Ale kij ma dwa końce. Naród stał za sobą twardo, poświęcał się, unosił honorem, gdy potrzeba przyszła. A w tej chwili sam człowiek żyje. Jak ktoś na ulicy upadnie, to inny łeb odwraca w drugą stronę. W tramwaju podlotki siedzenia zajmują, a staruszkowie stoją przy oknie, nikt miejsca nie ustąpi. Dawniej nie do pomyslenia. W telewizji były dwa programy, i co z tego? Każdy coś znalazł ciekawego, a to bajkę dydaktyczną, a to teatr, czy teleturniej dla mądrych ludzi. W radiu przystępną muzykę nadawali, wiersze – Szymborskiej, Gałczyńskiego, Tuwima, rodzinne audycje. Dzisiaj tylko reklamy i melodie dla idiotów, hałas i durnota, aż mi ciarki idą po plecach. Do tego jedzenie smakowało jak jedzenie. Jak się na święta szynkę ze wsi przywiozło, to w całej chałupie pachniało. Po małym kawałeczku się odkrawało, na środek kromki kładło, przesuwano na koniec. Aromat utrzymywał się godzinami. W sklepie normalne mleko było, jak postawiłeś na kuchni, to zsiadało się na kwaśne. Zostaw to z woreczka, a sam zobaczysz. Wtedy nic się nie marnowało, nikt nic nie wyrzucał, wszystko się przydawało, wszystko można było naprawić, przerobić. A teraz?

– A teraz w ogóle przestałeś o siebie dbać. Nie kąpałeś się już chyba od paru lat, nie sprzątałeś mieszkania od... nie pamiętam, od kiedy. Broda jak u jakiegoś popa. Ciuchy moczysz w wannie dopiero jak zeszywnieją, w innym wypadku same piorą się w deszczu. Toaleta nie działa ponad dwa lata. W domu mebli nie masz już prawie wcale, oprócz łóżka i rozklekotanej szafy. Nawet gumolit zerwałeś. Na ścianie grzyb wielkości dorosłego mężczyzny, śmierdzi odrażająco. W kuchni gaz dostępny tylko wtedy, gdy butlę kupisz, czyli właściwie nigdy. Nie mówiąc o wodzie i prądzie, których częściej nie ma, niż są. Kilka tygodni temu wprowadziły się do ciebie karaluchy, są też jakieś dziwne małe robaczki, co wyjadają tapetę od wewnątrz. Czekam jeszcze na szczury, bo mogę się założyć, że wszy i pchły to twoi goście od dawna.

Głupoty gadasz, Aniołeczku. Kto by się takimi rzeczami przejmował. To są przyziemne sprawy. Zresztą ja już od dziecka nie lubiłem się stroić, przebierać, kropić perfumami. Matka moja, nieboraczka, co wieczór szczotki ryżowej musiała używać, bo się mnie domyc nie dało. Za to jak już

ździebko starszy byłem, to i tak biegałem wiecznie popapwany farbami. I nikt na mnie nie zwracał uwagi. Dlatego, że ponoć nieprzeciętnie brzydki byłem. Rodzice moi specjalnie ustawiali się ze mną w wózku w kolejkę, bo ludzie z litości zwalniali miejsce. Po kim odziedziczyłem taką urodę – nie mam pojęcia. Tatuś mój to przecież uosobienie przedwojennej elegancji, sylwetka męska, prosta, pociągła twarz. Mamusia krasą i gracją niejedną aktorkę przewyższała o trzy klasy. A ja? Morda okrągła, nos na trzy czwarte pyska, a w oczach lekki zez. Poza tym już od bobasa urosłem nad wyraz duży, zawsze przynajmniej o głowę wyższy od rówieśników. Widocznie gorsze geny odziedziczyłem po przodkach, cóż poradzić.

– Jezusie Chrystusie! Co za monstrum!

Takie były słowa naszego proboszcza, gdy na chrzcinach ujrzał mnie pierwszy raz. Mimo że szeptem, po cichu rzucone, utkwily w uszach gościom i długo były szeroko rozgłaszaną anegdotą rodzinną. Przy okazji ksiądz dwukrotnie dla pewności odprawił egzorcyzmy, jakby miało to coś dać, jakbym miał od tego wyładnieć.

– Przesadzasz, dziadku. Zmyślać to ty potrafisz, już ja cię dobrze znam. Lepiej opowiedz, jak zaczęłaś malować, skąd się wziął twój talent. Uwielbiam słuchać tej historii, za każdym razem inaczej ci wychodzi. No, nie daj się prosić, dziadku, opowiedz kawałek.

Nie wiem, czy jeszcze pamiętam, Aniołeczku. Ciężko odgrzebywać tamte wspomnienia, ciągle mi się miesza, myli. Ale postaram się, zastanowię, może sobie przypomnę. Tak. Miałem jakieś sześć czy siedem lat, działo się to latem, były wakacje. Mój braciszek kochany leżał wtedy w szpitalu, serduszko mu niedomagało. Panowie doktorzy mówili, że za szybko się rozwinęło i energię żywej istocie zabiera. Matula gadała o tym bez końca, że to morze dobra i miłości w nim zamieszkało i stąd to wszystko. Tak czy owak był coraz lichszy, choroba wysysała wszelkie siły, lekarze nie dawali nadziei. Prawie codziennie przy jego łóżku modliła się familia i sąsiedzi. W tym i ja odmawiałem różańce. Któregoś dnia, gdy sam z nim zostałem, obudził się i zawołał mnie do siebie.

– Podejdź bliżej, Oluś. Przytul się.

Podszedłem więc i z całych sił go ścisnąłem, łzy polały mi się z oczu. Bałem się, że w ten sposób zegna się ze mną, że na tamten świat mu



spieszno.

– Nie bój się, mały. Wyznam ci sekret. No, podejdź bliżej.

Uczyniłem, jak kazał.

– Jestem już bardzo słabiutki, ale nie martw się, wyjdę z tego. Chciałbym, żebyś zrobił coś dla mnie, wsparł mnie z lekka. Kiedy dam znak, rozchylišz usta, a ja ze swojego wnętrza przekażę ci kawałek mojego ciepła. Ono jak woda przepłynie do ciebie. Wówczas mi się polepszy. Zaufaj mi, za dużo mam tego w środku, a wspólnie damy radę. Zgódź się, błagam, to długo nie potrwa. Jedynie ty jesteś w stanie mi pomóc, wiem to na pewno. Zgódź się. Niech to będzie nasza tajemnica.

Nie była to dla mnie trudna decyzja, wręcz przeciwnie, cieszyłem się bardzo, że przyniosę ulgę starszemu bratu. Dlatego przytaknąłem w odpowiedzi.

– Teraz zamknij oczy i otwórz buzię.

Oczywiście uczyniłem to bez jakiegokolwiek wahania. Na ułamek sekundy przez zamknięte powieki poczułem gorący błysk jasnej, lekko czerwonej łuny, wskakującej mi do żołądka i płuc. Świetlana, letnia miętowa ciecz wlała się w moje ciało, dotykając i smakując od czubków palców stóp po włosy na głowie. Było to niebywale przyjemne doznanie. Ocknąłem się dopiero gdy weszła mama.

– Co tak nad nim ślęczysz? Nie widzisz, że śpi! Idź na moment do taty, na razie ja posiedzę.

Wróciliśmy do domu i ciągle miałem to w sobie. Kiedy następnego dnia wstałem, wciąż to czułem. Gdy jadłem obiad, również to miałem. Było ze mną w dzień i w nocy. Zostało aż do tej chwili i pewnie będzie do końca.

Kilka dni później zacząłem malować. Po prostu wyjąłem blok i farby, pociągnąłem parę razy pędzlem i wyszła z tego podobizna mojej mamusi. Dobrze, to dopiero szkic, wiele temu brakowało do prawdziwego dzieła. Ale do tamtego momentu nie wykazywałem żadnych artystycznych zdolności, więc rodzice byli szczerze zdziwieni. A ja dosłownie nie umiałem się opamiętać. Przenosiłem na papier, co się tylko dało. Niedługo w domu zabrakło kartonów, kredek, ołówków. Moim dziecięcym kreacjom nie można było odmówić talentu. W krótkim czasie trafiłem w dydaktyczne ramiona naszej sąsiadki, pani Matyldy, emerytowanej nauczycielki

akademickiej, która przed wojną wykładała malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Podobno nazywali ją niespełnioną nadzieją polskiego ekspresjonizmu. To ona umiejętnie wprowadziła mnie w tajniki rzemiosła, technik, form wyrazu i kategorii. Oprócz warsztatu próbowała mi wpoić zasady dobrego wychowania i trochę ogłady towarzyskiej. Była dla mnie jak babcia...

– Chyba się zaraz przewrócę ze śmiechu! Dziadek dżentelmenem. Zaraz padnę! Dzisiejsza wersja jest rzeczywiście powalająca! Brzydkie dziecko otrzymuje dar od chorego brata! Cóż za naiwna historyjka, no teraz to już dziadek przesadził. Niech jaśnie pan elegancik lepiej w lusterko popatrzy. No nie wierzę!

Niegrzecznie się tak śmiać, oj niegrzecznie! Jeszcze żeby było z czego, a przecież to szczerą prawdą, Aniołeczku. Przyjdzie taki dzień, gdy pożałujesz, gdy zatęsknisz za moimi słowami. Już niebawem, zobaczysz.

## 6. Pena, pierwszy raz, suka.

Wyszedłem z knajpy, kiwnąłem na Zenka, ale nie widział mnie, zajęty bajerką z taksjarami.

– Jedziemy Zenek, jedziemy!

Rozstał się z kolegami, szybko wskoczył do auta i zaczęliśmy gadać o wszystkim i o niczym, o głupotach. Są godziny szczytu, więc mamy czas, będziemy długo jechać. Głównie to on klepał, ale podpuszczałem go bezustannie. Ten gość ma genialne teorie na różne tematy, a ja uwielbiam tego słuchać. Najpierw wziął na tapetę sytuację w mieście, bo pieniądze marnują, bo wydają na idiotyzmy, zamiast ludziom pomóc, później zahaczył o remonty i oczywiście o korki, że cały ten burdel jest przez to, że dzisiaj byle kogo stać na samochód, chociaż dla większości tych wehikułów to słowo to komplement na wyrost. Polacy kupują taki szmelc, którego w rajchu pewnie nie przyjęliby nawet na złom. Nic dziwnego, że jest tyle wypadków, poza tym nasze drogi, ich najwyższa jakość, czyli dziura na dziurze. On się orientuje, dlaczego tak jest, jego dobry kumpel ma biznes, zajmuje się naprawami ubytków w nawierzchni, on mu opowiedział ze szczegółami. Bo po co to dobrze robić? To samobójstwo dla firmy. Ustawia się mieszankę w ten sposób, żeby zaraz znowu trzeba było łątać. Co roku poprawia się nowy odcinek. Interes się kręci. Zleceń starczy do końca życia. Konkurencja działa na identycznych zasadach. Gdyby to odpieprzyć na cacy, za parę lat nie byłoby już co reperować. Zgadza się? Przecież każdy musi jakoś funkcjonować, każdy musi zarabiać! Oj, Zenek, ty to potrafisz rozbawić! Aż mnie brzuch rozboleł ze śmiechu.

Kocie łby przy Starym Rynku, jesteście już blisko. Zenon Pena.

– Właśnie! Od zawsze miałem spytać. Skąd takie nazwisko, chyba niepolskie?

– Ano nie, hiszpańskie, panie prezesie, mój pradziadek był Penafort, podobno pochodził z Madrytu, przyjechał tu na handel, zabujał się i chajtnął, potem ktoś popieprzył w papierach i zostało Pena. Tyle problemów przez to nazwisko, że się w pale nie mieści.

– To ty, Zenek południowiec jesteś, gorąca krew!

– Niech się pan Rajmund nie nabija, nie wiadomo ile w tym prawdy, to tylko taka rodzinna legenda. Podoba się panu?

Przytaknąłem, ale tak w sumie to nie wiedziałem, o co mu chodzi. Okazało się, że o jakąś głupawą piosenkę w radiu, podkręcił na maksa, może odechciało mu się paplać, a może się obraził o tego południowca. I bądź tu mądry.

Zatrzymaliśmy się na światłach przy największym w mieście placu zabaw. Po deszczu wyszło słońce, zrobiło się parno i na miejscu od razu pojawiło się mnóstwo smarkaczy z matkami. Zsunąłem szybę w oknie, żeby się przyjrzeć. Kiedyś przychodziłem tu ze swoją córką. Od zawsze byłem bardzo zajęтым człowiekiem, a ona wiecznie suszyła głowę, żeby ją przyprowadzić, uwielbiała się huścić i zjeżdżać ze zjeżdżalni. Ciągłe pytała:

– Dobrze było? Ładnie zjechałam?

Jak to możliwe, że jest już dorosłą kobietą? Kiedy przestałem być dla niej niezastąpionym, jedynym tatusiem? Jeszcze niedawno kręciła się na karuzeli, piszcząc, kiedy obracała się za szybko. Jeszcze niedawno płakała, gdy wychodziłem do pracy, czekała z utęsknieniem, aż wrócę. Teraz ma już swoje życie, radzi sobie beze mnie. Niewiele się tu zmieniło od tamtego czasu, ten sam klimat, ten sam hałas.

Wjechaliśmy na Krakowską. Zaraz znów się z nią spotkam. Natalia. Pamiętam jak pojechałem do niej pierwszy raz. Wystarczyło kilka telefonów, żeby namierzyć numer komórki, znaleźć adres. Zadzwoiłem i umówiliśmy się u niej. Kiedy ją zobaczyłem, od razu go zrozumiałem. Rzadko widuje się takie panienki. Zaprosiła mnie do środka. Małe, ale gustowne babskie mieszkanie. Różowe ściany, nowoczesne meble, dziwaczne obrazy na ścianach. Usiedliśmy, zaczęliśmy rozmawiać, przedstawiłem się, Rajmund, najlepszy przyjaciel Henryka, właściwie były przyjaciel. Kawa, herbata, Martini czy coś mocniejszego, spytała. Bała się, że jestem z policji. Byli tu, to oni mnie zawiadomili, oczywiście uprzejmie i delikatnie, skurwysyny. Ci idioci wypytywali o takie szczegóły, że szkoda gadać. Potraktowali mnie tak, jakbym to ja go zabiła. Okej, może w pewnym sensie mają rację. No bo czemu nic nie zaważyłam, przecież mogłam przewidzieć, domyślić się. To w jakimś stopniu także moja wina.

Nie wyglądała jak ktoś, kto stracił najbliższą osobę, nie nosiła żałoby, nie miała zapłakanej twarzy, nie emanowała smutkiem. Henio chyba się jednak mylił co do niej. Kiedy tu przyjechałem, spodziewałem się ujrzeć zrozpaczoną, załamana kobietę w depresji po śmierci ukochanego. Nic z tego.

– Słuchaj, Natalia. Podobno jesteś w ciąży.

Na chwilę zamarła. Zastygła, patrząc gdzieś w podłogę.

– Powiedział panu? To miał być nasz sekret.

Podniosła się i odetchnęła głęboko. Najpierw spojrzała w sufit, potem prosto na mnie.

– Byłam w ciąży. Poroniłam tydzień temu, pięć dni po tym, jak umarł.

Zaskoczyła mnie, nie byłem na to gotowy. Tym razem ja wbiłem wzrok w podłogę, zdążyłem wybąkać, że przepraszam, że bardzo mi przykro, a ona przez moment stała w miejscu, nic nie mówiąc. Następnie odwróciła się i zniknęła w kuchni. Dochodził do mnie stamtąd jedynie jej przytłumiony głos. Mówiła do siebie. Godzinami próbuję to wyjaśnić, przeanalizować, rozłożyć na czynniki pierwsze i kompletnie nic nie przychodzi mi do głowy. Widocznie tak miało się stać. Może wszystko się jakoś ułoży. Nie mam pojęcia. Czasem kompletnie mnie to przerasta. Była szansa, żeby uratować chociaż część jego. Nie udało się, trudno, tak wyszło.

– To musi pozostać tajemnicą.

– Słucham?

Pojawiła się w drzwiach. W końcu wytłumaczę ci, dlaczego tu jestem, bo przecież nie przyjechałem na pogaduszki przy herbacie i ciasteczkach czy wspominki o zmarłym. Nikt nie ma prawa się o was dowiedzieć, stanowcze, zdecydowane słowa, Henryk miał żonę i dzieci, był poważanym, szanowanym człowiekiem, mógłby wybuchnąć skandal. Mam nadzieję, że nie zwierzałaś się nikomu, jego rodzinie wystarczy problemów. Nie chciałbym, żeby kiedykolwiek zorientowali się, że w ogóle istnieje ktoś taki jak ty, a to, że policja u ciebie była, to nic, nimi już się zająłem, załatwione. Usiadła obok, podpierając czoło dłońmi. Miała zamknięte oczy, a palcami przeczesywała włosy. Zaczęła płakać, po cichu, łzy kapały na stolik. Mówiąc szczerze, to zrobiło mi się jej żal. Później zapewniała mnie mocno, że ukrywali swoją miłość, naprawdę, nie mieli najmniejszej ochoty tego

rozgłaszać, dopiero jak już się urodzi. On zamierzał porzucić żonę, rozwieźć się i wyjechać z nią daleko. Obiecał to, przysięgał, że wychowają je razem, że będą szczęśliwi. Kazał nie przejmować się pieniędzmi, więc zrezygnowała z pracy, zresztą i tak miała odejść, bo zabraniał jej się przemęczać. Była taka naiwna.

– Mam od niego stertę listów. Co za pomysł, w dzisiejszych czasach, pisać listy miłosne. Na perfumowanym papierze przewiązanym kolorowymi wstążkami. W środku piękne zdania, śliczne romantyczne wiersze. O motylach w brzuchu, o tęsknocie, o pocałunkach i inne takie. Widywaliśmy się zaledwie parę razy w tygodniu, a ja prawie co drugi dzień znajdowałam coś w skrzynce pocztowej. Był taki romantyczny. Planowaliśmy przyszłość, a w tej chwili czuję, że zmarnowałam życie. Zgubiłam się.

Nie wszystko, co mówi tak do końca mi pasuje, niektóre rzeczy chyba lekko naciągnęła, ale w to akurat wierzę, to zupełnie w stylu Henia. Jej słowa przeplatane łkaniem. Wyglądała ładnie nawet wtedy, gdy jej makijaż się rozpułnął.

– O pieniądze nie musisz się martwić, ważne, żebyś trzymała język za zębami. Gdyby ktoś spytał, nie znasz, nigdy go nie spotkałaś, nie rozumiesz, ale o co chodzi i tak dalej. Nie przejmuj się, nie zostawię cię tak. Jestem mu to winien.

– Dziękuję panu.

Znów spojrzała prosto na mnie.

– Nie chcę już być sama.

Podniosłem się, podszedłem bliżej i położyłem dłoń na jej ramieniu. Chwyła ją, ona także się podniosła, objęła mnie w pasie i mocno przytuliła.

– Niech pan nie odchodzi.

Od tej pory była moja. Kosztowała mnie naprawdę dużo, ale nie żałowałem ani przez moment. Wszelkie niedogodności wynagradzała mi pięknym, naturalnie wyrzeźbionym i opalonym ciałem. Na samym początku było mi jej zwyczajnie szkoda, i może przez wzgląd na Henia, ale coś mnie powstrzymywało, żeby iść z nią do łóżka. Dopiero po pierwszym razie pozbyłem się skrupułów. Wyrzuciłem je daleko. Została moją kochanką. Przy niej poczułem się dwadzieścia lat młodszy. Tak, zdaję sobie sprawę, jak

to naiwnie brzmi, jakim jestem typowym, przewidywalnym gościem w średnim wieku, uganiającym się za gówniarą. I co z tego? Dla znajomych, kontrahentów, współników i tak była moim nowym pracownikiem. Nawet jeśli niektórzy czegoś się domyślali, miałem gdzieś ich zdanie. Lecz z czasem dostrzegłem również inny aspekt naszego związku. Okazało się, że Natalia nie jest zagubioną, niewinną dziewczynką. Jest wyrachowaną, dwulicową suką, dla której liczy się tylko szmal. Zorientowałem się niedawno, ale wiem to na pewno, potrafię wyczuć. Nie do końca ufam w te wszystkie jej wywody o moim najlepszym przyjacielu. W sumie to ja znałem go jak nikogo na świecie. Chociaż fakt faktem – Henryk popełnił samobójstwo, nikt go do niczego nie zmusił, nikt go nie zabił. Po prostu tak zdecydował. Niemniej jednak miała na to wpływ, może pośredni, ale zawsze. Póki co, wciąż jesteśmy razem, ciągle mnie to bawi, a ona ciągle mnie fascynuje. Czy to potrwa długo? Raczej wątpię, tego typu historie szybko mi się nudzą. Poza tym, przy niej powinienem być bardziej ostrożny, nie mogę jej nie doceniać. Oto właśnie druga strona medalu.

– Jesteśmy, szefie.

– No to dwie, trzy godzinki wolnego, Zenek. Odpocznij chwilę, zjedz coś, albo poserfuj w Internecie. Chłopaki gadali, że się wpuściłeś w te klimaty.

– Racja, panie Rajmundzie. Moja kobita mówi na mnie siecioholik. Pan dzwoni, jak będzie trzeba przyjechać.

## 7. Fakty, kłamstwo, politycy.

Rajmund niedługo wyjeżdża na parę dni do Hiszpanii, niektórym się wiedzie. Pewnie wpadnie, bo chce się miło pożegnać. Będziesz tęsknił, kotku, obiecuję. Jest ze mną najkrócej, ale lubię go chyba najbardziej. Przystojny, nieprzewidywalny, bystry, autentycznie mnie kręci. Przed nim był Henryk, jego najlepszy przyjaciel, a moja największa porażka. Kiedy przychodził, bezustannie męczyły go wyrzuty sumienia, kiedy wracał do domu, do żony i dzieci, nie mógł wytrzymać z tęsknoty. Pisał, często dzwonił, nie pozwalał o sobie zapomnieć, bywał taki nachalny, że miałam go serdecznie dość, wrzeszczałam na niego jak wariatka. W ramach przeprosin dostawałam kwiaty, całe bukiety. W pokoju hotelowym, który dla mnie wynajmował, rozsypywał płatki róż, a nieraz między nimi znajdowałam pierścioneł czy kolczyki. Był jedynym mężczyzną, który aż tak się we mnie kochał. Nauczyłam się to wykorzystywać. Dzisiaj żałuję, bo czasem zwyczajnie przesadzałam, nie powinnam być aż tak cyniczna.

Tamtego dnia postanowił odejść. Przywykłam do tego jego odchodzenia, powtarzał to w kółko, więc nie potraktowałam go poważnie. Siedzieliśmy u mnie, a właściwie leżeliśmy, a on zarzekał się, że koniec, że nie chce nikogo krzywdzić, musimy przestać, że to grzech i inne takie. Nie miałam zbytnio nastroju do żartów, był poniedziałek, byłam zmęczona, denerwowało mnie jego gładzenie, nie miałam siły tego słuchać. A on gadał jak nakręcony.

– Czemu nic nie mówisz?! Odpowiedz coś! Każ mi zostać! Albo lepiej każ mi odejść! Ja sam nie wiem, ja sam nie potrafię. Ja mam rodzinę, a kocham ciebie. Ja...

– Jestem w ciąży.

Zupełnie nie mam pojęcia, jak i kiedy wypadło mi z ust. Oczywiście kłamałam. Ale przez chwilę przeszło mi przez myśl, że to prawda, nawet poczułam już pierwsze mdłości, bóle w podbrzuszu. Ta wiadomość wstrząsnęła zarówno nim, jak i mną.

– Co powiedziałaś?!

Sekunda zawahania! Kontynuować? Zatrzymać się? Zdecydowałam. Brnę dalej, nie mogę już tego przerwać, na pewno nie w tym momencie.

– Będziemy mieć dziecko.



Zemsta jest słodka. Uwielbiam cię dręczyć, Heniu. Co teraz z twoim kręgosłupem moralnym? Z etyką i kodeksem zachowania? W jaki sposób poinformujesz swoją małżonkę? Jak sobie z tym poradzisz?

– To niemożliwe!

– Nie wiesz jak się robi dzieci? Podobno jesteś ojcem.

Milczał. Przestał się ruszać, wzrok wbity w sufit, ciało ani drgnie. Wściekłam się.

– Wygląda na to, że zbyt mało się nie cieszysz. Może zaproponujesz mi skrobanekę? Pewnie masz znajomego pana doktora, który załatwi wszystko po cichu. Nic się nie martw, Natalia, kochanie. Zajmę się tobą, tylko połóż się tu na trochę, na godzinkę. Ten pan to profesjonalista, wybawi nas z problemu. Nie będzie bolało, obiecuję. Później wyślemy cię gdzieś w jakieś ciepłe miejsce, odpoczniesz, zrelaksujesz się.

Wstał, potem ponownie usiadł. Spojrzał na mnie jakoś inaczej i... uśmiechnął się. Totalnie rozłożył mnie tym na łopatki.

– Jestem szczęśliwy.

Zatkało mnie, dosłownie zaniemówiłam.

– To świetna nowina! Tak! Cudowna!

Podszedł, przytulił mnie i pocałował w czoło.

– Muszę iść. Muszę się zastanowić, poukładać to. Przysięgam, nie będziesz sama, zaopiekuję się tobą.

Stał tak chwilę, cały czas z uśmiechem na ustach, prześwieślał mnie wzrokiem, jakby już dostrzegł we mnie swojego potomka. Przestraszyłam się, że się zorientuje, zauważy, że jestem pusta w środku.

– Kocham cię.

Wyszedł.

Nigdy więcej już go nie zobaczyłam. W nieskończoność odgrywałam w myślach tę scenę. Mogłam go zatrzymać, powiedzieć, że to jedynie marny żart, żeby się nie wygłupiał, przepraszam, już nie będę. Zamiast tego postanowiłam – niech się pomęczy, niech się wreszcie zdecyduje, niech będzie mężczyzną przez duże M, niech weźmie odpowiedzialność. Chciałam mu się przyznać, gdy przyjdzie następnym razem, że sorry, nieporozumienie, test się pomylił, albo lepiej, że poroniłam i to jego wina. Teraz przez ciebie cierpię. Coś wykombinuje, nie ma się czym przejmować.

Miałam zadzwonić, ale nie zrobiłam nic. I będę z tym żyć aż do śmierci. To nie była pomyłka. Zabiłam go! Zabiłam z premedytacją. Jestem morderczynią!

Kiedy przyszła policja, od początku wiedziałam, o co chodzi. Pamiętam jak przez mgłę, usiedli w salonie, jeden wysoki, młody blondyn, drugi starszy, tęgawy. Słowa docierały do mnie jak przez grubą zasłonę. Przez moment wyobraziłam sobie, że spowiadam się ze wszystkiego, wyciągam ręce, a oni zakładają kajdanki, wyprowadzają. Błyskają flesze, ktoś zarzuca mi kurtkę na głowę, żeby nikt mnie nie rozpoznał. Była zbrodnia, musi być kara.

Oczywiście, znowu nie zrobiłam nic. Tylko słuchałam i odpowiadałam, jakbym nie miała serca, jakbym była zimna tam w środku.

- Tak, był moim przyjacielem.
- Nie miałam pojęcia. Przecież to pan był uprzejmy mnie poinformować.
- A skąd ja niby mam wiedzieć? To wy jesteście z policji!
- Co to znaczy „bliskie stosunki”?
- Po co pytacie, jeśli sprawdziliście skrzynkę mailową?
- Nie znam jego żony.
- To nie jest zakazane. Nikt nie jest święty.
- Jakie prezenty, jakie pieniądze? Chyba zwariowaliście.
- Ostatni raz widziałam go tutaj. Tak, w tym mieszkaniu.
- Zostawił list, jakąś wiadomość? Nic?! Nie rozumiem.
- Ile razy mam wam powtarzać?! Był moim szefem, pracowałam u niego.
- Czy mi się wydaje, czy jestem o coś oskarżona?
- Jeżeli panowie już skończyli, spieszę się...
- Nie, nie zamierzam w ciągu najbliższych dni opuszczać miasta.

Wyszli. Boję się. Dlaczego do niego nie zadzwoniłam?! Czemu, kurwa, nie zadzwoniłam do niego?! Dzisiaj wciąż by żył! A może nie? Może był zbyt słaby, może i tak by to zrobił i niepotrzebnie się obwiniam. Na pewno by to zrobił.

Najgorsza była pierwsza noc. Nie mogłam zasnąć, więc się upiłam. Naturalnie mi się przyśnił. Śmiał się ze mnie. Żartowałem – mówił, zdrwiłem z ciebie, masz za swoje. Budziłam się co godzinę i kiedy ponownie zasypiałam, ten sen wracał. Rano byłam padnięta. Później kolejny

dzień, kolejna noc, a ja ciągle nie potrafiłam do siebie dojść. Niby funkcjonowałam normalnie, szkoła, znajomi, zakupy. Ale czułam się jak po drugiej stronie lustra, jakby to było na niby, taki świat z bajki.

Potem pojawił się Rajmund i wszystko powoli zaczęło się układać. Łączą nas popieprzone relacje. Ale co jest proste na tym świecie. Zaakceptowałam to, że nie ma już Henryka, jeśli w ogóle da się to zaakceptować. Jedynie od czasu do czasu, kiedy przypomni mi się jakaś sytuacja, wspólna chwila, wpadnie w ręce stary list, wtedy zdarza się, że kapnie mi kilka łez. I tak naprawdę tyle.

Rajmund spóźnił się jak zwykle o godzinę. Banalne powitanie, błahe gadki, cześć, co tam, nic, gra i buczy, dzień jak co dzień, daj, powieszę ci tę kurtkę, w szkole w porządku, a w pracy super.

Wskoczył pod prysznic, włączyłam głośno muzykę, gdy wrócił, czekałam na niego w łóżku. Bzyknęliśmy się. Fajnie, jak zawsze. Zgasił muzykę i puścił TV.

– Masz jakieś piwo?

Zaniosłam mu, a potem weszłam do wanny, powiedział, że niedługo dołączy. Gorąca, przyjemna kąpiel. Z salonu słychać jakąś debatę rządową, sejmową, czy coś w tym stylu. Normalna rzecz u Rajmunda: albo mecz, albo polityka. Słucham, wyobrażając sobie jak wyglądają. Pierwszy głos podniesiony, mało męski, piskliwy, wyzywający od faszystów, ciemnogrodu, konserwatywnych idiotów. Pewnie jest młody, nieogolony i ma fioletowy krawat. Drugi niski, basowy, dużo starszy, w ciemnym garniturze, przekrzykuje tę czerwoną hołotę, zaćpanych pedałów, satanistów i na pewno morderców nienarodzonych dzieci. Trzeci się jąka, ten na bank jest najgorzej ubrany, stara się wtrącić, chociaż nie daje rady fanatykom, radykałom, populistom, ćwierćinteligentom. Na to głos damski, prawdopodobnie pani redaktor, powinna być ubrana w białą bluzkę i żakiet, i uspokajać, i prosić o profesjonalizm. Pierwszy głos, prawie krzycząc, wyście już byli, złodzieje, nieroby, aferzyści, zdrajcy. Trzeci głos odpowiada – a wy wcześniej byliście również i to przez was, prowokatorzy, warchoły, spiskowcy, destruktorzy.

Drugi głos czuje się upokorzony, nieuczciwie potraktowany, urażony. W tle pani redaktor o kulturze, manierach, ale nikt już nic nie słyszy, ktoś

wrzeszczy ratunku, dźwięk rozbitego szkła, głośne śmiechy, później gromko odśpiewane sto lat przy akompaniamencie orkiestry dętej, ktoś puka do drzwi łazienki i pyta, ile jeszcze skrzynek wódki donieść, bo przecież oni mają takie głowy, że wiaderkami mogliby w siebie wlewać, i co podać na zakąskę, widzi pani, ja ich znam, jak się mocno pokłóca, to mają zajebisty apetyt, jakbyś mi użyczyła sztućców, a najlepiej dużego noża, takiego rzeźnickiego. Jak to dlaczego? Nie mają czym pokroić świniaka, trochę współczucia, panienko, paluchami mają jeść?! Nagle wybuch granatu, odgłosy wystrzałów z broni maszynowej, amerykańscy komandosi wkraczają do studia terroryzując obsługę, huk armat, dźwięk gąsienic czołgu, detonacja min-pułapek, Marlon Brando z *Czasu Apokalipsy*, japońskie modlitwy pilotów kamikadze lecących w stronę Pearl Harbor, Stalin na mównicy, katusze, eksplozja bomby atomowej obserwowana przez marszałka Piłsudskiego na Kasztance, Ziemia wypadająca z orbity zamienia się w wielką jagodę, trafiając wprost do ust trzyletniego chłopca, małego głodomora. Nie jedz nas, głodomorze!

– Co ty, kurwa, zasnąłaś w tej wannie? Tylko się nie utop! Muszę jechać, miałem ważny telefon. Zadzwoń za parę dni. Kasę zostawiłem tam, gdzie zwykle. Weź no mi podaj jakiś numer na Radio Taxi, bo się nie mogę dodzwonić do Zenka.

– Ale miałam sen...

– Co?

Podaję mu cyfry. Dociera do mnie przytłumiony odgłos rozmowy telefonicznej. Słyszę, jak się ubiera, przy skarpetkach mało co się nie przewrócił. Czasem jest taki śmieszny i nieporadny. Ciekawe, kto go tak postawił do pionu.

– Buziaki, lecę.

– Nawet się nie przytulisz?

– Naprawdę muszę spadać. Pa!

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. To palant!

## 8. Stanisław, powrót, trzy wizyty.

Poród zaczął się o trzeciej nad ranem, skończył o dwudziestej trzeciej. Najmocniejsze skurcze pojawiły się koło ósmej. Między nimi mdlałam. Były przy mnie dwie kobiety ze wsi, chociaż i tak nie spodziewałam się, że wuj kogoś wezwie. Pomagały mi bardzo, dawały pić, gdy trzeba było mocno trzymać, masowały brzuch. Powtarzały, że wytrzymam, że dam radę. Nie wierzyłam.

Stanisław przyszedł na świat w ciężkim stanie. Nie dość, że był duży, to jeszcze w trakcie porodu pępowina zawinęła mu się dookoła szyi. Biedactwo, urodził się cały siny i spuchnięty. Nie oddychał. Gdyby nie akuszerki, pewnie by umarł. Zapłakał dopiero po kilku minutach. Dla mnie te minuty były jak wieczność.

– Masz syna, Krysiu, ale marny jest, nie wiadomo, czy przeżyje. Ta noc najważniejsza. Czuwaj nad nim, módl się, może to coś da, teraz wszystko w rękach Najwyższego, nic tu po nas.

Staś uspokoił się, gdy przytuliłam go do piersi. Oddychał płytko, na chwilę spojrzał na mnie, po czym zasnął, niemal od razu. Wyglądał naprawdę źle.

Najświętsza Panienko, ratuj go! Zrobię, czego zapragniesz, zmienię się, nigdy nikogo już nie skrzywdzę, nigdy nie skłamię, nie zejść z drogi. Jezusie Chrystusie, Duchu Święty, darujcie mu, mnie zabierzcie zamiast niego. Ojcze Nasz, Zdrowaś Mario, Kyrie Elejson, Różaniec, prośby, tak w kółko. Tylko co jakiś czas sprawdzałam, czy serduszko bije. Czy aby nie za wolno? Potem jego prosiłam, bądź silny, musisz żyć, musisz się uchować, ja wytrzymałam, ty przetrwaj, dla ojca, on patrzy z nieba. I znowu wracałam do modłów, tak calusienką noc, do białego rana.

Przeżył! Wybłagałam.

Ale co powie wuj?! Przyjął mnie tu, to prawda, a mógł wygnąć. Gdzie ja bym się wtedy podziała? A że ubliżał – miał prawo. Co powie, jak zobaczy mnie z dzieckiem?

Przyjechałam pół roku temu. Brzucha nie było jeszcze widać. Stałam z tobołkiem w drzwiach. Spuściłam głowę. Nie chciałam do rodziców. Już dawno się mnie wyrzekli. Niektóre rany z trudem się goją. On był moim

ukochanym wujem z dzieciństwa. Traktował, jakbym była jego. Rozpieszczał. Wyznałam grzechy, wyznałam, dlaczego, wszystko jak na spowiedzi. Zgodził się, ale nie bez słowa.

– Pod moim dachem hebrajskie nasienie kiełkuje! W Chrystusowym religijnym domu! Żydowskie dziecię! Żeby jeszcze zgwałcili, żeby siłą! Żeby przynajmniej niemieckie było! Nie! Po dobroci się oddała i żyła z nim, jak żona z mężem, jak w poświęconym związku! Co za wstyd! Bóg mnie za to ukarze! Pracować ciężarnej nie wolno, a tu dodatkowa gęba do wykarmienia! Skąd tu brać, no skąd, pytam?! A jak się urodzi i ktoś doniesie? Wystrzelają nas jak kaczkę! Wszyściutko zmarnowane!

Słyszałam to często, szczególnie, gdy się upił. Specjalnie głośno przemawiał, chociaż w rzeczywistości byłam przekonana, że ma dobre serce i włos mi z głowy nie spadnie. Po prostu się martwił. Nie chodziło tylko o mnie. Wychował syna i córkę. Córka była starsza, miała na imię Halina i opiekowała się domem. Zastępowała we wszelkich pracach zmarłą tuż przed wojną ciotkę. Syn Maciej walczył w partyzantce. Czasem, gdy się ściemniło, wraz z oddziałem po kryjomu odwiedzał domostwo. Było naprawdę ciężko. Z całego wielkiego gospodarstwa zostały zaledwie cztery kury i trzy świnie, do picia herbata lipowa, a zamiast kawy prażone ziarna jęczmienia. Na opał zimą poszedł płot i spora część stodoły. Wioska była mała, oddalona od innych, bez drogi dojazdowej. Żyliśmy właściwie wyłącznie dlatego, że pomagali nam leśni. Ale wuj i tak się bał. Zrozum, każdy może wydać, bo każdy wie, powtarzał. A wtedy bój się Panie Boże!

Ja za to zajmowałam się dwiema młodszymi córeczkami Haliny. Jedną dwu-, drugą sześciolletnią. Teraz wszystko miało się zmienić, bo pojawił się Staś. Męża Haliny zastrzelili Niemcy, gdy była w ciąży. Poszedł kiedyś na tory szukać węgla, nieraz znajomi kolejarze zrzucali coś, przejeżdżając przez wioskę. Trafiła go zabłąkana kula jadącego pociągiem pijanego żołnierza. Taki los. Jest jeszcze Lewi, młody Żyd, który ukrywał się w opuszczonej cegielni na wzgórzu. Uciekł z transportu, a wujek i kilku innych dokarmiali go resztkami z resztek.

Nie mam pojęcia, jak postąpić. Przynależałam sobie, że wstrzymam się z tym, aż Stasio się urodzi, ale wciąż się waham. Miesiąc przed porodem przyszedł do mnie dowódca partyzantów, gadają na niego Kmicic. Poprosił

o rozmowę na osobności. Piękna jesteś. Bądź ze mną, a wychowam je jak swoje. Rozważ to, zastanów się. Niewiele mam. Nie mogę nic obiecać, oprócz tego, że pokocham, naprawdę pokocham. Jak swoich potraktuję. Odsuwałam tę chwilę. Mam wątpliwości. Stanisław miał być tylko dla mnie. Miał być moim synem, nagrodą. A jak będzie złym ojcem, a jak będzie bił? Przecież w ogóle go nie znam. No to poznam. Może w końcu szczęście się uśmiechnie, może to dobry człowiek. Da nam jeść, odciążymy wuja. A jak będzie chciał dotknąć? Obiecałam Izaakowi, on spogląda z niebios, jemu jestem pisana. Nie dam rady. Muszę dać radę! Będzie chciał, ani chybi, mówił, zem piękna. Dla dziecka to zrobię. Będę udawać, poświęcę się. Nie zauważy, postaram się, przyłożę. Gdyby tak przyjrzeć się z boku, to wcale nie jest brzydki. Niejedna by się rwała, a wybrał ciebie. Tym bardziej docień. Stasio powinien mieć ojca. Przeżył tę noc, bo się modliłam, bo ślubowałam, bo oddałam siebie w ofierze. Kiedyś mu powiem, czyj jest. Nie, nigdy mu nie powiem! Chyba rzeczywiście lepiej, żeby nie znał prawdy. Wyjedziemy razem, nikt się nie domyśli. I co dalej? Nie można tego ciągle odkładać. Jutro zajrzy, zapyta – i co? Krystyna, zdecyduj się, wojna kiedyś minie. A jak nie? Co jeśli tak będzie zawsze? Nie martw się tym teraz! Trzeba coś postanowić. Nie wolno ci się poddać. Tyle już przeszłaś. Wszystkim ulży, gdy przyjmiesz jego propozycję. Ale na pewno nie Izaakowi. Twój mąż nie żyje, Krysiu. Co ty pleciesz, żyje wiecznie, czeka na mnie. A jak nie ma ochoty czekać? A co jeśli pragnie, żebyśmy już do niego dołączyli? Żebyśmy umarli jak on? Nie jest taki. Zależy mu na tobie. A jak nie wybaczy? Kocha, oczywiście, że wybaczy. Czyli? Czyli rozstrzygnięte. Zgodzę się, gdy przyjdzie.

– Tak!

Ucieszył się.

– Nie będziesz żałować, Krysiu.

Od tej pory leśni odwiedzali nas częściej. Przynosili więcej jedzenia, pieniądze, kartki na żywność, Lebensmittelkarte. Odtąd wuj patrzył łagodniejszym okiem. Narzekał też jakby mniej. Wreszcie traktował normalnie, jak część rodziny. Tak mnie, jak i Stanisława, który rósł jak na drożdżach, chociaż cały czas chorował. Zdrowaśki brzmiały w domu od rana do nocy. Kmicic przestał być Kmicicem, a zaczął być Jerzym. Tata. W

końcu mężem. Ślub dał nam kapelan wojskowy w małym kościółku w sąsiedniej wiosce. Nie było wesela, nikt wtedy nie myślał o takich rzeczach. Mijały dni. Przywykłam. W sumie kawałkiem serca byłam nawet szczęśliwa. Nie bacząc na głód, tęsknotę, zimno.

Chłodny wieczór. Tylko ja i Jerzy w izbie. Zbiera się do wyjścia.

– Ruscy są już bardzo blisko. Mamy nowe rozkazy. Za parę dni wchodzimy do miasta.

– Idziemy z wami.

– Nie ma mowy.

Namawiałam go długo, nie słuchał, bo tam nie jest bezpiecznie, nie będę mógł was chronić, mam za mało ludzi, poza tym zapasy już na wyczerpaniu, wszyscy są zmęczeni i głodni.

– Muszę się rozstać z przeszłością. Pozwól mi. Proszę.

Wreszcie się zgodził. Pożegnałam się z wujem i Haliną, ruszyliśmy. Zabraliśmy ze sobą Lewiego. Jerzemu brakowało ludzi, a Lewi mimo wychudzenia i osłabienia palił się do walki. Wróciłam do Miasta tą samą drogą, jaką z niego wyszłam – podkopami. Getto nie było już takie samo. Było puste. Żydzi odeszli. Jerzy i jego oddział robili teraz prawdziwą czystkę. Wyróżniał się Lewi, który okazał się urodzonym żołnierzem.

– Szkoda, że cię wcześniej z tej cegielni nie wyciągnęliśmy. Żyd, ale prawdziwy zuch!

Tego dnia, gdy przyszedł Adam, to był wyjątkowy moment, bo właściwie nie zdarzało się, żebym zostawała sama ze Stasiem. Jerzy dał mi broń. Najpierw odmówiłam, ale nalegał. Zabierz to, weź, tak na wszelki wypadek. I wzięłam. Ale jak on się domyślił, że tu jestem? No skąd? Mogłam go zabić. Chciałam go zabić. Chciałabym dostać jeszcze jedną szansę, żeby móc go zabić. Jeszcze raz wziąć go na muszkę i nacisnąć spust. Najlepiej w nieskończoność, naciskać i naciskać. A ja dałam mu odejść. Wzięłam zawiniątko i zatrzasnęłam drzwi. Widziałam przez okno, jak ucieka. Później dowiedziałam się, że go złapali. Lewi wykonał wyrok. Gdy zdał sobie sprawę, kogo zabił, posmutniał.

– Życie jest za krótkie. Nie starczy mi czasu, żeby ich pomścić. To niesprawiedliwe. Wolałbym męczyć ich wszystkich latami. Powoli



wykłuwać gały, wrywać paznokcie, łamać nogi, upuszczać krwi, odcinać przyrodzenia, skalpować, gwałcić. Nie starczy czasu.

– To nie jest sprawiedliwe – powtórzył.

Dopiero po dwóch dniach odważyłam się rozwinąć pakunek. W środku błyszczał nóż. Stasio zasnął, Jerzy gdzieś wyszedł na chwilę. Byłam sama w domu. Twarz odbita w ostrzu nie wyglądała jak moja. Izaak miał go w ręce, gdy zginął. To on. Z nim.

Chwytałam gołą dłonią za rękojęść i zacisnęłam mocno powieki. Przełącz, tunel. Pierwszy raz po tamtej stronie:

Leżę w łóżku obok Izaaka. On śpi. Czuję jego zapach. Żyje! Jest odwrócony do mnie plecami. Delikatnie odsunęłam kołdrę i wstałam. Obeszłam łóżko. Przyjrzałam mu się z bliska, głaszcząc jego włosy. Mruknął i przekręcił się na drugi bok, odpychając mnie. To był prawdziwy dotyk.

Upuściłam nóż i otworzyłam oczy. Znalazłam się z powrotem w swoim w pokoju. Spociłam się. Łzy w oczach. Upadłam na kolana. Co to jest? Co to za przedmiot? Dzięki niemu Adam... O co tu chodzi?

Podniosłam go ponownie. I ponownie mocno złapałam. Drugi raz:

Szpital. Stasio przypięty pasami do łóżka. W nos i usta powpinana jakaś aparatura. Jest nieprzytomny. Siedzę na krześle, przysunięta do niego. Płaczę. To on, chociaż starszy. Może mieć dziesięć, jedenaście lat.

Rozsunęłam palce.

Wróciłam.

Bardzo szybki oddech. Ślina wypływa z ust i kapie cicho na podłogę. Suchy, duszący kaszel. Jestem przerażona. Kładę go na stole. Chodzę od ściany do ściany. Zatrzymuję się na moment. Pomyśl! Jaki to ma sens? Jak to działa? Dlaczego mi to przyniósł? To na pewno zło. Szatańska materia. Odłóż. Schowaj. Albo nie, zakop. A jak ktoś znajdzie i wykorzysta? Zastanów się! Ale mogę z nim być. Wrócić do niego. Kochać.

Wzięłam go i oburącz uniosłam nad głowę. Dopiero wtedy przymknęłam powieki. Trzeci raz:

Stoję przed wejściem do sklepu tekstylnego i udaję, że obserwuję wystawę. Jestem w getcie. Czekam na Izaaka. Za chwilę się spotkamy. Za chwilę zakocham się w nim. Wystarczy, że na mnie spojrzy. Nie pamiętam już, z

której strony przyjdzie. Denerwuję się. Nogi jak z waty. Wreszcie idzie. Wygląda pięknie. Mój mężczyzna. Zatrzymał się, przekręcił głowę lekko na bok, uśmiechnął się i podszedł.

– Krystyna?

– Witaj, Izaak.

Nigdy nie byłam taka szczęśliwa.

## 9. Pobudka, portret, ławka.

– Wstawaj, dziadku! Obudź się! Alarm!

Oj, Aniołeczku, środek nocy, daj pospać.

– To nie żarty, dziadku. Dziś jest ten dzień. No już! Ruszaj się!

Na pewno dzisiaj? Nic ci się nie pomyliło? Może spojrzales źle w kalendarz? Może tylko coś ci się przyśniło? Nie, to chyba jakieś nieporozumienie. Poplątales wszystko, Aniołeczku, odpuść mi, ciemno za oknem, zimno jak diabli. Daj odpocząć starszemu człowiekowi, nikomu nie ubędzie, jak sobie poleżę jeszcze dwie godzinki.

– Czy ty mnie nie słyszysz? No ile mam powtarzać?! To już, teraz! Czas na ciebie. Skarb musi ujrzeć światło dzienne. Przeznaczenie się wypełnia, dziadku. I wiesz co? Wiesz co? Nie wolno ci już tego odwlekać. Dlatego nie wykręcaj się i nie kpij ze mnie!

Dobrze już, dobrze, wstaję. Czyli mówisz, że to dzisiaj. Ciekawe, bardzo ciekawe. Wobec tego już się zbieram. Umyję się w umywalce, garnitur w szafie, ten w kratkę, dawno przygotowany, koszula tak samo, uczeszę się, ogolę, najem mocno i w drogę. Do schowka zajrzę, odkurzę cudeńko. Już się biorę do roboty. Odwinę dywan, wyciągnę cztery deski i mam. Co tu jest poza tym? Ciekawe. Pierścioneł i kolczyki mojej lubej, złote obrączki. Pamiętam jakby to wczoraj było, jak jej na palec zakładałem. Pamiętam łzy w jej oczach, gdy wyznaje, ja, Maria, ślubuję tobie. Aj, jaki byłem zachwycony! Na początku, jasne, ciężko się żyło. Później, mieszkanie po Irene – babci mojej Marii. Nasz wspólny kął, trzydzieści metrów, pokój z kuchnią. Nigdy wcześniej tam nie bywałem, nie widziałem. Ostrzegala – nie będziesz zadowolony, klitka, trzeba zacząć od porządnego remontu, nie będzie ci się podobać. A gdy tam wszedłem, dosłownie rozłożyło mnie na łopatki. Spodziewałem się rudery, a byłem urzeczony. Tu mieliśmy zbudować nasze gniazdko, prawdziwy dom, szczęście na lata. Mam przed oczami chwilę, kiedy pierwszy raz zostałem z nią sam, spędziłem noc. Nie miałem pojęcia, jak się zachować, do tej pory zawsze był ktoś z boku, na innym łóżku, w drugim pokoju, w łazience, w kuchni, ścianę obok. A tu w końcu sami, marzenia się spełniły. Całowałem ją długo, bałem się dotknąć, żeby nie skaleczyć, nie zranić, wołałem czekać, oddychać wspólnie.

Czytywała mi wiersze. Najbardziej lubiła Leśmiana. Ja próbowałem zarazić ją Stachurą, rozmawialiśmy, spieraliśmy się. Nieraz pytała przed zaśnięciem:

– A jak mnie kochasz, jak kochasz, mój miły? Jak kochasz?

– Kolorem uczucia, gdy graniczysz, tęczę oddechu, gdy zapraszasz, tonacją czerwieni łączenia, odmianą subtelności.

Śmiała się.

– Ładnie. Mów mi więcej. Nie zasypiajmy, mów, nie przestawaj.

Gasilem światło, wydobywałem z siebie głos, starałem się, a ona słuchała i nic prócz tego nie było nam potrzebne.

– Czemu mnie nie chcesz namalować?

– Nie mogę. Nie powinienem. To nie jest łatwe do wytłumaczenia. Dostałem dar i wydaje mi się, że on czasem może być niebezpieczny. Nie mogę przenosić na obraz ludzi, których kocham. Pędzlem tworzę inny, równoległy świat. To miałoby wpływ na nasze życie. Nie mogę cię namalować. Zrozum mnie. Tak będzie lepiej.

– Tworzysz świat, czyli jesteś jak Bóg?

Skrzywiłem się.

– Nie, skąd! To bluźnierstwo, ja tak nie myślę, nawet nie chodzi o skromność. Wiesz, artysta malarz to da Vinci, van Gogh, Picasso, Rembrandt, Klimt, Monet, Dali, Bruegel i inni im podobni. Oni byli jak herosi, a ja jestem zwykłym rzemieślnikiem, śmiertelnikiem. Oni ciągle żyją, istnieją, trwają wiecznie. Od nich najbliższej do Boga.

– Ale ja nie chcę, żeby oni to robili. Chodzi mi o ciebie. Tylko ty umiałbyś mnie uchwycić w ten właściwy sposób, bo tylko ty mnie znasz, tak naprawdę tylko ty. Nikt inny.

Wyglądała, jakby się droczyła, nie była zła, prowokowała mnie.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę, kochana. Ale nie w tym rzecz. Przenosząc coś z ciebie, mógłbym nieświadomie bezpowrotnie zabrać jakąś ważną część, okraść cię z czegoś, a tego bym nie przeżył. Ja pragnę, żebyś zawsze była taka jak teraz, w tej chwili. Niezmieniona. Zawsze i na zawsze.

– Nie do końca wszystko pojmuję, mój miły, ale mów dalej, ciekawie opowiadasz.

– Widzisz, często mam wrażenie, że gdy włożę w obraz całe swoje serce, włożę uczucia, żar, wzruszenie, żądze, zapał, pasję, poryw, uniesienie,

entuzjazm, pomieszam wszelkie emocje z kolorami, wtedy rodzi się nowa rzeczywistość, powstaje nowa historia, nowy świat. Malowidło zaczyna funkcjonować samo, niezależnie ode mnie, od ciebie, od kogokolwiek. Przekształca się tonacja odcieni, przesuwają się perspektywa, być może gdzieś za kadrem pojawiają się kolejne postacie, kolejne wsie, miasta, państwa. Może nawet jest tam w środku kolejny artysta, tworzący kolejny kosmos. Czasem wydaje mi się, że ukradkiem, w tajemnicy, niepostrzeżenie można to podejrzeć, można śledzić, jak się toczy, jak się rozwija.

– A co jeśli to my jesteśmy elementem jakiegoś fresku, jakiegoś szkicu? Co jeżeli nas ktoś podgląda? Nie przeraża cię to? Bo mnie aż ciarki przechodzą jak o tym pomyślę.

– Pewnie dlatego, że ci zimno. Żebyś się tylko nie przeziębiła.

Wspólna przyjemna radość. Objąłem ją mocno, przykryłem ciepłą kołdrą.

– Kocham cię, wiesz o tym – powiedziała.

– Wiem.

Mam takie piękne wspomnienia, Aniołeczku. Nikt takich nie ma, każdy powinien mi zazdrościć.

– Ale się dzisiaj guzdrzesz, dziadku. Przestań żyć wyłącznie przeszłością. Właśnie nadchodzi dla ciebie najważniejszy okres. Skup się, przecież masz świadomość, że jesteś wybrańcem. Bardzo wiele od ciebie zależy, nie wolno ci zmarnować szansy. Losy tej ziemi, losy twoich dzieci, w tej chwili ty za to odpowiadasz. Musisz ich ratować. Najpierw twoja córka, ona jest najważniejsza. Nie masz wyboru. Idź już.

Rozumiem, Aniołeczku, rozumiem zupełnie. Już się zbieram. Jeszcze buty założę, dziurawe. Deszcz pada, ale wytrzymam. Już biegnę do niej, do mojej landrynki. Tak na nią mówiłem, jak była malutka. Kiedy to ja z nią ostatnio rozmawiałem, przytulałem, nie pamiętam, dawne dzieje. Już jest dorosła, czas tak szybko leci. A wtedy, tak długo żeśmy się starali i nic. Tyle lat! Marysia całe dni w kościele prosiła Najświętszą Panienkę, aż w końcu się udało, jej modły zostały wysłuchane. Źle się czuła w ciąży, ale urodziła szybko, bez problemów. Syn, ukochany, upragniony. Syn. On był na początku. Później już się nie zastanawialiśmy, życie pędziło, w domu jednak, Polska się zmieniała, Solidarność, Wałęsa, transformacja i nagle płacz, łzy, szloch! Dowiedziałem, że znowu będę ojcem. Znowu, a już

przywykłem do myśli, że nic z tego nie będzie. Synuś w drugiej klasie podstawówki. Tu komunia, a tu chrzciny niedługo. Człowiek odwyknął od pieluch, wstawania po ciemku, nocnika, spacerów z wózkiem, a ona płakała z radości, ja też, nie wolno kryć w sobie takich rzeczy. Urodziła się córeczka, taka ładna, spokojna, duma dosłownie mnie rozpierała. Parka, chłopczyk i dziewczynka. A teraz, odkąd cię brakło, odkąd odeszłaś, Marysiu, straciłem ich. Nie potrafiłem się pogodzić z tym, że cię nie ma, zacząłem pić, a oni mnie zostawili. Moje dzieci nie chcą mieć ze mną nic wspólnego. W sumie to się nie dziwię, mają rację. Ja tak tęsknię, ale nie mam prawa się wtrącać, oni mają swój świat. Dzisiaj wszystko jest inaczej, dzisiaj są w wielkim niebezpieczeństwie, trzeba im pomóc, koniecznie. Schowek już pusty, skarb w bocznej kieszeni płaszcza. Doskonale wiem, gdzie mieszka, moja kochana, nieraz przychodziłem, zaglądałem w jej okna, wyrosła na taką dojrzałą kobietę. Uroda po matce, śliczna jak z bajki. Nikt by nie uwierzył, że ona ze mnie, kość z kości. Kto by przypuszczał?!

Przyszedłem, dotarłem pod blok. Jestem, Aniołeczku, co dalej?

– Ukryj się, dziadku. Usiądź gdzieś na ławce. Pełno ich tu wszędzie, znajdź sobie którąś na uboczu i czekaj. Wybierz taką, żebyś miał dobry widok na drzwi wejściowe do korytarza. Musisz czuwać. On zaraz przyjedzie, przepuść go, gdy będzie szedł.

Widzę. Właśnie podjechał samochód, wysiadł i wchodzi do niej, jakby była jego własnością, a przecież jest niewiele młodszy ode mnie. Nie pozwolę na to! Dorwę go, skurwysyna, zanim tam wejdzie!

– Nie! Stój, dziadku! Cierpliwości! Jest jeszcze dzień, wszędzie mnóstwo ludzi, ktoś mógłby przeszkodzić, mógłby cię zatrzymać. Poza tym on nie jest sam, jest z nim kierowca. W nocy będzie wracał, po ciemku, w dodatku bez żadnych świadków. Idealna sytuacja, żeby to zrobić szybko i skutecznie. Uda się, bez wątplenia, tylko posłuchaj mnie uważnie. Uspokój się, odsapnij, rozluźnij na moment.

Dobrze już, dobrze. Ale gdy pomyślę, że on tam z nią na górze, on z nią! To krew mi się w żyłach ścina, nie potrafię usiedzieć, głowa się gotuje, buzuje jak woda w czajniku. Zrozum, nie mogę tego znieść, to silniejsze ode mnie. To moja córeczka, kiedyś mieściła mi się na dłoni, a w tej chwili z nim, z tym zerem, niemożliwe, to nie może być prawda!

– Wytrzymasz, dziadku. Wierzę w ciebie. Zresztą to nie potrwa długo. Po prostu przestań się nad tym zastanawiać. Najwyżej wróc do wspomnień, cofnij się do własnej historii, przynajmniej spróbuj.

Jak zwykle masz rację, Aniołeczku. Przeszłość, kiedy dzieciaki były małe, wycieczki do lasu, wyjazdy nad rzekę, wszystkie święta, choinka, Mikołaj, prezenty, Marysia, urodziny, imieniny, przelatują przed oczami, przyjemny kalejdoskop. Nawet nie wiem, kiedy zaszło słońce, chodniki się wyludniły, ulice opustoszały.

– Teraz, dziadku! To on! Zaświecił światło na klatce. Schodzi na dół!

Zabiję sukinsyna. Wybiła jego godzina. Ubiję jak psa! Już jest! Niech się odwróci, niech zobaczy, kto go ukarze. Muszę go zawołać. Niech się odwróci.

– Przepraszam, szanowny pan Rajmund?!

## 10. Kolacja, NK, zakłęcie.

Natalia poszła wziąć kąpiel. Ja ułożyłem się nago na sofie i popijając piwko oglądałem telewizję. Bajka. Chociaż wciąż przeszkadza dźwięk wibracji mojego telefonu. Ktoś ciągle męczy, ale pierdolę, nie wstaję. Zresztą to na pewno Justyna, tylko ona potrafi tak dzwonić bez sensu. Ta kobieta chyba nigdy nie załapie, że jestem zajęty i zwyczajnie w świecie nie mogę odebrać. Wyciągnąłem go w końcu z kieszeni spodni. Czternaście nieodebranych, oczywiście wszystkie od niej. Oczywiście, kurwa!

– Halo!?

– No nareszcie! Szukam, martwię się, a ty nie dajesz znaku życia.

Tłumaczę jej, że nie byłem w stanie, interesy. Pytam, czy coś się stało. Ona się nakręca. Czekala, aż to powiem i zaczyna to swoje: stęskniłam się, misiaczku, chciałam usłyszeć twój głos, rozpadało się i posmutniałam, normalnie wzruszyła mnie twoja historia. Musiałem się mocno powstrzymać, żeby nie parsknąć śmiechem. Zamiast tego:

– Mam jeszcze dzisiaj trochę roboty, ale niedługo zwijam manatki i spadam, bo już naprawdę konam ze zmęczenia. A co u ciebie? Jakies plany na wieczór?

– Tato zaprosił mnie znowu na kolację, ale skoro jesteś taki zapracowany... Bez ciebie nie mam ochoty iść.

Okazuje się, że to jednak dobrze od czasu do czasu sięgnąć po telefon. Mało brakowało, a ominąłby mnie bankiet z tatusiem–ministrem skarbu, z prezydentem miasta i przypuszczalnie z wszystkimi grubymi rybami z okolicy. Czemu ja nic o tym nie wiem? Czemu zawsze dowiaduję się ostatni? Przecież nie może mnie tam zabraknąć. Więc zmieniam zdanie i powoli staram się ją przekonać, że w zasadzie to nie jest zły pomysł i chyba rzeczywiście powinniśmy trochę odpocząć, zrelaksować się wspólnie. Jasne, malutka, czyli jesteście umówieni. Chwila odpoczynku przy małym drinku na pewno nie zaszkodzi. Zresztą nie ma mowy, żebym puścił cię tam samą, wcale nie jestem zazdrosny i nie śmiej się ze mnie, okej? W sumie nie jest aż tak późno, najpierw wpadnę do domu, przebiorę się, odświeżę.

– Zgoda, kochanie.



W łazience zastałem śpiącą w wannie Natalię. Piękne ciało. Mogę z tobą zrobić, co zechcę. Mógłbym cię tu utopić, wystarczy jeden ruch, przytrzymać na moment, nie zdążyłabyś się obronić, wyglądałoby to na wypadek, posprzątałbym po sobie, żadnych śladów, tylko po co? Łapie ją ręką za szyję, ocknęła się, słodki uśmiech.

– Niestety, muszę jechać, ślicznotko.

Jeszcze mała prośba o numer na taksówkę, bo Zenek nie odbiera, a miał być pod telefonem, ten gość doprowadza mnie do szału. Doigrasz się, wywalę cię na zbity pysk, zobaczysz. Natalia rzuca cyframi. Dzwonię, podaję adres, pytam, kiedy będzie.

– Już wysyłam.

Mam na końcu języka serię przekleństw lecących w kierunku idiotki po drugiej stronie, na sto procent pustej blondyny, ale w ostatniej chwili gryzę się w język. Jest zimna noc i nie uśmiecha mi się stać pod klatką i czekać do północy na samochód, bo nie wiem, skąd pani wysyła do mnie ten pojazd, być może z Grenlandii, być może z Dakoty Południowej, a może z oddalonego o pięćset metrów postoj. Ja tego nie wiem! Wymagam bardziej sprecyzowanej informacji, mam ochotę stąd wyjść i od razu wsiąść do ciepłego auta. Co się z tobą dzieje, człowieku?! Taka błahostka jest cię w stanie wyprowadzić z równowagi? Wyluzuj! O co ci chodzi? Jesteś jakiś rozdrażniony.

– Kurwa!

Potykam się, prawie przewracam. Uspokój się, dobrze?! Wchodzę do Natalii, prosi mnie żebym został, przytulił. Dziewczyno, zastanów się, przecież leżysz w wannie, zaraz byłbym cały mokry. Buziaki, lecę, było rewelacyjnie. Odezwę się. Otwieram drzwi i nie daję rady przekroczyć progu, coś mnie hamuje, przeczucie, jakby ktoś mówił, nie idź, zawróć. Nie ustępuję, nie poddaję się i wychodzę. Na klatce schodowej słyszę damskie śmiechy, piski, wygłupy. Okazało się, że na półpiętrze trzy nastolatki zrobiły małą imprezę. Kiedy mnie zauważyły, przycichły, chowając za siebie butelkę wina. Wyglądają jak aktorki z filmów dla młodzieży, brunetka, blondynka i ruda. Dzieciaki. Trochę w nich lolitek i kokietek, prawdopodobnie już niedługo wyrosną na piękne kobiety, ale jeszcze nie teraz, jeszcze parę lat. Oj, kiedyś też byłem w tym wieku. Hormony wciąż buzowały, liczyło się

tylko jedno, codziennie, od rana do wieczora – w końcu zaliczyć! Pamiętam to jak dziś! Mogła być paskudna, stara, gruba, nieważne. Ważne, żeby zaliczyć! Gdy jeździłem autobusem do szkoły, gdy szedłem do kina czy do kawiarni, gdy włączyłem się bandą po mieście, myślałem wyłącznie o tym. Bez przerwy ocenialiśmy dziewczyny. Te, z którymi byś poszedł i te, z którymi byś nie poszedł do łóżka, z tą gdyby mi zapłacili, z tamtą nie ma mowy, nawet za milion. Z tą mógłbym chodzić, ta jest super, Najwyższa Kategoria, NK. Ciągłe zabawy w rankingi, od najładniejszej do najbrzydszej. Moja ulubiona gra w wybieranie najfajniejszych lasek spotkanych po drodze ze szkoły do domu, czyli małe wybory miss, w których trzeba było szybko oceniać i klasyfikować kandydatki, niebieska sukienka – pierwsze miejsce, czerwone okulary tuż za nią, warkocz trzecie, o, uwaga! Wysoka z zadartym nosem w chuście wskakuje na drugie miejsce, czyli warkocz wypada z podium, kurde! Afro z pieskiem z olbrzymią przewagą wysuwa się na czoło stawki, wysoka niespodziewanie traci szansę na dobry rezultat. Potrafiłem tak całą drogę do domu. Byłem bardzo zadowolony, gdy udało mi się znaleźć w tłumie trójkę NK. Pełne podium NK! Mam dzisiaj szczęście – mruczałem pod nosem. Wyobrażałem sobie, że któraś z nich jest moją dziewczyną, że spacerujemy razem po parku, chodzimy przez miasto, a wszyscy kumple mi zazdroszczą. I w kółko pytają, czy już się pieprzyliście, jaką ma minę, gdy się całujecie, jaką nosi bieliznę, koronkową, czy zwykłą, co na to jej ojciec, chyba nie jest zachwycony, czy jak u niej siedzisz zamykacie drzwi, czy ma tam włosy, pozwoliła ci popatrzeć, dotykała się przy tobie, może cykniesz jej zdjęcie, może masz już jakieś, była dziewicą, widziałeś krew, ma siostrę albo koleżankę, pokazywała ci jak sika, chrapie, puszcza bąki, kto rozpina stanik, ty czy ona? A ja im odpowiadam, dajcie spokój gówniarze, jesteście śmieszni i nic nie wiecie o miłości i kobietach, i oni mi przytakują, masz rację człowieku, super gość z ciebie i tak dalej. Kiedyś wytłumaczę wam, jak się to robi, jak się postępuje z płcią piękną. Oczywiście taka sytuacja nie miała nigdy miejsca. Dopiero jak się dorobiłem, jak już było mnie stać na więcej, zacząłem sypiać z prawdziwymi NK. Natalia jest NK. Justyna niestety nie jest. Gdybym był znowu nastolatkiem, te trzy laseczki, które właśnie minąłem, też zaliczyłbym do NK. Czyli cztery razy NK – czeka mnie wielkie szczęście.

– Sorki, masz ogień? – spytała blondynka.

Zatem niewiele się zmieniło od czasów mojej młodości. Dzieciaki wciąż jarają szlugi, żeby wyglądać na trochę dojrzałe.

– Nie mam. Nie palę.

– To się, kurwa, naucz! – wyrwało się rudej, jednocześnie wywołując głośny aplauz towarzyszek, a mnie wpieniając już prawie do granic wytrzymałości. Zatrzymałem się. Wiem, że nie powinienem, przecież to nie ma sensu.

– Mam zadzwonić po straż miejską albo policję? Zwiną was na dołek, to się odechce melanży do końca życia!

– Mam, kurwa, zawołać kolegów spod trójki?! To się odechce zaczepiać samotne panienki po nocy! Mój chłopak lubi tępić takich ładniusich! Dwa słowa i będziesz, dziadku, na wózku jeździł. Do końca życia! – wystrzeliła tym razem czarna.

Zamknij się już! Nic nie mów! Uwierz im i znikaj stamtąd. Nawet kroki zacząłem stawiać ciszej. Przekląłem soczyście pod nosem, otworzyłem drzwi i wyszedłem na zewnątrz, byle dalej.

– Przepraszam, szanowny pan Rajmund?

– O co chodzi?

Odwróciłem się i zobaczyłem idącego w moją stronę niezwykle postawnego starszego pana. Chwila. Jak to? Skąd ten facet mnie zna?! Czyżby taksówkarz tu po mnie przyszedł? Niemożliwe. Kto to jest? On coś niesie w ręku. To chyba... nóż!

Pierwszy cios od razu pozbawił mnie świadomości. Upadłem jak długi, kompletnie zamroczony, jakby ktoś wyłączył mi prąd. O dziwo, było to uderzenie pięścią. Trafiło mnie z chirurgiczną dokładnością prosto w skroń. Ten człowiek dysponował nadludzką siłą. Potem przekręcił mnie na brzuch, usiadł na plecach, lewą ręką łapiąc za włosy podniósł głowę i przechylił mocno do tyłu.

– Czyli to ty robisz brzydkie rzeczy mojej córce?! – powiedział głośno. Byłem nieprzytomny, ale pomimo tego jakąś żywą jeszcze część umysłu z niesamowitą precyzją rejestrowałem całość postępujących po sobie wydarzeń.

– Jestem jej ojcem, a ciebie teraz spotka kara. Umieraj!

Przyłożył ostrze do mojej szyi, wbijając je delikatnie kilka milimetrów od grdyki.

– Już nikt więcej przez was nie zginie! – dorzucił.

Te słowa zadziały jak zaklęcie. Już kiedyś je słyszałem. Tak! Na pewno. Tylko kiedy? Zaraz, zaraz. Okupacja, esesmani, Żyd trzymający ten sam sztylet, strzały, krew, niemieckie wyzwiska. Powoli zaczynam rozumieć, powoli coś się klaruje, brakuje mi jedynie klucza, którym to wszystko połączę.

Już wiem! Wyjaśniło się!

Nóż zatrzymał się, nieznacznie zatopiony w moim ciele. Jestem o krok od śmierci. Mój napastnik zastygł, zwyczajnie przestał się ruszać.

– Nie mogę, Aniołeczku! – wyszeptał. – Nie dam rady, nie jestem mordercą. Nie, Aniołeczku! Przebac mi, ale nie!

Potem podniósł się wolno i stanął nade mną, Wiem, że odwleka decyzję, że niemal gotuje się w środku. To trwa i trwa w nieskończoność. Walczy ze sobą, chwieje się na boki jak wahadło zegara, a jego dłonie drżą, pełne napięcia. Wystarczy mały impuls i zgasną. Nie modłę się. Nie wspominam. Nie żegnam z bliskimi. Kawalki mojej historii nie przelatują mi przed oczami. Jest wyłącznie tu i teraz. Ta chwila. Zmysły pracują na najwyższych obrotach, mimo że wciąż jestem nieprzytomny. Szukają nadziei. Łakną jej.

I znalazły.

W dźwięku upuszczanego noża. Gdy wstał, rozejrzał się i odszedł w pośpiechu. W coraz dalszych i szybszych krokach. W przyjemnym zimnie chodnika.

– Przeżyłem! Czyli jednak mam dzisiaj szczęście – powtarzam w kółko w myślach.

## 11. Omija mnie, to nie on, pudełko.

Zaraz po wyjściu Rajmunda wyskoczyłam z wanny. Jest jeszcze w miarę wcześnie, czyli powinnam spokojnie zdążyć na urodziny Patryka. Muszę tylko zrobić maseczkę, pomalować paznokcie u stóp, wybrać ciuchy na wieczór, wyprasować je, zrobić makijaż, uczesać się i już będę gotowa. Mam dużo czasu.

Opuściłam rolety i włączyłam muzykę. Uwielbiam stary jazz. Miles Davis – *Aura*, nic dodać, nic ująć, znam każdą nutę, każdy najdrobniejszy dźwięk, dosłownie odpływam, puszczam ją głośno, aż ściany drżą. Sąsiedzi na bank znowu mają dość, ale nic mnie to nie obchodzi. Ta trąbka przenosi mnie w inną rzeczywistość. Rzeczywistość, w której wszystko mnie omija.

Omija mnie impreza nastolatek, omija mnie widok ciosu nokautującego Rajmunda. Nie widzę, jak leży samotnie, ledwo dysząc. Nie widzę pani spod czwórki, przeganiającej podpite podlotki, przy okazji przeklinającej mnie za nieznośne hałasy, kocią orkiestrę i murzyńskie kwiki, bo przecież normalni ludzie czegoś takiego nie słuchają. Nie docierają do mnie krzyki, gdy znajdują leżącego pod drzwiami prawie nieboszczyka. Boże, będzie na mnie, przed chwilą mu groziłam, ale my jesteśmy niewinne, nie można go ruszać, nóż cały we krwi. Zadzwońcie na pogotowie! Nie słyszę sygnału karetki, która przyjechała w trzy minuty od przyjęcia zgłoszenia. Nie słyszę policjantów, rozglądających się, oceniających, czy ktoś go rozpoznał, rysopis, w co był ubrany, w którą stronę pobiegł. Nie dostrzegam tłumu gapiów, którzy zgromadzili się mimo późnej godziny, chłodu, mimo tego, że nikt nie wie, co naprawdę się stało, starych bab snujących domysły, to pewnie kochanek tej laluni, co księdza nie wpuszcza, tej bezwstydnicy, kiecka taka, że majtki na wierzchu, rzuca uroki na chłopów i tyle, czarownica gadam pani, oni przez takie dosłownie głupieją. W końcu nie mogę przyjrzeć się Rajmundowi, którego okrutnie bolą zębra, któremu wydaje się, że właśnie przechodzi metamorfozę, że przestał być Rajmundem i jest już kimś innym, potężniejszym, a to dopiero początek, tymczasem krok po kroku nadchodzi ważniejsze.

– Niech pan usiądzie, ale pomalutku, nie szkodzi, że lepiej się pan czuje, jedziemy do szpitala. Przedtem jednak panowie z policji mają kilka pytań.

– Rozumiem, że to pana dokumenty. Jak to się stało, panie Rajmundzie?

– Zaatakował mnie, gdy wychodziłem, zawołał po imieniu, uderzył, później dźgnął nożem, nie mam pojęcia, skąd mnie znał, tak, wychodziłem od niej, sekretarka, pracuje dla mnie. Powiedział, że jest jej ojcem, tak – jej ojcem, silny i wielki chłop, nóż, mógłbym go obejrzyć? Bliżej, mógłbym go dotknąć? Przepraszam, trochę mi się kręci w głowie, a co teraz będzie z tym nożem? Jakby pan na chwilę wyciągnął go z woreczka. Nie wiem, czemu to zrobił, nie wyglądał na normalnego, gadał do siebie, nie, nic mi nie zginęło, komórka, portfel, klucze też są, już w porządku, dziękuję. Chciałbym jeszcze rzucić okiem na ten nóż. Nie, nie zwariowałem, zadzwońcie do komendanta, to kolega, on wam wyjaśni.

Nie słyszę, jak każą się rozejść, jak odjeżdża karetka, jak ludzie powoli odchodzą. Nie słyszę telefonu, domofonu, nie słyszę pukania, nie słyszę dzwonka do drzwi, powietrze wibruje, to Niels–Henning Ørsted Pedersen i jego świdrujący kontrabas w numerze *Indigo*. Nic do mnie nie dociera. Tańczę nago, szalejąc po pokoju, po kuchni i sypialni. Wskakuję na łóżko, turlam się po zimnej podłodze. Obserwuję w lustrze swoje półdzikie ciało. Serce bije coraz szybciej, oddech przyspiesza, krople potu zwilżają moje włosy. To ta muzyka. Jest jak narkotyk, budzi we mnie pierwotne instynkty. Wchłaniam ją, a ona wchłania mnie. Stajemy się jednością.

Bardzo ciężko było wrócić do realnego świata, nie miałam ochoty, tak było idealnie. Usłyszałam dopiero walenie pięścią w drzwi policjanta, któremu Davis podniósł ciśnienie do niebotycznych, nieomal nieobliczalnych rozmiarów. Musieli poczekać, aż się ubiorę, przyciszę, aż się wylegitymują, wytłumaczą, z jakiego powodu, po co, dlaczego. Weszło ich do mnie aż czterech. Najstarszy był tu już wcześniej w sprawie Henryka, pamiętał mnie.

– No i znowu się spotykamy, droga pani. I coś mi się wydaje, że to nie będzie nasza ostatnia wizyta.

Rozłazą się jak karaluchy, rozglądają się i węszą, czuję tanią wodę kolońską, wódkę i papierosy. Stoję i słucham. Oni już wydali na mnie wyrok, już wiedzą wszystko, bo wystarczy na mnie spojrzeć. Starają się w każdym geście okazać pogardę. Jestem dla nich zwykłą, nic nie wartą dziwką, gorszym gatunkiem *homo sapiens*, mniej niż nikim.

Po chwili najmłodszy z nich zaczyna opowiadać o tym, co mnie ominęło. Moje ucho zewnętrzne wychwytyje fale dźwiękowe, kierując je na błonę bębenkową, a stamtąd do ślimaka, w którym przekształcane są w impulsy nerwowe. Nie wierzę w żadne słowo.

– To niemożliwe, żeby to był mój ojciec. To jakaś pomyłka. Nie widziałam go już od ładnych paru lat. Jest niegroźny. To na pewno nie on. Odbiło mu po śmierci matki. Nie mógłby tego zrobić.

– Nie słyszałam, żeby miał się gdzieś wyprowadzać, więc raczej mieszka tam, gdzie mieszkał. Metr dziewięćdziesiąt osiem, duży facet. Za komuny pracował jako nauczyciel, artysta plastyk, mama zbierała wycinki z gazet, miał kilka wystaw w miejskiej galerii, dorabiał malując obrazy na zamówienie. Teraz chyba na emeryturze.

– Oczywiście, że go znam – to mój szef, jestem jego asystentką. Powtarzam, że to nie pańska sprawa, moje życie prywatne nie powinno pana interesować! Rajmund i Henryk byli przyjaciółmi, najlepszymi przyjaciółmi. Tak, jeden umarł, a drugiego ktoś próbował zabić, ale ja nie mam z tym nic wspólnego!

– Leczył się na schizofrenię. Nie, mówiłam już, że się nie widujemy. On nigdy nikogo nie skrzywdził, to bardzo łagodny człowiek.

– Zostawił mi pan już swój numer telefonu. Zadzwoń, gdy się odezwie, jeśli w ogóle to kiedyś nastąpi, w co wątpię. Jeżeli nie ma go w domu, to nie wiem gdzie możecie go szukać, jest starym samotnikiem, odludkiem. Odwrócił się od rodziny, zerwał wszelkie znajomości, nie chce niczyjej pomocy. Jest sam, bo tak wybrał.

– Mój brat już dawno się stąd wyniósł. On też z nim nie rozmawia. Tu ma pan jego adres, numer na komórkę, pewnie dowiecie się od niego tyle samo, co ode mnie.

– Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego, jest biznesmenem, ma pieniądze, uznanie. A może to był zwykły napad, tylko ktoś się przestraszył. To wy jesteście od tego, nie ja.

Wreszcie poszli, a ja straciłam chęć na cokolwiek. Obiecałam Patrykowi, że przyjdę, ale tak naprawdę miałam dość wrażeń na dzisiaj. Czyli Aleksander zaatakował Rajmunda. Nie! To nie jest zbyt prawdopodobne, chyba że już całkiem mu odjechało. Pamiętam, co działo się z nim zaraz po

śmierci mamy. Odizolował się, zamknął w świecie fantazji. Staraliśmy się przemówić mu do rozsądku, nasyłaliśmy lekarzy, on jednak oddalał się z każdą chwilą. Na początku nie było jeszcze tak źle, powiedziałabym raczej, że było nienaturalnie, dziwacznie. Przestał malować i wymyślił sobie, że będzie wynalazcą. Nie mogliśmy z bratem w to uwierzyć – nasz ojciec wynalazcą. Nie kierowcą, prawnikiem, hydraulikiem, hutnikiem, budowlańcem, dyrektorem. Nawet nie artystą plastykiem. Nasz tatuś po tym, jak odeszła jego ukochana żona, postanowił zostać konstruktorem–odkrywcą. Po prostu cudownie! Najpierw domowym sposobem usiłował wyprodukować błyskawicznie absorbującą wodę tkaninę do produkcji ręczników; potem specjalny papier toaletowy, przystosowany do tego, by pisać na nim wiersze lub, na przykład, sporządzać listę zakupów; maszynę do tłumaczeń, zawierającą wszystkie wyrazy świata; uniwersalny parasol dla palących, którym można osłonić od deszczu zarówno fajkę, cygaro, jak i zwykłego papierosa, idealny dla miast portowych, w których ciągle pada; silnik wykorzystujący energię piorunów. To jedynie część pomysłów. Niestety było z nim coraz gorzej. Zamykał się w domu, chlał i gadał ze sobą. Już nas nie wpuszczał, nie odbierał telefonu, odwracał się na ulicy, udawał, że nie zna.

Zerwałam z nim kontakt po ostatniej wizycie. To było tydzień przed wigilią, dwa lata temu. Zastałam go kompletnie pijanego, śpiącego przy starym schowku w podłodze. Przykryłam go kocem. Zajrzałam do środka, do skrytki i zaczęłam powoli wyciągać zakurzone skarby. Traf chciał, że akurat wtedy musiał się obudzić. Ruszył na mnie jak na złodzieja i wystraszył prawie na śmierć. Popchnął tak, że z hukiem wpadłam na ścianę. Rozbiłam głowę, a plecy bolały mnie jeszcze parę dni. Pozbierałam się i uciekłam. Od tej pory go nie widziałam. Od tej pory nie usłyszałam żadnych przeprosin, usprawiedliwień, nic. Niedawno na ryneczku wpadłam na jego sąsiadkę – Działową. Pamięta mnie z dzieciństwa.

– Aleksander wrócił do malowania, pije też jakby mniej. Co jakiś czas dostaje większą wypłatę, podobno opatentował wynalazek – pudełko do przechowywania światła, stąd te pieniądze. To bardzo inteligentny i czuły artysta. Brakuje mu kobiety, dlatego się stoczył. Powinna panienka go częściej odwiedzać, pomóc mu, posprzątać, ugotować. Ja wiem, że to



trudny, uparty charakter, ale on już nie jest młody, już długo nie pociągnie. Oby tylko panienka kiedyś nie pożałowała, że nie zachodziła do niego w jesieni życia, takich rzeczy nie da się naprawić, oj nie da.

– Może i ma pani rację – odpowiedziałam, choć i tak nie miałam najmniejszego zamiaru tam przychodzić.

Pudełko do przechowywania światła – to mógł wymyślić wyłącznie mój kochany tatuś. Patent na coś takiego, przecież to bzdura. Zapragnęłam o nim zapomnieć. Postanowiłam, że nigdy więcej się z nim nie spotkam, chyba że przypadkiem, ale z własnej woli nigdy, nie ma mowy.

## 12. Dwie Krystyny, taniec, nadzieja.

To nie w porządku, Święta Panienko, to w ogóle nie jest uczciwe. Toż to mój mąż, a ja go rzucam i uciekam do innego. I w dodatku nie do katolika, a do Żyda! Muszę to skończyć, bo już dłużej nie zniosę, bo już nie mam pojęcia, co dalej, więc podpowiedz, boś ty w swych wyrokach najbardziej sprawiedliwa. Ja wiem, wiem dokładnie, on mnie przyjął z dzieckiem, zajął się jak swoim, złęgo słowa powiedzieć nie mogę. Ciepły jest, uczynny i delikatny, zajmuje się mną i Stasiem, ze świecą takiego chłopca szukać, szlachetny człowiek. A ja, jak Judasz jaki, wracam do przeszłości i nie jestem w stanie się powstrzymać. Bo to on był moim wybrankiem, w dodatku ojciec, Panienko, znasz prawdę, to Izaak jest ojcem.

Wszystko przez ten nóż! Najpierw chciałam się go pozbyć, wyrzucić gdzieś, utopić w rzece. Ale jak kto inny wytropi i w złej wierze wykorzysta? Dlatego umykam, skradam się po cichu, żeby ostatni raz dotknąć mojego mężczyzny, poleżeć przy nim, poczuć jego oddech. Nie potrafię się pohamować. To silniejsze ode mnie. Zdaję sobie sprawę, że to źle, bo gdyby Jerzyk się dowiedział, dawno by porzucił, sama bym została z małym Stasiem. Doradz, Święta Panienko, może go zakopać za hałdą, tam na pewno nikt nie znajdzie. A może jest w tym jakiś wyższy zamysł, że tkwi w moich rękach? Tylko co z nim zrobić? Bo gdy zaglądam w przyszłość, to widać samo okrucieństwo, boję się, nie mam ochoty na to patrzeć.

Chodziłam, modliłam się, prosiłam, aż poprowadziła mnie krok po kroku i problem sam się rozwiązał. Zamieszkaliśmy na Kawiej, niedaleko byłego mieszkania Izaaka, w niegdysiejszym sercu żydowskiej dzielnicy. Minęło zaledwie kilka lat, a mnie się wydaje, że to było wieki temu, świat się tak zmienił. Sztylet spoczął w piwnicy, a ja obiecałam, że z twoim wstawiennictwem, Święta Panienko, odwiedzać go będę najrzadziej jak się da, że będę się starać. Na początku było ciężko. Wciąż szukałam pretekstu, żeby choć na moment zejść na dół i cofnąć czas, by delektować się miłością, znowu być żoną Izaaka, słuchać, jak do mnie mówi. Po prostu brałam nóż do ręki, myślałam o jakimś zdarzeniu... i się tam przenosiłam. Miałam coraz większe wyrzuty sumienia. Mój mąż harował za dwóch, w ciągu dnia pracował jako listonosz na nowej poczcie, wieczorami dorabiał u znajomego

z dzieciństwa – razem składali parasolki. Wracał do domu ledwo żywy ze zmęczenia. Miał dużo szczęścia, innych leśnych dowódców ubecja wsadzała do więzień, oskarżała o zdradę, nieraz prawdziwych bohaterów wysyłano na stryczek. Jemu pomógł Lewi. Ten młody uratowany przez niego Żyd, który dziwnym zbiegiem okoliczności robił karierę w Urzędzie Bezpieczeństwa. Okazało się że jest czyimś kuzynem czy siostrzeńcem, a ten ktoś pociągnął go za sobą i już po paru miesiącach Lewi stał się Leonem, tym Leonem, niekwestionowaną szyczą, kimś ważnym, kimś, kto mógł rzeczywiście wiele. Natomiast Jerzyk, wiecznie ciągany po komisariatach, urzędach, sądach, bezustannie podpisywał jakieś papiery, w których deklarował absolutne poparcie dla władzy ludowej, zobowiązywał się do współpracy, odpierał bezpodstawne oskarżenia. A to i tak byłoby na nic, gdyby nie wsparcie Leona. To on zawsze w ostatniej chwili wykonywał telefon i Jerzyka wypuszczali z więzienia, zwalniali z przesłuchania, często odwozili pobitego, porzucając przed wejściem do bramy. Strach był ciągle z nami. Żyliśmy jak na becze prochu. Jednak mimo ogromnych trudności, mimo przeciwności losu, Jurek starał się jakoś w tym odnajdywać. Starał się cieszyć szarą codziennością. Dostrzegał radość w każdej minucie spędzonej z rodziną. Poświęcał się dla mnie i dla dziecka.

A ja? Ja byłam rozdarta między dwoma mężczyznami, istniałam w dwóch światach naraz. Chociaż z czasem ten realny powoli wygrywał z bajkowym. Samo jakoś tak wyszło, czym innym byłam zajęta. Stasio wciąż chorował, kilka razy w roku w szpitalu, serduszko za duże i za słabe mu rosło. Lekarze mówili, że to już kwestia miesięcy, a on wbrew temu żył, śmiał się, bawił z nami i przytulał. Przez to ja i Jerzyk bardzo się do siebie zbliżyliśmy, jak brat i siostra, jak przyjaciele, wreszcie jak kochankowie. Zakiełkowała między nami i rozwinęła się dojrzała, odpowiedzialna miłość. Pewnego dnia nie wytrzymałam, nie miałam już serca dłużej go oszukiwać. Otworzyłam usta i jakoś poszło. Opowiedziałam mu o nożu. Zwyczajnie zaczęłam, a słowa płynęły z wnętrza duszy, jakby nie mogły przestać, jakby nie mogły tam wiecznie tkwić, tak w tajemnicy, w samotności. Wyznałam mu wszystko, od początku do końca, nawet te rzeczy, których się wstydziłam. Opisałam getto, Izaaka, godziny zabrane przez obecność noża. Nie byłam w

stanie być przy nim, przy takim cudownym człowieku i dusić w środku sekret, taką zdradę w uczuciach.

– Wiem, że źle uczyniłam! Wiem, że powinnam wcześniej! Wybacz mi. Nie każ odchodzić. Stasio to teraz twój syn, a tamtego już nie ma. A ja, tak jak tu stoję, przysięgam ci przed tym świętym obrazem, że już nigdy, przenigdy tam nie wrócę. Ślubuję ci ponownie, bom w tej chwili już tylko twoja. Lata mijały, a ja dzisiaj dopiero zdałam sobie sprawę. Ale gryzło mnie tu w środku i musiałam...

Siedział obok ze spuszczoną głową i milczał. Taki już był. Trwało to i trwało. Potem wstał, podszedł do mnie i położył dłoń jak czapkę na moich włosach.

– Nie płacz. Rozumiem. Chcę zobaczyć ten nóż. Chcę... chcę to zrobić z tobą.

Próbowałam protestować, bo to niebezpieczne, bądźmy rozważni, rozsądni. Nie miał zamiaru mnie słuchać.

– Niewiele ryzykujemy, a jest szansa, że to pomoże. Spójrz, jak żyjemy, jeśli można to nazwać życiem. Nie mamy nic do stracenia.

– Dobrze! Ale jutro. Pomyślmy, prześpijmy się z tym. Nie wolno tak od razu, bez zastanowienia.

Starłam się to odroczyć, przekonać go, odsunąć ten moment. Ale nic z tego. Jutro przyszło dużo szybciej niż jakiegokolwiek inne jutro. Zostawiliśmy śpiącego Stasia pod opieką sąsiadki, ucałowałam go mocno w czołko. Bałam się z nim żegnać, zaczęłam panikować. Zeszliśmy do piwnicy, a ja wciąż jeszcze nie byłam w pełni zdecydowana. Obawiałam się tego, co się stanie.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Wyciągnęłam zawinięty w szmatkę nóż i podałam Jurkowi. Odwinął go delikatnie, spojrzał najpierw na niego, później na mnie.

– Piękny – powiedział.

Przytaknęłam. Byłam przerażona, zęby szczękały, drżały ręce.

– Podejdź do mnie. Złapmy go razem.

Sekunda zawahania. W końcu zbliżyłam się i tak on, jak i ja nakryliśmy delikatnie rękami ostrze. Jak na zawołanie wspólnie zamknęliśmy oczy. Cofnęliśmy się.

Mieszkanie na Garncarskiej. Kilka dni przed śmiercią Izaaka. Stoję wyprostowana, naprzeciwko mnie Jerzyk. Jest dziwny, bladoszary, jak schowany we mgle, jak topielec. Patrzy na mnie, nie mogąc oderwać wzroku. Na łóżku śpi Izaak odwrócony do nas plecami. Nie wiem, co dalej. Jerzyk pomału przesuwa się w jego stronę. Trwa to długo. Równocześnie czuję, że Izaak się budzi. Jerzyk przyciąga go jak magnes. Izaak powoli się przekręca, następnie siada, po czym spokojnie wstaje i podchodzi. Zatrzymuje się pół kroku przed Jurkiem. Patrzą, wzajemna obserwacja, twarze, podbródki, palce, uszy, włosy, tors, chyba szukają jakiś cech charakterystycznych, znamion, blizn. Ja bezustannie sterczę z nożem wycelowanym w ich kierunku. Jak na komendę obaj rozłożyli ramiona. Zaczęło się coś w rodzaju tańca. Na początku delikatne, potem coraz szybsze gesty połączone ze skłonami, pochylaniem, podskokami, obejmowaniem. Wyglądało to tak, jakby w ogóle się nie dotykali, lecz szybkość ruchów powiększała się i już po chwili stworzyli jednorodną, pędzącą w miejscu symetryczną bryłę. Gnali tak, że zatarły się ich sylwetki. Wszystko zadygotało. Skuliłam się ze strachu. Nie miałam pojęcia, co się dzieje, bałam się wykonać jakikolwiek ruch. Później zwolnili. Jerzyk zrobił mały krok do przodu, a Izaak łapiąc go wpół podniósł nogę i... wniknął w niego, wbił w jego wnętrze. Przez moment dopasowywali się do siebie, jeden wychodził z granic ciała drugiego, mocowali się ze sobą, jak grubas ze zbyt ciasnym kostiumem, zmieniały się rozmiary klatki piersiowej, głowa gwałtownie się wyginała, tułów drżał jak galareta.

Nagle, stop!

Przede mną stanął nowy Jerzy. Był prawie taki sam, może trochę wyższy, może nieco bardziej postawny, szerszy. Miałam wrażenie, że jest go więcej. Zmęczony zbliżył się do mnie i szepnął:

– Szybko! Nie mamy czasu! Zamknij oczy!

Chwycił nóż i popłynęliśmy z powrotem. Tym razem było zupełnie inaczej. Nie mogliśmy wrócić, jakby ktoś więził nas po tamtej stronie i nie chciał wypuścić. Rosło ciśnienie w płucach, ból rozsadał czaszkę, soki trawienne zwężyły żołądek. Bardzo mocno trzymałam się Jerzego, wydawało mi się, że nóż próbuje nas rozdzielić. Utknęliśmy tak, zagubieni gdzieś między światami. Pomogły dopiero modlitwy. Powtarzane bez końca

wyłącznie w myślach, bo nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu. Otworzyłam oczy i ujrzałam go, jak zmordowany chwieje się przede mną. Spocony, blady, z podkrążonymi oczami, ale uśmiechnięty i szczęśliwy.

– Jesteśmy, jestem – powiedział.

– Wiem.

– Muszę odpocząć, przespać się, będę spał długo, ale nic mi nie będzie, nie przejmuj się. Kiedy tylko wstanę, zaczniemy wszystko od nowa, kochana. Muszę się jedynie przespać.

Ściągnął buty, spodnie, koszulę i wszedł do łóżka. Nakrył się kołdrą i zasnął. Usiadłam na fotelu usiłując zrozumieć, co się stało. Nie byłam w stanie tego pojąć, postanowiłam po prostu poczekać. Odebrałam Stasia od sąsiadki i czekałam.

Jerzy obudził się po trzech dniach i nocach. Przez cały ten czas nie pił, nie jadł, nie wydalał, nie ruszał nawet palcem. Martwiłam się. Oddychał płytko i spał. Był całkowicie bezwładny, nie reagował na impulsy z zewnątrz. Przecierałam go wilgotnym ręcznikiem i jednocześnie dokładnie oglądałam. To był on. Trochę inny, ale zawsze on. Obszerniejszy w ramionach i biodrach, z odstającą szczęką, szerszym nosem, rozciągniętymi uszami. Ale i tak najbardziej zmieniły mu się stopy. Wcześniej drobne, chłopiące i delikatne, teraz były przynajmniej dwa numery większe, ogromne.

– Boże! Nie będzie miał żadnych butów! – zaśmiałam się.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś mnie tak rozśmieszyło. Mały Stasio przestał się bawić, obserwując mnie ze zdziwieniem, a ja pokładałam się, chichocząc i nie mogąc się uspokoić.

– Widziałem miejsce, w którym zamieszkamy. Rodzinę. To jest możliwe, pewnie potrwa kilka lat, ale może się udać.

To były jego pierwsze słowa, po tym, jak w końcu się ocknął. Zmęczona twarz rozpromieniła się, z oczu zniknął długo obecny smutek.

– Kocham cię. Chodź do mnie.

To były jego następne słowa. Dwa miesiące później zorientowałam się, że jestem w ciąży. Potem na świat przyszedł Aleksander, młodszy brat Stanisława. To on miał stać się naszą nadzieją.

# BARWY

## 1. Integracja, horror, zdębiałem.

Próbuję nie zasnąć. Po prostu leżę i czekam. Mam zamiar jeszcze dzisiaj wrócić po mojego netbooka. Wciąż słyszę krzątanie na korytarzu. Słyszę, jak skrzypią drewniane schody. To charakterystyczny dźwięk w górach, tu zawsze coś piszczy, stuka, chrzęści. To naturalne brzmienie samotnych, drewnianych domów. Czasem wydaje mi się, że one nawołują inne budynki. Może nie chcą stać na uboczu, może wołałyby, żeby wreszcie ktoś ich posłuchał, pogadał z nimi. Wyobrażam sobie, że kiedy wszyscy odjadą i stary dom jest już pusty, rozmawia z lasem, z chmurami, ze słońcem, z księżycem. Opowiada o tych dziwnych istotach, które go zbudowały, które w nim mieszkują. Dzieli się spostrzeżeniami i zdradza ich sekrety, rozpytuje dookoła o przyszłość. Boi się miasta, samochodów, betonu, drapaczy chmur. Może martwi się, że kiedyś przyjdą, żeby go zburzyć, obrócić w pył. Może.

Odpoczywam, wpatrując się w okno, przyglądając się mgłę, która przypomina dym, ukrywa okolicę. Tyle że to już było, widziałem to ostatnio, taki sam obrazek, podobny widok. Mam *déjà vu*! Tylko skąd, o co chodzi? Już wiem! Już pamiętam! Wyjazd integracyjny z mojej firmy parę tygodni temu. Kilkadziesiąt osób z całej Polski w gigantycznym kompleksie pałacowym, w jakiejś dziurze pod Kielcami. Sauna fińska, grota solna, basen, jacuzzi, paintball, jazda konna. Szefostwo nie oszczędza na takich rzeczach, podobno podwójnie motywujących, poprawiających relacje między pracownikami, działami, scalających zespół. Ja nie do końca w to wierzę. Raczej staram się unikać tego typu atrakcji, ale tym razem nie udało mi się wyłgać. W ciągu dnia zazwyczaj jest jeszcze w miarę znośnie, dopiero gdy nadchodzi wieczór, pora kolacji, a na stołach zaczyna się pojawiać kaszanka z grilla i wódka, wtedy sytuacja diametralnie się zmienia. Wysokoprocentowe napoje powoli robią swoje i już po chwili pani Ziućka z księgowości siada panu Włodkowi na kolanach, a pan Mateusz, handlowiec, wypłakuje się w rękaw pani Luizie, próbując poskarżyć się na niegrzeczne

dzieci i nieczułą żonę. Konfiguracja zdarzeń jest zawsze mniej więcej taka sama. Od rana absurdalne zabawy, dzięki którym mamy poznać się ze sobą, a najlepiej polubić. Idealnie byłoby gdybyśmy się zaprzyjaźnili. Zakrapiany obiad, trochę wolnego i kolacja przy akompaniamencie przygrywającego specjalnie dla nas didżeja, z każdą godziną coraz bardziej discopolowo-biesiadnego. Wskutek czego dużo szybciej rozluźniają się krawaty i powiększają dekolty.

Potem czas na bruderszafty z nowymi pracownikami, czyli nieodzowny przywilej kadry kierowniczej, dochodzą dyrektorzy i prezisi śpiewający majteczki w kropeczki i jesteś szalona, bo przecież jesteście normalnymi ludźmi i uwielbiamy się bawić, a także zwierzenia na świeżym powietrzu przy papierosie i kolejnym kielichu, rozmowy o planach na przyszłość, o tym, jak się widzisz za pięć lat, w jakim miejscu. Pięknie. Po prostu masakra. Siedzę z boku, przy piwie, starając się schować przed wzrokiem upierdliwych przełożonych. Co parę minut ktoś się przysiada, serwując zestaw identycznych, banalnych zwrotów, na które nie mam najczęściej zbyt chętności odpowiadać, brzmiących jak masło maślane, im później, tym mniej wyraźnie, bełkotliwie, zresztą tak naprawdę nikt nie chce słuchać wyjaśnień. Czemu się nie bawisz, może źle się czujesz, zjedz coś, to ci się poprawi, przejdźmy na ty, rąbnij se jednego, chodź, zatańczymy, co pijesz, nieprzyzwyczajony czy co, brak treningu, zobacz kierowniczkę, nieźle wywija, ta Kaśka z administracji to by z tobą poszła, jakbyś dobrze zagadał, a ty głupku nic, w moim pokoju też jest taki mały telewizor, zrobiłeś sobie przerwę, dołączę się.

Wszystko jak w głupiej komedii, mógłbym być jej scenarzystą, to pewnie nic trudnego, dorzuciłbym odrobinę seksu, narkotyków, kilka prostytutek i gejów, na bank byłoby ciekawiej. Poza tym graliby w niej sami przystojni aktorzy i czarujące młode aktorki. Tutaj jest kompletnie inaczej. Alkohol oczywiście leje się strumieniami, ale między innymi z powodu jego nadmiaru nie ma mowy o żadnym seksie. prostytutek i narkotyków naturalnie brak, a jeżeli w ogóle są jacyś geje, to na pewno otwarcie nie przyznają się do swojej orientacji. Wygląda to bardziej jak bogate wiejskie wesele, niż *party* typu *sex, drugs, and rock'n roll*, a co za tym idzie, jest bardziej żenująco niż śmiesznie. Ukradkiem uciekam do swojego pokoju,



trafiła mi się jedyńka, więc przynajmniej uniknę problemów z pijanym, śmierzącym gorzałą i boczkiem, pierdzącym i chrapiącym współlokatorem, chociaż i tak ciężko będzie zasnąć, ściany aż dudnią od hałasu. Dobra, już jestem bezpieczny, najpierw prysznic, tylko że w łazience zamiast wanny zastałem drewnianą beczkę, do tego wmontowany w ścianę zestaw stereo z radiem i odtwarzaczem płyt. Okej! Nawet lepiej, jasne, że skorzystam! RMF Classic, tak dla przeciwwagi, żeby zagłuszyć, zapomnieć o nich. Relaksacyjna kąpiel w balii z hydromasażem i biczami wodnymi. To chyba najprzyjemniejsza chwila całego wyjazdu. Długo trwało, zanim wróciłem do łóżka, uważnie nasłuchując odgłosów z zewnątrz i wpatrując się w okno. Za nim mgła. Jest jak dym, ukrywa okolicę. Tak! Właśnie! Zupełnie jak teraz w Bieszczadach, stąd to *déjà vu*!

Przeczytałem gdzieś ostatnio, że w określonych sytuacjach, gdy człowiek obserwuje dane miejsce, jedno oko wysyła sygnał do mózgu szybciej niż drugie, czego następstwem jest to dziwne uczucie, podpowiadające nam, że to już było. Zastanawiam się, próbuję to rozgryźć, zrozumieć. Nie przeszkadzajcie mi!

Nic z tego.

– Antoni, śpisz? Otwórz, to ja, Zosia. Jadźka się zatrzasnęła i śpi, nie chce mnie wpuścić. Mam flaszczkę (śmiechy) i jestem z koleżanką (ponownie śmiechy). Otwórz, napijemy się (szarpanie za klamkę, pukanie, śmiechy, przekleństwa). Dudnienie i wrzaski gdzieś w głębi korytarza.

– Dziewczynki! Do nas chodźcie! My tu sami jak palce! (śmiechy)

– Na pana, panie koordynatorze, zawsze można liczyć, jak Boga kocham! (śmiechy, odgłos upadku, jeszcze głośniejsze śmiechy).

Wtedy starałem się zasnąć i nie umiałem, a dzisiaj, leżąc w pustym łóżku w schronisku, na odludziu, staram się nie zmrużyć oka. Gdyby ktoś pociągnął za klamkę, chyba umarłbym na zawał. Ani na sekundę nie opuściły mnie złe przeczucia. Nie mogę się już doczekać jutra, kiedy spokojnie wrócę do cywilizacji, do świata. Cicho. W końcu jest cicho. Przystawiłem ucho do drzwi. Liczę do stu, jeśli nic nie usłyszę, zejść na dół, wezmę komputer i szybko pobiegnę z powrotem. Budzik w telefonie ustawiłem na czwartą piętnaście, mam zamiar zwinąć się stąd jak najszybciej, oby tylko znowu nie zaczęło padać.

Raz, dwa, trzy, cztery...

Wciąż cicho.

...dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć, sto...

Idę.

W samych skarpetkach, żeby nie narobić hałasu, schodek po schodku zbliżam się do recepcji. Zastaję lekko uchylone drzwi, w środku słabo żarzy się lampka. Przypominają mi się sceny z horrorów, w których główni bohaterowie ciągle pchają się w tarapaty. Oglądając to, człowiek nieprzerwanie ma ochotę krzyczeć:

– Nie wchodź tam! Po co tam leziesz! Uciekaj! Odwróć się!

Mam wrażenie, jakbym ja teraz grał w czymś podobnym. Wchodzę do ciemnej sali, uważając, żeby się nie potknąć. Co to za zapach? Mój netbook leży dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. Podchodzę szybko, zamykam ekran i podnoszę go. Czas na powrót. Odwracam się i chowając sprzęt pod pachę próbuję wycofać się do wyjścia. Robię to jednak zbyt nieuważnie i potykam się o coś. Już wiem, że się przewrócę, ale instynktownie skupiam się na tym, żeby nie upaść zbyt głośno. Ląduję na śliskiej i mokrej podłodze, pewnie od rozlanego wcześniej piwa, na szczęście nie na tyle głośno, żeby kogoś obudzić. Nie ruszam się i nasłuchuję – nic się nie dzieje, dociera do mnie jedynie przyspieszony własny oddech. Trochę się poobijałem, dobrze, że komputer nie ucierpiał. Spokojnie, pomyśl, Antoni. Odkładam go na krzesło i wyciągam z kieszeni telefon, mam w nim latarkę. Włączam ją. Widzę krew! Podłoga jest mokra od krwi! To jej zapach poczułem! Przerazenie zapiera dech w piersiach, nie pozwalając wydobyć żadnego dźwięku. Czyjaś noga, ręka, nieprzytomne otwarte oczy! Monika! To Monika! Chyba nie oddycha. Przysuwam ucho do jej ust, nic nie słyhać! Dotykam szyi w poszukiwaniu tętna, jest zimna, za bardzo drżą mi ręce, żebym mógł cokolwiek wyczuć. To jakieś szaleństwo!

– Neeeeeeee!

Głośny, nieludzki wrzask dochodzący z wnętrza budynku. Czuję, jak włosy stają mi dęba. Uciekać? Ale gdzie? Do lasu?! W samych skarpetkach?! Nieważne, byle dalej stąd! Nie! Lepiej zostanę, przecież to nie moja wina, to nie ja. A jeżeli ktoś chce mnie zabić?! W pomieszczeniu obok rozbłysło

światło. Ostatnia chwila, żeby się ulotnić. No rusz się wreszcie! Kroki coraz bliżej, nad moją głową zapala się żarówka. To właściciel.

– Co tu się dzieje?

Dopiero wstając, zauważam, że cały jestem upaprany krwią. Spodnie, koszulka, nogi, włosy.

– Zapomniałem netbooka, zszedłem na dół i potknąłem się o nią. Leżała tu, nie zauważyłem, ktoś krzyknął i przestraszył mnie na śmierć. Potem wszedł pan. Ja nic nie wiem, nie wiem jak to się stało, ja tylko zszedłem, chciałem zabrać... Ja... Trzeba ją ratować, może jest jeszcze szansa? Może jest tu jakiś lekarz?! W takiej sytuacji liczy się każda sekunda, niech pan jej pomoże!

Wszystko to wyleciało z moich ust szybko i głośno, jak strzały z karabinu. On zatrzymał się i popatrzył na mnie przenikliwie, to było niemal nie do zniesienia. Nie zwrócił uwagi na ciało, nawet nie spojrzął na Monikę.

– Za późno, już nie żyje – zakomunikował beznamiętnym głosem, wciąż wlepiając we mnie swój zimny wzrok.

– Skąd wiesz?! Ja pierdolę, zrobmy coś! Mamy tu tak stać?!

Dokładnie w momencie, gdy skończyłem to mówić, w drzwiach pojawił się zdyszany Cypis.

– Kurwa!

– On to zrobił – powiedział właściciel schroniska, wskazując na mnie palcem.

Zdębiałem.

## 2. Matka, zatrucie, wdępięcie.

Obudziłem się, a jej już nie było. Krzyknąłem, ale i tak się nie pojawiła.

– Monika, gdzie jesteś?! Proszę!

Nie opuszczaj mnie! Nie chcę znowu być sam! Przez całe życie wszyscy odchodzili, nie mam już nikogo. Tak jak wtedy, znowu jestem blisko tamtego dnia. Mam nadzieję, że to tylko złudzenie, że za chwilę wrócisz, usiądziesz obok, przytulisz się. Ale nie! Ty nie wrócisz! Ona też nie wróciła. Przypomnij sobie, jaki dla niej byłeś, gdy odchodziła, gdy próbowała się pożegnać. Jak mogłeś być takim skurwysynem?!

– Słuchaj, synku. Posłuchaj, mój kochany Cypisku. Czasem tak się zdarza, że w środku zamieszka zły duch, że ktoś rzuci urok i żadne czary nic na to nie poradzą. Nie pomoże ani ksiądz, ani lekarz, ani szeptucha, kręgarz czy znachor. Kiedy na moment się zagapisz, będziesz nieostrożny, stracisz czujność, duch zacznie rosnać i ani się obejrzysz, a zje cię od wewnątrz jak robak. Mój już bardzo urósł i nic się nie da zrobić. Mamusia niedługo zaśnie, ale nieważne, jak głęboko będę spać, pamiętaj, że nie przestanę nad tobą czuwać, zawsze będę cię bronić, nigdy nie pozwolę skrzywdzić i będę przy tobie, choćby nie wiadomo co. Zapamiętasz, słodziutki?

– Zapamiętam, mamó – rzucone na odczepne.

Nie cierpię, kiedy traktujesz mnie, jakbym wciąż był dzieckiem. Tak, wiem, może nie jesteś w najlepszej formie, ale wiecznie przesadzasz, chociaż akurat dzisiaj wyglądasz na chorą i pewnie czujesz się dużo gorzej niż zwykle, ale co mnie to obchodzi, przejrzałem cię, pieprzona hipochondryczko! Mam swoje życie.

– Obiecuj mi tu, przy moim różańcu. Przyrzeknij, że będziesz dobrym człowiekiem, że będziesz o siebie dbał, nie zapomnisz niczego, co mówiłam i nikomu tego nie zdradzisz. To bardzo ważne!

– Okej. Obiecuję.

Zbastuj, bo zaraz mi uszy zwiędną.

– Kochasz mamusię?

– Taaak.

Teraz już specjalnie, perfidnie, znudzonym głosem. Daj mi spokój, kobieto! Zajmij się swoimi sprawami!

– Uściskaj mnie mocno, mój maluszk.

Nie znoszę cię dotykać, nie lubię, gdy mnie całujesz, denerwuje mnie to. Idź spać. Połóż się. Nie odzywaj się do mnie więcej.

– Najdroższy Cypek!

Tydzień później umarła. Ojciec powiedział, że na raka, że nie zabił jej żaden duch, żaden urok, z którym nie mogła sobie poradzić, że bym nie gadał głupot, bo przecież jestem już prawie dorosły i że bym wziął się w garść, bo nie można mnie słuchać. Ale ja mam na to namacalny dowód, idioto, ja widziałem. Kto ci uwierzy, synku? Lepiej żebyś tego nie rozpowiadał, bo jeszcze cię zamkną w szpitalu bez klamek, z miękkimi ścianami. Ale tato! To prawda!

Tej nocy, gdy odeszła, zostałem w domu. Mama leżała w szpitalu, zbliżał się koniec, a ja niestety niczego się nie domyślałem, bo pewnie jak zwykle koloryzuje i za chwilę pojawi się w drzwiach zdrowa i wypoczęta, stanie w progu kuchni i zacznie po swojemu narzekać na męskie porządki. Potem oczywiście żałowałem. Dlaczego byłem dla niej taki?! Czemu akurat tego dnia mocno jej nie przytuliłem, nie poszedłem do niej, żeby usiąść obok, położyć się w nogach, uczesać jej włosy, przetrzeć czoło mokrą chusteczką. Czemu nie zachowałem choć odrobiny jej mlecznego zapachu, nie zapamiętałem go. Zamiast być z nią tam, utknąłem w czterech ścianach, szczęśliwy, że wreszcie jestem sam i kompletnie nikt mi nie zabroni wpuścić się w oglądanie głupiej kablówki, szczególnie zakazanych kanałów, czyli ciesz się Cypis swobodą, korzystaj do woli. Po jedenastej już wiedziałem, że ojciec nie wróci na noc. Zawsze kiedy spóźniał się na ostatni autobus, kimał u siostry w centrum, szkoda mu było kasy na taksówkę, a spacerkiem jest za daleko. Bez skrupułów dobrałem się więc do tatusiowego barku, do domowej roboty nalewek, starego koniaku, anyżówki, kosztując ich po łyku, bo on nigdy nie miał pojęcia, ile czego ma, wciąż mu się myliło. Delektowałem się, aż alkohol rozrzedził przyjemnie krew i zmorzyło mnie w łóżku rodziców, gdzieś koło drugiej, trzeciej nad ranem.

Minęło parę minut, zanim nadszedł głęboki sen. Wtedy coś brutalnie wyrwało mnie z ciemności. Zobaczyłem to coś i ze strachu zatrzymałem bicie własnego serca. Wszystko we mnie zamarło. Przez niego. To był on! Olbrzymi, biały, przypominający tłustą dżdżownicę robał wielkości dużego

palca. Leżał mi na brzuchu. Byłem jak sparaliżowany, a on nade mną zapanował. Oddychałem płytko, patrząc prosto w niego. Nie byłem w stanie ruszyć głową, ręką, nogą, niczym, nawet najmniejszą komórką mojego organizmu. Widziałem, jak z jednej strony nieporadnie, z drugiej niesamowicie skutecznie wsysa się we mnie. Starąłem się krzyżeć, zrobić cokolwiek, ale nie udawało się. Poczulem, jak jego obrzydliwe, lepkie ciało dotyka mojej skóry. Kiedy dostał się do pępka, zaczął wkręcać się w niego jak korkociąg. Zakłuło, jakby ktoś wciskał mi w brzuch agrafkę, z każdą sekundą bolało bardziej i bardziej. Okropnie! A ja nic na to nie mogłem poradzić. Nic a nic! Centymetr po centymetrze wbijał się we mnie, aż w końcu zniknął, a brzuch zamknął się i zbliżnił w mgnieniu oka. Żadnej rany, żadnego śladu. Zwyczajnie schował się we mnie. Potem wydawało mi się, że szuka miejsca, usadawia się w moim wnętrzu. Później przestał się wiercić. Jeszcze tylko ścisnął, przydusił w środku albo wypuścił z siebie jakąś substancję, bo momentalnie zachciało mi się spać. Walczyłem z tym z całych sił, ale sen wygrał, bez trudu. Obudził mnie dopiero wracający ze szpitala ojciec.

– Niiieeeee!

Wrzasnąłem. Po raz pierwszy w życiu tak głośno i z taką grozą w sercu. Przeraziłem tatę. Podszedł do mnie, pochylił się i położył rękę na ramieniu. Spojrzał mi głęboko w oczy, próbując bez słów przekazać najgorszą wiadomość. Udało mu się, a moje policzki powoli zalały łzy.

– Czyli już wiesz. Możesz płakać, nie ma się czego wstydzić. Nie mówiliśmy ci wcześniej. Nie chciała cię martwić.

– Ona nie żyje?!

Przytaknął i siedzieliśmy tak razem, bez słowa. Nie miałem pojęcia, co będzie dalej, myśli buzowały mi w mózgu. Mama umarła, a ja mam w sobie jakieś gówno, zeżarło ją od środka, a teraz mnie wpierdala. Ale to niemożliwe, Cypis, majaki, zwidy nic ponadto. Nie ma robaka, nie istnieje. A jeśli jest? Miesza mi się. Mam w mózgu pralkę, kręci się, wiruje. Uratuj mnie tatusiu. Nie siedź tak, obiecaj mi, że mnie ochronisz. Obiecaj, że wyzdrowieje! Powiedz coś, tato, powiedz, błagam!

Nic, cisza.

Chyba zostalibyśmy tak nieruchomo na zawsze, gdyby w pewnej chwili, z większym hałasem niż można się było spodziewać, nie spadł z łóżka na podłogę różaniec mamy. Wystraszył nas, aż podskoczyliśmy.

– Skąd to masz?

Wstał, dotknął go, popatrzył przez moment, po czym rzucił z powrotem na łóżko.

– Zresztą, nieważne.

Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał, jakby ze sobą walczył. W końcu zrezygnowany machnął ręką.

– Będę w pokoju, trzeba naszykować dokumenty, pieniądze, załatwić formalności... mógłbyś mi pomóc... chyba, że chcesz być sam... zdawało mi się, że... wiesz, po prostu będę w pokoju.

Wyszedł, a ja długo ryczałem do poduszki. Byłem smutny, przerażony i samotny, jak nigdy w życiu.

– Mamo, wróć, proszę...

Już wszystko rozumiem. Próbowалаś mnie ostrzec, ale nie zdążyłaś i odeszłaś. Bałem się na samą myśl, że zły robak wciąż we mnie rośnie i teraz moja kolej. Biedna mama, nie dała mu rady, za późno się zorientowała. A ja?! Nie, nie poddam się! Ze mną będzie inaczej. Musi być jakiś sposób!

– Pomszczę cię, mamo!

Zdecydowałem, że go otruję. Powoli, dzień po dniu, ukradkiem, przed snem wypijałem małe ilości różnych szkodliwych substancji. Zacząłem od domowej apteczki, na pierwszy strzał poszła woda utleniona, pita codziennie łyżeczką od herbaty, dwa lub trzy razy w tygodniu tabletki nadmanganianu potasu, od czasu do czasu jodyna i spirytus salicylowy. Byłem świadomy, że w większych ilościach może mi to zaszkodzić, ale postanowiłem zaryzykować. Wlewałem w siebie niewielkie dawki rozpuszczalnika, benzyny, nafty, nie gardziłem farbami i lakierami, zdarzało się też płyn na mszyce czy aceton. Często potem w tajemnicy wymiotowałem w łazience. Nauczyłem się to robić prawie bezgłośnie, nie zostawiać żadnych śladów. Moje zdrowie stopniowo się pogarszało, miałem nieustające nudności i biegunkę, a bóle brzucha doprowadzały mnie do szału. Mimo to starałem się wytrzymać. Tłumaczyłem to sobie jako skutki uboczne walki z mieszkającym we mnie upiorem i tym bardziej nakręcałem

się, żeby ciągnąć to dalej. Wiedziałem, że żeby go ukatrupić, muszę zapłacić wysoką cenę. W końcu wylądowałem w szpitalu. Wszystkim wydawało się, że postanowiłem się zabić. Szczególnie, że nie chciałem z nikim rozmawiać, miałem głęboko gdzieś ojca z tymi jego psychologami i lekarzami. Zgadza się, oni uratowali mi życie, ale uratowali też potwora i miałem im to za złe. W każdej sekundzie wyczuwałem jego obecność, ale wmówili mi, że to był jedynie szok po tym jak odeszła, że to przez alkohol, że za dużo wtedy wypilem, a moja wyobraźnia, mój umysł próbował wyprzeć fatalne wspomnienia i wywołał u mnie halucynacje. Diabelski robal nie istnieje i nigdy nie istniał, przywidziało ci się, chłopcze! Podczas stresu ludzki organizm potrafi zafundować sobie nie takie cuda i właśnie tak było tym razem. Twoja matka umarła wskutek choroby nowotworowej, a nie przez ducha, urok czy czary. To jasne jak słońce. Poza tym przyznałeś się, że ten sen, to wkręcanie, nie miało miejsca tej nocy, ale dopiero w dzień pogrzebu. Ugiąłeś się. Dałeś za wygraną. Chociaż dzisiaj, tutaj, przeszłość wróciła. Ten sam okrzyk! Identyczny! Tyle, że w tej chwili jestem w schronisku, a Moni gdzieś wyszła. Obudziłem się, a jej nie ma.

– Tylko nie to! Monika! To nie może być prawda!

Zeskoczyłem z łóżka i wdepnąłem nogą w coś śliskiego. Zapaliłem światło. Na podłodze leżał zmiażdżony moją stopą robak. Biały, tłusty robak. Nie ruszał się.

– Kurwa! Chyba zwariowałem!

Zamknąłem oczy i złapałem się za głowę. Ręce ściśnięte jak imadło. Myśl, Cypis, myśl! Pochyliłem się nad tym czymś. Dotknąłem. I co? Wyłącznie zużyty bandaż i para brudnych skarpetek, nic więcej. Nieżywe. Lepkie od wilgoci i potu.

– Odpierdala mi! Mógłbym przysiąc, że tu był. Mógłbym, kurwa, przysiąc!

Znowu mam w mózgu pralkę. To вина tego miejsca. Jest złe. Dobra, uspokój się, teraz to nieistotne, teraz krzyk, moja kochana Moni, teraz ją muszę znaleźć. Ona jest najważniejsza!

Ubrałem się, byle szybciej, koszulka, spodnie, buty i zbiegłem na dół.



### 3. Telefon, znajomości, Superior.

– Najważniejsze dla mnie to odzyskać NÓŻ.

To był pierwszy i na początku jedyny motyw działania. Ojciec Natalii nie dał rady mnie zabić, przeżyłem, ale za to wkopałem się w niezłe tarapaty. Jakiś głupi policjant lub może narwany dziennikarz doniósł wyżej i już kilka godzin później o mojej wizycie u „luksusowej prostytutki, dobrze znanej wśród przedstawicieli tak zwanych wyższych sfer naszego miasta” wiedział zarówno prezydent, jak i tatuś Justyny, no i oczywiście sama Justyna. Walnęła mi wyczerpujący wykład przez telefon, bredząc o wierności, wyrzutach sumienia, ludzkiej uczciwości i innych tego typu farmazonach, po czym oznajmiła, że odchodzi. W trakcie tego całego głupkowatego monologu nie odezwałem się ani słowem, przez co wściekła się jeszcze bardziej.

– Jesteś tam? No pewnie, że jesteś! Jak mogłeś?! Ty dwulicowy skurwysynu! Mówiłeś, że masz tak dużo pracy, a w tym czasie pierdoliłeś tę wywłokę! Boże, jaka ja byłam głupia! Planowałam przyszłość, rodzinę. No powiedz coś, wytłumacz się! Nic, kurwa?! Nic od ciebie nie usłyszę?! Nie, bo to wszystko prawda! Jesteś jebanym śmieciem, Rajmund, rozumiesz?! To koniec! Nie próbuj się ze mną spotkać, nie próbuj dzwonić! Mam nadzieję, że już nigdy nie będę musiała oglądać twojego ryja! Pierdolony kurwiarz! Mój ojciec cię zniszczy!

Chwila ciszy, odłożyła słuchawkę. Jej wrzaski nie miały dla mnie żadnego znaczenia, nie były w stanie urazić mnie w jakimkolwiek stopniu. Wydaje mi się, że na całym świecie nie było nikogo, kto mógłby wtedy wyprowadzić mnie z równowagi. Byłem zajęty czymś innym, niepomiernie ważniejszym. NÓŻ. Zdobyć go!

Dzięki Henrykowi miałem znajomości w policji. Wszyscy tu wiedzieli, że byliśmy przyjaciółmi. Myślałem, że dzięki temu bez większego wysiłku uda mi się to szybko załatwić. Jednak było trudniej, niż przypuszczałem. Znałem osobiście niektórych wyższych oficerów, balowaliśmy wspólnie na kilku imprezach, piliśmy wódkę na grillu u Henia, ouzo w knajpie jego żony, piwko w pubie na mieście. Zacząłem od wykonania telefonów właśnie do nich.

– Zobaczą, co się da zrobić. Najpierw wyiniucham temat, zastanowię się, oddzwonię później. Po co ci akurat ten nóż, nie możesz kupić jakiegoś podobnego? Pełno jest teraz sklepów z takim szajsem! Dam cynk, jak się czegoś dowiem.

Wszystkie odpowiedzi moich pseudokolegów gliniarzy zlały się w jeden bezużyteczny bełkot. Nie rozumiecie, debile, że nie mam czasu, nie interesuje mnie żadne „może, dowiem się, oddzwonię”?!

– Jutro musi być mój. Nie chcę kłopotów. Zapłacę. Cena nie gra roli. Wymień sumę, a za godzinę będziesz miał w domu kuriera z walizką. Jeśli potrzebujesz wytłumaczenia, niech będzie że to pamiątka rodzinna, prezent ślubny babci czy wymarzony upominek pod choinkę dla mojej córki. Wybierz sobie właściwe wyjaśnienie, dla mnie to obojętne. On po prostu musi być mój!

– Obejdzie się bez kuriera! Sam przywieziesz kasę. Zaraz podam ci adres. Tylko, kurwa, nic nie spierdol, słyszysz?! Trzeba będzie posmarować paru ludziom, magazynierowi, szefowi magazynu, strażnik też powinien dostać działkę, zresztą to nie twoja sprawa. Szmal dostarczysz dzisiaj, fant odbierzesz jutro rano.

– Dobrze, zgadzam się.

– Gdyby nie Heniek, nic byś nie wskórał. Jeszcze bym cię kazał zamknąć za próbę przekupienia funkcjonariusza na służbie. Jarzysz?!

– Tak. Jarzę.

To była bardzo długa noc, nawet na chwilę nie zmrużyłem oka. Przestałem odbierać ciągle dzwoniący telefon. Siedziałem po ciemku. Burza myśli. Przeszłość zamazana jak ułamki snów. W niektórych fragmentach rozpoznaję moje miasto sprzed wielu lat. Te same ulice, ale nie ten sam rozkład budynków, ludzie ubrani w zupełnie inne stroje, mówiący obcymi językami. Dni wojny, okupacji, przemocy, w których ziemia skrzyła się, targana upokorzeniem i śmiercią. Ty w lewo, ty w prawo, uratowany, zabity. Dni bohaterów i zdrajców. W milionach ginących istnień wyłaniał się sens, porządek świata, którym człowiek zaczął niweczyć boże plany, stawać z nim w szranki. Byłem tam. Doświadczyłem tego, jestem pewien. Wyglądałem inaczej, inaczej się zachowywałem, różniłem się osobowością i charakterem. Ale to byłem ja! I tak jak dzisiaj starałem się to zrozumieć, rozłożyć na

czynniki pierwsze. Chyba muszę wyjechać, popatrzeć na to z boku, może wtedy się uda. Ale najpierw NÓŻ. Jestem przekonany, że kiedy wpadnie w moje ręce, pozwoli rozwiązać wątpliwości. Czuję się jak w kinie tuż przed finałową sceną, za moment nastąpi rozwiązanie zagadki, stracę dziewictwo, przejdę do kolejnego etapu wtajemniczenia. Każda minuta dłuży się w nieskończoność. Z dawno zatartych wspomnień wygrzebuję informacje, liczę, że choć trochę pomogą. Przywołuję twarze otaczających mnie osób. Przypominam sobie byłą żonę, z którą nie utrzymuję kontaktu, moją wiecznie nieobecną córkę, Justynę, Natalię i jej ojca, przez którego, a może raczej dzięki któremu jestem tutaj. Zaraz się rozstrzygnie, już świta.

Kazali mi przyjechać na parking pod galerię handlową. Czekałem tam ponad pół godziny. Sekunda po sekundzie, ponad tysiąc osiemset sekund. W końcu, mocno zdenerwowany, wyszedłem z samochodu. Chwilę później podjechało czarne Audi. Wsiadł z niego policjant w cywilu. Poznałem go, to z nim rozmawiałem wczoraj.

– Co tak długo? – warknąłem.

– Te, Rajmund, nie bujaj się tak, bo jak się nie podoba, to jedno słowo i zabieram to cacko z powrotem. Myślisz, że jak masz trochę więcej siana, to już jesteś panem życia i śmierci? Co, kurwa?!

Otworzył tylne drzwi mojego auta i wrzucił tam coś. Doskonale wiedziałem, co to jest i aż zadrzałem z podniecenia.

– A teraz spieprzaj stąd! I pamiętaj! Nie znasz mnie i nigdy nie widziałeś. Ani słowa nikomu. Nikomu, łapiesz?! I nie dzwoń do mnie! Wykasuj numer telefonu! Dla ciebie przestałem istnieć. To przysługa przez wzgląd na Henryka. Gdyby nie on, gówno byś dostał. Spieprzaj stąd! Ile razy mam powtarzać?!

Bez słowa wsiadłem do samochodu, odpaliłem silnik i odjechałem z piskiem opon. Zobaczyłem w lusterku, jak wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i odpalił papierosa. Przysługa tylko przez wzgląd na Henryka. Tak, na pewno. A trzydzieści tysięcy wyda na cele charytatywne. Ale to nie ma znaczenia. Za mną, na siedzeniu, leży NÓŻ. W tej chwili wyłącznie to się liczy. Do domu mam jeszcze piętnaście minut. Po drodze światła, oczywiście trafiłem na czerwone, ale to nic, zaraz będę, zaraz wezmę go w ręce, przywitam się z nim. Muszę zwolnić, rzeczywiście gnam za szybko.

Spokojnie, Rajmund, to już nie potrwa długo. Wjechałem do garażu, zgasilem silnik, zaciągnąłem ręczny hamulec, wyjąłem kluczyki ze stacyjki, wyszedłem i otworzyłem tylne drzwi. Nie zaglądając do środka, wziąłem zawinięty w papierową torbę NÓŻ i zaniósłem na górę. Położyłem go na dywanie w salonie i usiadłem obok na podłodze. Tkwiliśmy tak wspólnie. Celebrowałem to. W końcu odwinąłem go z papieru, potem z folii. Wreszcie mi się ukazał, dał się obejrzeć. Opuszkami palców delikatnie potarłem o rękojeść, o ostrze, a on wchłonął mnie, jakbyśmy byli kochankami, jakby tęsknił za mną, za moim dotykiem, zwykłą obecnością.

Zamknąłem oczy i zaczęło się. Najpierw krótki falujący świst, stopniowo przechodzący w drgającą, niską falę dźwięku, przypominającą bicie serca, która uniosła mnie parę centymetrów nad ziemię, tak że straciłem z nią kontakt, lewitowałem. Trzymałem się NOŻA, a on mnie, trwaliśmy złączeni w jeden organizm. W ułamku sekundy spadły na mnie wszystkie odpowiedzi. Moje życie kręciło się dookoła, owinęło mnie jak taśma filmowa, mogłem obejrzeć przyszłość, przeszłość, wybrać sobie konkretny dzień i miejsce, które chciałbym odwiedzić.

– Znalazłem cię – powiedziałem.

Nazywam się Superior. Jestem następną rasą, reakcją na *homo sapiens*, odzewem natury, jej echem, kolejnym etapem ewolucji, który od dawna bezskutecznie próbuje zaistnieć. Jestem tu od wieków. Powstałem równoległe do człowieka, ale na początku to on okazał się silniejszy, wyparł mnie tak, że prawie wyginałem. Dopiero Adam przywrócił mi nadzieję. To on odkrył NÓŻ, dostrzegł jego potencjał, wskazał ścieżkę. Teraz jestem ja i niosę inne jutro, przepowiadam lepszy świat, jak prorok. Dzisiaj mam dużo więcej szans, by zrealizować cel. Widzę go jak na dłoni, jest o krok. Już za moment narodzi się nowa, czysta krew. Będzie odrębna i niezależna, a ludzkość stanie się zbędna i przy odrobinie szczęścia odejdzie w niepamięć, ostatecznie pokonana. Zobaczyłem to wokół siebie, właśnie to pokazał mi NÓŻ.

Wkrótce opuściłem Miasto i już jako Superior udałem się w Bieszczady, żeby zastawić pułapkę na Antoniego, Monikę i Cypisa, bo to oni są kluczem, to oni jak magnes przyciągają mojego największego przeciwnika, moje przeciwciasto. Przygotowania kosztowały wiele sił. Budowa, prace

wykończeniowe, ściągnięcie ich w tamto miejsce – całość trwała ładnych parę lat. Więc tak nagiąłem pętlę czasu, żeby wydawało się im, że minęło tylko kilka dni. Wreszcie przyszli. Nie zorientowali się, kim jestem. Nikt mnie nie zdemaskował. Zaufali mi i zatrzymali się na noc. Już przy kolacji mało brakowało, a skoczyliby sobie do gardeł, ale jakoś tym razem się nie udało, chociaż cieszyłem się, że to już blisko, na milimetry. Tak naprawdę uradowała mnie dopiero Monika. Wzięła NÓŻ i uległa mu. Wyczułem przez ścianę, jak jej krew sączy się po podłodze, przenika przez deski. Wyszedłem, nie miałem zamiaru dłużej czekać. Ujrzałem jego, tego jej chłopca i ją, jak leży. Oszłamiające przeżycie. Jedyne gdzieś w głębi mnie zaiskrzył malutki płomień żalu. Ziarenko dawnej pierwotnej istoty krzyknęło z bólu. Powód jest prosty. Monika nie rozpoznała Rajmunda, bo przestał już być sobą, przestał być jej ojcem, a ona jego córką. Nie mógł i nie chciał jej powstrzymać, pomimo tego, że pochodziła z jego lędźwi, że wzięła swój początek z jego nasienia. Monika córką Rajmunda, taka jest przyczyna! Następca Rajmunda, Superior, wręcz pragnął jej śmierci. Ja, Superior, pragnąłem jej śmierci. Spełniło się. Nie ma już Rajmunda, nie ma już Moniki. Rajmund doznał przemiany. Monika przestała istnieć.

## 4. Dzieciństwo, nowe mieszkanie, nowy dom.

Aleksander był innym dzieckiem niż Stanisław. Wymagał większej uwagi, cały czas płakał, jęczał tak, że nie potrafiliśmy go uspokoić. Pretekstów do ciągłego lamentu było nieskończenie wiele. Głód, ból brzucha, mokra pielucha, rozbieranie, ubieranie, czkawka, niewyspanie, słońce na niebie, księżyc, czyjaś głupia mina, to, że ktoś wszedł lub wyszedł, zimno, ciepło, a nawet jego wrzask, którego bał się chyba najbardziej i słysząc własne wycie krzyczał jeszcze głośniejsze. Przyjmowaliśmy wizyty domowe, dawaliśmy koperty, kwiaty, bombonierki, wręczaliśmy prezenty, jeździliśmy, Łódź, Wrocław, Warszawa.

I nic.

W lekarskich rękach Aleksander się uspokajał. Najpierw byliśmy z Jerzym zdziwieni, myśleliśmy, że to przypadek, że to pewnie ze względu na zmianę otoczenia, klimatu. Później zdaliśmy sobie sprawę z tego, że działo się tak właściwie zawsze. Sytuacja powtarzała się z każdą wizytą u doktora. Przychodziliśmy z drącym się, spuchniętym od płaczu, zachrypniętym, spoconym niemowlakiem. Wracaliśmy z radosnym, zrelaksowanym bobasem. Oczywiście nie na długo. Spokój trwał dwie, czasem trzy godziny, czasem krócej i awantura zaczynała się od nowa. Mieliśmy tego serdecznie dość. Nieprzespane noce, brak prywatności, do tego notorycznie chory Stanisław, nieustające wizyty w szpitalach, raz z jednym, raz z drugim chłopcem. Często żartowaliśmy, że lepiej kupić gdzieś na rynku fartuchy lekarskie i chodzić tak po domu, bo może to coś da, może jeden przestanie beczeć, a drugi wyzdrowieje. Wciąż pamiętam słowa tych wszystkich ordynatorów, profesorów, terapeutów, podobno wybitnych, podobno najlepszych w kraju, że nasz starszy syn Stanisław, rzeczywiście jest chorowity, jakby to powiedzieć, ma stosunkowo niski poziom odporności, do tego te problemy z sercem. Ale mamy się nie przejmować, bo jest silny, to młody organizm, spokojnie da radę, trzeba go tylko odpowiednio wspierać, ograniczać do minimum potencjalne czynniki ryzyka. Powinien dużo przebywać na świeżym powietrzu, przydałoby się sanatorium, wyjazd

w Tatry albo nad morze, po prostu jak najwięcej odpoczynku, a jak najmniej wysiłku i stresu. Wyjdzie z tego, wyrośnie. Natomiast młodszy, proszę państwa, Aleksander, jest zdrow jak ryba. Z medycznego punktu widzenia nic mu nie dolega. Zrobiliśmy specjalistyczne badania, ma świetne wyniki. Spróbujcie częściej wietrzyć pomieszczenia, w których przebywa, można też urozmaicić dietę, wzbogacić ją jakoś. No chyba że taki jego urok? Zauważcie, są dzieci ciche i śpiące, są też krzykliwe i temperamentne. Państwu trafiła się raczej ta druga kategoria. Ale obserwujcie go, obserwujcie bez przerwy. Kiedy dostrzeżecie jakieś niepokojące objawy, zaraz informujcie. Każdy szczegół może okazać się niezmiernie ważny. Proszę o tym nie zapominać.

Wszyscy się mylili. Stasio chorował coraz bardziej, a Alek, mimo starań, był coraz bardziej nieznośny.

– Nie przejmuj się. Przecież mówiłem ci, co nas czeka. Nóż mi pokazał. Bądźmy silni, czas płynie szybko. Zobaczysz, to już niedługo.

Jerzyk często musiał mnie pocieszać. Wyłącznie dzięki niemu to przetrwałam. Rozmawiał ze mną, kochał mnie, słuchał, nadstawiał ramię do wypłakiwania. Nawet nie wiem, kiedy spał, bo wiecznie pracował, nieraz brakowało mi sił, żeby ugotować mu normalny obiad, wielokrotnie byłam o to wściekła na siebie i naprawdę miałam ochotę się poddać. On nie poddawał się nigdy.

Mijały lata, my się starzeliśmy, a chłopcy dorastali. Lecz ciągle w oczach Jerzyka tlił się cień Izaaka, wciąż tkwił głęboko w jego wnętrzu.

– Jak to jest mieć w środku dwie osoby? Czy jesteś na przemian jednym i drugim, czy zawsze zlepkiem ich dwóch? Czy któryś jest zazdrosny, czy ze sobą dyskutują, czy się spierają? Jak to jest, mój kochany, wytłumacz mi, rozwiej wątpliwości.

Tak go pytałam, gdy jeszcze byłam w ciąży z Alusiem. Śmiał się ze mnie.

– Oj Krysiu, Krysiu. Nie masz większych problemów? Miałaś odpoczywać, a zajmujesz się głupotami.

Kładł się i przytulał mnie delikatnie silnym męskim ramieniem. Pragnęłam zbudować kokon z tego ramienia i schować się w nim daleko od świata, zatopić się w jego ciele i tylko tak leżeć bez ruchu.

– Dziwnie mi o tym opowiadać. To trudno przekazać. Jestem Jerzy, stale, od rana do wieczora, od poniedziałku do niedzieli, od stycznia do grudnia. Pamiętam swoje dzieciństwo, własną przeszłość. Ale nie jestem sam. On, Izaak mieszka tu ze mną, mogę go odwiedzać, mogę podglądać jego wspomnienia, rozmawiać. Ale głupio mi to robić, to nieprzyzwoite i wiem, że nie powinienem. Często jesteśmy razem, bardzo często. Stajemy się wówczas równowartościowi. Dzieje się tak przy tobie, kochanie. Izaak uzupełnia wtedy Jerzego. Nie dzielimy się ciałem, lecz splatamy w nim. Z dwóch substancji powstaje jednolita mieszanina. To wyjątkowo przyjemne uczucie. To tak, jakby dołączał do mnie pomocnik, ktoś szalenie bliski, brat bliźniak. Wspólnie patrzymy na ciebie, wspólne dotykamy, smakujemy, słuchamy cię, doświadczamy. Trudno mi to wyjaśnić, nie ma takich słów, żeby to opisać. Nie ma słów.

Rzeczywiście, to był nadzwyczajny okres. Stopniowo przybywało siwych włosów, ubywało sił, a ja przyzwyczaiłam się do ciągłego czekania na lepsze czasy. Radziłam sobie jakoś, bo on, Jerzyk bezustannie mnie wspierał i wierzył w nieuchronne przeznaczenie.

Pewnego dnia Aleksander przyniósł mi mój portret. To nie był typowy dziecięcy obrazek, w każdym pociągnięciu pędzelka widać było wielki talent. Popłakałam się. Mój syn kilkoma ruchami tak pięknie mnie narysował na małej kartce papieru. Szczegóły moich oczu, kształt i kontury ust, smutny uśmiech, barwy. Nie mogłam się nadziwić. Jak mały, niedojrzały, niewiele wiedzący o życiu chłopczyk, może tak łatwo uchwycić i pokazać kawałek duszy? To był znak, którego wypatrywaliśmy od lat.

– Spełnia się. Jak obiecywałem.

Miał rację. Ja nie znałam szczegółów, nie miałam pojęcia, czego się spodziewać. Domyślałam się jedynie, że to już niedługo. Z dnia na dzień zaczęło brakować pieniędzy, bo prywatne lekcje rysunku dla Aleksandra, niezbędne według Jerzego, zjadały w niesłychanym tempie nasze oszczędności, nie mówiąc już o coraz droższych lekarstwach dla Stasia. Musiałam dorabiać wieczorami w zakładzie krawieckim przy Starym Rynku, a to i tak było mało. Mój mąż, który od końca wojny unikał kłopotów, odświeżył znajomości z byłymi partyzantami. Nie było to zbyt bezpieczne. Zajmowali się handlem na czarnym rynku, cinkciarstwem,



przemytem, ogólnie szemranymi interesami. Załatwili nam nowe, większe mieszkanie. Niby się należało, ale bez ich koneksji nic by z tego nie wyszło. W ten sposób zastąpiliśmy kawalerkę dwupokojowym, pięknym lokum z kuchnią i łazienką. W zamian, Jerzy pracował jako kurier, dostarczał paczki ze złotem, dolarami i Bóg wie czym jeszcze. Oni wskazywali miejsca i adresy. Dostawał za to swoją działkę. Dla jego znajomych to były drobne, dla nas niebotyczne, niezwykle pomocne sumy. Pod łóżkiem była w podłodze skrytka, w której przechowywaliśmy przesyłki. Ukryliśmy tam również nóż. Zajęcie Jerzyka było niezmiernie opłacalne, ale również ogromnie ryzykowne. Bałam się o niego bardzo. Bałam się nawet myśleć, co by było, gdyby wpadł w ręce milicji. Z jego przeszłością groziło mu przynajmniej parę lat więzienia. Czułam się, jakbym stąpała po cienkim lodzie.

– To tylko rok, może dwa, zobaczysz.

Bez przerwy mnie pocieszał, dodawał otuchy, bo naprawdę miałam dość. Na szczęście, Stanisław jakoś się trzymał, skończył szkołę i to właściwie on teraz zajmował się domem. Gotował, zmywał, prasował, sprzątał. Jego stan się nie zmieniał, dokuczał mu ciągły brak odporności, wiecznie kaszłał, kichał, wiecznie go coś bolało, przez co ledwie dawał radę zrobić zakupy. Ułatwiał nam życie, chociaż i tak miał olbrzymie, w ogóle niepotrzebne wyrzuty sumienia ze względu na to, że nie mógł iść do pracy i zarabiać. Wydawało mu się, że jest dla wszystkich ciężarem, co brzmiało dla mnie jak zupełna bzdura. Natomiast mój młodszy synek, Aleksander, bezustannie pochłonięty zajęciami plastycznymi nie sprawiał już tyle kłopotu, co kiedyś. Mówiłam sobie, z dziećmi lepiej. Módl się Krysiu, módl, a będzie dobrze.

I modliłam się. I było dobrze, ale do czasu. Którejś nocy obudził mnie przeraźliwy, przesywający krzyk Jerzego.

– Co się stało?!

– To już. Musimy uciekać.

Jerzyk wyglądał na poważnie chorego. Biała jak papier skóra pokryta kropelkami potu wydzielala nieprzyjemny, stęchły zapach. Oddychał płytko, w uszach i pod nosem zauważyłam ślady krwi. Miał gorączkę i dreszcze, co chwilę odpływał, tracił przytomność, ale oczywiście nie pozwolił wezwać doktora.

– Na to nie ma lekarstwa. To bez sensu, wypełnia się i dlatego niedomagam. Daj mi godzinę, dwie i dojdę do siebie. Nie wzywaj nikogo, bądź cierpliwa, proszę.

Wciąż siedziałam przy nim, przecierając mu czoło mokrą chusteczką. Bredził, dosłownie nił w oczach. Wydawało mi się, że go ubywa, że jest go mniej. Dopiero rano mu się polepszyło. Nawet podniósł się z łóżka.

– Zawołaj Aleksandra. Porozmawiam z nim. Wiem, jak to się skończy, widziałem. Za kilka dni odejdziemy stąd na zawsze, zabierzemy Stanisława. Wreszcie odpoczniemy, będziemy szczęśliwi. Jeszcze tylko trochę wysiłku.

Mówił tak cicho, jakby samo mówienie sprawiało mu ból. Pomimo tego uśmiechał się. W tym wątłym, wychudzonym, zmęczonym ciele znów ujrzałam radość. Można to było dostrzec w każdym jego geście. Długo debatowali z Aleksandrem, aż do obiadu. Syn wyszedł od ojca odmieniony, prezentował się dojrzej niż kiedy wchodził. Miałam wrażenie, że do sypialni wmaszerowało małe dziecko, a opuścił ją młody mężczyzna.

– Muszę malować. Nie przeszkadzaj mi, mamó. Zajmę mały pokój i będę w nim pracował. Chciałbym być sam, potrzebuję spokoju, żeby zrobić to jak najlepiej. Twoja pomoc jest niezbędna. Muszę coś jeść i pić, rozumiesz? Przydałaby się też kawa, dużo kawy.

– Co tylko zechcesz.

Uścisnął mnie wtedy mocno, dawno się tak nie przytulał. Matczyny instynkt podpowiadał mi, że to nie jest dobry znak, a moje przecucie rzadko mnie myliło. Tego samego dnia słabiej poczuł się również Stanisław. Leżał na swojej kozetce i płakał, bo nie mógł się ruszać. Pobiełam z tym do Jerzyka, spanikowałam, kompletnie straciłam głowę.

– Jest gorzej, niż myślałam, Aleksander... niech się pospieszy, bo inaczej ja i Stasio.... nie zdążymy. Teraz nasz los w jego rękach. Spytaj go, Krysiu, może trzeba mu czego. Jesteśmy na jego łasce, powinien mieć wszystko.

– Ale jak? Przecież on maluje. Nie pojmuję tego.

– Spokojnie. Zobaczysz.

I zobaczyłam.

Na płótnie w małym pokoju powstawał obraz. Przedstawiał góralską drewnianą chatę na podmurówce, stojącą na polanie, pomiędzy targanymi

wiatrem rzędami buków i sosen. Na prawie bezchmurnym niebie wschodziło słońce.

– Tu zamieszkacie – padły zaskakujące słowa Aleksandra. – To wasz nowy dom – dodał.

Z wrażenia przysiadłam na krześle. Znowu nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

## 5. Wariat, obrzyn, służbówka.

Nad futryną wisiał stary zegar ścienny. Wskazywał równo czwartą. Łudziłem się, że uderzenia zabytkowego, nakręcanego kluczem mechanizmu zatrzymają choć na chwilę bieg wydarzeń. Jednak nie. Przy czwartym uderzeniu Cypis spojrzął na leżącą w kałuży krwi Monikę, spojrzął na mnie, na moje upaprane juchą ręce, zamknął oczy i wymiotował.

– To niemożliwe – wybełkotał.

Ja również zamknąłem oczy, najmocniej jak się dało, mając nadzieję, że gdy je otworzę, ten cały syf zniknie, że obudzę się w łóżku, ubiorę się, umyję i ogolę, pomarudzę minutę przed telewizorem, może poczytam coś w Internecie, najlepiej wiadomości sportowe, prześledzę wyniki meczów, a następnie założę buty, wezmę plecak, kluczyki do samochodu i najzwyczajniej w świecie wyjdę do roboty. W aucie puszczę muzykę, podenerwuję się trochę na korki, kierowców, na w kółko bezsensownie remontowane ulice, na brak miejsca na parkingu. Po czym wejdę do firmy, przywitam się ze wszystkimi, zaparzę kawę, włączę kompa i po prostu zajmę się codziennymi obowiązkami, a w przerwie wyskoczę na mały lunch do Chińczyka, gdzie samotnie będę się zapychał tłustym i ostrym żarciem. Wrócę do biura, jak zwykle skończę pracę ostatni, pogaszę wszystko, ustawię alarm i pojadę do domu. Położę się i będę leżał godzinami, i nikt mnie stamtąd nie wyciągnie, żaden dzwonek do drzwi, telefon, wschód słońca, pogotowie gazowe, atak terrorystyczny. Niech tylko spróbują!

Nic z tego, Antoni, nic z tego.

Z letargu wyrwał mnie głos starego. Wychodzące z jego ust dźwięki demolowały jeszcze bardziej mój już i tak całkiem rozchwiany umysł. Cofnąłem się trzy kroki i dotknąłem ściany. Brudny, spocony i wystraszony, kręcąc głową usiłowałem zaprzeczać, bo on wciąż klepał, a ja nie byłem w stanie tego słuchać.

– Obudziły mnie hałasy, odgłosy kłótni, zdawało mi się, że wróciliście i znowu rozrabiacie. Wstałem, ubrałem się, zapaliłem światło i przyszedłem tutaj, a on (tu wskazał palcem na mnie), on zachowywał się jak psychopata! Ona, ta pana towarzyszka, ta Monika, już była nieprzytomna, może nawet

nie żyła, w każdym razie nie reagowała. A on złapał ją w ten sposób, że siedziała oparta plecami o niego. Trzymał nóż i ciął nim jej ręce. Rozumie pan coś z tego?! Ciął tym nożem jej ręce. Zamurowało mnie! Nie mogę się dostać do siebie, otwórz, to ja, Zosia, mam flaszeczkę, jestem z koleżanką – tak mówił. I oprócz tego – Jadźka się zatrzasnęła i śpi, nie chce mnie wpuścić, napijemy się, my tu sami jak palce, otwórz. Nigdy pan nie zgadnie, co wtedy zrobił. Nigdy, przenigdy! Złapał jej dłoń i zaczął wysysać z niej krew! To wariat! Pewnie wydaje mu się, że jest wampirem.

Te słowa! Wspominałem je dzisiaj. Ale one nie są moje! Słyszałem je, ale dawno. Co tu się dzieje?!

– Skąd pan to wie? No skąd?! Co tu jest grane? – spytałem drżącym głosem.

– Skąd to wiem?! Przecież widziałem cię, człowieku, na własne oczy.

– Ale to nieprawda! Znalazłem ją tu, nie ruszała się, miałem zamiar jej pomóc. Dlaczego kłamiesz?! Ty to ją tak pokancerowałeś, a teraz odstawiasz szopkę!

– Myślisz, że ktoś w to uwierzy?! Spójrz lepiej w lustro!

– Co z tego, że jestem brudny? Co z tego?! Potknąłem się o nią, sprawdzałem oddech, puls. Niech pan zadzwoni na policję, niech przyjadą i wyjaśnią. Ja nie mam z tym nic wspólnego. To ona sama... chyba... Niech policja to zbada!

– Tu nie ma zasięgu. Poza tym ktoś odciął kabel od telefonu. To też nie ty, co? Zapłacisz za to, pieprznięty świrze!

– Ktoś odciął kabel – powtórzyłem.

Tymczasem Cypis podszedł do martwej dziewczyny i zaczął ją szarpać. Łzy polały mu się z oczu. Potem uklęknął, pochylił się nad nią i pocałował. Szeptał jej do ucha. Wyglądało to tak, jakby starał się ją obudzić. Zamarłem, patrząc na to, bałem się cokolwiek powiedzieć, zakłócić tęchwilę. To było zbyt intymne, żebym zareagował, to było nawet zbyt intymne, żeby na to patrzeć.

Zegar na ścianie wskazał czwartą piętnaście.

– Żegnaj, piękna.

Zaledwie tyle usłyszałem z całej jego wyszeptanej litanii. Potem usiadł, nie spuszczaając wzroku z ciała ukochanej. Płakał. Położył sobie Monikę na

kolanach i przeczesywał dłońmi jej włosy. Po jednej jego stronie stałem ja, po drugiej właściciel schroniska. Niech to się już skończy! Nie pamiętam, kiedy ostatnio się modliłem, ale w tej chwili w kółko, nieprzerwanie przelatywały w moich myślach słowa:

– Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój. Nie opuszczaj mnie, nie pozwól, żeby mnie skrzywdzili, daj mi stąd odejść w spokoju, znasz prawdę, wiesz, że jestem niewinny, sprowadź tu zagubionego turystę, najlepiej lekarza albo policjanta, żeby potwierdził, że to nie moja wina, jemu uwierzą, albo spraw żeby ożyła, żeby się podniosła z podłogi, żartowałam, chciałam was wszystkich nabrać, chciałam zobaczyć, jakie macie głupie miny, jacy jesteście beznadziejni. Aniele Boży, przyznaję się, jestem grzesznikiem i nie jestem godzien. Ale błagam! Jeden mały, zwyczajny, dla ciebie mało istotny cud. Spraw, żeby to okazało się wyłącznie złym snem, koszmarem na jawie, urojeniami. Przysięgam, że już nigdy o nic nie poproszę. Jeden mały cud!

Spojrzałem na zegar. Wskazywał czwartą dziesięć. Przecież wcześniej była czwarta piętnaście! A może mi się wydawało? A może to przez modlitwę! Ale co to dało! Ona nadal nie żyje, Cypis płacze, a stary ciągle patrzy na mnie jak na mordercę! Tak, jestem pewien, zegar wskazywał czwartą piętnaście, a teraz pokazuje czwartą dziesięć!

– Z tym miejscem jest coś nie tak! – wrzasnąłem.

– Z tobą jest coś nie tak, człowieku! Mówisz, że to nie ty, zgadza się?

– Ja ją tylko znalazłem... – odpowiedziałem.

Co on kombinuje? Powinienem na niego uważać, powinienem być czujny. On jest dziwny. A co jeśli to rzeczywiście on ją zabił?!

– Tu na dole jest służbówka, nie ma tam okien, można się wydostać jedynie drzwiami. Daj się tam zamknąć. Ja w tym czasie zjadę na dół i przyprowadzę gliniarzy. Przecież jesteś czysty, niczym nie ryzykujesz. Posiedzisz dwie godzinki, góra trzy, to wszystko. Udowodnij swoją niewinność i daj się tam zaprowadzić. No już, chłopcze!

Ten facet nie jest normalny. Serce znów zaczęło przyspieszać, wali tak mocno, że słyszę każdy skurcz, każdy mięsień pracuje szybciej, niż zwykle.

– Nie ma mowy! To ja pójde po pomoc!

Stanowczym krokiem ruszyłem w stronę wyjścia. Chciałem szerokim łukiem ominąć Monikę i wciąż ściskającego ją Cypisa, który zresztą i tak całkiem się wyłączył, kompletnie przestał się nami interesować i wyglądał jakby stracił kontakt ze światem. Zzerał wzrokiem Monikę, cały czas tulił ją i całował. Trząsał się jak jakiś epileptyk, z gardła wydobywały mu się ciche, niezrozumiałe dźwięki. Jego też się bałem, może nawet bardziej. Miałem wrażenie, że jest jak wulkan na moment przed erupcją. Żeby go obejść, musiałem przejść blisko starego. Spróbowałem. Gdy byłem dwa kroki od niego, schylił się pod ladę i nagle zobaczyłem broń. Właściciel mierzył do mnie z obrzyna. Spoglądała na mnie krótka czarna lufa dużego kalibru, osadzona na drewnianej kolbie. Przeładował ją. Co ty, kurwa, odpierdalasz?

– Jeśli myślisz, że pozwolę ci stąd odejść, grubo się mylisz! Podnieś łapska do góry!

Przeszedł przez ladę i nie spuszczał mnie z muszki, zaszedł od tyłu.

– Ruszaj się!

Wychodząc, odruchowo zerknąłem na wiszący nad głową zegar. Czwarta pięć. Zadrzałem, ale tym razem nie powiedziałem już nic. Wydawało mi się, że to nie ma sensu, nikt poza mną nie zwracał uwagi na cofające się wskazówki. Stary korytarzem doprowadził mnie do pomieszczenia pod schodami.

– Otwórz drzwi i włącz!

Wszedłem do środka i usiadłem na łóżku. Co robić? Krzyczeć?! Uciekać?! Ale jak?! Dłonie dygoczą. Błagam! Nie zabijaj mnie! To nie ja! Słabe światło wypłynęło z małej żarówki powieszzonej na brudnym kablu przyczepionym zszywkami do boazerii. Popatrzył na mnie zza tego światła i z pogardą pokiwał głową.

– I co?! Masz już dość? Na pana, panie koordynatorze, zawsze można liczyć, jak Boga Kocham. Pamiętasz te słowa?

W odpowiedzi mogłem jedynie przytaknąć. To z moich wspomnień z wyjazdu integracyjnego. Myślałem o tym dzisiaj, ale na pewno nie wypowiedziałem tego na głos! Nikt oprócz ludzi, którzy tam byli, nie mógł tego słyszeć. Nikt, kto tu jest teraz, nie mógł tego słyszeć! A on o tym wie! To jakaś jebana paranoja!

– Mówiłeś tak do noża, gdy podcinałeś jej żyły. Nic z tego nie rozumiesz, co?! Całkowite zaćmienie, panie oficerze. Pewnie tak się będziesz tłumaczył? Afekt, niepoczytalność, obłąd, tak? Ale mam ochotę cię kropnąć!

Przechylił lufę w moim kierunku udając, że do mnie strzela. Prawie się posikałem. Trzasnął drzwiami. Dźwięk klucza przekręcanego w zamku, później już wyłącznie cisza.

Wariuję! Aniele Boży, stróżu mój... Spróbuj się opanować! Co tu się stało, zastanów się! ...ty zawsze przy mnie stój... Pokłóciliście się i wróciłeś do siebie. Następnie zszedłeś na dół, a ona już nie żyła. Pojawił się ten czub i stwierdził, że widział cię, jak ją tniesz. Zarzekał się. Czemu kłamał? Po co tak gadał? Bo sam ją wcześniej zamordował i chciał to zrzucić na ciebie! W takim razie czemu jej nie wyniósł, nie ukrył, tylko zostawił, żebyśmy ją znaleźli? Przypomnij sobie, był czysty, ani śladu krwi, wyglądał na zaspanego. Czyli zadźgał ją i wyszedł się przebrać! W piżamę? Przestań. To nie ma sensu, poza tym miał broń, mógł w każdej chwili mnie kropnąć. Potem by się wytłumaczył, że w samoobronie, że rzuciłem się na niego, że to wypadek! A on zamiast tego mnie przyskrzypił. I jeszcze te słowa... A co, jeżeli rzeczywiście je wypowiedziałem?! Czy to może być prawda?! Może mi odbiło, może mam halucynacje?! Poza tym zegar, w którym, kurwa wskazówki idą do tyłu! A jeżeli to ja ją zabiłem?! Nie! Przecież nie mógłbym tego zrobić! Przecież bym się zorientował, zapamiętałbym coś. Nie, to niemożliwe! Ale jak nie ja, to kto? Cypis? Nie, no jak?! To ona sama, bez wątplenia! Ale dlaczego stary powtarza te bzdury?! Boże! A co jeśli to ja?!

Wariuję, kurwa! Wariuję!



## 6. Monika nie żyje!, sterylność, szkoda.

Powiedz mi, co do tej pory tobą kierowało? Ale tak jednym tchem, bez zatrzymywania się.

Wiara Miłość Szczerłość Niezależność Uczciwość. To tak na szybko. To one wyznaczały moją drogę. Teraz niewiele z tego zostało. To, co się zdarzyło zburzyło wszystko. Nie ma już idei, koncepcji, poglądów. Rozpadłem się na kawałki. Kilka godzin temu byłem szczęśliwy jak dziecko, w tej chwili staram się znaleźć jakikolwiek powód, żeby ciągnąć to dalej. Monika nie żyje, oto jedyna właściwa odpowiedź.

Co z tym zrobisz? Jak temu sprostasz?

Monika nie żyje!

Wracasz do domu, na skłot? Wracasz do wcześniejszego życia? Do koncertów, imprez, pracy, małego pokoju na górze, wspólnej kuchni, Internetu, muzyki?

Monika nie żyje!

Pewnie niedługo przyjedzie policja, jej ciało spakują do czarnego plastikowego worka, wywiozą gdzieś. Może wezmą też ciebie, może będą przesłuchiwać. Zastanawiałeś się nad ucieczką, nad tym, żeby po prostu odejść szlakiem? Jak się stąd wydostaniesz? Pociągiem, stopem, busem? Masz na to pieniądze?

Monika nie żyje!

Wyobrażasz sobie jej pogrzeb? Gdy wrzucą trumnę do głębokiego dołu, gdy ukochane przez ciebie ciało przysypią ziemią. Czy w ogóle dasz radę tam iść? Jak się ubierzesz? Czy pójdziesz na mszę, czy się przeżegnasz, pogadasz z księdzem, będziesz płakał, będziesz pocieszał jej rodziców, przyjaciół?

Monika nie żyje!

Przyznaj się, myślałeś już o innych kobietach, o tym, że się kiedyś pojawią? O rozmowach z nimi, randkach, intymnych sytuacjach, seksie, wspólnych posiłkach, spacerach, trzymaniu za rękę, pocałunkach na dobranoc, uśmiechach? Czy jesteś w stanie założyć rodzinę, czy jesteś w stanie zostać ojcem, gdzieś, kiedyś w przyszłości?

Monika nie żyje!

Powiedz, jaki teraz jest twój świat? Jakiego koloru jest niebo nad tobą, chmury, słońce, księżyc, pędzący po torach niebieski pociąg? Jakie barwy przybierają drzewa wiosną, czym pachną kwiaty na łące, jak głęboka jest woda w morzu? Czy jest ciepła, czy zimna? Po co śpiewają ptaki nad ranem? Czy fruwią tak wysoko jak do tej pory, czy wyżej? W którym miejscu horyzont łączy się z ziemią?

Monika nie żyje!

Jak wygląda twoje miasto? Gdzie konkretnie, w której knajpie gromadzą się wszystkie nocne zjawy, ćmy, jeże, sowy? Widzisz puste ulice, samotne taksówki na ulicach, chwiejących się pijaczków, cichnące dyskoteki, głośno chichoczące dziewczynki wracające pieszo do domu, żujące miętowe gumy, żeby rodzice nie wyczuli papierosów i piwa, liczące na to, że to jeszcze nie koniec, że uda im się jeszcze kogoś poznać, umówić się na jutro? Patrzysz na przepelnione o tej porze bary z *fast foodem*. Nie chciałbyś tam być, usiąść, pogadać z kimś?

Monika nie żyje!

Skoncentruj się na zwykłym, przeciętnym dniu. Wstaniesz rano, włączysz muzykę, umyjesz zęby, zjesz śniadanie, obiad, kolację, wypijesz kawę, herbatę, sok pomidorowy, będziesz wydalał, spotykał się z ludźmi, odzywał się do nich, wymieniał poglądy, kłócił się, walczył, czasem nawet bił ich po tych głupich ryjach? Na którym boku się położysz, zanim pójdziesz spać, o czym pomyślisz, czy w ogóle zdołasz zasnąć?

Monika nie żyje!

Co się właściwie wydarzyło? Pamiętasz robaka, który tak cię przestraszył, a który okazał się zwykłym urojeniem, wytworem twojego umysłu? Zbiegłeś tak szybko na dół, że mało co nie połamałeś sobie nóg. Później ten typ, który tu rządzi, powiedział, że widział Antoniego, jak podcina Monice żyły. Wierzysz mu? Płakała wczoraj. Uciekła z domu i nie zamierzała wracać, miała jakieś kłopoty, nie o wszystkim ci mówiła. Ale czy byłaby w stanie? Kochała się z tobą naprawdę, nie udawała. Przypomnij sobie sen, lustro z twoją złą twarzą, brodatych dziadów, którzy kazali ci wybierać! Razem – to była twoja decyzja. Więc dlaczego ty wciąż trwasz, a ona odeszła? Miało być razem! Coś się popsuło?! Ktoś to popsuł?! Co dalej ze mną? Nie mam już na nic ochoty, to, co miało jakąś wartość odeszło, skończyło się. Może

razem, to wskazówka dla mnie, żeby dołączyć do ciebie, Moni. Jest gdzieś tutaj ten nóż? Może pójść twoim śladem? Może kontynuować twoje dzieło i poprzecinać arterie, aorty, tętnice i serca? Położyć się obok. Chciałabyś tego? Kochałabyś mnie wtedy?

Zacząłem go szukać, rozglądałem się wszędzie, pod ławą, pod krzesłami, w kącie pokoju. Znalazłem komputer Antoniego, ale noża nie było. Któryś z nich musiał go zabrać. Tylko po co? Zresztą, nieważne! Chyba, że... Uniosłem ją delikatnie... Tak! Jest, cały ten czas chroniłaś go własnym ciałem.

– A więc to ty ją zabiłeś?

Spytałem go. Milczał. Gadaj, skurwysynu! Duże, błyszczące, niby niewinne narzędzie w rękach człowieka. Na krawędzi ostrza skrzepłe resztki twojej krwi. Dotknąłem ich językiem, żeby ostatni raz cię zasmakować, zatrzymać kawałek dla siebie, chociaż małą cząstkę. Nie! Zaraz! Co ja odpierdalam?! Po co to?! W uszach zadźwięczały słowa o wampirze, dotarły do mojego przeciążonego, zagotowanego łba.

– Kto to, kurwa, zrobił?! – krzyknąłem głośno.

W odpowiedzi usłyszałem trzy głośne łupnięcia. Zabrzmiały jak próba włamania się do schroniska, przebicia do mojego świata, który dziwnym trafem wydawał się zamknięty na wszystko i wszystkich, wręcz sterylny. Poszedłem za źródłem hałasu. Pokój pod schodami, odgłos wyważania drzwi, ktoś stara się do mnie dostać i nie daje rady. Wejście wygląda zbyt masywnie i przy każdym kolejnym uderzeniu nawet nie drgnie. Od zewnętrznej strony z zamka wystaje klucz. Czyli wystarczy go przekręcić. Ale może lepiej nie? Może zostawić bieg rzeczy ślepemu losowi, może poczekać, aż samo się wyklaruje. Czy jeśli klucz tkwi w zamku, koniecznie ktoś musi otworzyć drzwi?! I kto to niby ma uczynić? Czy na pewno ja?

Szybka decyzja. Kilka ruchów, pociągnięcie za klamkę. Zaskrzypiały zdezelowane zawiasy. Jesteś wolny, wypuszczam cię. Nie ze strachu, a bardziej z ciekawości. Pomyślałem sobie po prostu, że powinienem to wykorzystać, że czas na działanie, że mam obowiązek znaleźć jakiś sens, cel, drogę. W tej chwili nie ma we mnie nic i jeżeli za parę sekund czegoś nie znajdę, chyba eksploduję, zginie ostatni powód istnienia. Właśnie dlatego się spieszę. Nie czuję lęku. Wejście stanęło otworem. Nie było

niespodzianki, w środku sterczał Antoni. Gdy mnie zobaczył, nie wyszedł, ale od razu cofnął się w kąt pomieszczenia.

– Co ty, Cypis! Co ty chcesz zrobić?!

No tak. W dalszym ciągu trzymam w ręce nóż. Wystraszył się mnie. Był przerażony, przekonany, że przyszedłem się zemścić. Władza. To niezwykle ujmujące, mieć nad kimś władzę.

– Zabiłeś ją?

– Ja pierdołę! Czy wyście wszyscy powariowali?! Była już martwa, potknąłem się i przewróciłem na nią! Ile mam powtarzać! Ten stary przyk oszalał. Mam, kurwa, nadzieję, że zaraz przyjedzie z policją i wyjaśnią, co tu się stało.

– Nie wierzę ci! Minutę temu próbowałeś się stąd wydostać. Wrzeszczałeś, wywazałeś, a teraz chcesz czekać? Łżesz, skurwysynu! – Zamknął oczy i zakrył je dłońmi. Zaczął szeptać do siebie. Trwał tak schylony przez moment, po czym podniósł się i wybuchnął.

– Boję się! Kapujesz?! Boję się! Zatrzasnął mnie tu i niby poszedł po gliny. A jeśli nie? W tym domu coś nie gra, to nie jest normalne miejsce, ten facet też nie jest normalny.

Mówiąc to tupnął nogą. Wyglądał przy tym śmiesznie, jak mały chłopiec.

– Nie krzycz na mnie!

– Bo co? Zadźgasz mnie, gówniarzu?! A może to ty ukatrupiłeś tą swoją dziunię?! Może ci nie chciała dać, pojebańcu?! Buntownik! Kurwa twoja mać! Wegetarianin! W skórzanych butach! Daj mi święty spokój! Ja tu przyjechałem odpocząć, zrelaksować się, zregenerować. Połazić trochę po górach, pozachwycać się perspektywą.

Jego ostatnie słowa były już ciche. Później na krótko zamilkł. Spuścił głowę. Oczy przestały mu płonąć.

– Pozwól mi odejść. Błagam. Mam przeczucie, że jak zostanę tu dłużej, to mogę być następny. Nie chce umierać.

– Najpierw zachowujesz się jak debil, mieszasz mnie z błotem, a potem prosisz, żeby cię wypuścić?! I to ja jestem dzieckiem, tak? I to ja jestem popierdolony?!

– Przepraszam. Wariuję, odbija mi. Szczerze, przepraszam. Przepraszam, szczerze. Szczerze, przepraszam...

Zaczął maszerować od ściany do ściany. Wcześniej wyłącznie stał i wydzierał się na mnie. Nawet nie gestykułował. Tylko darł się wniebogłose. Teraz zaczął chodzić, a właściwie prawie biegać, jego wzrok od nowa się palił.

– A może to on ją zarznął? – Ta myśl kołatała mi w głowie i nie odpuszczała.

– Nie przejmuj się, nie zrobię ci krzywdy – powiedziałem powoli. Odpocznij sobie tu jeszcze!

Jak mogłem najszybciej, chwyciłem drzwi usiłując je zamknąć. Zorientował się i rzucił w moim kierunku, nie chciał do tego dopuścić. Udało mu się w ostatniej chwili. Wpadł na mnie i runęliśmy na podłogę w korytarzu. Nie sądziłem, że będzie aż tak zwinny. A może aż tak bardzo nie starałem się uchronić przed jego atakiem. Upadłem na plecy, a on przygniótł mnie z taką siłą, że miałem wrażenie, że we mnie wniknął, wsiąknął w moje bebechy. Parę sekund się szamotaliśmy, ale byłem bezradny, wydawało mi się, że coś przytrzymuje mnie od spodu, że jestem sparaliżowany. Antoni wstał i tyłem odszedł w stronę wyjścia. Zakrył usta rękami i popatrzył na mnie jakoś tak dziwnie. Wciąż nie byłem w stanie się ruszyć. Spojrzałem w dół i momentalnie zrozumiałem. W moim brzuchu tkwił nóż! Przebił mi wnętrzności, ostrze niemal całe zatopione w ciele. Z rany szerokim strumieniem wypływa krew. Nie czułem bólu, jedynie buczenie w uszach. Narastało..

– O kurwa!

Strach, przerażenie, wszystko spotęgowane, wszystko bezlitośnie przegrane.

– Wyciągnij to ze mnie! Słyszysz?!

Potrząsnął głową, zaprzeczył, jakby mówił: jestem niewinny, to nie ja.

– Zabiłeś mnie, skurwysynu!

Nic więcej nie zdołałem z siebie wykrztusić. W końcu pojąłem, co znaczy razem. Antoni przyglądał się mojemu umieraniu. Szkoda. Wolałbym być sam. Naprawdę wolałbym być sam.

## 7. Powrót, tramwaj, prawie koniec.

Wyszedłem ze schroniska. Oczywiście, nie miałem najmniejszego zamiaru wzywać policji. Wydarzenia układają się według scenariusza, niedługo żadna policja nie będzie potrzebna. Ja również niedługo przestanę być potrzebny. To już. Prawie. Najpierw chciałem pożegnać się z Miastem. Moje losy były z nim związane od samego początku. Chodziłem tymi ulicami od wieków, w różnych wcieleniach, postaciach, stopach, skarpetach, butach. Zapragnąłem wrócić do niego jeszcze raz. Spędzić tam finalny dzień, epilog, ostatnie godziny w moim miejscu.

– Jestem Superiorem, współtworzyłem cię, jestem twoją historią, jej częścią. Pozwól mi podsłuchać. Ich słowa piszą muzykę, jaką lubię, wybierz coś na specjalną okazję i ustaw nas w odpowiedniej pozycji.

Miasto mnie wpuściło.

Ruszyłem. Jest wczesnie rano, tuż po piątej, centrum, słoneczny, wietrzny dzień. Pędzę wzdłuż linii tramwajowej. Spieszę się, bo trochę zasnęłam, a nie mogę się spóźnić. Spotykam go, gdy przechodzę obok przystanku. Widzę z daleka, jak zapala papierosa. Wiem dokładnie, to na pewno on. Teraz wygląda normalnie, chociaż kilka lat temu był skinem, miał ogoloną głowę, nosił glany, obcisłe spodnie podtrzymywane czerwonymi szelkami. Ale to na pewno on, poznałbym go wszędzie. Dzisiaj niczym się nie wyróżnia, zwykły przeciętniak, taki jak ja. Podobnego dnia jakieś dwieście metrów stąd kopał mnie tak, że na chwilę przestałem oddychać. Miałem koszulkę z pacyfą i długie włosy, to wystarczyło za powód. Nic mi się nie stało, parę siniaków, zadrapania, krwiak na szyi. Bzdura. Pamiętam jego twarz, napięte rysy, wysuniętą szczękę, zmarszczony nos. Każdy fragment wyrażał wzgardę, odrazę, wstręt, szczerą nienawiść. Nie jestem w stanie tego zapomnieć, to wciąż tkwi głęboko w środku. Zawahałem się. Czy przejść koło niego, czy zawrócić? Strach. Mam mało czasu, postanowiłem przyspieszyć i pójść dalej. Gdy byłem o krok, popatrzył na mnie. Drgnąłem. To zaledwie cień dawnych zdarzeń. Inna maska, ale mrok drapieżnika pozostał. Przekręciłem głowę i minąłem go szybko. Nie dałem rady się obejrzeć. Miałem nadzieję, że nigdy więcej tak na mnie nie spojrzy. Nie udało się. Ciągle słyszę jak krzyczy, czuję jego ślinę na policzku.

Nieopodał stoi starszy pan. Słabo mu, bo wczoraj za dużo wypił. Od dawna wszystko go drażni. Został sam, bez pomocy, dzieci się od niego odwróciły, dwaj bracia też. Haruje jako sprzątacze w hipermarkecie. Drobne, które mu płacą, plus renta, z trudem starczą od pierwszego do pierwszego. Jedyni jego towarzysze to psy, które zajmują mniejszy pokój. Suka niedawno się oszczeniła, miała siedem małych. Nie stać go na utrzymanie zwierzątek. Brzydkich, małych kundli nikt nie chciał kupić, nikt ich nie chciał nawet za darmo. Sam nie miał serca tego zrobić, więc zapłacił sąsiadowi. Ten za flaszkę ukręcił głowy sześciu z nich. Nie cierpiały, trwało to krótko. Wcześniej myślał, żeby przetopić je na smalec, przecież mógłby nim pohandlować, ale nie dał rady. Miał wyrzuty sumienia, dlatego zostawił sobie jednego, resztę zakopał na działkach. Starszy pan upił się wczoraj z tego powodu. Męczy go to dzisiaj i będzie męczyć jeszcze kilka dni. Cóż poradzić.

Wchodziłam do tramwaju zaraz za starszym gościem. Uciekłam od niego na drugi koniec wagonu. Śmierdział brudem, denaturatem, moczem, aż zaczęło mi się zbierać na wymioty. Stałam przy oknie, nie było gdzie usiąść. To już prawie rok, odkąd się obroniłam, później doszło sześć miesięcy stażu jako grafik komputerowy. Praca jak praca, żenujące zarobki, ale chociaż nie siedzę w domu, byle coś wpisać do CV. Niedługo wreszcie wakacje, może tym razem za granicą? Oby tylko nie wyszło tak jak w zeszłym roku. Boże! Jaka byłam głupia. Beznadziejnie głupia! Bawiłam się z siostrą i z ekipą z ogólniaka w teatr, pojechaliśmy na festiwal dla młodych talentów. Był tam taki kabaret z telewizji. Wieczorem zaprosili nas na imprezę, poszliśmy, czemu nie? Gwiazdorzy! Patrzyli na mnie i szeptali. Trochę z nimi flirtowałam. Ten niższy usiadł obok, stawiał drinki, upiłam się. Zgwałcił mnie, najpierw on, potem ten jego koleżka. Byłam tak załatwiona, że nie mogłam się ruszyć. Kokietowałam ich przedtem. Kto by uwierzył, że mnie zmusili. Opuściłam. Bardziej ode mnie płakała moja siostra. Wiedziała, że byłam dziewicą. Wróciliśmy od razu. Pragnęłam zapomnieć o tym jak najszybciej. Przypomniało mi się, bo ten koleś w czapce jest do niego podobny. Okropny. Nie ma mowy, żebym kiedykolwiek związała się z jakimś facetem. Odpada. Absolutnie.

Wysiadłem przy dworcu PKP, tak jak ostatnio. Mam już nową czapkę, jest dużo fajniejsza. Całe życie chodziłem tędy pieszo, teraz mam stracha, wolę podjechać. To moja dzielnica, wychowałem się tu, nigdy nie miałem obiekcji, zawsze czułem się pewnie, aż do wtedy. Zwykły dzień. Skrót nad torami, górą przez kładkę. Na środku stała ekipa gówniarzy, pili, śmiali się. Gdy się do nich zbliżyłem, zamilkli. Pierwszy z nich poprosił o kasę, drugi chciał na moment pożyczyć telefon. Kazałem im spierdalać, bo mogliby być moimi synami, bo jestem stąd i wszystkich tu znam. Każde kolejne uderzenie bolało dużo bardziej od wcześniejszego. Przestałem walczyć, nie było sensu, nie miałem żadnych szans. Złapali mnie za nogi i przerzucili za poręcz. Wisiałem głową w dół kilkanaście metrów nad ziemią. Spadła mi czapka. Spytały, czy mam ochotę do niej dołączyć. Powiedziałem, że nie. Błagałem. Nie zrzucili mnie. Ale następnym razem bądź grzeczny, więcej kultury, współpracuj, bo po co ci to, wiemy, gdzie mieszkasz, mamy twój dowodzik. Od tamtego czasu chodzę do roboty przejściem pod dworcem. Dużo ludzi, bezpiecznie, nie muszę się za siebie oglądać.

Przejście pod dworcem. Idę z nim. Objął mnie, a ja poczułam się taka szczęśliwa. Jestem laską najcudowniejszego chłopaka na świecie. Kocham go i będę kochać do końca życia. To mój ideał. Dzisiaj zerwaliśmy się z lekcji, znowu matka będzie się darła. I co z tego?! Mam w dupie posraną budę! Spędzimy ze sobą cały dzień. Cały dzień! Jestem ściorana, bo wczoraj balowaliśmy. Wkurwił mnie, byłam zła, zresztą ciągle udaję, że mi nie przeszło, chociaż już dawno mu wybaczyłam. Ważne, żeby był blisko, jak najbliżej. Spijam te chwile. O co mi chodzi? Narąbał się z kolegami, staliśmy przy budkach z frytkami, było już prawie widno. Zsunął spodnie i kazał mi ciągnąć przy kumplach. Zgodziłam się. Nie mam wyboru, jestem jego, może ze mną zrobić, co zechce. Taksówkarze mieli przedstawienie, nabijali się, ubliżali. Rzucił się na nich, ale go powstrzymałam. Mój misiek, nie oddam cię nikomu. Wbiliśmy się do tramwaju, tylko kilka wolnych miejsc. Już mieliśmy klapnąć, ale wrąbał się jakiś babsztyl.

Ledwo zdążyłam. Jadę z wizytą do synka, do bloków. Dawno go nie widziałam, uciekł ze wsi, opuścił nas na stare lata, nie przyjeżdża, nie odwiedza. To po tym wypadku tak mu odbiło. Sąsiadom w oczy nie potrafi spojrzeć. Obwinia się niepotrzebnie, a przecież to nieumyślnie. Wesele



córce wyprawiał, ukochanej mojej Kasi. Wystawnie było, pyszne jedzenie, suknię śliczną za pięć tysięcy kupił, fortunę wpakował w uroczystość, w swoją jedynaczkę. Przy czepku zaczął się oszczędzać z pićm, żeby nie paść na twarz, żeby wstydu nie było i coby ludziska nie gadali. Dotrwał do rana, rzeński jakby nie wypił ani kielicha. Wstał o ósmej, przejmował się, nie mógł spać. Wsiadł w auto i pojechał na sałę, dopiąć poprawiny na ostatni guzik, bo kto jak nie on. Po drodze wyjechał mu na rowerze sąsiad, awanturnik i żul jak cholera, do tego recydywa. Każdy we wsi go nienawidził, bo złodziej, obce baby zaczepiał, nikogo nie szanował. Nie zdążył nawet zahamować, mój synuś kochany, to się działo tak szybko, zabił, na miejscu, nie było co zbierać. Przyjechali z komendy, dmuchnął i wykazało. Zamknęli go, potrzymani dwie godziny i wypuścili. Posterunkowy to syn kuzynki, na przyjęciu dwa stoliki dalej siedział. Powiedział, że cicho sza, żeby się nie martwić, bo jednego chwasta mniej i nie ma się co denerwować, załatwione. Nie przeszło mu, mojemu pierworodnemu. Nie był w stanie pracować, jeść, męczyły go koszmary. Pytałam, czy lepiej by było gdyby cię w poprawiny córki na dobre zamknęli?! No zastanów się. Wyprowadził się. Do kościoła chodzi, na msze, na różaniec, modli się, spowiada często. Jego okna już widać, te przy pomalowanym murze. Trzeba wstać, bo wysiadka.

Ten odjebany mur to moje dzieło. Dwa dni harówy, siedmiu chłopa. Wypasione wielkie logo we wszystkich kolorach tęczy na tle grubej bużki. Pięć miesięcy układaliśmy plany, zezwolenia z miasta, ze spółdzielni mieszkaniowej. W końcu się udało. Fundnęliśmy dzielni wypasione graffiti. Poza tym obok wmontowałem jeszcze godło naszego klubu. Marni kopacze są w trzeciej lidze, ale my, *hoolsi*, jesteśmy w czołówce kraju. Tydzień temu mieliśmy ustawkę z Ślązakami w lasku pod miastem. Dwudziestu na dwudziestu. Trafił mi się gruby kark, ale spoko, lubię takich, sama siła, zero techniki. Przypadkiem przycelowałem w grdykę, potem puściłem trochę młotków na głowę. Mało co się nie przekreślił. Zawinęli go jego ziomki, później dowiedziałem się, że jednak nie kojfnął. Parę dni miałem serducho na ramieniu, ale przecież nie ma co sobie łba zawracać. Każdy jest dorosły. Z drugiej strony fajnie by było walnąć takiego murala z ustawką. Jak lejemy krawaciarzy, albo łódzkich żydków, albo scyzoryków. Nieźle, co? Wrzucę

pomyśla koleśiom, może na to pójdą. Jezu! Co ten tramwaj, znowu się popsuł? Znow jakaś awaria?

Awaria prądu. Chyba za chwilę mnie zjedzą. Dzwoniłem już do dyspozytora, raczej coś grubszego, padła cała sieć, stoimy, odpoczywamy. Podziękowałem pasażerom, w odpowiedzi same wyzwiska, przekleństwa, jakby to była moja wina. Ostatnia wyszła młoda dziewczyna z dwójką dzieci. Jej córeczka jest taka śliczna. Gdybym tylko mógł... Ale nie! Nic z tego, obiecywałem, przysięgałem przed świętym obrazem. Jedyne kiedy jestem sam. Jedyne przez Internet, i rzadko, jak najrzadziej, żeby się nie rozwinęło, żebym nikogo nie skrzywdził, bo kilka razy mało brakowało. O matko, proszę, niech zaniknie, niech zaniknie na zawsze! Żebym był normalny, jak oni. Już nad tym panuję, nauczyłem się. Nigdy, przenigdy nie dotknę żadnego maluszka! Gdy byłem młodszy, korciło bardziej, stałem pod szkołami, szukałem okazji. Od dawna tego nie robię, walczę, staram się, chociaż czasem bywa ciężko. Ale próbuję, naprawdę. Ze wszystkich sił. I wciąż jestem sam. Chciałbym się z kimś związać. To by na pewno pomogło. Na pewno bym się zmienił.

Chciałabym się z kimś związać. To by na pewno pomogło. Ale nie jest łatwo, nikt na taką nie poleci. Nawet jak już mi się uda pójść na randkę, to wystarczy, że powiem – dwójka bachorów, samotna matka i już inne podejście, połowa ucieka, a połowa myśli, że chcę się pierdolić, bo jestem wyposzczona, bo długo nie miałam faceta. Tragedia! Niestety maluchy też przez to cierpią. Tęsknią za ojcem, szczególnie mój Tomaszek ma z tym problem. Brak męskiej ręki, pewnie taki jest powód. Ciągłe by się przebierał w dziewczęce ubranka, bawił się lalkami, do tego skomli, żeby mu przebić uszy, pomalować paznokcie, powpinać spinki we włosy. Nie lubi chłopców, nie lubi być brudny, nie lubi samochodów, piłki nożnej, pistoletów. Śmieją się z niego. Za parę miesięcy idzie do pierwszej klasy. Boję się. Dla niego to może być piekło. Jezu! Spraw żeby nie był gejem, transseksualistą, biseksem, zniewieściałą ciotą czy innym odmieńcem, żeby był zdrowy, żeby był szczęśliwy, żeby się nie męczył, błagam! Tramwaj stoi już nie wiem odkąd, a ja tu siedzę z tymi dziećmi, sterczę jak głupia, został tylko ten motorniczy. Dziwnie na mnie patrzy. Trzeba wracać.

Trzeba wracać, choć śpiew ulicy pieści, wzrusza, unosi nad ziemią. Na przemian wysokie i niskie tony przyjemnie kłują w serce. Pożegnałem Miasto, w dalszym ciągu najbardziej oszałamiające miejsce we wszechświecie. Otworzyłem drzwi do schroniska. W korytarzu stał Antoni odwrócony do mnie plecami. Tuż za nim ujrzałem Cypisa leżącego z NOŻEM w brzuchu.

To już prawie finał.

## 8. Australia, pąsy, brama.

Aleksander ukończył swoje dzieło właściwie w ostatniej chwili. Jerzyk był już w złym stanie. Miał ogromne trudności, żeby w ogóle wstać z łóżka. Wreszcie mu się udało. Jakimś cudem dał radę wziąć półprzytomnego Stanisława na ręce.

– Przynieś nóż – powiedział do mnie.

Odłoniłam skrytkę. Był tam, czekał. Nóż dotykał mnie, a tymczasem Jerzyk zmęczonym głosem mówił do Stanisława.

– Nie zgub kartki z adresami. Rano weź obraz, zostawisz go u nich. Zajmą się tobą, wszystko jest załatwione. Obraz nie może ci dalej towarzyszyć. Ale nie będziesz sam. Niedługo pojawi się szept. Pomoże ci w potrzebie, podpowie w trudnych momentach, to taki twój mały aniołek stróż. Trzymaj się blisko niego i słuchaj, a będzie dobrze. My odejdziemy, inaczej byśmy nie przetrwali. I pamiętaj, Kocham cię bardzo. Mama Kocha cię bardzo. Twój brat Kocha cię bardzo. Pomyśl o tym, kiedy będzie ci źle. My nie umieramy, nie przestajemy istnieć. Przenosimy się jedynie w trochę inne miejsce, jakbyśmy wyjechali gdzieś za granicę, na koniec świata, na przykład do takiej Australii. Nie martw się. Zresztą powtarzałem ci już tyle razy. Wiesz, co robić.

Słowa składały się w zdania, a ja ledwie rozumiałam ich sens. Podałam nóż Jerzykowi i przytuliłam się do mojego ukochanego Alesia. Łzy wylały się, tworząc rzekę nieszczęścia. Chwyciłam mocno jego ciepłe ciało, nie będąc w stanie go wypuścić, za nic. Nawet najmniejszy skrawek pachniał dla mnie udręką, tęsknota raniła dużo bardziej, niż się tego spodziewałam, a przecież stałam przy nim jeszcze, głaskałam, całowałam, widziałam przed sobą. Co będzie, gdy go stracę?

– Daj spokój, mamusiu. Rozumiem.

– Pójdziecie beze mnie. Ktoś się nim powinien opiekować. Nie wolno mi go opuszczać – próbowałam ich przekonać.

– Wykluczone. Nóż mi pokazał, co by było. Teraz stąd odchodzimy, ale spotkamy się. Tam czas płynie w inny sposób. – Jerzyk nie dawał żadnej nadziei.

– Dam radę. Będę się starał, obiecuję. – Aleksander nie dawał żadnej nadziei.

Rozkleiłam się całkiem, ściskając go przy tym bez przerwy. Staliśmy tak razem, a każda upływająca sekunda była niemożliwie krótka. Oprócz tego rozplakał się Stasio, ale on bardziej z choroby i zmęczenia. Musiałam zostawić jednego kochanego synka i iść do drugiego.

– Wbij gwóźdź w ścianę, tu nad radiem. Powiesz na nim obraz. Pospiesz się.

Sterczałam ze spuszczonej oczami, słuchając uderzeń młotka. Nie mogłam na to patrzeć. Pragnęłam się schować, ukryć, ochronić samą siebie przed oglądaniem tego wszystkiego. Wlepiłam wzrok we własne stopy, są tylko one, usiłuję się skupić, wyłączyć zbędne ruchy. Wdech, wydech, bicie serca, pot, którego krople chłodziły skronie. Chciałam to powstrzymać.

– Wyrzucisz popiół. Jak wrócisz, nikogo już nie będzie.

Jerzyk wciąż instruował Aleksandra, a ja zakazałam uszom odbierania jakichkolwiek dźwięków. Nie powiodło mi się. Usłyszałam kroki. Aleksander wpadł do kuchni, żeby opróżnić popielnik. Wolniej! Proszę! Później znowu kroki. Szedł w naszą stronę. Ja ciągle plecami do niego. Po prostu nie potrafiłam się ruszyć. Byłam pewna, że gdy spojrzę jeszcze raz, to albo nie dam mu odejść, albo wyjdę z nim. Szukałam jego postaci, jego pięknej twarzy w odbiciu oczu Jerzyka. Jerzyka, który stał bez ruchu i śledził jego poczynania.

– Aleksander?

Kroki umilkły.

– Pamiętaj żeby być dobrym człowiekiem. Nie ma nic ważniejszego.

– Tak, tatusiu.

– Będziemy czekać. Idź już, synu. Czas na ciebie.

Skrzypienie otwieranych drzwi. Odgłos zamka. Wstrzymałam oddech. Niech to nie będzie prawdą! Cała jestem w rozpacz. Topię się w niej!

– Złap nóż, Krysiu!

Próbowałam protestować, zastanówmy się, chociaż moment. Jerzyk wypuścił z rąk Stanisława. Ten stanął niepewnie na własnych nogach. Jego twarz prosiła. Chwyciłam się noża. Wpadliśmy w jego objęcia.

– Otwórzcie oczy.

To były słowa, które wychodziły raczej z ust Izaaka, niż Jerzyka. Posłuchałam go i powoli uniosłam powieki. Zrobiły się ciężkie, jak z ołowiu. Mój mąż wyglądał inaczej. Był niższy, trochę bardziej krępy, rozpoznałam w nim dużo więcej Izaaka niż przedtem. Stasio również był inny. Sprawiał wrażenie zdrowego, silnego mężczyzny, a do tego w końcu się uśmiechał. Świat dookoła wciąż się przeobrażał, ewoluował, tak jak nasze mieszkanie, które przypominało obraz namalowany farbami olejnymi. Stare ściany, kiedyś brzydkie, prezentowały się naprawdę ślicznie. Podłoga, sufit i drzwi mieniły się paletą barw, kolorów cieplejszych i dużo weselszych niż w rzeczywistości. A ja? Też się zmieniałam. Byłam młodsza, szczuplejsza, moje dojrzałe sterane ciało wróciło do jędrnej dziewczęcej sylwetki. Zniknęły siwe włosy, nawet skóra stała się dużo gładsza i delikatniejsza.

– Chodźmy. – Mój mąż wskazał na wiszące na ścianie płótno. Złapał mnie za rękę.

Nieśpiesznie ruszyliśmy w stronę tamtego świata. Przejście było płynne, harmonijne, prawie nieodczuwalne. Znaleźliśmy się po drugiej stronie. Australia ucieszyła oczy łagodną jaskrawością. Staliśmy przed drewnianą góralską chatką. Była wiosna, jak okazało się potem, wieczna wiosna, a właściwie wieczne wiosenne przedpołudnie. Zaczęłam mówić o tym, jak tu pięknie, że na pewno będziemy szczęśliwi, bo tym razem fortuna nam sprzyja i wreszcie się odpłaci, nie ma innej możliwości. Chciałam przekonać samą siebie. Zapraǳnęłam normalnie żyć.

– To tylko przeprowadzka, Krysiu – powtarzałam sobie.

Ja i Jerzyk zamieszkaliśmy na piętrze. Stasio na dole. Przed domem była ławka, na której spędzaliśmy godziny, debatując na poważne tematy. Oni wiedzieli tak wiele. Siadaliśmy tam po obiedzie, żeby spierać się godzinami, potrafiłiśmy również godzinami milczeć, wspólnie podziwiając krajobrazy. Później każdy szedł w swoją stronę, bo każdy miał swoje zadania, swoje ulubione czynności.

Moim głównym zajęciem stało się gotowanie. Wychodziłam na podwórko i zbierałam różne przedziwne rośliny, których pełno było dookoła domu. Fioletowe grzyby, zwane przez nas fioleczkami, brązową, pachnącą werniksem trawę, karmazynowe łopiany, spadające różowe, gąbczaste chmury czy pieprzowe ślady po przelatujących kaczkach. Używałam

mnóstwa przypraw. Słodkiej żółci wschodzącego słońca, kwaśnych kawałków dymu z kominka, zielonych igieł sosny. Wszystko pachniało kuchnią, smakowało jak dania najlepszych kulinarnych mistrzów. Byłam w siódmym niebie, widząc jak chłopcy delektują się moimi potrawami. Przecież gotowałam im od lat, ale nigdy z takimi efektami. Kiedy nadchodziła pora posiłku, odrywali się od swoich obowiązków, sadowili w kuchni i zajadali wielobarwnymi, aromatycznymi pierożkami.

Naczynia były dziełem Jerzyka. Zresztą nie tylko naczynia. Jerzyk był naszym budowniczym, złotą rączką, wynalazcą i architektem w jednej osobie. Z ubitej ziemi ulepił garnki, ze wzmocnionych lipowych gałązek zrobił sztuce, z kawałków starego płotu zbudował wannę i prysznic. Miał tyle pomysłów. Dzięki niemu życie nabierało kolorów. Z czasem jego projekty stawały się coraz dziwniejsze, coraz mniej zrozumiałe i mniej przydatne. Zatracał się w nich.

Stanisław za to zaczął gdzieś znikać. Chodził do lasu. Wyglądało na to, że z kimś się spotyka. Z kobietą. Rozpływał się między drzewami i godzinami go nie było. Gdy wracał, sprawiał wrażenie zmęczonego, był niesamowicie głodny i wyczerpany. Próbowалаm go podejść.

– Jak ona ma imię? – pytałam.

– Kto?

– Dobrze wiesz.

Twarz w pąsach, zawstydzone oczy, jak u szczeniaka, jak u zakochanego dzieciaka.

– Nie ma mamusia ważniejszych rzeczy do roboty? To nieładnie tak się natrzasać! Chciałbym jednak mieć trochę prywatności.

Prosiłam, żeby się nie boczył, przecież to żarty, takie przekomarzanie. Nie obrażaj się, objęłam go mocno, za dwóch. Za niego i za jego brata, o którym nie przestawałam myśleć nawet na chwilę. Byłam przeświadczona, że u niego wszystko w porządku, że nie ma się co przejmować. Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób, ale wyczuwałam, że jest szczęśliwy i dlatego się nie martwiłam. Chociaż oczywiście umierałam z tęsknoty. Jak każda matka za synem.

– Długo jeszcze, mój kochany? Długo będziemy na niego czekać?

– Spokojnie, i Aleksander zawita do Australii. Musimy wierzyć, być cierpliwi.

To nasz rytuał, sypialnia, ja wtulona w mojego mężczyznę, pytam, on odpowiada. Potem przychodzi Stanisław. Kładzie się w nogach, na ogromnym łożu z baldachimem, jakby wciąż miał osiem lat i zmęczony przydreptał ze szkoły, bojąc się, że nie odnajdzie sił na odrabianie lekcji, błagając, żeby mógł tak przeleżeć do nocy, bo cierpi, bo boli go głowa. Tylko, że tym razem nic mu nie doskwiera. Jest zdrowy, rozradowany, wręcz promienieje.

Przez cały pobyt na tej cudownej ziemi nikt z nas ani na sekundę nie zmrużył oka. Za odpoczynek wystarczało zaledwie przelotne spojrzenie w przejście. Było to dość niesamowite doznanie. Kilkaset metrów w górę od domu znajdowała się stara, żelazna, skrzypiąca pod podmuchami wiatru brama. Nie wiem, dlaczego, ale nigdy nie spotykałam przy niej nikogo, ani Stasia, ani Jerzyka, ani żadnej z osobliwych eterycznych istot zamieszkujących tę przestrzeń. Tutaj zawsze było się samemu. Za bramą była granica, a za granicą inny kraj. Ten, z którego uciekliśmy, w którym zostawiłam syna. Przy bliższym kontakcie można było dostrzec okruchy życia po drugiej stronie. Przypominało to serię dagerotypów zanurzonych w oparach mgły. Miałam nadzieję, że już tam nie wrócę. Wyglądałam jedynie Aleksandra, wyszukiwałam w obrazach jego odbicia. Tak, często dokuczała nam samotność. Tak, trwaliśmy w miejscu, nie mając widoków na jakąkolwiek zmianę. Ale kompletnie nam na tym nie zależało. Wypełniała nas radość, miłość i spokój. Tym mocniej to odczuwaliśmy, im częściej obserwowaliśmy ten tak zwany prawdziwy świat. Biło od niego uderką. Marzyłam o tym, żeby móc włożyć tam na chwilę rękę, złapać Aleksandra i wciągnąć go do nas. Bylibyśmy doskonali. Bylibyśmy całością.

– Ja też na niego czekam. Nie wolno nam tam iść. Musi przyjść sam.

Jerzyk znał moje myśli, czytał w nich jak w otwartej książce.

– Wiem, nie jestem głupia.

Na szczęście czas toczył się innym torem. Zwalniał, wyginał się, wracał. Dlatego fakt, że znowu jestem w ciąży, odkryłam tak późno. Nie spodziewałam się. Wydawało mi się, że w moim wieku to nie jest już możliwe, a jednak. Od teraz wypatrywaliśmy jeszcze jednego człowieka.





## 9. Morderca, Jeanne, ogień.

Przyglądałem mu się, gdy odchodził. Jak jego oczy traciły blask. Obecna w nich iskra stopniowo malała i matowieła. Oddech stawał się słabszy. Cypis gasł. Pierwszy raz widziałem śmierć. Pierwszy raz odebrałem komuś życie. Zresztą, już i tak wszystko jedno. Liczyło się wyłącznie jedno: byłem mordercą. Zmieniłem się i już nigdy nie będę taki jak przedtem. Zaczęło się od ogromnego bólu gdzieś w środku, palił mnie, rozsadzał wnętrzności. Próbowałem przed nim uciec. Niepotrzebnie. Zupełnie niepotrzebnie.

Obserwując jego ostatnie sekundy, czuję podniecenie, delikatne mrowienie w dłoniach. Jestem zadowolony, ba! Nawet szczęśliwy, że to coś, zdychając, patrzy na mnie. I że to ja jestem bezpośrednim sprawcą, katem. Cieszy mnie to. Tak. Nawet bardzo.

– Umieraj!

I umarł. Szkoda tylko, że tak szybko.

Otworzyły się drzwi.

– Zabiłeś go. – Usłyszałem za sobą głos właściciela schroniska.

Nie rozpoznałem w nim wroga, był po mojej stronie, brakowało jedynie żeby mnie przytulił i poklepał po ramieniu. Stał w wejściu, trzymając w ręce broń. Po czym powoli odłożył ją na ławkę i wszedł do środka, ściągnął buty i zbliżył się o krok. Przenikliwym wzrokiem zlustrował mnie dokładnie, od stóp aż po czubek głowy. Zadrzałem. Spójrz tak ponownie, powtórz to, nie daj się prosić!

– Czyli to jednak ty – powiedział.

– Tak.

– Spodziewałem się raczej, że będzie to ten mały (kiwnął w kierunku zwłok Cypisa). Ale to jednak ty. Dobrze... Więc bierzmy się do pracy. Sporo przed nami.

– To pan tego dokonał? Dlaczego tak się stało? Czemu oni nie żyją? Istnieje jakiś plan? Dlaczego akurat ja?

– Jesteś jak noworodek. Jak narodzone wczoraj niemowlę. Ale spokojnie, nauczysz się. Nie możesz żądać wszystkiego od razu, nie możesz w kółko pytać, bo i tak nie zrozumiesz większości odpowiedzi. Poczekaj, a pytania staną się zbędne.

– Ale... Kim pan jest? Kim my jesteśmy? Wiem, że jest pan rzeczywisty, że pan istnieje naprawdę. Wiem, że jest pan dla mnie ważny... A nawet nie wiem, jak się do pana zwracać.

– Jestem Adam. Pomogę ci uchwycić sens, będę twoim przewodnikiem, a ty musisz nauczyć się słuchać. To pierwsza zasada, reszta później. Nie ma czasu. Trzeba tu posprzątać. Najpierw ona. Idź po nią.

Poszedłem do jadalni. Tam nadal w kałuży krwi leżała Monika. Adam sunął tuż za mną. Nie miałam pojęcia, czy mogę się obejrzeć, w jaki sposób mógłbym mu dalej służyć, tak, żeby był zadowolony, by go ucieszyć. Łaknąłem tego.

– Ściągnij z niej ubranie. Całość. Przejrzyj kieszenie, wyjmij telefon, biżuterię, każdy drobiazg, którego nie dasz rady spalić i połóż na stole. Resztę razem z ciuchami wsadzisz do worka, jasne?

– Tak, Adam.

Powoli zdjąłem z niej koszulkę, potem bieliznę, wyciągnąłem kolczyki z uszu, starając się przyjrzeć jej jak najlepiej. Ciało pięknej kobiety. Przekręciłem dłonie, tak żeby nie było widać ran. Wytarłem z krwi. Ułożyłem ją ładnie. Przypominała kobietę z obrazu Modiglianiego, była jak moja własna Jeanne, tylko z zamkniętymi oczami. Zawahałem się, czy ich nie otworzyć. Nie potrafiłem się oderwać.

– Możesz z nią zrobić, co tylko zechcesz! Pewnie mi nie uwierzysz, ale to moja córka. Ofiarowuję ci ją. Jest twoja. Powtarzam, możesz z nią zrobić wszystko.

– Przecież ona nie żyje.

Odwrócił się i spojrzął na mnie. Jego córka. Co on chce przez to powiedzieć? Może to przenośnia, jakiś symbol, nie do końca rozumiem, jestem jak pijany, albo rzeczywiście jak niemowlak, który dopiero stawia pierwsze kroki, gaworzy, próbuje się w tym połapać. Do tego wciąż się gapi! W taki sposób!

– No właśnie. Czyli możesz zrobić wszystko. Pomyśl.

– Nie! Nie! To byłoby złe.

Wybuchnął przerażającym śmiechem.

– Wytłumacz mi, czym się różni dobro od zła. Przekonaj starszego pana, że zło jest gorsze od dobra, że to w ogóle jest istotne, że ma jakiegokolwiek

znaczenie! Ze to w ogóle jest ważne. Nie będę się upierał, będę wyrozumiały. Po prostu mnie przekonaj! Spróbuj.

Zawahałem się.

– Nie o to mi chodzi, Adam. Uświadomiłem sobie i jestem pewien, że w tej pozycji, w tej sytuacji, z tobą obok mnie, te czynności, całość, treść i forma, kompozycja... tak naprawdę ogół... jest idealny, piękny, dobry. Zburzenie tego, tknięcie palcem, nawet niepożądanym gestem byłoby... złe.

Znieruchomiał na moment i zamyślił się. Potem bez słowa wrócił do pracy. Wspólnie przejrzelśmy drobiazgi, posegregowaliśmy je. Te nienadające się do spalenia włożyliśmy do plastikowego worka. Resztę wpakowaliśmy do wysłużonego kosza na pranie, który Adam skądś przytargał. Później rozejrzał się, spojrzał na leżącą Monikę i powiedział:

– Na razie musimy cię porzucić, córeczko, ale niedługo będziemy z powrotem.

Poszliśmy na korytarz. Kazał mi zostać tam chwilę, po czym pochylił się nad Cypisem tak, że nic nie widziałem. Wyciągnął z niego NÓŻ. Mówił coś przy tym. Sprawiał wrażenie, jakby odprawiał ceremoniał czy nabożeństwo. Następnie wstał i ruszył do wyjścia. Nie odwracając się, machnął ręką i wskazał zwłoki. Cypis przeszedł w moje ręce. Czekałem na to. Te same ruchy, ściąganie i chowanie ciuchów, przetrząsanie kieszeni. Wrócił z plecakiem. Usiadł i posegregował jego zawartość. Nie odzywaliśmy się do siebie. O dziwo, nagi i martwy Cypis również wyglądał pięknie. Nigdy nie przypuszczałem, że będę w ten sposób patrzył na kształty męzczyzny. Jak na idealnie proporcjonalne dzieło sztuki. Płeć nie miała znaczenia. Ułożyłem go w podobnej pozie jak Monikę, jak moją Jeanne z obrazu. Nie wiem, dlaczego. Tak wyszło. Tak było subtelniej.

Gdy już posprzątaaliśmy, Adam wziął szpadel i zaprowadził mnie do lasu. Minęliśmy starą bramę i weszliśmy na wzgórze, gdzie zatrzymał się między drzewami i rzucił worek.

– Tutaj będzie dobrze.

Kazał mi kopać. Zanim telefony, biżuteria, dokumenty, karty, klucze i inne tego typu rzeczy wylądowały na dnie dziury, byłem już całkowicie wyczerpany. Usiadłem i obserwowałem, jak Adam zasypuje dół i ubija ziemię. Wróciłem do schroniska totalnie skonany. Przeczuwałem, że pewnie

to nie koniec, że teraz czas na Monikę i Cypisa, że trzeba będzie ich taszczyć gdzieś wysoko, potem znowu ryć twardą, kamienistą, górską glebę i kompletnie opadłem z sił. Wydawało mi się, że wyczytał to w moich myślach.

– Nie przejmuj się. Zaraz ktoś po nich przyjedzie.

Nie spytałem, o kogo chodzi. Po prostu dalej mu pomagałem. Wspólnie włożyliśmy czarne foliowe worki na ciała Moniki i Cypisa i zawinęliśmy je brązową, grubą taśmą klejącą. Jeden worek od strony głowy sięgał mniej więcej do pasa i łączył się z drugim, wsuwany od strony nóg. Chwilę później usłyszałem warkot silnika samochodu.

– Idealnie, jak w zegarku.

– Kto to? – spytałem.

Nie odpowiedział. Wybiegliśmy na zewnątrz, a moim oczom ukazał się wysłużony Jeep Willys, jak ze starych amerykańskich filmów o Wietnamie czy Korei. W środku siedziało trzech brodatych gości ubranych w ciuchy moro, kowbojskie kapelusze i wojskowe buty. Milcząc wysiedli z auta i ruszyli w naszym kierunku. Zobaczyłem, że Adam schodzi im z drogi, więc zrobiłem to samo. Przez szeroko otwarte drzwi wmaszerowali do środka, w ogóle nie zwracając na nas uwagi. Jakbyśmy nie istnieli. Po czym wyszli z pierwszym workiem i zanieśli go na pakę. Ponownie bez słowa wrócili do budynku i ponownie wytargali worek, by wpakować go do samochodu. Wszystko trwało minutę, może trochę dłużej. Następnie, nie oglądając się, odjechali.

– Kim oni byli? – spytałem.

– Sam tego do końca nie rozumiem. Wiedziałem tylko, że się pojawiają. Nie pytaj o więcej. Teraz rozpalmy ogień. Weź kosz, podejdź na tyły budynku i zostaw przy kamiennym palenisku. Ja zaraz przyjdę.

Poszedłem tam i wyrzuciłem ciuchy Cypisa i Moniki. Krótco potem zza rogu wyłonił się Adam, niosąc zapalniczkę i kanister z benzyną.

– Jeszcze my. Rozbieraj się. Jesteś cały brudny.

– Co?

Po chwili był już całkiem nagi. Nie mam pojęcia, dlaczego, ale wstydziłem się przed nim obnażyć. Bałem się jego hipnotyzującego wzroku, bałem się tego, że zacznie na mnie patrzeć, bałem się, że ja zacznę patrzeć na niego i

ten moment mnie przerosł, bo on ma nade mną ogromną władzę i nie dałbym rady się oprzeć, ja nawet nie chciałbym się oprzeć.

Oblał całość benzyną i podpalił. Ogień wzbił się wysoko, rozjaśniając smutne niebo. Dym przesłonił drzewa i góry. Adam cofnął się i prawie wszedł na mnie. Był na wyciągnięcie ręki.

– Kiedyś, bardzo dawno temu, ja i pewien człowiek staliśmy razem nago przy innym ogniu, w innym miejscu. To był początek. Mój pierwszy ogień. Nie mogłem oderwać od niego oczu. Teraz to twój pierwszy ogień i twój początek.

Tkwiliśmy tak długo, nie ruszając się, nie rozmawiając. Próbowałem coś powiedzieć, odezwać się, coś zrobić. Prosiłem o pozwolenie. Pożądałem go, a on zdawał sobie z tego sprawę. Jedynie ogień i popiół były wtedy naszymi świadkami. Pragnąłem, aby zostawiły nas w spokoju. Pragnąłem być tylko z nim. Marzyłem o jego ciepłe, dotyku dłoni, zmęczonym ciele.

– Co dalej? – wyrwało mi się zachrypniętym z przejęcia głosem.

– Zobaczysz.

## 10. Zakopiemy was, Woodstock, punkowo.

Ciała Moniki i Cypisa wrzucili jedno obok drugiego na tył auta. Mój trup graniczył z nią, stykał się, chociaż nic nie czuł, nie doświadczał jej, ale wyłącznie przylegał folią. Domyślałem się, że jest blisko. Brakowało mi do niej ledwie kilku milimetrów.

– Co ze mną?!

Nie miałem czasu zastanawiać się, kim jestem. Musiałem podjąć decyzję. Musiałem działać!

Rozklekotany samochód ruszył z miejsca. Zwłoki zaczęły się powoli oddalać, a ja po chwili zawahania popędziłem za nimi. Było to bardzo trudne, bo nie umiałem usiąść w samochodzie, nie byłem w stanie go chwycić. Udało mi się jedynie sunąć równoległe do niego, biec z boku, nad nim, w nim. Trudno to wytłumaczyć.

Nagle jeden z brodaczy obejrzał się i spojrzał w moją stronę w taki sposób, jakby mnie zauważył. Uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Patrzysz na mnie? – spytałem nie mówiąc, nie otwierając ust.

– Tak – odpowiedział nie mówiąc, nie otwierając ust.

Porozumiewaliśmy się na innym poziomie, wymienialiśmy ze sobą myśli. To było coś w rodzaju telepatii, wyrazy szybowały między nami, skakały z postaci na postać. Nie wiem, jak to wyjaśnić.

– Ktoś ty? Dlaczego mnie widzisz, a ci idioci w schronisku kompletnie nic nie dostrzegli? Czy wy też nie żyjecie? – pytałem w nieskończoność.

– Jesteśmy do siebie podobni. Dlatego możemy rozmawiać.

– Podobni? Nic z tego nie kumam, to wszystko jest popieprzone! Dokąd jedziemy?

– Na cmentarz. Zakopiemy was.

– Zakopiecie?! I co dalej?

– Nauczysz się, Cypis.

– Czego? Ja pierdołę, czego się nauczę?!

Brak odzewu, jakiegokolwiek reakcji. To on zerwał kontakt. Dlaczego?! Odezwij się, wymień ze mną myśli, potrzebuję cię, mam tak wiele wątpliwości, pomóż mi! Czy ktoś mi pomoże?! Poczulem się najsmutniejszą i najbardziej samotną istotą na świecie. Pytanie, co dalej, uderzało we

wszystko, co napotkałem. W drogę, bo wchłonęła mnie droga, w nią na początku, w krętą, przysypaną kamieniami jezdnię tuż przed Krzywem, pełną gwałtownych wzniesień i spadków, zahaczyło o leśne zwierzęta, o jelenie, wilki, rysie, niedźwiedzie, rwący potok, zalesione szczyty przy skręcie na Bukowiec w Dołżycy, stare tory kolejowe, osiedle drewnianych domków w Cisnej, kościółek, szlak do bacówki Pod Honem, górskie serpentyny w Jabłonce, prowadzące nas w kierunku pomnika Świerczewskiego i czołgu w Baligrodzie, w całości owładniętego przez niebo, piękne, świecące nad nami delikatnym zmierzchem po lewej stronie, o chmury, które przykrywały i odkrywały słońce jak dziecko w kołysce, i gdy ono się chowało za nimi, za chmurami, to robiło głupie miny, tak żeby nikt nie widział, więc jego też spytałem, słońce, co dalej? Ale nadeszła nowa chmura i znowu zaczęło się wygłupiać, nie odpowiedziało, pytanie odbiło się, wróciło do mnie i walnęło w krzyżówkę w Hoczwi, tę na Solinę i Polańczyk, przy której w rowie leżało dwóch pijaczków i gadało, jak to cudownie było pracować w pegieerze, i że niepotrzebnie się dali namówić i ziemię za bezcen sprzedali, przeahulali pieniądze, a teraz turystów coraz więcej przyjeżdża i można by było pokoje wynajmować, kasa sama do kieszeni by leciała, i popijali sobie wino marki wino, co dalej?

Nie usłyszeli mnie, może dlatego, że już nie słyszeli nawet siebie nawzajem. Zajebicie wam zazdrość, powiedziałem, tak bym się z wami zamienił na życia, albo raczej takie moje nieżycie na wasze życie, gdybyście tylko chcieli. Spytałem jeszcze mostu na Sanie w Huzelach, bo patrzył na mnie prosto ze swych zielonych przęsł i wyglądał jak wkurwiony bojówkarz Greenpeace'u, wściekły na wszystkie auta, co po nim jeżdżą tak bez ustanku, rąbnęło w rondo w Lesku i parking przy Tesco pusty o tej porze, przyłożyło w rynek i tablicę ku czci milicji obywatelskiej, aż dotarło do starej, opuszczonej biednej kobiety, która dreptała wstydliwie po bezludnych już ulicach, bo z rodzinami telewizję oglądają, bo wiadomości, fakty, sport, pogoda, jej to nie interesowało, szukała czegokolwiek, co nadaje się do jedzenia, do sprzedania, co da się jakoś wykorzystać, zanieść na złom, jej też spytałem i ona też nie odpowiedziała.

Boczną dróżką wjechaliśmy na cmentarz żydowski. Byliśmy tu już z Moni. Pamiętam, nie podobało mi się to miejsce. Brodacze wysiedli, zza



foteli wyciągnęli łopaty i zaczęli kopać. Nie mieli najmniejszej ochoty ze mną gadać.

– Skurwysyny! Przestańcie!

Zaraz, zaraz! Przecież ja nie wierzę w takie rzeczy. Przecież jestem ateistą, przecież po śmierci nie ma nic! Nie ma życia! Więc co ja tu robię?! To halucynacje, jak po dragach, to serotonina, czy dopamina, na stówę, to one tak działają! Chyba że jest jakiś czyściciel dla anarchistów i ateistów. Może właśnie w nim wyląduję. Może trafię do hippisowskiego nieba, w którym Wszechmogący jara hasz i co weekend zarzuca grzyby, a raj jest jedną wielką plantacją używek, na której nieprzerwanie ciągnie się wypasiona impreza, bez kaca, zejścia, depresji i skutków ubocznych? Takie wieczne Woodstock z Nim w roli głównej i oprócz tego On jest ateistą, Bóg ateista, Bóg niewierzący w Boga. Jego mógłbym spytać, co dalej? Jego chętnie! Ale nie spytam, bo go nie ma! Nie istnieje albo umarł dawno temu. A nawet jeśli jakimś cudem przetrwał, to na pewno nie jest Dobrem! Nikt mnie do tego nie przekona! Nie ma mowy! I czy nie powinienem najpierw zobaczyć białego światła i starca na końcu tunelu, który by mnie wołał, próbował przyciągnąć do siebie?

– Spierdalaj! Nie idę, zostaję! Mam cię w dupie, dziadu!

– Zamknij się wreszcie!

Brodacze równocześnie spojrzeli w niebo, gdzie stałem, nie stojąc i groziłem mu pięścią, nie mając pięści.

– Ten jest najgorszy ze wszystkich! Uspokój się i słuchaj. Ona cię woła.

Tylko że ja nic nie słyszę! Nic a nic! Jedynie takie buczenie, drgania, jakby ktoś daleko młotem pneumatycznym walił w ulicę, chyba że to szyfr, enigma, zagadka. Kiedy się bardziej skupię może coś z tego wyjdzie, muszę koniecznie podejść bliżej... Zna cię, wyszeptała, albo... Tak! Znalazłam cię – powiedział ten głos. Znalazłam cię. Ktoś powiedział znalazłam cię... Moni?! To ty? Jak się cieszę, odezwij się jeszcze, mów do mnie, gdzie jesteś, czy mogę cię zobaczyć? A tak, zaraz, za moment wyjaśnisz, stłumić emocje, moja kochana, mam to złapać? Nie mogę cię dotknąć, mam się poddać? Komu? Nie wiem, w którą stronę? Ach, w ślad za dźwiękiem, ale nie mogę... później, za minutę...

Tymczasem zakapiory wrzucili worki do dołu i zaczęli zasypywać. Nie umiałem się od tego oderwać. Moni mnie wołała, a ja nie chciałem odejść. I wtedy znowu ją usłyszałem, brzmiała cicho, ciszej, coraz ciszej...

– Wcześniej gadałeś, że razem, a teraz co?

Przerwali pracę i patrzyli na mnie.

– Tak, razem.

– Ona odchodzi. Idź za nią, idioto!

– Jak? Podpowiedzcie mi!

– Za jej głosem.

Od nowa wzięli się za kopanie, kawałek po kawałku i było nas widać z każdą chwilą mniej. Dobrze, będę słucał. Dobrze, spadam stąd, marni z was grabarze, marni przewodnicy, do niezobaczenia. Moni, nie opuszczaj mnie, wróć, błagam, nie odchodź beze mnie, ja pragnę z tobą, razem. Okej, spróbuję się skoncentrować, postaram się, dziwne wrażenie, wciąga mnie, zasysa, boli, słabnę, ślepnę. Ocal mnie, Moni. Przeciskam się przez niebywale wąską szczelinę, muszę wydłużyć moje ciało, kości, głowę, czy też to, co po nich zostało do granic wytrzymałości, żeby się przedostać. Zgniata mnie. Już nie mogę. Krzyczę stop, a wychodzi... stooooopp!... – Cypis.

– Cypis, wstań. Cypis, wstań, proszę!

– Co?

– No, wstawaj już. Nie rób siana.

– Co się stało?

– Chyba za dużo wyjarałeś. Chyba masz dość, racja?

– Co my tu robimy na tej tamie? Skąd te kolory, te łódki, dlaczego tu tak cicho. Co to za miejsce?

– Ładnie wyglądasz. Ładnie cię namalował. Masz moją bliznę. Tutaj nad sercem. Przejąłeś ją po mnie. Teraz jesteśmy jednym.

– Kto? Ja? Ładnie? To ty wyglądasz pięknie, te włosy, ten wiatr. Co się dzieje? Czemu jesteś boso? Skąd mam to znamię i czemu ono jest puste w środku?

– Dowiedziałam się, że istnieje malarz, który namalował obraz i że można się tu dostać przez bramę. Wypatrywałam, zbierałam siły, aż odkryłam sposób, więc wróciłam po ciebie i... udało się.

– Czyli umarliśmy, a potem zamieszkaliśmy w obrazie, który ktoś namalował. Nie! Inaczej! On raczej powinien powstać, zanim tu trafiliśmy, zresztą... nie rozumiem. Nic już nie rozumiem. Wewnątrz... I ja mam w to niby uwierzyć?! Zaraz normalnie jebnę na plery!

– Dobra, daj spokój! Wyobraź sobie, że przesadziłeś z paleniem, że się tak skopciłeś, że spędzisz resztę życia na opustoszałej zaporze w Solinie z, podobnie jak ty, ujaraną rudą babą i będziesz mógł z nią zrobić, co ci tylko do tej tępej głowy wpadnie, jak długo zechcesz. I do tego nikt ci w tym nie przeszkodzi. Tak lepiej?

– No pewnie, że lepiej. Punkowo!

Objąłem ją i staliśmy tak, obserwując błękitną otchłań wody, a ja delectowałem się jej obecnością, w kółko powtarzając, że już nigdy, przenigdy nie spuszczę jej z oka, choćby na ułamek sekundy, przysięgam. Później odbiegła kawałek ode mnie, rozłożyła szeroko ręce, jak skrzydła, wychyliła się do przodu, wyglądając przy tym jak rzeźba podtrzymywana przez smukłe stopy, jak idealne dzieło sztuki.

– Znalazłam cię! – krzyknęła.

## 11. Muzyka, wahadło, wykład.

– Już nie mogłem się doczekać. Witaj w moim królestwie. Usiądź, rozgość się. Pan szanowny napije się czegoś, czy może na dzień dobry ubije mnie na miejscu jak świniaka i spokojnie wróci do domu, jak przeciętny, niczym nieróżniący się od innych osobnik tego gatunku. Pan szanowny zaniemógł?

W drzwiach tkwił zdyszany Aleksander. Przyszedł tu po mnie. Wiedziałem, że to się kiedyś musi stać. Wypatrywałem go w samotności. Ostatni odszedł Antoni. Opuścił mnie. Nie miał wyboru, kazałem mu. Dorzuciłem do kominka, żeby nie było tak chłodno jak wczoraj. Z paleniska zerkały na mnie szczapy bukowego drewna, a żadne drewno nie daje takiego ciepła jak ono. Siedziałem na przysuniętym do kominka krześle, racząc się moim ulubionym czerwonym wytrawnym Shiraz. Świetny, intensywny kolor, głęboki owocowy smak, eukaliptus, mięta. Rozcierałem zmęczone stopy i spoglądałem na niego, słuchając muzyki. To jedna z niewielu rzeczy, które wyszły spod ręki człowieka, którą wymyślił od początku do końca, a ona niezmiennie zachowała swoją wartość.

Muzyka. Wygrzebałem to przypadkiem z ciuchów Cypisa. Zwykłe CD bez opisu. Gdy zostałem sam, włożyłem to coś do odtwarzacza na zapleczu. Chaotyczny, często nietrafiony hałas przetoczył się przez schronisko, niosąc odrażający przekaz. Najpierw wydał mi się nieznośny, ale z czasem coraz bardziej przypominał rytmiczne brzmienie starożytnych tańców wojennych. Ludzie mają muzykę na dowolną okazję, do wszystkiego, do zabawy, do miłości, do wzruszania się, do modlitwy, do zabijania. To była muzyka do zabijania. Zdecydowanie. Przemoc niosła się głośno w niemal każdej nucie. Fascynujące. Zatopiłem się w niej tak intensywnie, że prawie zapomniałem o Aleksandrze.

Otworzył drzwi, popychając je mocno na ścianę. Ściągnął plecak i rzucił go w róg korytarza. Potem z wściekłą miną wszedł do środka, a gdy wreszcie mnie zauważył, stanął naprzeciwko, zatrzymał się i patrzył.

– Gdzie on jest?! – krzyknął wreszcie.

– Kto?

– Antoni! Nie udawaj głupiego! Nieładnie tak żartować ze starszego pana. Odpowiadaj natychmiast. Jeśli włos mu spadł z głowy to obiecuję, że kark

ukręcę. Zmęczony jestem, ale siłę mam. Gadaj! Gdzie on?!

– Poszedł w świat. Wczoraj. Nie zdażyłeś, ojczulku. Zresztą to już się nie liczy. Wiesz dlaczego, co? Bo twój syn przestał już być twoim synem. Odtąd jest mój i tylko mój. I będzie nim na zawsze, czy ci się to podoba, czy nie! Na zdrowie! – dodałem i upiłem kolejny łyk wina.

Nie chciałem go prowokować. Pogodziłem się z tym, że mój koniec jest już blisko i po prostu delektowałem się pożegnalną porcją zniewalającego płynu. On stał nade mną i sapał, pot kapał z jego łysiejącej czaszki na ramiona, a stamtąd spływał po rękach w dół, na stary dywan. Cuchnął zmęczeniem, dawno niepranymi ciuchami, moczem, zwietrzałym alkoholem i tanimi papierosami. Ręce drżały mu z wysiłku, a twarz ze zdenerwowania. Zwinął dłonie w pięści i syknął przez zęby:

– Kłamiesz! Pewnie ubiłeś go i zakopałeś gdzieś w lesie, a teraz dziadkowi głupoty opowiadasz. Już ja z ciebie, bratku, wyciągnę co, jak i kiedy. Przyduszę, aż sam wyśpiewasz. Zapłacisz mi zaraz za wszystko. Za to, żeś mi córkę, moją jedyną, kochaną Natalkę w niesławie zostawił, za te twoje wredne paluchy, co dotykały jej tam, gdzie nikt nie powinien nawet spojrzeć bez Bożego błogosławieństwa, nie mówiąc o ludzkim. Za chłopaka, że go na złą drogę chcesz sprowadzić i nie wiadomo, co żeś z nim uczynił. Ale dowiem się. Wypowiadasz się, jak biskupowi, jak przed ostatnim namaszczeniem i będziesz żałował i pokutował po wsze czasy. Już ja o to zadbam. Więc lepiej powiedz po dobroci.

Wygłaszał tę tyradę, machając wielkimi łapskami i przy okazji plując na mnie. Kłamstwo przemawiało przez niego, próbowało się wydostać, a on starał się uwięzić je w sobie, jednak nic z tego nie wychodziło, bo już powoli się domyślał, już był prawie pewien, że nie pojawił się tu po to, by kogoś odzyskać.

– Nie przyszedłeś po Antoniego. Nie jesteś tu, by go odszukać. Ta wizyta ma inny cel. Taka jest prawda i doskonale o tym wiesz, tępy człowieczku. A twoja córuchna smakowała jeszcze zacniej niż ten szlachetny trunek, przeżyła się i wyła z rozkoszy, gdy w nią wchodziłem, prosiła, żebym nie przestawał, żebym pierdol...

Z łatwością strącił mnie z krzesła, podniósł do góry, wysoko nad głowę, jak szmacianą lalkę i rzucił na podłogę z taką siłą, że odbiłem się od niej

całym ciałem, by wylądować ponownie na plecach, już zupełnie bezwładny. Nie straciłem przytomności, mimo tego, że grymas cierpienia całkiem wykrzywił moją zakrwawioną twarz. Nie mogłem z siebie wydobyć żadnego dźwięku. Przypuszczalnie miałem połamane żebra, brakowało mi czucia w nogach, a moje biodra dziwnie się wygięły. Widziałem, jak odwraca się ode mnie i wyjmuje coś z plecaka, coś, co wyglądało jak pas czy powróż. Potem podszedł i znowu dźwignął mnie do góry. Dopiero wtedy odplątałem.

Z odrętwienia wyrwało mnie silne uderzenie bólu. Nigdy nie poczułem nic porównywalnego. Nigdy w swojej historii, przez dziesiątki wcieleń, lata istnienia. Otworzyłem oczy i krzyknąłem, chociaż właściwie zamiast krzyku z płuc wydostała się stłumiona prośba o odpuszczenie, darowanie win, zatrzymanie tego stanu, w którym z każdym kolejnym ułamkiem sekundy udawaniałem światu, że niemożliwe jest wytrzymanie takiego piekła przez najkrótszy, kolejny, nawet minimalny ułamek sekundy.

Przerwał na moment.

Spróbowałem zrozumieć, co się dzieje. Leżałem na brzuchu, przytulony do twardej podłogi. Ręce i nogi miałem związane z tyłu. Odwróciłem się i zobaczyłem sznur. Jego koniec przymocowany był do moich wykręconych i skrępowanych z tyłu dłoni, następnie szedł do góry i opierał się o poprzeczną belkę sufitową, przechodził tuż nad nią, by zniżyć się i wreszcie zawiązać solidnym węzłem na masywnej żeliwnej rączce kominka, po przeciwnej stronie pokoju.

– Jak ci się podoba moje wahadło, chłopcze? To jeszcze średniowieczna szkoła pokuty. Myślę, że nazwiemy ją wahadłem prawdy. Otóż, wytłumaczę ci, kochany, jak ono działa. Gdy pociągnę za ten tutaj kawałek mocnej liny i przytrzymam przez minutkę w powietrzu, sam ciężar twojego ciała ściśnie jamę opłucnej tak, że zaczniesz się dusić. Kiedy powiesz troszkę dłużej, kości wyskoczą ze stawów i pozrywają się ścięgna. Nie będzie to raczej nic przyjemnego. Więc, zanim odpowiesz na moje pytanie, zastanów się, chłopcze, bo za chwilę spotka cię coś niemiłego.

Siedział na krześle, na którym dopiero co siedziałem ja, i popijał wino, którego niedawno kosztowałem.

– Co to za szczyzny? Nie masz tu czegoś mocniejszego w tym swoim grajdołku, braciszku?

Nie odezwałem się. Nie skomentowałem. Wciąż skupiałem się na przeżywaniu katuszy, które on zdetonował wewnątrz mnie przed momentem.

– Rajmundzie, czy jak tam cię zwa. Wyznaj mi, mój drogi, ale bez kłamstw i wykrętów. Gdzie jest Antoni i gdzie schowałeś nóż?

Kilka głębokich wdechów i wydechów. Oby trwało jak najkrócej. Obym umarł jak najszybciej.

– Antoni wyszedł stąd wczoraj, jako wolny człowiek. Zabrał NÓŻ. Teraz on jest jego zarządcą. On i tylko on. Przedtem w mojej obecności zabił tym NOŻEM młodego mężczyznę, w korytarzu są ślady krwi, możesz je obejrzeć, jeśli cię to ciekawi. Później pomógł mi sprzątać, rozmawialiśmy przy tym, wie już wiele, poznał nasze losy. Podjął decyzję. Dokonał wyboru i odszedł. Nie masz już syna, Aleksandrze, zresztą z tego, co mi mówił, chyba do tej pory niezbyt obchodziło cię jego życie.

Wywalczyłem krótką pauzę, jak antrakt w teatrze. Spróbowałem poruszyć głową, przez co znowu prawie zemdlałem. Staralem się skoncentrować. To jedynie parę minut, poradzisz sobie, pomyśl, że to już blisko, już prawie.

– Zgubiłeś NÓŻ i ojcowskie uczucia nagle powróciły, nieładnie, oj, nieładnie. Dlaczego nie chcesz się przyznać, czemu nie potrafisz pogodzić się z porażką? Przegrałeś, więc odejdz i zostaw mnie w spokoju.

Aleksander wstał, wypił łyk wina prosto z butelki i podszedł do sznura. Pociągnął go z całej siły tak, że uniosłem się niespełna metr nad ziemię. Następnie zakręcił nim w taki sposób, że naprawdę zawisnąłem. To nie był ból. To coś o stopień wyższego i mocniejszego. O milion stopni. Nadból. Potem pchnął delikatnie. Zacząłem się bujać jak wahadło zegara. Nie mogłem krzyczeć, bo nie mogłem złapać powietrza. Moje ciało rzeziło i trzeszczało, jakby kości i mięśnie nagle nauczyły się składać słowa, jakby odkryły jakiś nowy język i postanowiły przeprowadzić w nim konwersacje. Żebra z mostkiem, obojczyk z łopatką, miednica z nadgarstkiem. To nie ustawało! Tworzyło najdłuższe chwile w historii, wydawało mi się, że czas przestał biec, że zatrzymał się w jednym miejscu. Na zmianę traciłem i odzyskiwałem przytomność, niezliczoną ilość razy. Ocknąłem się na posadzce, jeszcze żyłem. Słyszałem go, jak się krzątał.

– Nie możesz mnie tak zwyczajnie zabić? Po co te tortury, męczarnie? Pomogą ci w czymś? Zwrócą syna albo cnotę twojej córce kurewce? Będziesz mnie gnębił, wiem. Bo wy, ludzie, jesteście jak wirusy. Jak wirusy, które podnieca śmierć, choroba, cierpienie. Uwielbiacie niszczyć i mordować! Szukacie usprawiedliwień w szczytnych ideach, sztuce, niezbędnej konieczności, bożych poleceniach, we wszystkim, co się da. Szukacie i znajdujecie. I krew płynie od wieków. I będzie płynąć, dopóki nie wyrzecie! A to nadejdzie! Szybciej, niż się spodziewasz, gnido!

Stanął nade mną. Szarpnął za włosy i podniósł do góry tak, żebym spojrzał na niego. Miał łzy w oczach.

– Jak to skończyć? Jak cię unicestwić? Jak mam odzyskać moje dzieci? Jak to cofnąć? Gadaj, głupcze! Jak?! No jak?!

– Nic nie rozumiesz, tępy półgłówku! Nie dasz rady! Jesteś zbyt mały i zbyt ograniczony. Nie masz szans, poddaj się. Będzie lepiej, jeśli zostanie tu tylko twoje potomstwo. Syn, który się od ciebie odwrócił i twoja rozkoszna córka, wielokrotnie wypełniana przeze mnie nasieniem, ha ha ha, aż po brzegi, ha ha ha, szkoda, że tego nie widziałeś, ubawiłbyś się setnie, ha ha ha...

Puścił mnie. Drwiłem z niego, szydziłem ostatkiem sił, a on poszedł, żeby pociągnąć za sznur. Zawisłem na długo. Przestałem się śmiać. Uciszył mnie na zawsze. Zabił.



## 12. Ślimak, boska iskra, prochy.

Nie jestem mordercą, Aniołeczku, powtarzam ci, nie zmusisz mnie do tego nigdy. Nie dam się namówić. To przecież człowiek! Co z tego, że niegodziwy, co z tego, że diabeł wcielony, ja zwyczajnie nie potrafię, nie nadaję się, znajdź sobie kogoś innego. Jak pomyślę, co się mogło stać! Jezu Chryste! Matko Boska Częstochowska! Małom go nie zadźgał! Szczęście, że się koniec końców opamiętałem. Już nic nie chcę mieć wspólnego ani z nim, ani z żadnym przeklętym kozikiem. Bardzo dobrze, że go stamtąd nie wzięłem, bardzo dobrze. A teraz was opuszczam! Wracam do domu! I dajcie mi wszyscy święty spokój. Przemyszę to w samotności, zastanowię się, dopiero wtedy będziemy gadać.

– Coś ty najlepszego uczynił, dziadku? Nie dość, że ta kreatura ciągle przy życiu, to jeszcze broń porzuciłeś?! Tę, co jej najmocniej na świecie pragnął, cudowny przedmiot, którego można łatwo w szatańskim obrządku użyć! To demon, syn ciemności, Antychryst. Na pewno nie człowiek! A ty?! Miałeś go na widelcu, miałeś okazję zdeptać zło w zarodku! I co zrobiłeś? Zostawiłeś mu nóż. Będzie potężniejszy niż do tej pory. To katastrofa, tragedia nad tragedie!

Oj, nie kracz, nie kracz, bo złe fatum sprowadzisz. Dochodzimy. Już blisko. Dwa kroki od kamienicy. Tam siądę po cichu, odpocznę dwie sekundy i rozwiążemy wszelkie problemy. Rozejrzyj się, Aniołku, nasza ulica, spożywczyak, jatka, klatka schodowa, skrzynka na listy. O! Coś w niej jest Aniołeczku, koperta. Zaraz, otworzę, jeno do mieszkania wejść. Wewnątrz widokówka, na widokówce schronisko, stara drewniana chatka, ja ją skądś znam! Poczekaj moment, całkiem przypomina tę górską chacinę, co ją dla rodziców moich malowałem dawno temu. Ktoś napisał parę słów na odwrocie, przeczytam ci, tylko okulary założę, bo literki maleńkie, spisane drobnym maczkiem, oprócz tego z nie wiadomo jakiego powodu w kółko nakreślone. Zamiast w linii, od lewej do prawej, to od środka do zewnątrz, układając się w kształt ślimaka. A oto i tekst tej ślimaczej depechy:

„Szanowny Panie Aleksandrze STOP nieodzowny natychmiastowy przyjazd STOP samozwańczy fałszywy zbawiciel czoło podnosi się jednocześnie dzień po dniu nabierając STOP sztylet w jego rękach STOP

pierworodny pański Antoni zagrożony wiarołomstwem i na stronę wroga niechybnym przejściem STOP obraży rzeczywistość rodziny oraz nadawców owego kablogramu zachowujące w niebezpieczeństwie STOP obecność w miejscu przedstawionym na fotografii niezbędna STOP wyglądamy z niecierpliwością STOP My STOP”

– A nie mówiłem?! Taki błąd! Dość, że Natalia, to jeszcze Antoni. Wiedziałem, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Pakuj się, dziadku! Wyjeżdżamy! Szybciutko! Najpotrzebniejsze rzeczy i kropka. Zabierz jedynie broń na tego niegodziwca, brzytwę jaką albo łom, czy coś podobnego.

Wystarczy zwykła linka. Mam taką w schowku, polipropylenową. Prócz tego moje pięści, to wszystko.

I miałem rację, wystarczyło. Chociaż najpierw długo się męczyłem, żeby wreszcie dotrzeć na tę piekielną górę. Ostatecznie, niemal padając z wycieńczenia, osiągnąłem cel. Był tam też on, szubrawiec. Kpił, natrząsał się, grzeszył pychą, nie okazał skruchy, obrażał. A jednak wątpy się okazał dużo bardziej niż mogło się zdawać. Utłukłem gada. Anioleczek mój próbował jego duszę uchwycić, żeby się przyjrzeć, żeby obejrzeć to monstrum, wybadać. Nic z niego nie wyszło, pusty był niczym przedmiot, niczym puszka po paprykarzu szczecińskim. A przecież nawet jak drzewo umiera, to jaźń jakaś z niego wychodzi. Każde zwierzę, nawet nieczyste, nawet prosiak, nawet motyl najmniejszy, boską iskrę wewnątrz nosi.

Choćby stary dom, gdy ściany zmurszeją, gdy dach spadnie, gdy popękają fundamenty, wypuszcza z siebie stłumiony oddech, zanim odejdzie. A tu nic! Ani cichego dźwięku, ani błysku małego. Guzik z pętelką. Straszne! Powiedziałem sobie w duchu, że może to i lepiej, że to istota bez treści. Aniołek wcześniej tłumaczył, przekonywał, że nie ma odwrotu, że najwyższa konieczność, mus po prostu łeb ukręcić. Ale mnie ciężko było się przemóc, nie jestem do tego stworzony. Na pewno nie jestem. Akurat dzięki temu, że to twór niczym niezamieszkanym, trochę łżej się zrobiło, ułagodziło wyrzuty sumienia, łatwiej spać będzie można.

Odwiązałem go i opuściłem na podłogę. Rozplątałem ręce i nogi. Miał otwarte oczy. Nic w nich nie widać, rzeczywiście, Anioleczku. Przez moment myślałem, że duszyczka jego w środku została, że wylecieć nie

chce, chowa się, żeby jej nie pojmać, bo mądrzejsza, niż nam się zdaje, cwane żyjątko.

– Nic tam nie ma, dziadku. Już sprawdzałem. Zresztą ciągle obserwuję, bo nie mogę się nadziwić tej maszynerii. Jak coś takiego w ogóle funkcjonowało bez wnętrza, bez *psyche*? Co tym kierowało i co się z tym wydarzyło? Co to za stwór? Czarna magia!

Dawno temu ludzie wierzyli, że jak połkniesz serce potwora, największego wroga, to posiadasz jego spryt i rozum. Jak sądzisz, warto, Aniołeczku?

– Eee, zabobon.

Może chociaż posoki trochę upić, może wzmocni organizm i przysłuży się na później? Nie dla smaku, dla zdrowotności jedynie. No, jak ci się wydaje?

– Zabobon, mówię.

Są takie ludy, które zjadają mózgi, wątroby, a nawet przyrodzenia wroga, co ponoć dla zmarłego oznacza wielki szacunek. Są też tacy, co wytwarzają z niego ozdoby, lekarstwa, narzędzia.

– Przestań dziadku. To naprawdę niesmaczne. Nie wypada.

Wiem, o czym tak dumasz Aniołeczku, wiem. Najwyższy patrzy z nieba, bo On wszystko śledzi wzrokiem i za wszystko rozliczy. Widział, jak go powiesiłem i widział, jak sprawiałem mu katusze. I widzi też te chwile, kiedy prawimy nad zwłokami. Ale przecież sam powiedziałeś, że to puste pudełko, padlina bez ducha, więc nie ma grzechu. Niezłamane piąte przykazanie, niezłamane prawo. Bo gdy mnich czy kapłan jaki egzorcyzmy odprawia, ubija Lucyfera, kruszy psie dziecię, to nie ma w tym przewiny, ani chybi, nie ma bluźnierstwa przeciwko Panu. Dlatego nie boję się, jestem pewny swego i przeświadczony, że tkwię po właściwej stronie. Teraz wezmę jego truchło i wyniosę na podwórze. Tam stanę i zaszlocham. Trzeba tak robić, trzeba uronić łzę, choć drobną, symboliczną. Bo droga moja krótka, ulotna jak budowla z piasku na wietrze. W jednej sekundzie tak wiele mija. Jeśli nie jestem w stanie zakwilić nad duszą uchodzącą, to czy zapłacę nad marnością tego świata i nad tym, że Pan nie dał znaku, bym dołączył do niego. Że mój czas póki co nie nadszedł.

– Oprócz boskich praw istnieją też prawa natury, dziadku. Nie zapominaj o tym. To przyroda reguluje ziemskie cykle, ziemskie łańcuchy pokarmowe, w których tylko silniejszy przetrwa. Słaby i chory zawsze padnie ofiarą

łowcy. Oto zasady! Specjalizacja! Współzawodnictwo! Każdy gatunek, każda populacja ma swoje metody na ocalenie. Niektórzy są silni, inni szybcy, jeszcze inni doskonale się kamuflują. Niektórzy potrafią przeżyć dzięki swoim rozmiarom, inni dzięki zdolnościom przystosowania. Człowiek ma mózg, niezmierny w swym potencjale. Ma inteligencję! Ma olbrzymie predyspozycje rozwoju. Oto jego broń! I wygrał tą bronią, dziadku. Z Bożą pomocą mianował się władcą planety, zasiedlił ją, okiełznał. Niestety, przy okazji zaczął truć i niszczyć, wysysać z niej wszelkie dobra, bez ograniczeń, bez należytego szacunku. Może ten trup, to ciało bez bożej iskry, to nowy sposób na ludzkość? Może dlatego był pusty w środku, bo bez wyższej ingerencji skonstruowany został, dziadku. Pomyślałeś o tym?

Co ty pleciesz, Aniołeczku! Toż to by znaczyło, że Matka Natura wyruszyła na wojnę z Wszechmocnym, żeby dziecko jego, naród wybrany, wytrzebić! Niemożliwe. Przecież On ją stworzył, więc jak by mogła... Zresztą, za trudne to dla mnie, niejasne. Ja skromny chłop jestem. Nie mieszam się do takich rzeczy. Lepiej wezmę go i wyniosę. Niedługo brodacze powinni przyjechać, żeby go zabrać.

Kiedy wyszedłem przed chałupę, nagle zerwał się mocny wichur i chmury zakryły niebo. W jednej chwili zaciął tak ostry, kłujący deszcz, że miałem wrażenie, jakby z rąk próbowano mi go wyrwać. Przestraszyłem się, ale wciąż twardo trzymałem. Mam złe przeczucia, Aniołeczku. Wcale mi się to nie podoba. Wcześniej żadnego, nawet niewielkiego obłoczku, a teraz burza z piorunami? Coś brzydkiego się dzieje! Błyskawice waliły jak strzały z karabinu. Najpierw parę metrów obok, w trawę, później w drzewo za mną. Stałem dalej. Rąbnęło w komin. Stałem. W bramę. Stałem równo! Wiatr przeszedł w huragan. Stałem! W końcu uderzyło prosto w trupa. Piorun zakręcił się wokół i jak ognisty chwytak capnął go i spopielił. Mnie nawet nie dotknął. Nie poczułem nic prawie, ledwo trochę ciepła i jakiś taki dziwny zapach. Jego prochy zbiły się w kłębek, zawisły tuż nade mną i zatrzymały się. Wydawało mi się, że się przyglądają, że żegnają się ze mną? Potem pstryk! Rozproszenie. Każdy pojedynczy kawałeczek w inną stronę. Rozpuściły się w powietrzu, w roślinach, w glebie i wietrze, również we mnie, a gromy ucichły, jakby ich nigdy nie było.

Widziałeś to, Aniołeczku?! Widziałeś?!

– On już sobie poszedł, dziadku. Szykuj się. Nadeszła twoja kolej.

Czyli czas by załkać. Pochylić się nad mądrością Pana Naszego, bo niezbadane Jego wyroki.

# PERSPEKTYWA

## 1. Smutna, imiona, Działowa.

Nie bałam się wtedy. Wiedziałam, że wyjeżdża, że mamy się rozstać na dłużej, że będę tęsknić, przeżywać, płakać po nocach. Wiedziałam, ale się nie bałam. Myślałam, dam radę, wytrzymam, przecież to miłość. Tylko parę miesięcy, może rok, a nawet jeśli więcej, co z tego, i tak wytrzymam.

Wręczył mi pierścionek. Ten kamień to szafir gwiazdzisty, powiedział. Był przepiękny. Ręce mu drżały jak dziecku, gdy się oświadczał. Aż nie mógł mi go włożyć na palec. Naturalnie zgodziłam się. Jak mogłabym się nie zgodzić, kochałam go. On też zapewniał, że kocha nade wszystko. Powtarzał to w kółko i patrzył tak, że aż głowę zmuszona byłam uchylić, przez te jego śliczne oczy, lodowo niebieskie, przypominały niebo, a ja musiałam się schylić przed niebem. Nie było wyboru.

– Zabiorę cię stąd. Mam kawałek ziemi pod Lipskiem, to miła, spokojna okolica. Płasko, od horyzontu po horyzont. Nie ma tego wiele, ale dla dwojga wystarczy. Będziemy godnie żyć, nosił cię będę na rękach, panią będziesz, nie to, co tutaj. Posadzimy wspólnie duży ogród, drzewa, najlepiej jabłonie i śliwy. Przy nich postawimy ławkę, taką z huśtawką, i będziemy na niej siedzieć w niedziele i podziwiać widoki. Razem, zawsze razem. Wrócę, nie obawiaj się. Wrócę po ciebie, choćbym na kolanach miał iść całą drogę, obiecuję, czekaj na mnie.

I tulił mnie jak mały chłopczyk, a jego łzy kapały na moją białą bawełnianą spódnicę. A gdy odszedł, próbowałam ich. Były słone, takie ludzkie, zdziwiło mnie to, bo nie wyglądał na zwykłego człowieka.

Moi rodzice umarli wcześniej, sama zostałam. Wychowałam się w gdańskim Polenhofie, chodziłam do niemieckiej szkoły, mimo że w domu rozmawiało się jedynie po polsku. Tatuś uczył mnie naszej kultury, czytał książki, Konopnicką, Niemcewicza, Żeromskiego. Martwił się, że zapomnę o swoich korzeniach. Oboje odeszli jeszcze przed wojną, a mnie los rzucał po kraju. Uchowałam się jakoś bez szwanku. W końcu trafiłam tu i tu osiadłam, obiecałam sobie, że przetrwam złe czasy właśnie w tym miejscu.

Mówiłam dobrze po niemiecku, dzięki czemu szybko znalazłam pracę. Kelnerka w niewielkiej restauracji niedaleko dworca, którą odwiedzali niemal sami żołnierze. Może to nie szczyt marzeń, ale nie byłam zbyt wymagająca. Tam go poznałam. Siedział sam, cichutko, zawsze przy stoliku od ulicy, prawie się nie odzywał, tylko wpatrywał w okno, jakby się kogoś spodziewał.

Pamiętam, gdy po raz pierwszy usłyszałam jego głos. Zaniósłam mu rachunek do stolika, a on, wciąż odwrócony, chwycił moją dłoń, delikatnie, chociaż sprawiał wrażenie silnego. Wysunęłam się z uścisku. Wyszeptał wtedy:

– Chciałem sprawdzić, czy jesteś prawdziwa.

Po czym pomału obrócił się w moją stronę i spojrzał, a jego wzrok złowił mnie i zatrzasnął w klatce, zatrzymał. Więc stałam nieruchomo jak kamień i nie mogłam nic zrobić.

Zaczął przychodzić coraz częściej, wypytywał o mnie koleżanki, szefową. Bałam się go. Bałam się, że zawsze będę taka przy nim, że skostnieję, zastygnę, bo jego źrenice paraliżowały, a przez to serce przestawało bić i krew zamarzała w żyłach. Któregoś ciepłego wiosennego dnia zauważyłam, że czeka, aż wyjdę.

– Proszę o pozwolenie na odprowadzenie panienki do domu, panno Zuzanno.

Przed sobą trzymał nieporadnie bukiet kwiatów, tulipany, stokrotki i bratki. Mundur wyjściowy, odprasowany. Nie miałam pojęcia, jak z tego wybrnąć. Nie umiałam się zgodzić, nie umiałam odmówić. Odkładałam to, a on nie ruszał się, zwlekał, tak jak i ja. Wolałabym, żeby był bliżej, pragnęłam tego, pragnęłam jego. Powiedział, że ma na imię Bruno i że czuje się zaszczycony. Poszliśmy na spacer, złapałam go pod rękę, zmuszałam się, jakbym szła pod rękę z przeznaczeniem, z nieuchronnością. A ja chciałam wybierać, chciałam mieć na wszystko wpływ. Przy nim nic nie posiadałam. Byłam jeszcze bardziej biedna. Najbiedniejsza.

– Dlaczego zwą cię smutną? – zagadnął, gdy już byliśmy przed wejściem.

– A jak myślisz? – To były moje pierwsze słowa, pierwsze pytanie, jakie mu zadałam, nie licząc tych zawodowych, normalnych, jak: co podać,

dziękuję uprzejmie i czy smakowało. – Ciągłe patrzysz w pustą szybę. Szukasz kogoś? – spytałam jeszcze.

– Tęsknię za ojczyzną. Za zapachem wsi. Za spokojem i ciszą. Martwię się, czy ją poznam, tę ziemię, gdy wrócę. Czy będę mógł wziąć jej kawałek w dłoń i skruszyć. Wyglądam na ulicę i wspominam.

– Ja nie mam swojego miejsca. Nie mam rodziny. Cały świat mnie opuścił. Chyba dlatego mówią na mnie smutna. Ale jest na odwrót, nie rozumieją mnie.

W dowód tego uśmiechnęłam się.

– Czyli jesteś prawdziwa.

Staliśmy tak długo przed kamienicą, nic nie mówiąc. Uśmiech wciąż gościł na moich ustach. Wydawało mi się, że na niego zasłużył. Należy mu się coś od ciebie, niech na tym twoim uśmiechaniu miną mu godziny, dni, lata, wieki. Nie chciałam tego i chciałam jednocześnie. Nic się już nie dało poradzić.

Od tej pory zjawiał się częściej. Oddawał mi każdą swoją wolną chwilę, każdą minutę. Powoli przestawałam być smutna. Chodziliśmy razem do kina, do parku, do teatru. Przytulał mnie. Za to sąsiedzi spoglądali ukradkiem, w inny sposób, kręcili głowami, po cichu urągali. Wszystkim się zdawało, że jestem jego utrzymanką, inaczej zerkali, jakoś tak wrogo. Ale to nieprawda, nie byliśmy kochankami, żyliśmy w czystości. Zależało mu, żeby to było święte. Prawdziwy związek, prawdziwy ślub, kościół, wesele. Źle o nim gadali, ale ja nie miałam zamiaru słuchać. Nie wierzyłam w ani jedno słowo.

Natychmiast to wyczułam. Zabili go, pomyślałam. Wyszedł, za moment gdzieś niedaleko padł strzał, potem kolejny i kolejny. Jakby trafił prosto w moje serce. Miałam wrażenie, że niebo zmieniło odcień, że ono także. Pobiełam w tamtą stronę. Ujrzałam go. Martwy, niepodobny do siebie. Obserwowałam ich. Wśród nich był on, dowódca, to pewnie na jego rozkaz. Ta twarz utkwiała mi w pamięci na zawsze. Ukryłam się, nie zauważyli mnie, a ja patrzyłam.

– Czemu to uczyniłeś?! Tak łatwo ukradłeś mi przeznaczenie! Czemu?! – Chciałam zapytać, ale brakło mi odwagi, żeby podejść bliżej. Później odeszli. Porzucili jego ciało. Leżało tam całą noc i cały dzień. Nie do końca



wiem, co było dalej. Zostałam w domu. Miałam nadzieję, że samo się stanie. Znowu byłam smutna.

Spotkałam go równo po roku, na ulicy, jak gdyby nigdy nic. Przeszedł koło mnie z żoną i z synkiem. Nawet nie spojrzął. Ja poznałam go od razu. Odwróciłam się i ruszyłam za nimi. Byłam wściekła, bo wyglądali na szczęśliwych.

– Ty zbrodniarzu! Jak śmiesz być wesoły!? Zabrałeś mi moją niepowtarzalną okazję, jedyne, co dawało mi radość! Zabrałeś mi szansę na lepsze! Oby Bóg cię ukarał i pozbawił tego, co dla ciebie najcenniejsze! Żeby to dziecko, co je niesiesz na rękach, pochłonęła choroba! Oby ta kobieta, co ją prowadzisz, pokochała drugiego, obyś dzielił się nią z innym! Obyście nie zaznali spokoju, a los zmusił was do odejścia. Idźcie precz, kanalie!

Szłam za nimi, pomstując, błagając o sprawiedliwość, modląc się, prosząc. I stałam pod oknem, i czekałam aż zgaszą światło i znowu przeklinałam, ile tylko miałam w sobie siły, ile pretensji i skarg. Wracałam zmęczona, załamana, chyba bardziej smutna niż wcześniej.

Tak mijały lata, a wraz z nimi gasłam tak ja, jak i moje ciało. W parę miesięcy niemal całkiem osiwiąłam. Moje długie, kręcone blond włosy zmieniły się w brzydkie przeredzone kudły. Twarz zmarszczyła się, skóra na szyi obwisła, nie mówiąc już o piersiach. Brzuch zrobił się suchy, tak samo jak i moja nietknięta kobiecość. Na nogach trudno było doszukać się miejsca bez żyłaków, a bóle kręgosłupa wygięły mnie do przodu, niczym starą babcie. Wszystko z żalu, bo czym się tu cieszyć. Co jakiś czas zaglądałam pod tamto okno, sprawdzałam, czy ich też dopadła udreka. Nic z tego. Byli pogodni, mimo przeciwności losu, a ja sekunda po sekundzie gniłam od środka.

Któregoś dnia natknęłam się na nich na ulicy. W mig dostrzegłam, że ona znowu jest w ciąży. Mocno mnie to przygnębiło. Tę minimalną, jeszcze niepękniętą resztkę mnie. Niemal się przewróciłam. Chciałam iść na tory, chciałam iść nad rzekę. Gdziekolwiek. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego jedni mogą mieć kochającą rodzinę, a inni cały czas cierpią. Zatrzymałam się. Zawróciłam i pognałam za nimi.

– Opuśćcie to dziecko! Porzucicie je! Będzie samo w tym mieście. Niech chociaż ono będzie samo! Jak ja! Niech chociaż to się spełni. Zaklinam! Tfu! Tfu! Tfu!

I zapłakałam. Tak, jakby moje ciało służyło wyłącznie do lepienia łez. Do niczego więcej. Płakałam kilka dni i kilka nocy, aż zasnęłam. Później ktoś wezwał milicję. Gdy nie otwierałam, wyważyli drzwi. Znaleźli mnie nieprzytomną, odwodnioną, na progu śmierci. W szpitalu stwierdzili wylew. Dostałam rentę, bo nie byłam już w stanie pracować. Od tej pory jedynym moim gościem stał się listonosz, który raz w miesiącu przynosił parę marnych groszy. Oprócz niego nikt mnie nie odwiedzał. Przestałam wychodzić z domu, na ulicę, na miasto, przestałam ich śledzić. Tylko po najpotrzebniejsze rzeczy, po jedzenie, mydło, proszek do prania, kobiece przybory, jeżeli akurat coś było, bo przecież reglamentacja. Zaszłam się, zapragnęłam uciec przed światem. Pomału dziczałam, gorzkniałam. Zaczęłam rozmawiać z meblami, z ubraniami, z wanną, ze szczotką, z kranem w kuchni. Każdemu nadawałam imię, żeby łatwiej było przetłumaczyć samej sobie te dialogi, ich sens i przyczyny, bo wszak nie dyskutuję z kredensem, a z Wilhelmem, moim starym przyjacielem, nie ze sfatygowaną trójnogą ławą, lecz z Ludwiką, powiernicą moich tajemnic i, na litość boską, nie zwariowałam! A nawet jeśli, to co z tego?!

Trwało to bez końca. Na zegarze cały czas piętnaście po czwartej, żadnego kalendarza. Żyłam porami roku, zima, wiosna, lato, jesień. One mijały jedna za drugą, nie wiedziałam tak naprawdę, kiedy. Święta rozróżniałam po tym, że sklepy były zamknięte, a ulice puste.

Spotkaliśmy się tuż po Wielkanocy. Rozpoznałam go po oczach. Zrozumiałam, że to jego syn, z pewnością! Stał za mną w kolejce, zaczekałam moment i poszłam za nim, jak wcześniej za nimi. Mieszkali gdzie indziej. Skądinąd, nie szukałam ich, on sam się pokazał, sam pędził z zakupami przez miasto. Co więcej, stawiał kroki tak jak ojciec, dlatego nie miałam wątpliwości. Znowu czatowałam przed kamienicą wyglądając okna, w którym zapali się światło. Zaświeciło się na parterze, po prawej stronie. Po chwili pojawił się w nim, zasunął firankę i już go nie było.

– Szuka pani kogoś?

Cichy, spokojny głos. Nie zauważyłam jej.

– Przepraszam, nie chciałam wystraszyć. Ale przyszła pani za małym Aleksandrem i tak się pani przygląda, to pomyślałam, że spytam. Może kobieta czegoś potrzebuje? Może w czymś pani pomogę?

Mówiąc to, wstała z niedużej ławki ustawionej za moimi plecami w głębi podwórza i powoli ruszyła w moją stronę. Wahałam się. Uciekać? Czy zostać i z nią porozmawiać.

– Działowa jestem. Każdy mnie tu zna, a pani...

– Zuzanna. Ja... kiedyś... z jego ojcem, dawno, dawno temu, za okupacji... on jest do niego taki podobny, pamiętam jak jego matka była z nim w ciąży, on chyba ma starszego brata...

Plotłam trzy po trzy. Nie umiałam się z tego wykaraskać. Przerwała mi ruchem ręki.

– Aaa! O nich chodzi. Ponoć wyjechali. Na zachód albo do Ameryki, czy do Australii, nikt tego nie wie. On też nic pani nie powie, ten młody. Albo się nie orientuje, albo ich ukrywa. Zniknęli jak kamień w wodę. Milicja już tyle razy była, że szkoda gadać. Żeby dziecko w tym wieku na zmarnowanie zostawić, skandal, nie do wiary. Opuścili go. Świat stanął na głowie. Jezu! Co pani jest? Halo! Ludzie, ratunku! Doktora! Zemdlała kobieta! Ratunku!

## 2. Kocie vibrato, Złoty, Uciekaj stąd!

Przyda mi się parę dni odpoczynku. Od tej akcji z Rajmundem minęło już kilka tygodni, przestał się odzywać, może ma wakacje czy urlop, a może się obraził. Dzwonię do niego w kółko, ale nie raczy odebrać. Tak samo jak mój brat, chociaż w jego przypadku to co najmniej dziwne, on jest wiecznie *online*, a tu ani poczta, ani esemesy, telefon ciągle wyłączony. Zaczęłam się martwić. Ale mówię, no co ty, Natka! Nie bądź idiotką. Miał znowu jechać w tę swoją głuszę i pojechał, a tam nigdy nie ma zasięgu. Łazi pewnie po tych swoich górach, śpi po stodołach, albo zabrał hamak i kima w lesie. Co się denerwujesz?! Dorosły jest. Tacy jak on zawsze spadają na cztery łapy. Poza tym dał słowo, że przyjedzie do poniedziałku, dzisiaj czwartek, czyli tak naprawdę nic się nie stało. Spokojnie dasz radę się wyrwać na ten weekend. Wyluzujesz się, odprężysz, wyjdzie ci to na dobre, zobaczysz. Ekipa z roku jest spoko. To jeszcze gówniarze, ale co z tego? Obiecałaś Patrykowi, kolejny raz, pamiętaj. No tak, racja. Głupio by było. Niedawno zawałam jego urodziny, teraz ten wypad. W sumie jakby się nie kleiło, to w każdej chwili mogę jechać z powrotem. Daleko nie jest, najwyżej wydam trochę kasy na taksówkę. Tylko żeby mój brat w końcu się odezwał, dręczy mnie to. A jak wyjadę i on dotrze akurat wtedy? To wrócisz, wariatko! Żaden problem, nie przesadzaj. Antoni nie zjawia się niezapowiedziany, to zupełnie nie w jego stylu.

– No i co ja z tobą zrobię, Saszka? Dwie noce bez swojej panicy? Wytrzymasz beze mnie, przystojniaku? Nie przejmuj się, zajrzy do ciebie ta babinka spod czwórki, ta co zwykle. Ta, co ci przynosi parówki, kaszanekę i resztki z obiadu. No jasne, że ją sobie przypominam. Bo od ciebie to jem wyłącznie polędwiczkę i do tego z jednego sklepu, a od tamtej to bym zjadł, co by mi dała, bez różnicy.

Uwielbiam ten dźwięk, gdy Saszka mruczy. Kiedy ociera się o moje nogi z ogonem podniesionym do góry. Tak mnie wita, gdy wracam z pracy, tak dziękuje za jedzenie. To najprzyjemniejszy dźwięk w domu. Kocie *vibrato*. Zasypiam przy kocim *vibrato*. Mój kot śpiewa, przytulony do mojego boku.

Ostatnio potrzebuję więcej snu. Śpię po dziesięć, dwanaście godzin. Wcześniej byłam całkiem wyspana już po siedmiu, budziłam się o szóstej

rano, bieżnia, rowerek, prysznic, śniadanie. Teraz na nic nie mam siły. Pewnie to jakieś przesilenie. W sobotę wstałam o dziesiątej, a gdyby nie głód, to na bank przeleżałabym cały dzień. Trudno, widocznie mam taki okres, pora leniucha. Dzisiaj śniło mi się, że Saszka rozmawiał z moim brzuchem. W odpowiedzi na kocie *vibrato* ze środka mnie wypłynęła łagodna aria. Ułożyły razem melodię. Obudziłam się, nucąc ją. Była taka słodka, ale szybko uleciała i jej nie zapamiętałam.

Piątek na uczelni minął jak zawsze. Nudne gadki starych, przemądrzałych wapniaków, znających tajemnice ekonomicznych prawideł gospodarki, zmiennych indukowanych, cen emisyjnych certyfikatów inwestycyjnych i innych rzeczy, których ja totalnie nie łąpię. Czasem mam wrażenie, że oni nie są prawdziwi, że mają wewnątrz małe mechanizmy, sterujące nimi, dyktujące treści wykładów, narzucające konkretne działanie. Ukrywają się przed nami, boją się zdemaskowania.

– O czym tak dumasz, ślicznotko?

Znowu Patryk, z tymi jego tanimi komplementami, z hormonami wypłukującymi mózg. Największy macho na roku w dresach Everlasta i różowej koszulce. Wydaje mu się, że jest uosobieniem ideału męczyzny i wystarczy jedno słowo, a już powinnam leżeć i tarzać się, błagając, żeby wziął mnie, najlepiej tu, w tej chwili, nie ociągaj się, wyruchaj mnie, natychmiast! Ale nie będę chamska, mam zero uszczypliwości w bieżących planach, więc jedynie tłumaczę, że jestem przemęczona. Czekam na ciebie koło piątej, nie spóźnij się, nie znoszę jak ktoś się spóźnia. Odpowiedź do mnie nie dotarła, nie zwróciłam na nią uwagi, zresztą i tak nie miała znaczenia.

Pojawił się piętnaście minut wcześniej. Jego czerwone BMW aż świeciło na parkingu. Chyba specjalnie pojechał na myjkę. Ale wioska, no dziewczyno, to ostatnia szansa, jeszcze możesz się z tego wypłatać, nie no, pojedę, biorę walizkę, buziak dla Saszki na pożegnanie, zaraz, mam wszystko? Telefon, kasa, karta, kosmetyczka, reszta schowana. No dobra, to lecę.

W środku ordynarnie, czarna skóra, światełka na desce, głośno włączone techno, zielona choinka samochodowa przyczepiona do lusterka, z tych co pachną tydzień, a wiszą dwa lata, dzizys, nie daję rady z tą muzyką, gdzie to

się przycisza. Mam tylko nadzieję, że w czasie jazdy nie będzie trzymał łokcia za oknem. Zamknął za mną drzwi, przynajmniej tyle, pierwszy plus. Oczywiście ruszył z piskiem opon, normalka, mogłam się spodziewać.

– Niezła fura, nie?

– Tatuś ci pożyczył? Nie boi się, że rozpieprzysz?

– No co ty. Mój. Na urodziny dostałem, od chrzestnego. Mieszka w Londynie, nie mógł przyjechać na osiemnastkę, to się niedawno odwdzieczył, super, nie?

I tak klepał całą drogę, że rodzice mają firmę, że w branży papierniczej, świetne efekty, rozwój, inwestycje, własna drukarnia, nowe biuro, linia produkcyjna, chwalił się, że właściwie to nie musi się uczyć, ma załatwione, ojciec sponsoruje bibliotekę, druki uczelniane, ulotki, prace doktorskie, jeśli coś będę chciała, wystarczy dać cynk. Oczywiście jechał jak idiota, w kółko powtarzałam, żeby zwolnił, nie bój się, kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa, adrenalina fajna sprawa, w tym aucie nic nam nie grozi, to bardzo bezpieczny samochód, relax maleńka.

Dotarliśmy szczęśliwie, w jednym kawałku. Złoty Potok. Duży, ładny, trzypiętrowy budynek w środku lasu, naprawdę jestem pod wrażeniem. Pokoik skromny, na poddaszu, ze skośnymi ścianami, ale czysty, a to najważniejsze. W sumie jest dużo lepiej niż przypuszczałam. Pomógł mi zanieść rzeczy na górę. Rozejrzył się.

– Zajebicie tu masz. Jak się ogarniesz, to wpadnij na dół. Z tyłu jest altanka, trafisz bez problemu, będę czekał. Okej?

Nie rozpakowałam się. Zrobię to jutro, nie ma co się spieszyć. Gdy już zesłam, większa część ekipy była niezłe zrobiona. Stałam z boku, słuchałam i obserwowałam. Kielbasa na grillu, fajki, piwo, dyskusje o sporcie, o piłce nożnej, siatkówce, spalonym, półfinale, lidze mistrzów...

– Masz ochotę na kawałek karkówki albo wódeczkę?

– Nie, dzięki.

Bols z Red Bullem, dla Patryka czysta, przypalone mięso, pierwszy zbity kieliszek, muzyka gra coraz głośniej, whisky moja żono już mnie nie opuścisz, przekrzykują się...

– Gdzie kupiłaś takie rewelacyjne buty?

– Jest niezłe, co nie Natka?! Potem idziemy popływać.

– Do którego fryzjera chodzisz?

– Z tym egzaminem pisemnym to przegięli, niezły fuks, że w ogóle zdałam, ale nie gadajmy o szkole, zapal z nami, to nie papierosy.

...piwo, kiełbasa z grilla, kaszanka, dym kłujący w oczy, ja uwielbiam ją ona tu jest, chóralne śpiewy, dropsy dla każdego!, dziewczyno nie mieszaj bo się wykończysz, tamta laska rzyga, ale smród, paw w kształcie pizzy, następne piwo, tańce, mój głos ledwo się przebija...

– Sorry, słabo się czuję, niedługo pójdę się położyć, boli mnie brzuch.

– Walnij lufę, to ci się poprawi, nie daj się prosić.

– Może później.

...plaforma, pisiory, dzender, pedały, *in vitro*, komuchy, żeberka z grilla, musztarda, jajka w majonezie, piwo, rozmowy o seksie, paluszki słone...

– Gdybyś musiała wybierać, to z którym z nich byś poszła?

– A na bezludną wyspę?

– Czy kobiety się onanizują?

...kiełbasa z grilla, wódka popijana piwem...

– Zagrajmy w słoneczko!

– Gdyby twój mąż był *swingersem* i byś go bardzo kochała, to pozwoliłabyś mu, brałabyś w tym udział, zgodziłabyś się?

...ponownie wódka, ponownie piwo, ona temu winna, ciągną mnie, ale się wyrywam, nie dają mi spokoju...

– Idziemy się kąpać!

– Ja nie idę, głowa mnie napierdała, nie ruszam się z miejsca.

...znowu ten Patryk, zostaliśmy sami, reszta poszła pływać, przysiadł się, trochę za blisko, śmierdzi wodą, głupie teksty, daj spokój, objął mnie, weź tę rękę, za dużo sobie pozwalasz.

– Zabieraj łapska, skurwysynu!

Uderzył mnie w twarz, pociągnął za nogi i zrzucił na ziemię. Brutalnie, jakby od tego zależało jego życie. Rąbnęłam mocno głową w podłogę. Słabo mi. Nie mogę się ruszyć. Wykorzystał to, jedną ręką przydusił, drugą zerwał ze mnie spódniczkę i majtki. Potargał bluzkę. Nie miałam na sobie nic więcej. Był silny, zdecydowany, bolało, ale to był inny ból, dziwny, wystraszyłam się, że wszedł we mnie, ale nie, to nie on, to coś w środku, coś oprócz mnie usiłowało go zrzucić, odepchnąć. Wreszcie powoli dochodzę

do siebie. Skurwysyn liże mnie. Maca brudnymi paluchami. Rzucam się jak mogę. Ugryzłam go w rękę, starałam się kopnąć w jaja, ale nie trafiłam, zerwał się na nogi, na szczęście! Puścił mnie!

– Ty w dupę jebana kurwo! Co, za młody jestem?! Dajesz tylko starym, czy mam ci zapłacić?! Ile bierzesz? Myślisz, że jestem ślepy i głuchy?

On wie! Jeśli on wie, to wiedzą wszyscy! Ale nieważne. Ratuje się! Fłaszka po wódce. Utrzasnęłam ją, ostrą część trzymam mocno w ręce. Stoje tak nago i czekam, tymczasem on odszedł dalej i usiadł na ławce.

– Chodź teraz, pojebany gnoju!

– Spierdalaj! Nie chcę cię już! Wolę się napić!

Odwrócił się, odkręcił butelkę i wypił łyka. Jakiś mały fragment mnie w ogóle się nie boi, ma ochotę na słodką zemstę, załatw chuj! Uderzył cię, próbował cię zgwałcić! Załatw chuja!

Zaszłam go od tyłu. Gdy byłam o krok, obrócił się i spojrzał na mnie.

– Mówiłem, że już cię nie chcę!

Krótki ruch ręką. Wrzask. Krew.

– Odjebało ci, głupia szmato?!

Kilkucentymetrowa szrama na policzku Patryka. Moje szybkie kroki na górę. Dobrze, że nie zdążyłam się rozpakować. Uspokój się i uciekaj stąd! Telefon, taksówka, ubieram się i zbiegam z torbą na dół, Patryk wciąż jest sam, słyszę, jak przeklina. Noc. Czekam w ciszy, bo on w końcu przestał krzyczeć. Chwila konsternacji. Może jednak zostać, nie spodziewa się mnie, jest pijany i ranny. Zaskoczę go, poderżnę mu gardło, a potem utnę fiuta i wrzucę na grilla. Ale by mieli miny, gdyby mnie tak zastali. No, chłopaki! Ściągać spodnie, wasza kolej!

– Uspokój się i uciekaj stąd! – szeptem do siebie.



### 3. Wybór, odbiornik, nie uwierzysz.

– Chodź do środka, bo zmarzniemy.

Kazał mi usiąść przy stole. Potem przyniósł gorącą herbatę. Smakowała idealnie. Raczyłem się nią, obserwując zegar. Wsłuchiwałem się w jego tykanie. Staralem się skupić możliwie jak najmocniej. Wreszcie znalazłem sposób, żeby zastopować sekundnik. Wykonałem zadanie. Wskazówka zatrzymała się na szóstce. Znieruchomiła. Chciałem, żeby tkwiła w miejscu jak najdłużej. Taki test dla nowych sił. Zdany, dopiąłem celu prawie bez wysiłku. Później postanowiłem ją cofnąć, co okazało się dużo trudniejsze. Pojawiły się pierwsze krople potu. Ona nadal się opierała, zaczęła drżeć, wibrować... Jest! Jedna sekunda wstecz, udało się ją zawrócić. Spróbowałem jeszcze raz, ale z większym natężeniem. Wiedziałem już, gdzie skierować energię. Druga sekunda, pauza, trzecia sekunda, czwarta, piąta, minuta, wskazówki krążą coraz szybciej! Chwyć się ich! Zrobiłem to.

– Masz jakieś imię, czy mam sobie coś wymyślić na poczekaniu?

– Antoni – odpowiadam mechanicznie.

Moni patrzy na mnie zamglonym wzrokiem. To samo schronisko, ale trochę bardziej widne, z rzadszym powietrzem i zwiększonym kontrastem, z towarzyszącym mi wrażeniem, że więcej w nim miejsca. Znowu siedzę przed komputerem, albo wciąż siedzę przed komputerem. Tak niewiele minęło, a wydaje mi się, że to wieki. Spojrzałem na zegar, zupełnie inna godzina. Sekundnik swoim normalnym tempem kręci kolejne kółko.

– Jestem w stanie to zmienić!

Wtedy Cypis i Monika przeżyją. Wystarczy, że wstanę i wyjdę, że nie będę z nimi rozmawiał, nie pokłócę się, nie wbiję nikomu widelca w udo, tylko zamknę się w pokoju na górze, a rano ucieknę, żaden problem. Ale co z Adamem?! Czy on jest tego świadomy? Nie! Powinienem spytać inaczej: czy orientował się w tamtej chwili, w czasie, z którego przybyłem? Nic z tego nie rozumiem! Czuję się jak przed otwarciem sekretnych drzwi, jakbym znał wynik, ale nie miał pojęcia, jak został osiągnięty. Nie! On wie! Bez wątplenia! Wie teraz, wiedział zawsze. Ale ja mogę się wymknąć. Mogę stąd odejść, gdy zechcę, najwyżej zmoknę, zgubię się, najwyżej będę błądził w lesie po nocy. Przecież w górach ratowałem się już nie z takich opałów.

To się nie musi stać! Jest szansa, że ocaleją! Po prostu opuszczę to miejsce, wrócę na szlak i zejść na północ, na kompas. Mam latarkę, wodę, prowiant, wszystko, co niezbędne. Uda się, to łatwe! Ale co dalej? Czy jeśli ci ludzie nie umrą, to zapomnę o całej sytuacji? To ze mnie zniknie, wyparuje, ulotni się w jakiś sposób? A może sam siebie przekonam, że to był jedynie zły sen, albo nagły atak urojeń, halucynacji, amnezja pourazowa? Czy wówczas spotkam Adama? A co jeżeli on mi nie pozwoli? Albo pozwoli, ale dogoni gdzieś w przyszłości. Czyli to przeznaczenie! W takim wypadku natknę się na nich kiedyś w innych warunkach i wydarzy się to samo? Dopadnie mnie czy nie? Chociaż z drugiej strony...

– Powiedz mi Antoni, co robisz w takiej dziurze, do tego sam. Nie nudzisz się?

Nie! Nie zgadzam się! To mój wybór! Znowu tego pragnę! Umrze Monika, umrze Cypis. Kolejny raz! A właściwie nie tylko raz, a nieskończoną ilość razy. Wyrok już zapadł.

Zza zasłony, zza okna, z miejsca gdzie indziej, moment później dotarł do mnie głos Adama:

– Zaczynasz nad tym panować. Ale nie spiesz się. Powoli. Twoje zmysły się wyostrzają. Na początku smak i węch, ale już niebawem wzrok i słuch również się rozwiną i staną się o wiele potężniejsze, niż ci się wydaje. Już wkrótce będziesz uczył się, jak je temperować.

Uwolniłem wskazówkę, a ona ruszyła z zawrotną prędkością. Pędziła, próbując dogonić jutro, dogonić teraz. Potem przyhamowała, dostosowując się do naturalnego rytmu. Znowu jestem tu, znowu dzisiaj. Adam spojrzał na mnie z uśmiechem i głęboko odetchnął. Następnie wyciągnął zza pleców NÓŻ i położył tuż przede mną. Chciałem go złapać, ale on podniósł dłoń, zatrzymał mnie.

– Nie tak, Antoni! Nie w ten sposób.

Trzęsły mu się ręce. Dygotały po dwóch stronach ostrza, które tak pięknie lśniło, przyciągało jak magnes.

– Spokojnie. Każdy ruch jest niesłychanie ważny. Skup się.

Pełna koncentracja. Poczuję całą gamę zapachów. Kwaśny i ostry należał do Adama, metaliczny, głośny i ciężki to woń NOŻA. Stykały się,

wzajemnie przenikały, tworząc unikalną kompozycję. Zamknąłem oczy i dołączyłem do niego.

– Daj się poprowadzić – powiedział.

Doświadczyłem tego. Zadziało jak odblokowanie części mózgu, do której wcześniej nie miałem dostępu, jak wyzwolenie, oświecenie, jak podniesienie kurtyny w teatrze.

– Jest twój. Rozmawiaj z nim, dotykaj, ciesz się. Zabierz go i rozstrzygnij, co zrobisz dalej. Są dwie strony świata, ich i moja. Są dwie strony ognia, a ty trwasz pomiędzy nimi, może w tej chwili trochę bliżej mnie, bo jesteś tuż obok. Ale masz prawo się wycofać. To twoja decyzja. Być człowiekiem albo być kimś wyżej, kimś ponad. Jeśli zostaniesz, spal obrazy, koniecznie. Ogień je unicestwi. Nie ma wyjścia. Wtedy zniszczysz przejście, a oni utkną na zawsze po tamtej stronie. Nie będą mogli wam przeszkodzić. Nastanie nowy porządek. Już bez nich. Ja nie miałem takiej szansy. Nie zmarnuj jej.

– Adam, czemu to ciągle powtarzasz? Wiesz dobrze, że jestem twoim powiernikiem. Wiesz, że będę bezustannie, nawet w najkrótszym ułamku sekundy, nieprzerwanie trwał przy tobie, mój przyjacielu, władco, królu.

– Idź już. Nie ma czasu.

Więcej nie musiał mówić. Słowa stały się zbędne, słyszałem jego myśli.

– Cierpliwości. Jesteś jeszcze zbyt słaby. Ale spokojnie, bądź z nią, wspólnie nabierzcie sił. Dzień po dniu proporcje będą się zmieniać. Ukryj się, schowaj. Uważajcie na siebie. Od teraz to nie wy jesteście najważniejsi.

– Co będzie z tobą, Adam?

– Idź już. Nie ma czasu – powtarza.

Przez głowę przeszło mi pytanie:

– Czemu nie przytrzymałem tej wskazówki?! Dzisiejszy dzień trwałby w nieskończoność.

– Nic nie rozumiesz, Antoni. Możesz wrócić, kiedy tylko zapragniesz, możemy być razem, przeżywać i cieszyć się tym, jak długo zechcemy.

Nie pożegnałem się. Po prostu zostawiłem za sobą schronisko i wpadłem w inny świat, w uderzenie światła, świeżego powietrza, aromatu kwitnących roślin, głosu ptaków i świerszczy. Dotarły do mnie spotęgowane, dużo silniejsze niż zwykle, jak chaotycznie rozrzucone dookoła symbole, cyfry, znaki. Zacząłem je układać. Pomału docierało do mnie, o czym rozmawiają,

dłaczego pachną, jak i co czerpią ze słońca, z chmur, z deszczu. Pojmowałem je, nie każdą, nie w całości, ale wiele z nich potrafiłem już ułożyć, rozszyfrować. Moje zmysły były stymulowane przez setki, przez tysiące milionów bodźców. Bieszczady zaintonowały nowy język, stałem się jego łapaczem, jego odbiornikiem. Szkoda, że nie umiałem się tym z nikim podzielić.

Szedłem wolno. Brama. Czyli to jest ta brama! Niepozorne żelastwo w środku lasu, z dziwnymi wzorami, wyglądające jak pozostałość dawnych epok, jak wrota do nieistniejącego już miasta. Przeszedłem obok, chociaż korciło, żeby zajrzeć, ale przestrzegał mnie, a ja byłem mu posłuszny. Uchwyciłem głuchy dźwięk, zlewał się z mieszaniną tutejszych odgłosów, miał jednak trochę inną częstotliwość, dlatego od razu go wyłowilem. Dochodził stamtąd. Zawróciłem.

– Kto mówi? Jest tam kto?!

Nie mogłem nic usłyszeć. Jedynie urywek cichej odpowiedzi, ale w języku, którego nie byłem w stanie zgłębić, który nie zamierzał mnie wpuścić i w którym nawet zgłoski się nie łączyły, nie tworzyły słów. Miałem wrażenie, że nie pozwolono im na to.

– Najpierw mnie wołasz, a potem się nie odzywasz.

Zero. Brak reakcji. Stałem parę minut, a następnie odszedłem. Znowu szlak. Ścieżka, jakby skąpana w wilgotnym letargu, starała się mnie uciszyć. Wszystko działo się za szybko. Czułem się jak na mocno rozbujanej huśtawce, a cały świat pędził. Potrzebowałem odpoczynku. Wydarzenia ostatnich dni przesuwają mi się przed oczami jak kadry filmu, klatka po klatce. Droga mnie uspokoiła. Brzmiała w myślach powtarzana w kółko, jak mantra, jak *muraqaba*, *vipassana*, różaniec, *zazen*, *nigun*, jak każda modlitwa.

Uwolniłem się.

Po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, że coś jest nie tak. Spojrzałem na siebie i zauważyłem, że przestałem ruszać nogami, a mimo to dalej się przemieszczam. Zesztywniałem, zamarłem, a mimo to szedłem dalej. Sunąłem kilka centymetrów ponad ziemią, jak łyżwiarz niesiony na poduszkach powietrznych. Wąską ścieżką pod górę, prosto na samą Fereczatą, bez trudu, bólu mięśni, potu i zadyszki. Zatrzymałem się na

szczybie. Dotknąłem stopami gruntu. Otoczył mnie krajobraz, niczym potężny oceaniczny sztorm. Przemówił do mnie ciepłym wiatrem. Słuchałem aż do zmierzchu. Dopiero wtedy zszedłem na dół. Była już ciemna noc. Smerek, przystanek PKS-u. Zza wiaty wyłonił się człowiek. Od dawna już żadnego nie spotkałem. Prawie zapomniałem, że istnieją.

– Szukasz miejsca do spania? – spytał.

Przenocowałem w jego zapuszczonej chałupie. Nie chciałem z nim gadać, nie chciałem pić wódki, zapłaciłem i uciekłem do łóżka, wyłgałem się zmęczeniem. Zasnąłem jak małe dziecko, jeszcze zanim głowa opadła na pościel. Obudziłem się przed wschodem słońca, spakowałem i wyszedłem. Autobus był pełen ludzi. Zdążyłem się już od nich całkiem odzwyczaić, od ich hałasu, zapachu ciał unoszącego się dookoła, od podróżowania w ich obecności. Skupiłem się na pejzażu za szybą. Na perspektywie, tle, kontraście. Lesko. Później Kraków. Natalia! Przypomniało mi się, że miałem do niej zadzwonić. Włączyłem telefon.

– Cześć. To ja.

– Antoni. Dobrze, że dzwonisz.

– Natalia?

– Tak?

– Nie uwierzysz...

## 4. Sznurówki miłości, pieczęć, to.

Niespieszno mi, Aniołeczku. Pleciesz głupoty, że na mnie już czas, że już prawie, ale ja mam jeszcze wiele do zrobienia. Są zadania, z których muszę się wywiązać. Pamiętaj, jesteś mi potrzebny. Powinieneś mnie wspierać, podpowiadać mi.

– Jak możesz wątpić! Byłem i będę do końca, zaufaj mi. Byłem, gdy odeszli twoi rodzice, gdy zostałeś sam, gdy tęskniłeś, gdy chcieli cię oddać do domu dziecka. Jedyne ja wiernie trwałem przy tobie. A kiedy spotkałeś swoją ukochaną, gdy ją pierwszy raz ujrzałeś, też stałem nieopodal. Przypomnij sobie, kto ci kazał do niej podejść tego dnia w kościele, kto cię namawiał, zachęcał, usiądź, klękniij obok i pomódl się wspólnie z nią, odezwij się wreszcie, po tylu niedzielach wyduś z siebie coś więcej niż tylko pokój nam wszystkim.

I odezwałem się, Aniołeczku. I ona przemówiła do mnie i ujęła mnie tym swoim szafirowym głosem, chociaż wcześniej błagałem Boga, coby się okazało, że głupia, zaborcza, niemiła, zła. Nie wysłuchał mnie, bo wyszła na jaw jej cudowność, a tego najbardziej się bałem. Martwiłem się, że najwspanialsza córka tej planety nie będzie miała ochoty na mnie spojrzeć, bo jakże by mogła, Ona na mnie, na takiego zwyczajnego? Bałem się cierpienia, odrzucenia, samotności bez niej. I kiedy ja panikowałem, ona powiedziała, że ma na imię Maria i że czekała! Aniołeczku, czekała! W życiu nie usłyszałem nic lepszego, to było wręcz za dużo, nie zasługiwałem na tyle. A ona, o imieniu matki Syna Bożego, mnie wybrała na swoją połówkę, mnie, takiego małego przy niej.

– Zapomniałeś wtedy o mnie, dziadku, oj, zapomniałeś. Przestałeś odpowiadać, lekceważyłeś, przestałeś szukać pomocy. Odwróciłeś się. Wbrew temu ja wciąż byłem w pobliżu. Widziałem was, gdy złapaliście się za ręce, tego dnia, w sobotę rano, jak postanowiliście się tak trzymać na zawsze i nigdy nie puścić, jeść, myć się, prasować, palić w piecu, tańczyć, malować, chodzić do pracy, spać, zmawiać różaniec, przewiązać swoje ciała sznurówkami miłości i zastanawialiście się tylko, z czego uszyć te sznurówki, żeby były trwałe w czasie i w odległości. Nie pytałeś, nie radziłeś się, nie dowiadywałeś. Oglądałem ciebie, jak kwitłeś z nią razem, tworząc

dalsze supły sznurówek, aż pojawił się w nich syn, a potem córka, a mnie i swoją przeszłość odsunąłeś w niepamięć. Liczyła się tylko Maria, Antoni i Natalia. Dla mnie brakło marnego słowa, zwykłego cześć, jak się masz, odezwę się później. Nic. A ja i tak was nie odstępowałem. Siedziałem cicho, bezgłośnie, ale nie oszedłem. Jedynie tkwiłem w cieniu.

No i dlaczego wyciągasz stare brudy, po co to, Aniołeczku? Po co do tego wracać? Szczęśliwy byłem jak nikt na świecie, nie miałem o co wypytywać, samo się układało. A ty z kłopotów miałeś leczyć, wspierać w troskach, złych chwilach, lecz one nas omijały, przechodziły obok, wszystko szło jak z płatka. Ze sznurowadeł miłości zrobiliśmy hamak do bujania dla dzieci, spokojne miejsce, które dodawało im wiary, charakteru, chroniło przed złem. Obwiązaliśmy ich ciasno, żeby siebie też szanowali, żeby się kochali, jak brat i siostra. I udało się. Z tych sznurowadeł powstał czworokątny kokon. Zamieszkaliśmy w nim, każdy w swoim kącie, każdy odrębny, mimo to spleciony niemi uczuć. Bo człowiek, jaki by nie był, ma swój krwiobieg, my mieliśmy nasz uczuciobieg, zasilany przez cztery serca. Rozwijał się z nami, tak jak i rosło potomstwo, rok po roku przybywało nowych włókien, nowych połączeń. Przestałem malować. Zupełnie nie miałem na to ochoty. Wystarczało mi to, co mam, nie pragnąłem więcej. Chociaż bywały i takie chwile, gdy jakoś przez palce czułem, że tak nie może być ciągle, że coś spadnie z góry, Aniołeczku, i przerwie sielankę, jednak próbowałem odsuwać te myśli jak najdalej, nie prowokować losu.

– Ależ błąd! Nie wolno tak czekać, nie wolno uciekać. Zawsze trzeba stawić czoła! Trzeba przewidywać!

Łatwo ci teraz mówić, Aniołeczku. A czemu wtedy nie dotarło do mnie ani jedno słowo przestrogi? Czemu nie ostrzegłeś, nie zwróciłeś uwagi, czemu milczałeś?

– Nie posłuchałbyś mnie, dziadku. Do waszego kokonu nie dochodziły niczyje słowa, z nikim się nie przyjaźniliście.

Bo to było zbędne, Aniołeczku. Po co inni, jak ma się w domu cały Wszechświat, do tego piękny i harmonijny. Dzisiaj już wiem, za szybko to szło, za szybko, Aniołeczku. Jak fasola w starej bajce, co się pięła i pięła, tak my rośliśmy, a w sznurowadłach coraz większe prześwity się pokazywały. Pierwszy Antoni zaczął przez nie wyglądać. Był ciekawy życia, a co tam jest

z lewej, co z prawej, tato, pytał, a dlaczego tak tkwimy, nie zgnuśniejemy? A co jest, gdzie nas nie ma? I nie doceniał, gdy go zapewniałem, że to idealne miejsce, że nie ma co szukać za granicą, bo do cna nieprawością przeżarta, a on wciąż za język ciągnął i wołał doświadczać i smakować, a ja zwyczajnie, po ojcowsku bałem się o niego, chciałem go uchronić.

– I zabraniałeś mu, a to najgorsza krzywda dla takiego młodzieńca, zamknąć go w czterech ścianach, w złotej klatce. Antoni ma charakter po tobie, silny, uparty, nieustępliwy. I wasze sznurowadła poluzował, odpływał kawałek po kawałku, aż wydarzyło się to, co się wydarzyło. Spotkałeś go z kolegami pod księgarnią, a miał być w kościele, oszukał was, ciebie i Marysię, i zamiast wyznawać Panu Najwyższemu, to palił papierosy z tymi smarkami, z najgorszym elementem w okolicy, zwodził, możliwe, że nawet któryś raz z rzędu. Pamiętasz, jak mu się odpłaciłeś?

Pamiętam, Aniołeczku. Może przesadziłem, może za mocno uderzyłem. Ale kłamał przeciw rodzicom i przeciw Bogu, no i poniosło mnie zbyt, świadom tego jestem, jednak zawiódł mnie, ufałem mu, a tu cóż za rozczarowanie! Zresztą, nie było to aż tak istotne. Jedna kłótnia pośród wielu. Najgorsze, że Natalię przeciągnął na swoją stronę, tę małą, niewinną istotkę, tę kruchość misterną. Nie umiałem na to patrzeć.

– A zaręczałeś wcześniej, dziadku, że sznurowadła ich tak silnie związane, to jak miał sam uciekać, bez niej? Nie było rady. Przekonywała cię Marysia, odpuść, rozluźnij uścisk, bo dzieci najbardziej potrzebują powietrza. Skrzydła im się snią, wolność, podróże, choćby i niebezpieczne, miłości, przyjaźnie na wieczność. Daruj im, mówiła, oni muszą iść swoją drogą, wyfrunąć z gniazda. A ty, że jeszcze nie dzisiaj, że za młodzi, że przyjdzie czas i odsunąć to pragnąłeś, najlepiej w nieskończoność, gdyby...

Gdyby nie ten dzień, Aniołeczku, gdyby nie ten feralny dzień. On wszystko zmienił. A zaczął się tak zwyczajnie, tak niepozornie. Spałem, gdy wychodziła, akurat w tej chwili, a przedtem nie zdarzało się, żebym zasypiał, właściwie nigdy. Zawsze rano jej towarzyszyłem, wspólnie jedliśmy śniadanie, a tamtego dnia, tamtego dnia po prostu nie wstałem, nie obudziłem się. Koło południa odezwał się telefon. Dzwonił inaczej niż zwykle, tak złowieszczo. Nie potrafiłem do niego podejść. Dzwon, rozbrzmiewaj na całą Polskę, a ja i tak cię nie odbiorę, i tak się nie dowiem,



bo przecież nic się nie stało, nic się nie mogło stać. Nie odebrałem tego telefonu, Aniołeczku, mimo że nie przestawał hałasować. Ale otworzyłem drzwi, gdy zapukali. To był wypadek, powiedzieli, nie żyje, umarła szybko, nie cierpiała, z jej winy, są świadkowie, zauważyli, jak wbiegła na czerwonym świetle, nikt by nie zdążył zahamować, trzymaj się, chłopie. Reszty nie słyszałem. Nie uwierzyłem i nie chciałem jej zobaczyć. Antoni tam był, oglądał, podobno siedział przy niej długo.

– Dopiero wtedy się odezwałeś, dziadku. Dopiero wtedy. Co robić? Ocal ją, jak znaleźć wyjście? – pytałeś, chociaż byłeś świadomy, że gdzieś w skrytce w podłodze tkwi porzucony, zakurzony przedmiot, który może więcej, i kiedyś ktoś już ratował się nim, wrywał się śmierci. Więc dałem ci cień nadziei.

Tak, Aniołeczku, racja. Znowu wziąłem się do malowania. Przypominałem ją sobie. Każdy jej szczegół, każdy pieprzyk, włoszek, odcień skóry, każdą niedoskonałość, dla mnie doskonałą, wygiętą szyję, cienkie malinowe usta, pełne piersi. Staralem się, a jednak wciąż brakowało, wciąż za bardzo się różniła, wciąż nie starczało.

– Kto ci wówczas pomógł, dziadku, no kto? Przyznaj się.

Ty, Aniołeczku. Jasne, że ty. Poradziłeś, żebym zamknął oczy, bo największa miłość nie mieszka w zmysłach, nie ma jej we wspomnieniach o tym, co widziałeś, czego dotykałeś. Ona jest wieczna, rodzisz się z nią i umierasz. Jest pieczęcią, schowaną w głębi duszy, w otchłani serca, w takim specjalnym miejscu. Przeczytaj z niej, bo człowiek nosi w środku niepowtarzalny wzór, a do niego pasuje tylko inny niepowtarzalny wzór. Wniknij do dna i wyłów jej echo, szlak jej ciała.

– I w końcu posłuchałeś, dziadku, w końcu doceniłeś moje wsparcie.

Po wielokroć za nie dziękowałem Aniołeczku, choć nie mam przekonania co do wyniku. Kiedy przyszedł ten moment, kiedy ostatni raz musnąłem pędzlem płótno, ujrzałem ją w nim. Poszedłem do skrytki, wyciągnąłem nóż i złapałem najmocniej, jak potrafiłem. Obym ją odratował, Aniołeczku! W kółko maglowałeś, że kto przeszedł na tamtą stronę, trwa w szczęściu i zdrowiu. Ja tego pewien nie jestem, ja nie mam przeświadczenia. Bo nóż zaprowadził mnie prosto do truchła, wcale już do niej niepodobnego. Wziąłem to, co uprzednio było śliczną Marią, wydobyłem z grobu i po

cichu, ukradkiem, zaniósłem do domu. Noc wtedy była głucha i ciemna, młodzież spała, a ja to przytaszczyłem. Stałem naprzeciwko malunku. Jedyne ja, płótno i to. I nóż. Rzuciłem i wpadło do wewnątrz. Obraz to wchłonał, tak jak bagno wchłania swoje ofiary, jak ruchome piaski. Wygiął się na sztaludze delikatnie, nienaturalnie i wrócił, Aniołeczku, na swoje miejsce, jak gdyby nigdy nic, nie zmieniając swojej treści i formy. Odniosłem szybko nóż z powrotem do skrzynki, zawinąłem w szmatkę i schowałem. Nazajutrz dzieło dołączyło do innych, tam, gdzie tatuś kazał. Od owego czasu codziennie nad tym dumam. Martwię się o nią. Czy się nie spóźniłem, czy ona żyje na emigracji, czy wygląda na mnie? Czy prawdziwa, idealna, moja Marysia jest gdzieś w olejnej Australii i tęskni za mną jak kobieta za mężczyzną? Czy jest tam wyłącznie jej nieludzki portret.

– Piękna historia, dziadku, piękna. Tyle, że niepotrzebnie później o dzieciach swoich zapomniałeś. Zamiast im ulżyć, sierotom bez matki, błazna z siebie zacząłeś robić. Do tego doszła wódka, i co? I teraz jesteś sam, bez niczyjej pomocy na starość.

Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, Aniołeczku. Jednak pomyślałem, że przy niej to chociaż coś znaczyłem, miałem jakąś wartość, a bez niej... Kocham ich! Dlatego sądziłem, że łatwiej im będzie bez ojca nieudacznika i przerwałem sznurowadła miłości. I krótko potem odeszli. Pewnie, że cierpię, pewnie, że usycham z tęsknoty. Lecz wiem, że beze mnie będzie im dużo lepiej. Wiem, bo zdarza się, że ich podglądam.

– Jeszcze się spotkacie, dziadku, jeszcze ujrzysz nóż i nie takie cuda. Mówiłem ci to, gdy się tu wspinałeś, do tej chaty na końcu świata i powtarzam ponownie, więc módl się i czekaj, bo niewiele nam zostało.

Tak się tylko zastanawiam, Aniołeczku, i ciągle mnie to męczy. Czy to była dobra decyzja? Te obrazy, Maria, maluchy, sznurówki, to, co wczoraj z Adamem, ten sznur, brak duszy. Czy ja aby jestem po właściwej stronie? Czy ja aby jestem po właściwej stronie, Aniołeczku?

## 5. Namalowana, niewinna, stokrotka.

– Czemu pani za mną chodzi?

Rzeczywiście włóczyłam się za nim, w sumie to nie mam pojęcia po co, tak jakoś wyszło. Wiedziałam, że jest sam, że sam mieszka, że rodzice i brat gdzieś odeszli i bałam się, że to przeze mnie, że to moja wina, że dokonał się urok, który rzuciłam dawno temu i poszli sobie, porzucili na pastwę losu. Chciałam z nim pomówić, ale nie umiałam podejść, przez co szpiegowałam go, choć z boku pewnie dziwnie się na to patrzyło, starsza pani szwendająca się za młokosem, całkiem jak zakochana albo wariatka. Pragnęłam jedynie zorientować się, jak żyje, czy jest spełniony, zadowolony, dlatego błagałam Boga, żeby uczynił cud, żeby mnie zauważył ten szczawik, albo nie, żeby to wyglądało jak przypadek i martwiłam się w kółko, co mu powiem, jak mnie zatrzyma. Wtedy będziesz dumać, coś wymyślisz, a może on coś wymyśli, miałam to zrobić po drodze, ale wyrósł przede mną jak spod ziemi.

– Czemu pani za mną chodzi? – pyta po raz drugi.

Zamurowało mnie. Najpierw spojrzałam na niego, a następnie opuściłam oczy i tak stałam, czując się jak uczennica, która nie odrobiła pracy domowej, ale nie przez zapomnienie czy roztargnienie, tylko umyślnie i właśnie spodziewała się kary. On, dużo wyższy ode mnie, już potężny mężczyzna, mimo że jeszcze chłopiec. Ciemnowłosa, błękitnooki. Też czekał, aż zareaguję, a ja nie miałam zamiaru, wolałam tak sterczeć, ty zacznij, ty pierwszy.

– To pani? Pytała pani o mnie Działową. Później pani zemdłała. Pani znała mojego ojca. Proszę ze mną porozmawiać. Parę kroków stąd jest ławka. Pani ich szuka. Chyba, że... Usiądźmy.

Spoczęliśmy na ławce przy placu, a ja dalej nie mogłam podnieść wzroku.

– Słucham.

Znów się zawahałam. Milczałam długo, na szczęście on był cierpliwy.

– Jest pan taki podobny do taty. Spotkałam go, kiedy był trochę starszy od pana teraz. Pan ma brata...

– Stanisława...

– Stanisława, tak. Pana matka to taka piękna kobieta... Niech pan mnie źle nie zrozumie, ja chciałam się dowiedzieć, czy pana brat jest... w pełni

sił? Ta pana sąsiadka mówiła mi, że pan jest samotny, czy pana ojciec... czy on jest... czy jest z nim... czy ma się dobrze?

Tym razem to Aleksander spuścił głowę. Prawą rękę schował pod ławkę. Wydawało mi się, że pisze tam nią słowa, jak w zeszycie. Sprawiał wrażenie, jakby szkicował swoje myśli, żeby użyć ich jak najlepiej.

– Liczyłem, że ma pani dla mnie wiadomość od nich. Łudziłem się, że pani jest stamtąd. Wygląda pani inaczej, jak namalowana, to dlatego. Pani przyszła, żeby o nich spytać?

Przytaknęłam. On spojrział w chmury, zaczerpnął głośno i głęboko powietrze. Wciąż pisał palcem po krawędzi ławki.

– Nie mogę pani powiedzieć, gdzie oni są. Nie mogę powiedzieć nikomu. Stanisław był kiedyś chory, tak samo jak mój tatuś. Było z nimi rzeczywiście źle, niewiele im brakowało do śmierci. Dziś już nie. Dzisiaj są radośni, beztroscy, dzisiaj mieszkają w raju. Nie musi się pani o nich martwić. Zazwyczaj nie rozmawiam o tym z nieznanymi. Właściwie, to nie rozmawiam o tym z nikim, ale z panią to co innego, z panią to tak, bo widzę, że jest pani szlachetną osobą, że ulży to pani w mękach. Bo w pani oczach jest smutek, głęboki i zadawniony. Dostrzegam to, bo gdy pani patrzy, to bardzo długo trwa, zanim zobaczę swoje odbicie w pani źrenicach, długo, jakby kamień spadał w głęboką studnię.

Rozpłakałam się na tej ławce, nie pamiętam, kiedy ostatnio tak płakałam. Ryczałam i ryczałam, nie potrafiąc przestać, a on siedział cicho. Nie doczekał się żadnych słów z mojej strony. Wstałam i odeszłam, bez pożegnania, nie oglądając się, zresztą i tak nie wołał, nie gonił. Ale to dobrze. Zrobiłam im krzywdę, zrobiłam krzywdę tej rodzinie. I to dlaczego? Dlatego, że zadurzyłam się w bestii, w demonie, w diabelskiej istocie. A oni go zabili. Zbyt późno się zorientowałam. Zbyt późno zrozumiałam, że mężczyzna mojego życia, jedyny, który mnie wielbił, jedyny, który traktował mnie tak miło i ciepło, jedyny taki, mój, był mordercą. Sadystycznym, zwyrodniałym mordercą. Uwierzyłam w to, co o nim gadali w czasie wojny. Wtedy byłam ślepa, jak każda zakochana młoda dziewczyna. Musiały minąć lata, żeby to w pełni do mnie dotarło. Poza tym, mój Bruno śnił mi się wielokrotnie i zawsze to był ten sam sen.

On z nożem w ręku, idący przez miasto, siejący śmierć i krew, cieszący się nią, spijający jak ciepłą zupę. Aleksander mówi, że mam oczy głębokie jak studnia. Bruno miał takie oczy w tych snach, upiorne, wściekłe, i ja też mam taki wzrok, bo jestem taka sama! Przez te lata, wiedziałam, że jestem taka sama! Przywykłam do tej myśli, pogodziłam się z nią, zgnuśniałam, zamykając się w niej. Los mnie nie oszczędzał, ciemne chmury bezustannie wisały mi nad głową. Ale ja wiecznie byłam czysta, niewinna, nietknięta grzechem, chociaż łaknęłam tego, chociaż często miałam olbrzymią ochotę, to nigdy nikt przeze mnie nie ucierpiał. A teraz okazało się, że w tym też się myliłam, bo spełnił się urok, który dawno temu na nich rzuciłam! Zostawili go i odeszli! Opuścili biednego chłopca! Czyli nie jestem i nie byłam nieskazitelna. To nie mnie skrzywdzono, a ja krzywdziłam. To ja jestem potworem.

Zatrzymałam się na chodniku. Na środku dużego wiaduktu, przechodzącego nad torami kolejowymi, na którym oprócz zwykłych poręczy dodatkowo domontowano wysokie ogrodzenie z siatki drucianej, żeby nie nęciło nieszczęśliwych, żeby pewnego dnia nie zechcieli skoczyć. Tkwiłam tam nieruchomo i patrzyłam w niebo, zachwycając się słońcem, przelatującymi ptakami, a tłum mijał mnie ze wszystkich stron, w ogóle się mną nie interesując. Z tyłu sunęły samochody i autobusy, a ja nie ruszałam się z miejsca, gapiąc się przed siebie, aż z daleka wyłoniło się światło, a tuż za nim rozpędzony pociąg. I pociąg wydał dźwięk. Nie był to normalny sygnał, niósł się mocno wibrując w powietrzu, w ten sposób, że nawet zęby szczękały. Trząśł się. Drgał. Coś było z nim nie tak. Dziwiło mnie, że nikt poza mną tego nie słyszał. Ludzie maszerowali, kompletnie nie zwracając uwagi ani na mnie, ani na hałas. On w tym czasie powtarzał się w kółko i brzmiał coraz przenikliwiej. Jakby wiele osób krzychało naraz, przy czym jeden zawodził innym tonem, trochę wyższym, a reszta próbowała go zagłuszyć. Ten głos był kobiecy, czułam, że się zbliża.

– Znalazłam cię! – wołał.

Wyłowiłam go tylko na moment. Ale głośno i wyraźnie. Bez wątpienia. Wagony przetoczyły się z hukiem pod moimi nogami, by po chwili piszcząc zahamować na peronie stacji. Złapałam się poręczy. Trzymałam się jej, dysząc jak po długim biegu.

– Niech pani nie skacze.

Szeptem, prosto do ucha. Dłoń Aleksandra na moim ramieniu, każdy palec osobno, jego silny uścisk.

– Nie warto, zawsze jest jakaś nadzieja.

Pokręciłam przecząco głową. On nic nie rozumiał. Myślał, że chcę się zabić, ale ja przecież nie mogłabym tego zrobić. Jeżeli byłabym do tego zdolna, zrobiłabym to dawno temu, zamiast męczyć się tutaj i cierpieć bez końca. Odwróciłam się od niego, pokazałam na tory, na miejsce, w którym się do mnie odezwał i dalej nie byłam w stanie nic powiedzieć. Zaledwie ciche:

– Znalazłam cię.

– To ja panią znalazłem. Poszedłem za panią i spotkałem panią tutaj. W samą porę. Proszę pójść ze mną. Proszę pozwolić sobie pomóc.

Ujął mnie pod rękę i pociągnął mocno, i polubiłam za to te jego duże męskie dłonie, i już ułamek sekundy później nie umiałam się od nich oderwać. Były dla mnie jak muśnięcie dawno zmarłego taty, dotyk nigdy nieistniejącego brata, jak łagodny chwyt przyjaciela, który nie miał bladego pojęcia o dźwięku, o pociągu, o znalazłam cię, ale potem, wszystko potem. Jedyne, czego wtedy pragnęłam, to być prowadzoną przez niego i słuchać, jak mnie pociesza, bo jego słowa sprawiały, że znów czułam się niewinna. Boże, jaka byłam zmordowana.

Obudziłam się w jego mieszkaniu. Leżałam w łóżku, na boku. Gdy otworzyłam oczy, stał przed sztalugą i wyglądało na to, że malował. Wyglądało na to, że malował mnie. Drgnęłam, próbując się zerwać. Uprzedził mnie gestem dłoni.

– Niech się pani nie rusza. Niech pani zostanie jeszcze moment w tej pozycji, mam teraz dobre światło.

Zamiast krzyczeć, zamiast protestować, znieruchomiałam. Skąd się tu wzięłaś?! Uciekaj stąd! Nie byłam w stanie zareagować. Wystarczyło, że spojrzałam na niego i od razu byłam pewna, że się nie ruszę, za żadne skarby, bo cały świat opanowała ciemność i wyłącznie tu było bezpiecznie. Musiałam czekać. Tak było mi lepiej, chociaż wołałabym, żeby rozkazywał, idź do kuchni, zaparz kawę, herbatę, wyjdź, nie potrzebuję cię już. Ale nie. Obserwował mnie, skupiony na pracy. Nie potrafiłam wytrzymać jego

wzroku, miałam wrażenie, że jestem naga i bezbronna, mimo że w ubraniu. Może byłoby mi łatwiej, gdyby nie był taki młody i taki przystojny. Nie powinnam na niego patrzeć, powinnam się skupić na czymś innym. Jego pokój. Widać, że mieszka sam. Bałagan, brak kobiecej ręki. Porozrzucane farby, brudne ciuchy, męskie zapachy. Na ścianie ogromny, rzeźbiony, drewniany krzyż. Wszędzie obrazy, większość niedokończona. W drugim pokoju na środku stół, a na nim kilka kubków, chyba po kawie. Zapach papierosów, jak dawno go nie czułam. Drewniany kredens, a na nim duże czarnobiałe zdjęcie. On z rodzicami i bratem. Uśmiechnięci. A ja znowu posmutniałam.

– Tyle na dzisiaj. Reszta jutro.

– Mogę zobaczyć?

Wycierał ręce, stojąc plecami do mnie i do płótna. Wciąż odwrócony, wskazał ręką na sztalugę. Wstałam i przeczesalam dłonią włosy. Boże! Przecież wyglądam strasznie, jestem stara i brzydka. Czemu on to robi? Czy na pewno chce to oglądać? Ciekawość zwyciężyła. Jeden rzut oka, na chwileczkę, obiecuję.

Spojrzałam. Piękna dziewczyna w białej wiosennej sukience do kostek, młoda i uśmiechnięta, głowa delikatnie przechylona, ręce złączone, żadnej biżuterii, długie blond włosy, mała stokrotka w ustach, dotykająca płatkami brody, bosa stopy. Dookoła las. Większość drzew jedynie naszkicowana, tak jak trawa, niebo nawet niezaczęte.

– Nie podoba się pani? – spytał.

– Podoba. Co ma się nie podobać. Tylko to nie ja! – Wskazałam palcem postać na płótnie.

– Ja panią tak widzę. Mam nadzieję, że pani nie uraziłem.

## 6. Eldorado, purpurowa, przedstawiam ci.

Byłam kurewsko wściekła. Ile ty masz lat, Natalia, żeby tak łatwo dać się nabrać? Piękne słówka, komplementy, kwiaty, to ciągłe słodzenie, prężenie mięśni, prezenty, zaproszenia. A za każdym razem chodzi o to samo: żeby wpakować kawałek mięsa między twoje nogi! Naprawdę mam dość tych wszystkich lizusów, tych wszystkich grzecznych chłopców, udających kogoś, kim nigdy nie będą. Mam dość starych dziadów, którym wydaje się, że dzięki kasie mnie mają, że wiedzą o mnie więcej niż ja sama. Mam serdecznie dość! Mam też dość siebie za to, że dałam się tak wykorzystać.

– Myślisz, że ten popierdolony Patryk pójdzie z tym na policję?

– Nie, no skąd, co ty. Tak samo pójdzie on, jak i ty pobiegiesz na komendę złożyć zeznania w sprawie próby gwałtu. Nie ma mowy! Od razu mam przed oczami śliniących się zgredów, którzy każą szczegółowo opisać, w którym miejscu cię dotykał i najlepiej jeszcze żebyś pokazała, pytających, ile wypiał, ile on wypił, a dlaczego zostałeś z nim sama, czy wcześniej już się tobą interesował. Dziewczyno, słyszysz jak to brzmi?!

– Trochę go jednak pocięłaś.

– Ma za swoje. Mało brakowało, a by mu się powiodło. Do tego cię sprzedał, czyli nie ma szans, żebyś w ogóle wróciła na uczelnię. Wyobraź sobie, jak na ciebie patrzą, jak szepczą za plecami, jak się śmieją! Boże! Ale byłam głupia. Z drugiej strony, co to zmienia? Nie żałuję żadnej chwili. Wciąż świetnie się bawię.

– Ostatnio chyba nie bardzo.

– Racja. Jestem przemęczona. Muszę odpocząć, koniecznie, wyjechać do jakiegoś słonecznego miasteczka, w którym nikt nie mówi po polsku, gdzieś na Kubie albo w Meksyku. Mam oszczędności. Może nadszedł czas, żeby poszaleć, rzucić to w cholerę. Może nawet nakręcę Antoniego i wybierze się ze mną?

Moje lustrzane odbicie. Rozmowy z nim, zawsze otwarte, swobodne, z ukochaną muzyką w tle, zawsze pomocne i konstruktywne. Tylko dołączył do nich nowy problem. Przemilczany, odsuwany na bok, ale ciągle pulsujący pod skórą. Taka szczerość bez pamiętania o najważniejszym. Czy to dalej jest szczerość? Niewspominanie o nudnościach, zawrotach głowy,



permanentnej senności, bolących piersiach. O tym, że przecież nie jesteś niedorozwinięta i masz świadomość, że okres spóźnia ci się już prawie miesiąc. Czy jest jeszcze sens mówić, że się spóźnia? Każde dziecko wie, co to znaczy. A ja nie potrafię się do tego przyznać. Nie potrafię spojrzeć sobie prosto w oczy, wyznając prawdę.

– Jesteś w ciąży, Natalia.

A lustro, idealnie oddające najmniejszy, najdrobniejszy pierwiastek twojego ciała, nie jest w stanie przejąć tego zdania i skierować go z powrotem do uszu tak, by do nich dotarły. Tak, bym w pełni pojęła ich sens. Jak długo będę to odsuwać od siebie? Kiedy w końcu przestanę się oszukiwać?!

Telefon. Nie mam ochoty na pogaduszki, wszystko mnie męczy. Ten dźwięk irytuje. Kto śmie mi przeszkadzać?!

Mój brat, co za ulga.

– Cześć. To ja.

– Antoni. Dobrze, że dzwonisz.

– Natalia?

– Tak?

– Nie uwierzysz...

Przerwałam mu, nie dałam dojść do słowa.

– Co się stało, Natalia?

– Chyba... Chyba jestem w ciąży.

Chwila ciszy. Odsunął słuchawkę, żeby tylko nic nam nie przerwało, żeby się odezwał, żeby mnie nie odrzucił.

– Będę u ciebie za jakieś trzy godziny, niczym się nie przejmuj. Czekaj na mnie, słyszysz?

– Nigdzie nie wychodzę. Przyjedź szybko. Potrzebuję cię, Antoni.

Rozłączyłam się. Wyjawiłam to komuś. Odważyłam się. Niedługo Antoni będzie przy mnie. Wreszcie ktoś będzie przy mnie. Pewnie zażyczy sobie, żeby go dokładnie poinformować jak do tego doszło, z kim. Pewnie spyta, kto cię tak urządził, skąd ten siniak na policzku i nie przekonasz go, że to nieporozumienie Zażąda, żeby mu podać nazwisko, adres i dodatkowo jeszcze numer PESEL tego damskiego boksera. Bo to mój starszy braciszek, bo zawsze mnie bronił i zawsze mi pomagał.

– Dlaczego mu powiedziałaś?! Zdajesz sobie sprawę, że nie możesz urodzić tego dziecka. Byłoby lepiej, gdyby się nie dowiedział, gdybyś od razu poszła do lekarza i zrobiła to, co powinnaś zrobić, to, co zrobiłaś kiedyś, dawno temu, pamiętasz? Wcześniej nikomu się nie zdradziłaś. To miała być tajemnica. Przecież w ogóle nie bolało, przecież zapomniałaś o tym prawie natychmiast. Jedynie czasem puszczałaś wodze fantazji, bujałaś w obłokach, pisząc scenariusze, w których mimo wszystko pozwoliłaś mu przyjść na świat. Zastanawiałaś się, kim mógłby być? Jaki jest teraz, istniejąc gdzieś w równoległym świecie? Czy byłby podobny do ciebie, czy w przyszłości mógłby być twoim przyjacielem? Czy przy nim czułabyś się spełniona? Zauważyłaś, że mówisz o nim w rodzaju męskim? Spokojnie. Dla ciebie to wyłącznie płód, ofiara przypadku, która nie zdążyła przybrać ludzkiej postaci. Staraj się go traktować właśnie w taki sposób. Albo nie myśl o nim wcale. Tak będzie prościej. Jednak rzadko, bardzo rzadko, gdy marzyłaś o innym, perfekcyjnym, nieskazitelnym życiu, on tam był. Zaraz obok. Twój syn. Adam. Miałby na imię Adam. Ale nie miej złudzeń. Nie istnieje nieskończone prywatne *eldorado of Natalia*, bez problemów, smutków i codzienności. Więc tak naprawdę czemu się przyznałaś?

– Urodzę to dziecko!

– Kompletnie ci odjechało! Panienska Natalia pragnie zostać mamusią! Panienska Natalia jest odpowiedzialną kobietą, mającą idealne warunki do posiadania potomstwa. Panienska Natalia nawet nie ma pojęcia, kto jest ojcem pociechy, a co dopiero...

– Rajmund. Tylko z nim ostatnio spałam.

– Czyli załatwione! Kłopot z głowy! Czyli Natalia, już wkrótce przestanie być panienką, bo przystojny i bogaty rozwodnik, niejaki Rajmund, w romantycznej scenerii poprosi ją o rękę, wcześniej dowiedziawszy się o spadającym na niego niewiarygodnym i od dawna oczekiwanym szczęściu.

– On nie będzie chciał ze mną być, zresztą ja z nim też nie. Właściwie to nigdy nie brałam tego pod uwagę. Właściwie to nie mam zamiaru powiedzieć mu o czymkolwiek. Sama je wychowam.

– Niby jak? Podpowiedzieć ci? Na początek wyrzucisz kota, wtedy wolny pokój zajmie niemowlak, a w przerwach między karmieniami będziesz zapraszać gości! Na pewno z dużo większą ochotą będą podziwiał twoje

zmęczone porodem ciało. Powinnaś zacząć ich przyjmować jeszcze w ciąży, z wielkim brzuchem. To jest pomysł! Faceci uwielbiają seks z ciężarnymi! Chyba że zamierzasz zerwać ze swoim dotychczasowym życiem, odstawić naukę i iść do pracy. Najlepiej świetnie opłacanej, żeby starczyło ci na nianię i na zagwarantowanie maleństwu godziwej przyszłości. Rozumiesz, te wszystkie rzeczy typu szkoła, prywatne lekcje fortepianu, studia za granicą. Musisz zarabiać parokrotnie więcej niż do tej pory. Nie ma żartów.

– Zamknij się! Radziłam sobie w trudniejszych sytuacjach.

– W trudniejszych sytuacjach? Może być trudniejsza sytuacja niż nieplanowana ciąża dla kobiety, która nie ma męża, stałych dochodów i żadnej rodziny, oprócz brata i ojca alkoholika? Jaka to sytuacja, bo za bardzo nic mi nie przychodzi do głowy?

Koniec! Potrzebuję odpocząć, położyć się na moment. Zrelaksować w towarzystwie dobrej muzyki, zjeść coś słodkiego, lody czekoladowe z bakaliami, albo truskawkowe, albo toffi. Mam dzisiaj smaka na lody. Ale najpierw łóżko i muzyka. Wybieram Deep Purple, *Made in Japan* i mój ulubiony kawałek z tej płyty, *Child in time*. Kładę głowę na poduszce i słucham wrzasków Gillana, później niesamowitej solówki Blackmora, purpurowej niczym moja pościel. Przy nich zapominam o złych rzeczach, a pamiętam jedynie o tych dobrych i miłych. Czuję, że odpływam, trochę ściszam i popuszczam wodze fantazji. Ostatnie marzenie przed snem:

– Obudzę się z ojcem dziecka przy boku. On zajmie się nim i mną i odmieni nasz los, przeobrazi w raj na ziemi.

Powtarzam to w kółko. Niech się spełni. Niech się spełni, jak wstanę. Szczelnie zaciskam powieki i przyglądam się im od wewnątrz. To nieprawda, że gdy zamkniesz oczy, przestajesz widzieć. Można wtedy obserwować świat. Kiedy mocniej się na tym skupię, jestem w stanie rozróżnić pojedyncze, ruchome, rozmyte kształty. Następnie te kształty nabierają kolorów, formy. W którejś chwili okazuje się, że nie podziwiam już urojonych rysunków, tylko śpię. Że niezwykle płynnie przesłam granicę. To mój ulubiony sposób na zasypianie.

Przyśnił mi się ogień. Przyciągał mnie, kusił, był taki przyjemny, ale bałam się podejść bliżej, było gorąco, nie chciałam się oparzyć. Ktoś stał

naprzeciwko, ktoś mnie wołał, ale płomienie zniekształcały dźwięk, nie mogłam nic zrozumieć. Ktoś chyba wykrzykiwał moje imię.

– Natalia.

– Antoni!

Antoni przy łóżku. Uśmiecha się i delikatnie gładzi moje włosy. Obudził mnie. Pewnie pukał, ale spałam zbyt głęboko. Ma swoje klucze, więc otworzył drzwi i wszedł do środka. Pocałował mnie czule w policzek. Wygląda inaczej, jest może trochę starszy, trochę... dojrzały? Jest inny, ewidentnie.

– Nie gniewasz się? – spytałam.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie przejmuj się, jestem tu, żeby ci pomóc. Od dzisiaj będziemy zawsze razem. Nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić. Od teraz wszystko się zmieni. Masz mnie, a ja mam ciebie. I niedługo będziemy mieli dziecko.

Tak brzmiał początek jego tyrady, a później było jedynie gorzej. Z każdym słowem panikowałam coraz bardziej. Zachowywał się jak jakiś nawiedzony świr, jak nie mój brat. Nawet fizycznie przestał być do niego podobny. Ze strachu nie potrafiłam się ruszyć, cała się trzęsłam. W końcu przerwał i kazał poczekać moment. Potem wyciągnął coś z plecaka. Coś zawiniętego w szmatkę. Zaczął to powoli odwijać, a ja zamarłam z przerażenia. Antoni odwrócił się, złapał to za ostrze, uklęknął i pochylił się w moją stronę.

– Przedstawiam ci NÓŻ!

## 7. Przeprowadzka, piżama, Pierwszy.

Pierwsze dni były trudne. Natalia sprawiała wrażenie zagubionej. Nie była w stanie zaakceptować tego, co się wydarzyło. W ogóle nie wierzyła w niektóre historie, innych nie rozumiała, nie zgadzała się na nic, nic do niej nie docierało, dużo płakała, nie miała ochoty ze mną rozmawiać. Ja rzuciłem się w wir pracy, a właściwie w mechanizm odchodzenia z niej. W procedury, wnioski, okres wypowiedzenia, obiegowkę, zwrot samochodu, komputera, komórki, pożegnania, argumenty, ciągłe tłumaczenia, pytania, powody, bo sytuacja rodzinna, bo problemy prywatne, nie zdradzisz tajemnicy? Bądź w kontakcie, zawsze masz u nas miejsce, gratulacje dla następcy, przekazywanie obowiązków, moje sposoby, moje skróty, zostawię prywatny numer, szkoda, twój wybór, powodzenia. Ciepłe zdania, ale tylko na chwilę, bo zaraz uciekają na swoje stanowiska, odbierają telefony, wklepują w klawiaturę, uściski rąk, trzymajcie się, cześć. Nareszcie cześć.

Przyjechałem taksówką. Mój rzekomo luksusowy apartament wydał mi się niegościnnie, wręcz nieprzyjemny. Pewnie dlatego, że niedługo go zwracam. I znowu papiery, i znowu podpisy, parafki. Rzeczy, których nie mogłem wziąć ze sobą, zastawiłem u znajomego w komisie. Przyjechał małą ciężarówką, wpadł z ekipą, wynieśli telewizor, pralkę, DVD, kino domowe i kilka innych gadżetów. Mój już były dom odstraszał pustą, chłodną przestrzenią. Opuściłem go bez żadnych emocji. Później kolejny etap: przeprowadzka do Natalii. Niby duże słowo: przeprowadzka. Tak naprawdę spakowałem się w górski plecak i dwie walizki.

Otworzyła mi drzwi, zdjąłem buty w przedpokoju. Trochę tu zimno. Póki co nie czuję się zbyt mile widziany. Szuka mnie wzrokiem, szuka zaczepki. Zająłem mały pokój. Ten jej kot mnie nie lubi, ale może w końcu przywyknie. Zabrałem wyłącznie to, co najważniejsze, parę ciuchów, drobiazgów, kosmetyki, szczoteczkę do zębów i takie tam. Nie chciałem jej drażnić. Zapragnąłem stać się przezroczysty. Powiedziała, że to chyba nie jest zbyt dobry pomysł, żebym tu mieszkał, że to nie jest normalne. Ale ja wiem, co dla niej lepsze i za wszelką cenę muszę być przy niej, muszę się nią opiekować. Przy tym powinienem być bardzo ostrożny. Łatwo ją teraz zniechęcić. Dopiero czas nam pomoże. Rozwieje obawy.

Na razie staram się nie wchodzić jej w drogę. Dużo spaceruję, zwiedzam miasto jesienią, w niektórych miejscach pędzące, w innych stojące bez ruchu. Często siadam na ławce w centrum i oglądam ludzi. Obserwuję, jak ciągle się przemieszczają, jak wędrują, jeżdżą samochodami, rowerami, autobusami. Nie dostrzegają jeden drugiego, odseparowani, hermetyczni, nie interesuje ich otaczający świat. Przyzwyczaili się do niego i są przeświadczeni, że będzie taki zawsze. Nie zauważają mnie na ławce. Ani mnie, ani trawy, drzew czy ptaków. Ja je zauważam.

Zmarzłem na kość, więc wracam do domu, do Natalii. Gdy jej nie ma, gdy gdzieś wychodzi na moment, rozkoszuję się NOŻEM, chociaż nie pytam go o nic, nie radzę się. Wierzę, że potoczy się samo, że będzie dla mnie niespodzianką. Wolę nie znać odpowiedzi. Tak jest uczciwie. Wolę sam to odkryć, sam zasmakować po raz pierwszy.

Mijają dni, a ja wciąż łapię się na tym, że ją obserwuję. Mógłbym nawet przyznać, że ją podglądam. Widzę jak zmienia się jej ciało, jak z dnia na dzień pięknieje, jak zaokrąglają jej się biodra, rosną piersi i brzusek, jak łagodnieje twarz, miękną rysy. Słyszę ją, nucącą jakieś piosenki. Kilka tygodni wystarczyło, żeby zmięknąć, nabrać subtelności. Nie pamiętam jej takiej wesołej. Właśnie taką odprowadzam ją do lekarza, na badania. Powiedział, że to syn. Wiedzieliśmy od samego początku, ale i tak nas to ucieszyło. Będzie duży i zdrowy, dodał. Nie ma się czym przejmować.

– Przyglądasz mi się – stwierdziła kiedyś.

Zamyśliłem się i w porę nie odwróciłem wzroku. Swoim jękaniem, niezdarnymi tłumaczeniami rozbawiłem ją jeszcze bardziej.

– Kłamiesz. Rozgryzłam cię, Antoni. Naprawdę podobam ci się taka?

– Nie! To znaczy tak! Wyglądasz świetnie! Cięża ci służy.

Roześmiała się głośno. Gdybyś tylko zdawała sobie sprawę, jaka jesteś śliczna. Nie odezwałem się, bo już dawno nie była dla mnie taka miła, nie chciałem tego zburzyć, chciałem żeby trwało. Podeszła do mnie, złapała z tyłu, za kark i mocno przytuliła. Moja głowa idealnie dopasowała się do jej szyi. Chichotała dalej, a ja napawałem się tym, świętowałem.

– Mój kochany braciszek – mówiła.

Zbliżaliśmy się do siebie, tydzień po tygodniu coraz bardziej. Rozmawialiśmy, poznawaliśmy się nawzajem. Ona pytała, ja odpowiadałem.

Rozpogodziła się. Tymczasem, właściwie nie wiadomo kiedy, przyszła zima. Zaczął prosić śnieg, na dworze zrobiło się mroźno i biało. Pomagałem jej się ubierać, a później chodziliśmy na miasto, splecione ręce, jak zakochani, nie jak rodzeństwo. Lepiliśmy bałwana, rzucaliśmy się śnieżkami, spacerowaliśmy, dopóki nie brakło sił. Wracaliśmy szczęśliwi, ale dosłownie padnięci. Zawsze wtedy Natalia brała ciepłą kąpiel. Ona leżała w wannie, ja pichciłem coś w kuchni. Drzwi do łazienki były ciągle otwarte, żebyśmy mogli swobodnie gadać. Dzisiaj wymyśliła masaż pleców, protestowałem, bo nie wypada, bo jestem zajęty.

– No chodź, nie wstydź się siostry. Przecież już nie raz widziałeś mnie nago. To nic takiego.

Wszedłem powoli, jak biedny chłopiec do sklepu ze słodyczami, małymi kroczkami. Leżała przykryta górą piany. Z jednej strony ulizane włosy, rozmazany makijaż, piękny, nieschodzący z twarzy uśmiech. Z drugiej czarujące małe stópki, z paznokciami pomalowanymi na różowo, z drobnymi palcami ruszającymi się w górę i w dół. Na środku zarys brzucha, zarys cudownego domu, z naszym synkiem wewnątrz. Wysunęła ręce z wody i przeciągając się uniosła je wysoko. Potem ochlapała mnie figlarnie.

– Antoni, błagam. Ulżyj mym cierpieniom.

Uległem. Trochę drżały mi ręce, ale chyba tego nie zauważyła. Patrzyłem, jak relaksuje się pod wpływem mojego dotyku, takie to przyjemne, niemal erotyczne. W tle muzyka, wszystko błogie i ułożone.

– Tak jest dobrze – powiedziałem po cichu do siebie.

Od tego czasu często odwiedzałem ją w kąpielni, a ona odwiedzała mnie. To były niesamowite chwile, bardzo intymne. Mało mówiliśmy, po prostu raczyliśmy się sobą. Sama wzajemna obecność sprawiała nam wielką radochę.

Postanowiłem zrobić jej prezent i kupiłem choinkę. Wybrałem żywą jodłę, spodobała mi się, bo była krzywa. Różniła się od innych i nikt jej nie chciał. Była podobna do nas, do mnie i do Natalii. Dlatego zdecydowałem się właśnie na nią. To miały być pierwsze wspólne święta odkąd byliśmy dziećmi, od śmierci mamy. Choinka zajęła miejsce w salonie przy oknie. Była ogromna, sięgała do samego sufitu. Ustrajając ją, cofnęliśmy się do tamtych lat, do tamtych spokojnych, szczęśliwych lat.

W noc przed Wigilią usłyszałem, jak Natalia płacze. Podeszedłem do niej.

– Co ci jest?

– Połóż się ze mną, proszę.

Wskoczyłem pod kołdrę. Przytuliła się, a ja objąłem ją mocno i ścisnąłem ramieniem, starając się być jak najbliżej. Powoli przestawała łkać, jej oddech stopniowo się uspokajał. Zasnęła. Krótco po niej ja też zasnąłem. Ocknąłem się już w trakcie. Nie wiem jak do tego doszło, nie wiem jak to się zaczęło, ale kochałem się z nią. Tak, kochałem się z Natalią! Z moją siostrą! Sam nie mogłem w to uwierzyć. Leżałem na boku, przede mną jej plecy, jej włosy na mojej twarzy. Byliśmy nadzy i nie potrafiłem tego wytłumaczyć. Sytuacja całkowicie irracjonalna. Ale nie teraz. Nie interesuje cię to teraz. Nie myśl o skutkach. Skoncentrowałem się na byciu z nią, w tej chwili, w tym łóżku, w tym mikrosystemie. Spokojne ruchy, spocona, śliska rozkosz, wilgotne powietrze. Nie odezwała się ani słowem, nawet na moment się nie odwróciła. Mówiła do mnie dotykiem i ruchem, a ja jej odpowiadałem tym samym. Słuchałem jej. Pozwoliła się dogonić i krzyknęliśmy razem. Później znów zasnęliśmy, w tej samej pozycji, spokojnym, wyczerpanym snem.

Wstałem pierwszy, o dziwo znowu w pizamie. Poczułem się lepiej, nosząc na sobie jej zapach. Nie miałem żadnych wyrzutów sumienia. Widocznie tak miało być. Chyba wkroczyłem w nowy etap, ubrany w pizamę, nie wiadomo kiedy i przez kogo włożoną, ale to się nie liczy. Dzisiaj Wigilia. Dzisiaj jest Wigilia!

Rano czekałem na nią w kuchni. Spała długo, a gdy się obudziła, zachowywała się, jakby nigdy nic, chociaż pamiętała. Ujrzałem to w niej.

– Masz ochotę na jajecznicę?

– Pewnie.

Spędziliśmy cały dzień, wylegując się w fotelach i oglądając stare filmy w telewizji. Wieczorem zjedliśmy wystawną kolację, tylko we dwoje, ale wystarczyło nam to za wszystkie wcześniejsze, samotne wigilie. Byliśmy jak wniebowzięci.

– Rusza się, kopie. Chodź, daj rękę.

Prawie podbiegłem. Łagodnie nakryłem dłońmi. Natychmiast go wyczułem, to było wspaniałe, niezapomniane. Miałem wrażenie, że on też



od razu mnie wyczuł, że się ze mną wita, że sprawdza, czy to na pewno ja.

– Odezwij się do niego. To go uspokoi.

– Adam. – Najpierw tyle, szybko, bez zastanowienia, potem mała pauza i ruszyłem. – Masz na imię Adam i już wkrótce się spotkamy. Pojawisz się tu i zamieszkas z nami. Damy ci miłość, ciepło, bezpieczeństwo. Jesteś Pierwszy i urodzisz się, żeby zmienić ten świat. Na zawsze. Nie mogę się już doczekać.

Znowu się ze mnie śmiała. Później wręczyliśmy sobie prezenty. Nie mam pojęcia, co dostałem. Dla mnie i tak najlepszym podarunkiem była każda sekunda spędzona z nią i z Adasiem. Połączenie braterstwa, wzajemnej miłości kobiety do mężczyzny i macierzyństwa. Czy może być coś silniejszego? A my tego doświadczaliśmy, wspólnie, niezwykle intensywnie. Ja, Natalia i Adam. Wydawało mi się, że nasza historia wreszcie podąża odpowiednim torem. Jedynie kot zaczął nas unikać, nawet przestał się łączyć do Natalii. Spał na parapecie, od rana do wieczora. Wychodził do kuwety, żeby się napić i zjeść, nic więcej, żadnych zbędnych ruchów.

– Myślisz, że jest zazdrosny? – spytała.

– Kto wie? Podobno koty mają szósty zmysł.

## 8. Chimery, plan, dziwadło.

Rzeczywiście, Aniołeczku, tak było, jak mówisz. Przesadzałem z tym piciem, wiesz dobrze, wódka odebrała mi rozum. Ale to wszystko z samotności. Tęskniłem za nimi, za mamą i tatą, za moją kochaną Marysią, za dziećmi. To ze smutku się wzięło. A jak już mnie złapało, nie potrafiło puścić i tak szło, w koło Macieju.

– Racja, dziadku. Krzyczałem na ciebie, wrzeszczałem, i nic. Upodliłeś się. Spadłeś na samo dno. Ciężko było do ciebie dotrzeć, słuchałeś wyłącznie procentów, zbywałeś mnie. Miałeś mnie gdzieś. Taki byłeś, dziadku, właśnie taki. A tak w ogóle to pospieszyłbyś się z tym paleniem, bo zimno tu okrutnie. Słabo ci dzisiaj idzie, a tu tyle do zrobienia. Posprzątać musisz, podłoga niech lśni, firanki zmień w oknach, na te dopiero co kupione, jedzenie mógłbyś przygotować, pamiętaj, że nie będą sami. Aha! I jakieś mięsko uduś. Albo nagotuj rosołku. No i nie zapomnij naoliwić bramy, pomaluj ją koniecznie, żeby ładnie wyglądała, wyreguluj zawiasy. Nie masz za wiele czasu, dziadku.

Zdążę, Aniołeczku, zdążę. Nie przejmuj się. Pościel przeprana i wysuszona, poduszki przewietrzone. Drewno do kominka porąbane, wszędzie zamiecione, odkurzone, prysznic na błysk wypucowane, uszczelki w kranach powymieniane, żeby woda nie kapała, żeby odpoczęli w ciszy, żeby nic ich nie denerwowało. Jeszcze tylko dopieszczę, drobiazgi zostały dosłownie. Ale to później, zasłużyłem na małą przerwę. Siądę na minutę przy piecu, chociaż ręce ogrzeję. Nie będę nic pił, nie martw się, zerwałem z tym na zawsze, możesz być pewien. Zresztą, tak mi wyrzucasz, Aniołeczku dawne dzieje, że nie było ze mnie pożytku, że leniwy byłem, ale przypomnij sobie, jak zamykali magazyn na Senatorskiej, gdzie cała nasza kolekcja była schowana, nawet to pierwsze dzieło, to z domkiem góralskim. No i co powiesz? Spokojnie dałem radę. Wybrnąłem z tego, rozwiązałem zagadkę.

– Wybrnąłeś, dziadku?! Nie rozśmieszaj mnie! Nie miałeś bladego pojęcia, że w ogóle przyszedł do ciebie Dawid, ten przyjaciel ojca, ten, co mu po wojnie pomagał. Mówił, że szukał cię miesiącami, że nie mógł znaleźć. A ty? Zalany byłeś w trupa, jak z nim rozmawiałeś, jak ci tłumaczył, że wszystkie płótna należy wynieść natychmiast, że nie będzie już pomagać, bo

na ostatnie lata wyjeżdża do Izraela, że blisko mu do śmierci i następnego dnia trzeba przysłać kogoś, żeby odebrał zbiory. Ty w kółko przytakiwałeś, a jak odszedł, to zamiast wymyślić coś, zamiast działać, poszedłeś spać, jakby nic się nie stało. A przecież o twoją najbliższą rodzinę chodziło, o ojca i matkę, o ukochanego brata. Wiedziałeś, że obrazów nie powinieneś trzymać u siebie, że to niebezpieczne, że przy tobie, jako ich twórcy, brama się otwiera i niepożądane osoby mogą się przekraść do tamtej krainy, a wraz z nimi czyste zło jest w stanie dostać się do środka i zniszczyć, co spłodziłeś, bo ono czuje, gdy jesteś blisko. Ono rozumie, że to jego szansa. Nóż ci pokazał, wieki temu. A ty co? A ty nic. Wylegiwałeś się pod kołdrą, nieprzytomny z opilstwa.

Długo nie leżałem, Aniołeczku, parę chwil jedynie. Chciałem odpocząć, nabrać sił. Masz rację, nie byłem całkiem świadomy, nie od razu, ale jak mi powtórzyłeś, wziąłem się do roboty i tworzyłem. Tworzyłem bez ustanku. Powstali brodaci ludzie, powiernicy sztuki, powstał dom o jodłę oparty, gdzieś w dalekiej wiosce. Natchnąłem ich życiem i uczyniłem stróżami przejścia. Miałem nadzieję, że w ten sposób zachowam równowagę między światami, żeby chronić i jeden, i drugi. W miarę dobrze mi poszło, udało się nawet lepiej, niż przypuszczałem.

– Bredzisz, dziadku, przekręcasz fakty, raczej nie byłeś zbyt trzeźwy, jak zacząłeś. Cudem udało mi się ciebie obudzić i zmusić do pracy. Miał być dąb, nabazgrałeś jodłę i do tego krzywą okrutnie. Miała stanąć przy niej porządna chata dla nich, zrobiłeś rozklekotaną ruinę i w dodatku nie obok! Gdzie tam! Dom zrósł się z nią, przytulił jak pijaczek do butelki. Niemożliwe! Dom przyrośnięty do drzewa! Kto to słyszał? Ta ławka, tuż przy nim, jeszcze względnie, jeszcze nie spaarana, ale przy strażnikach tak ci się pędzel chwiał, że w końcu namalowałeś ich zarośniętych i rozczochranych. Mieli być przeciętni, nierzucający się w oczy, mieli mieszkać w zwyczajnym budynku, żeby nikt nie zwrócił uwagi, mieli być zawsze w cieniu, zawsze gotowi, by pomóc, prawie niewidoczni. Więc co ty pleciesz za głupoty, że niby w miarę dobrze?! Szczęście, że się nikt nie zorientował! Naprawdę! Zadzwoiłeś po nich, żeby przyjechali, czy o tym też zapomniałeś, dziadku?

Już nie rób ze mnie takiej ofiary losu, Aniołeczku. Już dawno ich powiadomiłem. Spodziewaj się ich lada moment. Nie jestem wcale taki, nie przesadzaj. Owszem, zdarzały mi się wpadki. Ale teraz? Teraz haruję jak wół, a ty zupełnie tego nie doceniasz. Ty sobie gadasz, a ja wciąż tyram! Ta chałupa, postacie na płótnie, za bardzo się czepiasz. Tak miało być i już. Tak z nimi, jak i z ich starą chaciną. Ważne, że się udało ich wskrzesić, że zajęli się majątkiem z magazynu, że pilnują i dbają o to do dzisiaj. Nie mówiąc o tym, że załatwiają zlecenia i handlują moją sztuką. Dzięki nim mamy co jeść, Aniołeczku. Przecież wiesz, że ja w ogóle nie potrafię się zajmować tymi ich interesami, sprzedają, wycenami, że kompletnie się na tym nie znam, nic, a nic. Komu miałem powierzyć to zadanie? Tak, powtarzałeś wiele razy. Mam dzieci. Mam Natalkę i Antoniego, oni się powinni tym zająć. Ale ja nie chciałem ich mieszać, nie chciałem dla nich takiej przyszłości, pełnej strachu, podwójnych luster, tajemnych bram, tej głupiej fantastyki. Wybrałem im banalne, beztroskie życie. Zapragnąłem, żeby w nim znaleźli swoje miejsce, żeby mieli święty spokój, bez smutków i zmartwień, nie tak jak ja i ich matka. Ale widać, że inaczej im pisane. Bo spadło to na nich na dobre, z kretelem, wróciło, uderzyło ze wzmożoną siłą. Nie ma już odwrotu, nie ma wyjścia. Muszą dotknąć drugiego świata, muszą się z nim zmierzyć.

– Rozumiem, dziadku, rozumiem, że nie oni. Ale czy nie ma tutaj nikogo normalnego, nikogo godnego zaufania?? Wychodzi na to, że nie! Więc co zrobiłeś? Całą władzę, całe kierownictwo, panowanie, wszystko oddałeś figurom nierzeczywistym, chimerom, nie ludziom. Brodaczom z obrazu z krzywą jodłą! Nie pomyślałeś o ryzyku? Nie pomyślałeś, że mógłbyś zburzyć porządek? Nie zastanowiłeś się nad konsekwencjami?

Oj nie biadol! Samochód jakiś podjechał. To chyba strażnicy, ale pójde sprawdzic. Poczekaj tu na mnie.

– Jesteśmy. Przywieźliśmy pierwsze malowidło, tak jak prosiłeś.

– Dziękuję. Dajcie to i w drogę, żebyście się czasem nie minęli.

– Ale... panie Aleksandrze...

– Co się stało, chłopcy?

– My mamy takie pytanie... bo zauważyliśmy... przypuszczamy, że kres jest blisko, że niedługo... i nie jesteśmy pewni, co z nami, bo tu raczej nie

będziemy potrzebni...

– No mówcie, chłopcy! Mówcie!

– My... my też chcieliśmy na drugą stronę.

– Wy też? Hm. Tak. Co by tu... Później chłopcy, później. Przyprawdźcie ich tutaj, to w tej chwili najważniejsze. Wtedy się spotkamy i wtedy zdecydujemy. Dzisiaj jest jeszcze za wcześnie. Dzisiaj nic nie mogę obiecać, ale to niegłupi pomysł. Niegłupi! Jedźcie już, chłopcy, jedźcie.

– Widzisz, dziadku?! Nie spodziewałeś się, zapomniałeś. Tak to jest. Jak kogoś obdarzasz duszą, to powinieneś być za niego odpowiedzialny. Jak się wychodzi, to należy po sobie posprzątać. A ty nawet o tym nie pomyślałeś.

Wiem, Aniołeczku. Wiem, co z nimi zrobić. Powiem ci, jaki mam plan, ale najpierw pomóż mi z tym gwoździem. Na tej wysokości? W lewo? Aha, czyli tu będzie dobrze. Powiesiłem. Ładny, prawda? On był pierwszy. Od niego się zaczęło. Tym przejściem wyszła mamusia, i tatuś, i braciszek kochany. Ja zaraz również nim pójdę. I zakapiory też, ale potem. Zabiorę stąd Antoniego i Natalkę, zobaczysz, postaram się, przekonam ich i odejdziemy wspólnie. To w końcu moja krew. Muszę w to wierzyć. Uda się, Aniołeczku. Weźmiemy też nóż. Zamieszkamy tam i będziemy żyć szczęśliwie, we wzajemnej harmonii. Z dala od tego głupiego kraju. Taki mam plan!

– Ale ty jesteś naiwny, dziadku! Twoje dzieci to wrogowie. Nie pamiętasz?! Są przeciwko tobie! Nie przyjadą tu, żeby do ciebie dołączyć, tylko żeby cię ukatrupić. Nie wolno ci teraz uciekać. Zatrzymaj się i walcz z nimi... Zrozum, starcze! Jeśli będziesz bierny, przestaniecie istnieć, wszyscy! Nóż jest w ich rękach, bo ty nie potrafiłeś go przypilnować. One mają władzę, a ty tchórzysz, umykasz z podkulonym ogonem. Nie kiwaj tak głową! Nie pozwalam ci! Posłuchaj mnie, błagam. Przecież miałeś mnie słuchać! Twój ojciec ci kazał! Przerwij to! Nie wykręcaj się! Daj mi kilka minut, słyszysz?! Daj mi chociaż parę minut!

Nie mam najmniejszej ochoty zostawać tu dłużej. Spróbuj się z tym wreszcie pogodzić. Opuszczam to miejsce!

– A co z Marysią? Co, jeżeli nie przeszła? Co, jeżeli przeszła, ale jest inna, niż ci się wydaje? Jeśli się zmieniła, jeśli nie jest już twoją żoną? Może lepiej poczekać, rozważyć na spokojnie. To decyzja na zawsze. Nie ma od niej

odwrotu. Nie spiesz się, nikt cię nie goni, masz czas. Bądź rozsądny, nie postępuj pochopnie!

Zaryzykuję, Aniołeczku, muszę zaryzykować. Zastanawiałem się setki razy i już przesądzone, ostatecznie. Idę do niej! Jaka by nie była! Bo tęsknię i kocham w każdej sekundzie. Nawet jeśli tam jej nie ma. Nawet jeśli! Nie powstrzymasz mnie!

– Nie! Jeszcze nie! A pomyślałeś o mnie, dziadku?! Pomyślałeś, co ze mną? Ja nie mogę pójść! Co, nie wiedziałeś?! Zdziwiony, zaskoczony?! Uśmiercisz mnie, odchodząc stąd! Zabijesz! Zlituj się!

Kim ty właściwie jesteś, Aniołeczku? Co z ciebie za dziwadło? Miałeś być moim sługą, miałeś być posłuszny i troszczyć się o mnie, chronić i podpowiadać, a dbasz wyłącznie o siebie. Spójrz w obraz. Przejście otwarte. Żegnaj.

– Niecee!

## 9. Melancholia, Mela, poematy.

– Skończyłem. Niech pani spojrzy.

Wyglądała ślicznie. Owszem, była do mnie podobna. Albo inaczej, byłabym do niej podobna, gdybym tak nie zatrula swojego życia. Może ten młody człowiek potrafił zobaczyć więcej w moim starym, zmęczonym ciele? Może jest dla mnie jakaś szansa? Może da się coś zmienić?

– Tak mnie widzisz? Naprawdę?

– Oczywiście. Niech pani nie weźmie mi tego za złe, ale mam wrażenie, że... że pani... niech mi pani pozwoli, będę mówił na ty, będzie mi łatwiej, że ty... ty dusisz w sobie, chowasz głęboko jakąś tajemnicę. Jakaś... melancholię. Ale to nic złego, bo ona jest... szlachetna, ta melancholia, a ja zdołałem do niej dotrzeć. Rozumie mnie pani... rozumiesz?

Przytaknęłam, chociaż mnie zawstydził. W sumie to dobrze mi przy nim. Szkoda, że już namalował. Jaki teraz znajdę pretekst, żeby go odwiedzić? Wstałam jakby smutniejsza. Wyczuł to od razu.

– Poczekaj. Chciałbym ci opowiedzieć o tylu rzeczach, tylu sprawach, o tym, jak ja odbieram takie spotkania, niby niezamierzone, kiedy mężczyzna, taki jak ja, który tworzy, a przynajmniej stara się tworzyć, styka się z taką kobietą jak ty. Z taką piękną, dojrzałą kobietą, która jest zagubiona, ukrywa się w przeszłości, szuka czegoś. Bo wydaje mi się, że wszystko ma swoją przyczynę, że to nie przypadek, że na siebie wpadliśmy. Pozwól mi wytłumaczyć, nie odchodź, nie podnoś się! Już wyjaśniam. Od czego by tu zacząć... Ja często słyszę głos, który mi podpowiada. Nie myśl, że zwariowałem, wysłuchaj mnie, błagam. Ten głos kazał mi cię uwiecznić, a właściwie nie kazał, poprosił zaledwie. Zresztą, to nie ma większego znaczenia. Chodzi o to, że ja mogę ci pomóc, bo jestem pewien, że tej pomocy niezmiernie potrzebujesz i jeśli tego nie zrobię, to wydarzy się coś złego, dlatego wziąłem się do pracy i tak powstał ten portret. Tylko że to nie jest jedynie zwykły kawałek płótna i że on jest też dla mnie, bo ja doskonale wiem, że masz również inną rolę i oddasz całość dużo silniej, zwrócisz z nawiązką, może mnie, a może komuś innemu, gdzie indziej, w innym miejscu. Tak. Może w miejscu, które zaraz ujrzysz, bo koniecznie musisz to zobaczyć. Więc jeszcze raz usiądź, spocznij na moment.

Przesunął dywan, wyciągnął parę desek z podłogi i sięgnął głęboko. Po chwili zauważyłam, że coś trzyma. Odwinął to z zakurzonej szmatki. Miał dziwny wyraz twarzy. Nigdy go takiego nie widziałam. Moim oczom ukazał się nóż. Potwornie długi. Czyli dzisiaj umrę. Zadzga mnie tutaj. Ale za co, dlaczego?

– Złap go razem ze mną!

On chyba oszalał! To rzeczywiście jakiś czubek. Jak się z tego wyplątać?

– Nie rób mi krzywdy! Daj odejść biednej kobiecie!

Jego spojrzenie rozkazywało. Nie mam szans. Nie mam już sił się bronić. Chociaż w głębi serca jestem opanowana, mam w sobie przekonanie, że nic mi nie grozi, że jestem bezpieczna. W porządku, zgadzam się! Co ma być, to będzie! Wysunęłam rękę, dotknęłam ostrza.

– Zamknij oczy.

Boję się. Ten człowiek mnie przeraża. Czy poczuję ból? Czy przestanę oddychać? Nie, to nie ból, to gorąco. Oprócz tego jakieś kontury, pod spodem, na powiekach od wewnątrz.

– Teraz otwórz.

Niby ten sam pokój, ale jednak inny. Przesłonił go malunek, a raczej go zastąpił. Aleksander obok mnie, rozmyty, daleki. Mówi do mnie, ale jego głos nie dociera, wszystko delikatnie buczy, jakbym była zatrzaśnięta w wielkiej, szczelnej bańce. Krajobraz przede mną jest taki realny, wiatr subtelnie rusza drzewami, pachnie trawa, wyginam się w jej stronę, muskam ją. Boże! To nie są moje dłonie, jaka delikatna skóra! Jestem młoda, mam piękne włosy, długie, opadają na ramiona, dotykam ich, są takie miękkie. Czy mogłabym zobaczyć swoją twarz? Czy jest tu lustro? Czy mogę się w nim przejrzeć? Jestem w białej sukni do kostek, boso. O mało co nie nadepnęłam stokrotki. Co?!

Jestem dziewczyną z obrazu!

Nie! Wypuść mnie, chcę wrócić! Aleksandrze, zabierz mnie stąd! To zbyt wiele! Chcę być normalna! Zaczynam wrzeszczeć:

– Wypuść mnie!

Widzę jak coś pokazuje, żebym wyciągnęła rękę, żebym szła w jego kierunku. Wskaż drogę, rozkazuj, bylebyś mnie wydostał. Od nowa te same



kszałty, wirują, obracają mną, brzmią coraz głośniej, ale nie, to nie to, po prostu słyszę coraz lepiej, już prawie dobrze.

– Zuzanno! Ocknij się!

Próbuję się podnieść, odpycham go.

– Co mi zrobisz?! Dlaczego?!

– Spokojnie. Uspokój się. Tu chodzi o to, że teraz masz wybór i jeżeli podejmiesz decyzję, możesz być właśnie taka! I żyć szczęśliwym życiem. Rozumiesz?

Wskazał portret. Ten znowu był na sztaludze. Znowu mały i niepozorny, znowu zwyczajny. A na nim ona, czyli jeszcze przed chwilą ja. Wydawało mi się, że patrzy inaczej niż wcześniej, że patrzy jak ja.

– Nie musisz dzisiaj odpowiadać. Zastanów się, prześpij z tym. W ten sposób wszystko zmienisz. Nie byłabyś sama, są tam też inni i myślę, że jest łatwiej. Zaslugujesz na to. Chyba że sobie nie życzysz.

– Nie życzę sobie – odpowiedziałam.

Wyszłam, a właściwie wybiegłam, po drodze wpadając na Działową. Krzyknęła za mną, ale nie chciałam słuchać. Biegłam. Dawno nie biegałam, nie miałam sił, ale biegłam. Wparowałam do domu. Zamknęłam drzwi, osunęłam się na podłogę i zapłakałam, i nie mogłam przestać. Dopadło mnie.

Trwało to trzy tygodnie. Każdy dzień podobny do tego, który minął, każdy niemal taki sam. Dopiero wtedy zjawiłam się u niego. Miałam tylko nadzieję, że wciąż czeka. Czekał. Zaczęliśmy. Skrytka, nóż, kontury, sukienka, stokrotka, drzewa.

– Idź w tamtą stronę! – Tyle wyłowiłam przez bańkę.

Zgodziłam się. Cały spektakl odbył się prawie bez słów. Przekroczyłam granicę i nie miałam ochoty się odwrócić, byłam zagubiona, zaniepokojona, martwiłam się, co będzie, jak spojrzę do tyłu, więc pędziłam przed siebie, byle szybciej, byle nie patrzeć. Trochę po trawie, trochę po piaszczystej ścieżce, trochę po kamieniach, trochę po błocie. Las ciągnął się kilometrami, a ja wędrowałam bosa, bez odpoczynku, nie czując zmęczenia. W pewnym momencie stanęłam i rozejrzałam się. Pięknie tu, i ja jestem piękna. Nic więcej nie jest mi potrzebne. Aleksander miał rację. I tak się włóczyłam, godzina za godziną, wesoło podśpiewując pod nosem, czasem

podskakując, tańcząc, czasem rozmawiając ze wstydlwym słońcem, nie szukając nikogo, jedynie podziwiając, obserwując chmury, odnajdując w nich ludzkie kształty. Tygodnie przeradzały się w miesiące, miesiące w lata, nie dało się tego zliczyć w tym miejscu, przynajmniej ja nie umiałam. Poza tym, jak tego dokonać, jeśli słońce nie wschodzi i nie zachodzi, gdy pory roku nie następują po sobie, gdy ziemia zawsze jest ciepła.

Aż nadszedł okres zmian, zapoczątkowany jednym dniem różniącym się od pozostałych. Zaskoczył mnie wiatr, mocny, porywisty, wykręcał stare buki, niszczył leszczyny. Usiadłam na powalonym pniaku, w zagajniku pełnym krzywych jodeł. Schroniłam się, szykując na to, co przyniesie. Najpierw przyniósł dym, który pachniał palonymi ubraniami, bielizną, krwią. To niesamowite, ale po tej stronie mogłam rozróżnić nawet takie szczegóły, zmysły wyostrzyły mi się niewyobrażalnie. Później lunął deszcz, a oprócz kropel wody, z nieba spadały klucze, dziwne plastikowe prostokąci i inne zupełnie zbędne tu przedmioty.

Nagle usłyszałam trzask łamanej gałęzi. Daleko między drzewami zobaczyłam człowieka. Przypatrywał mi się. Chwilę się wahałam, ale w końcu pobiegłam w jego kierunku. Wyglądał, jakby chciał uciec.

– Stój. Zaczekaj!

Ruszył, ale przewrócił się o wystający konar. Dotarłam do niego, trzymał się za nogę. Zajrzałam mu prosto w oczy.

– Aleksander! – pomyślałam. Tak! Odrobinę niższy, szczuplejszy, do tego niebieskooki, trochę ciemniejsze włosy! Ale te same ruchy, bez wątpienia, to Aleksander! Tyle, że jakiś... urodziwszy, do tego ubrany w osobliwy garnitur, sprawiający wrażenie uszytego z liści, z posklejanych, zielonych liści dębu.

– Przepraszam, że przestraszyłem panienkę...

Zupełnie inny głos, wysoki. Czyżby to jego wersja w tym świecie? Tylko jak to możliwe, przecież on został, czyli chyba nie mógłby być tu i tam jednocześnie.

– Zagapiłem się i głupio wyszło. Mam nadzieję, że panienka nie ma mi tego za złe.

Panienka. Kiedy ktoś ostatnio tak do mnie mówił? Boże! Jaki śliczny jest ten chłopiec. Te jego usta, te rzęsy. Porozmawiaj z nim, zapytaj o cokolwiek,

zapytaj, proszę!

– Skąd taka pogoda? Ten wicher? Co tu się właściwie stało?

– Nie wiem. Tak bywa, nie przejmuj się tym, przeniosło się ze złego świata, ale to nic takiego.

Cisza. Trochę zbyt długa. Spytałem go o imię. Nie, nie spytałem! Bo jeśli odpowie, że Aleksander, to co wtedy zrobię? Lepiej niech leży, bo może coś mu jest, może...

– Jak masz na imię?

– Stanisław. Nie spojrziałem pod nogi, niezdara ze mnie.

Stanisław?! Boże, czyżby?! No tak, oczywiście! Starszy brat Aleksandra, stąd to podobieństwo. Podał mi rękę i tak patrzy na mnie, że nie jestem w stanie odwrócić od niego wzroku.

– A ty, pani?

To jego brat! A ja? Zapomniałam! Inaczej! Nie chcę do tego wracać, nie chcę się już tak nazywać! Więc jak? Nie mam pojęcia! Albo...

– Melancholia.

– Ładnie. Mogę ci mówić Mela?

Wciąż trzymał moją dłoń, pragnęłam, żeby tak trzymał bez ustanku, dlatego starałam się układać słowa w zdania w ten sposób, żeby zwolniły, płynęły leniwie, żeby mnie nie puścił, żebym zawsze czuła jego palce.

– Chyba... możesz. Ale powiedz mi, skąd ty się tu wzięłaś? Co zamierzasz, jakie masz plany?

– Od dawna panią śledzę... ciebie, Melu. Nie wiedziałem, że ktoś jest zaraz obok, o krok prawie. Myślałem, że żyją gdzieś inni, ale daleko, za widnokretem. A ty przeszłaś śpiewając tę piosenkę, pamiętam ją z dzieciństwa. Zaciekałaś mnie i poszedłem za tobą, widziałem jak tańczysz, jak plotkujesz z niebem. I musiałem cię zobaczyć z bliska, i podchodziłem, aż się zmieniło i zaczęło padać. Musiałem, Melu. Nie z ciekawości, ale dlatego, że jesteś piękna, w tej sukni, z tą stokrotką, i twoje spojrzenie, takie głębokie...

Zatrzymał się. Zauważyłam łzy na policzkach, próbował je ukryć.

– Bałem się, że nie jesteś prawdziwa.

Trafił w samo sedno, dotknął najwrażliwszego kawałka mojej duszy. Czas zatoczył koło, a ja wróciłam do początku. Dostałam od losu drugą szansę.

Tylko że dzisiaj ją wykorzystam, przysięgam, nie wypuszczę jej z rąk. Zrzuciłam z siebie białą suknię, a on zrzucił liściowy strój. Poprawiliśmy rzeczywistość. Od tej chwili ja pokochałam jego, a on pokochał mnie, szybko, niemal od razu, bez zastanowienia. Przystałam wędrować, znalazłam swoje miejsce, tak po prostu.

Długo nie chciałam poznać jego rodziców. W końcu kiedyś się zdecydowałam. Usiedliśmy na ławce, porozmawialiśmy o aurze, o tęczy, wynalazkach. Byli dla mnie bardzo mili, szczerze cieszyli się z naszego szczęścia. Pomogli nam zbudować dom. Stał w cudownej okolicy, otoczony jedynie gruszami i śliwami. Płasko tam, od horyzontu po horyzont. Wychodziliśmy na podwórko, oglądaliśmy widoki i wymyślaliśmy wiersze. Ja jedną linijkę, Stanisław następną. Poematy wyfruwały w świat, ocierając się o wierzchołki drzew. Nie interesowało mnie, że nikt ich nie usłyszy. Były dla nas, a my mieliśmy ochotę tworzyć je bezustannie. Tak oto spełniły się moje marzenia.

- Zostańmy tu na zawsze – powiedziałam.
- Zostaniemy, obiecuję.

## 10. Odwiedziny, niebieski pociąg, przezroczysty.

Sasza gdzieś zniknął. Nie ma go już od paru dni. Chyba uciekł na dobre, zostawiłam na noc uchylone okno i pewnie sobie poszedł. Szkoda, bo tęsknię za nim. Wyłącznie on się zachował z tamtego życia. Przez ostatnie miesiące w kółko zrywałam, zamykałam, a wszystko, żeby zacząć od nowa.

Wczoraj znowu przylazł ten policjant. Ten, co zwykle. Nie mam pojęcia, czemu jest taki czepialski, może mu się podobam, zresztą teraz to już raczej podobałam. Jestem gruba, spuchnięta, czuję się źle, kompletnie nieatrakcyjnie. Najpierw zatrzymał się w progu zaskoczony, zażenowany. Chociaż przez moment tryumfowałam, bo mało brakowało, a by mnie nie poznał. Dopiero po chwili doszedł do siebie, ruszając z orężem tych swoich sztywnych gadek. Spytał czy wiem, że ojciec zaginął. Wyważyli drzwi, ale nikogo nie znaleźli, w środku brudno, zaschnięte farby, porozrzucone rysunki, jakby nie było go już od dawna, oprócz tego kilka butelek bimbru, trochę starych zdjęć, ogólnie nic ważnego. Na razie to Działowa ma klucze od domu. Ona też się martwi, ona też przyszła do mnie w zeszłym tygodniu, opowiadała, płakała, śniły jej się zęby, a tego nie wolno ignorować, boi się, że tatuś już nie wróci, jej prośby, zlituj się, dziecko, poszukaj go, jesteś jego córką i jedynie ty mu zostałam, bo na twojego brata wcale nie można liczyć. Zmuszałam się, żeby w ogóle jej słuchać, żeby nie wywalić za drzwi.

Odnoszę wrażenie, że każdy czegoś ode mnie chce, czegoś wymaga, a ja mam serdecznie dość, aż zbiera mi się na wymioty. Jeszcze do tego dzisiaj napatoczył się ten głupkowaty gliniarz. Oczywiście nie uwierzył mi, gdy mówiłam, że pierwsze słyszę, że mnie to nie interesuje, że zerwaliśmy kontakt, dlaczego nie wyglądam na zaskoczoną? Dlaczego jestem taka spokojna? Powtarzam, nie interesuje mnie to, zrozum człowieku! Potem wskazał na brzuch, który to miesiąc? Z pogardą na twarzy, mógłby się pohamować, gównu cię to obchodzi, gnoju, spierdalaj, proszę się nie denerwować, to niedopuszczalne w pani stanie, z grzeczności pytam, tak wypada, wyjdź stąd debil, natychmiast, dobrze, tylko niech pani zadzwoni jak Aleksander, jak ojciec się odezwie. Aha! A co z Rajmundem? Nic się nie

zmieniło, nie dzwonił, nie ma pani do niego nowego numeru? Tamten jest nieaktualny. Zero wiadomości? Przecież byliście bliskimi przyjaciółmi. To bardzo dziwne, prawda? Niespotykana sytuacja! I wydaje mi się, że to nie jest przypadek! Kręci pani, oj kręci! Już miałam na końcu języka wymyśloną historię o jego samotnej podróży do Mongolii, Kazachstanu, na Madagaskar czy do jakiegokolwiek innego odległego kraju, którego nawet nie potrafiłabym umieścić na mapie. Zapragnął wrócić na łono natury, to jego słowa, ma zamiar żyć z nią w zgodzie, w ascezie i modlitwie. Powstrzymałam się w ostatniej chwili.

– Idź już! Żal pe el, faceciku!

Wreszcie wyszedł. Czyli taty też już tu nie ma. Również zrezygnował, machnął ręką. Chyba że razem z Saszka wyjechali daleko i teraz wylegują się gdzieś nad brzegiem morza, na przykład w takiej Australii, w Sidney czy Melbourne. Rozbawił mnie ten widok. Ojciec na plaży, w tych swoich pantalonach, w przetartej koszulce, z rozwianymi włosami, leży, popijając tanie wino z plastikowego kubka, a wyciągnięty obok Saszka podjada kocią karmę i mruczy z zadowolenia. Zakochana para. Zaśmiałam się w głos, aż rozboleł mnie brzuch, aż Adam zaczął kopać, a to już nie jest przyjemne tak jak kiedyś. Śmiech też przestał być fajny, wszystko męczy i męczy.

– Jeszcze kilka dni i będziesz z nami. Zobaczysz mamę, poznasz tatę. Spokojnie, doczekamy się. Jesteś taki duży. To już niedługo Adasiu, wytrzymaj.

Właśnie, poznasz tatę. Twoim tatą będzie Antoni, właściwie to zachowuje się, jakby był nim od zawsze. Słyszałeś go już wiele razy. Mówi do ciebie wieczorami, zanim mama zaśnie, pamiętasz? Czyta bajki, książeczki dla maluszków, to za wcześnie, trochę przesadza, ale jest przy tym taki poważny, zaangażowany. Pomaga nam, organizuje, stara się poukładać. Bez niego nie dałabym rady. W ciągu dnia wciąż jest zwyczajnie, wciąż jest moim bratem. Dopiero gdy nadchodzi noc, gdy zasnę, staje się moim kochankiem. Zdaję sobie sprawę jak to brzmi, tylko że ja też wtedy jestem kimś innym. Równoległą mną. Natalią z czasu już po urodzeniu dziecka. Mam inne ciało, dojrzałe, pełniejsze, już doświadczony porodem. Z drugiej strony jakieś nieludzkie, albo raczej nadludzkie, doskonalsze. W całości już zbudowane ciało innej istoty, którą wydaje mi się, że zostanę, gdy

przyjdiesz na świat, mój chłopczyku. Przez to nie do końca pokazuję się Antoniemu. Boję, bo nie jestem pewna, jak mógłby zareagować.

Swoją drogą, może jest tego świadomy, może mnie już taką widział, może takiej zaznał, a może nawet nie dostrzega żadnej różnicy. Nie wiem, ale i tak się obawiam. To z miłości. Kocham go niezmiennie jak brata, od niedawna jak mężczyznę, już wkrótce jak ojca mojego synka.

Posłuchaj Adasiu, jesteście my i oni. Oni są nieobliczalni, musimy na nich uważać, bezustannie. To powoli przestaje być dobre miejsce. Jestem w ciąży, mieszkam z bratem. Oni tego nie rozumieją. Zlinczują nas, jak się wyda, są bezlitośni. Dlatego powinniśmy zostawić to miasto i wyjechać, wyjechać jak najszybciej. Przeniesiemy się do domu, o którego istnieniu nikt nie ma pojęcia, który jest schowany daleko w górach. Antoni opowiada o nim bez przerwy, tam będziemy bezpieczni, tam odetchniemy. Powiemy wszystkim, że jesteście małżeństwem. Te same nazwiska, nie domyślą się. Jezu! Adaś! Nie kop mnie! Błagam, to boli! Bez przesady! Daj mamie chwilkę odetchnąć! Do tego ciągle jestem głodna, a nie mam siły, żeby wstać i przynieść cokolwiek. Antoniego nie ma tak długo, od rana gdzieś się szwenda.

Dzwonek. Boże! Kto jeszcze?! Co to, tydzień odwiedzin?! Wyjrzałam przez wizjer – Patryk! A ja znowu jestem sama! Nie wierzę! Normalnie nie wierzę!

– Czego chcesz?! – wrzasnęłam przez drzwi, wściekła na niego, gotowa otworzyć i powtórzyć to, co robiłam mu już kiedyś, tylko mocniej, głębiej, żeby bardziej bolało! Marzę, żeby cierpiał, wyobrażam sobie salę tortur i jego, męczącego się okrutnie, przeżywającego katusze i siebie, przyglądającą się temu z nieskrywaną satysfakcją.

– Czego chcesz, skurwysynu?! – Głośniej, dobitniej, żeby wreszcie dotarło, żeby dał mi święty spokój.

– Natalia? Przyszedłem przeprosić, mam dla ciebie kwiaty. Ja wiem o ciąży i... ja... wpuść mnie, pogadajmy.

Uchyliłam drzwi, kilkucentymetrowa szczelina, łańcuch, na szczęście solidny, mocny. Najpierw jego zapach, przesadzony, zbyt wiele kosmetyków, później twarz, została mu szrama. To świetnie, ucieszyło mnie to.

– Już chyba całkiem ci odjechało! Na mózg ci padło?! Odejdź i nie wracaj! Nigdy! Słyszysz?!

Podsunał pod nos bukiet zielska. Czerwone róże. Nie no, on naprawdę jest jakiś niepoczytalny!

– Dziecko musi mieć ojca, Natalia. Daj mi szansę. Mógłbym się tobą zaopiekować. Nie możesz być teraz sama – mówi szeptem, półgłosem.

– Ochujaleś człowieku?! Wypierdalaj! – Mój wrzask w odpowiedzi.

– Kocham cię! Wtedy byłem pijany, nie panowałem nad sobą, nie mam pojęcia, co się ze mną stało, prawie nic nie pamiętam. Przepraszam. Daj mi szansę, proszę. Nie potrafię bez ciebie żyć...

– Pomóc w czymś, pani Natalio? – Głos na klatce schodowej, znajomy, tak, na pewno, ten wyższy koleś z ekipy spod trójki, sportowiec, osiłek, nielegalne walki psów, ustawki kiboli, zawsze szukający przygód, lubi mnie, rozmawialiśmy parę razy, los mi dziś sprzyjał.

– Tak! Mam tu takiego... damski bokser! Nie daję z nim rady! Jakbyś wpadł na moment! Byłabym wdzięczna.

Kwiaty leżące na wycieraczkę, mam ochotę po nie pójść, ale i tak nie miałabym siły się schylić, Patryk próbuje uciec, pierwsze ciosy, zamykam drzwi.

– Dziękuję – wycedziłam tylko tyle, po cichu, w sumie nie wiem, do kogo – do niego, czy do nich wszystkich tam, czy może do samej siebie. Przekręciłam zamek w drzwiach, powrót na sofę, pilot, muzyka, jogurt owocowy, odpoczynek, Coltrane, *Blue Train*, powinnam się zdrzemnąć, koniecznie, odgłosy walki szybko ucichły, zagłuszone przez saksofon, trąbkę i kontrabas. Zasnęłam.

Przyśniło mi się, że jadę pustym pociągiem. Stoję sama na środku wagonu, oglądając pejzaże. Wjeżdżam do miasta, ale to nie dzieje się współcześnie, jest inaczej, mam wrażenie, że jadę tym pociągiem kilkadziesiąt lat temu, stare samochody, syrenki, warszawy, inne stroje, parasole, bo leje jak z cebra, ja też inna, dziecinna, niedojrzała, chuda, nie jestem w ciąży. Nagle równocześnie otwierają się drzwi na końcach wagonu, z jednej i z drugiej strony. Z jednej wchodzi młody mężczyzna, z drugiej ładna dziewczyna. Razem odsuwają okna na korytarzu, mocno się przez nie wychylając. Patrzą na nich i nie mogą się oderwać.



– Znalazłam cię! – krzyczy ona.

Przejeżdżamy pod wiaduktem i zwalniamy, wtaczając się na stację. Ona chowa się do wewnątrz. Po chwili on również się pojawia, również uśmiecha, ściąga koszulkę i wymachuje nią nad głową.

– IIIHAA! – wyrzeszczane pomiędzy peronami.

Pisk hamulców, budynek dworca, nie spuszczam wzroku z tego chłopca. Na lewej piersi, tuż nad sercem, brakuje mu kawałka ciała, jest w tym miejscu przezroczysty, a mnie to wcale nie zaskakuje. Pasażerowie opuszczający przedziały zupełnie zasłaniają widok. Dziwna para ginie mi z oczu. Ludzie wysiedli, zostawili nas. Przede mną stoi Antoni, do cna przemoczony od deszczu. Nie wiem, czemu, ale nie chcę wychodzić, nie mam ochoty, osuwam się na podłogę.

– Wstawaj! – mówi Antoni. – Wstawaj! Jesteś cała mokra. Chyba odeszły ci wody!

– Co?!

– Jedziemy do szpitala. Zniosę rzeczy do samochodu. Dasz radę się ubrać, czy ci pomóc? Jak się czujesz? Wszystko okej?

– Do samochodu, czy do pociągu?

– Natalia! Obudź się! Już czas!

## 11. Oszczędny, ogień, umarli.

Wyjechaliśmy w niedzielę po czwartej nad ranem. Droga kompletnie bez ruchu, włączyłem po cichu radio, a Natalia od razu ułożyła się do snu. Ta dziewczyna ma nerwy ze stali, spać w takim ważnym dniu, w ostatnim dniu starego życia, dla mnie nie do pomyślenia, ja nawet nie zmrużyłem oka.

– Daj znać, gdybym nie zauważyła. Wiesz jaki on jest.

– Pewnie, nie ma sprawy.

Adam ma już trzy miesiące. Jest normalnym chłopcem, takim samym jak inne dzieci w jego wieku, no, może poza jednym. Od urodzenia prawie wcale nie płacze. Musi go naprawdę mocno boleć, żeby w jego oczach pojawiły się łzy, żeby choć trochę się skrzywił. Kiedy chce mu się jeść, po prostu cierpliwie czeka, aż mama go nakarmi, nie wydając z siebie żadnych niepotrzebnych dźwięków. Mówimy na niego „oszczędny”. Często bywa to kłopotliwe, bo na przykład potrafi obudzić się w swoim łóżeczku w środku nocy i bezgłośnie leżeć, jedynie delikatnie się poruszając, żeby nikomu nie zaprzętać głowy, żeby nie tracić sił, bo przecież jest głodny. Natalia wykształciła odruch wstawania co jakieś dwie godziny i sprawdzania, czy wszystko z nim w porządku. Ja też czasem skradam się po ciemku, czaję się przy jego beciku. Ale spokojnie, przywykliśmy. Oprócz tego jest zwyczajnym szkrabem. Gdy się urodził, przypuszczaliśmy, że wywróci nasze życie do góry nogami, ale poza drobnymi detalami niewiele się zmieniło. Natalia świetnie się sprawdza jako matka, wręcz idealnie. Są kobiety, które mają to coś i ona do nich należy.

Przyglądam się im w lusterku, tacy podobni, łagodzą podróż. Ulice jak w symulatorze, puste miasta, sporadycznie mija nas samochód oślepiając na ułamek sekundy. Nazwy miejscowości przelatują po kolei, bawię się w ich czytanie, w układanie na ich temat legend, rymowanek i etymologii, bo oni ciągle śpią, ale to dobrze, niech zleci, niech im minie jak najszybciej.

Cisna, w końcu dojechaliśmy. Oddycham głęboko, łaskoczą krople potu na skroni i szyi. Na skrzyżowaniu w prawo, na Majdan, później za cmentarzem w lewo, nieutwardzoną ścieżką pod górę, przez kałuże i błoto, przecinając linię wąskotorówki, lekko w dół i jesteśmy. Wertepy obudziły Adasia. Zatrzymałem się tuż przed rozwalonym płotem. Sam dom to ruina,

sprawia wrażenie, jakby stał wyłącznie dzięki jodle, która się o niego opiera, albo raczej obejmuje go, podtrzymuje. Ta jodła przypomina mi naszą starą choinkę, ale o czym ja myślę, to nie jest zbyt odpowiedni moment, skup się, Antoni. Na ławce obok siedzą trzej mężczyźni. Patrzą w moim kierunku, nie odzywając do siebie, bo nic ich nie obchodzi, bo mają w małym palcu wszystkie odpowiedzi, bo spodziewali się nas już dawno temu. Przez chwilę nie mogłem się ruszyć. Wreszcie wyszedłem z auta, uważaj na nich, oni są dziwni, ona się ich obawia, ale przecież ja ich już znam, tylko jej nie mówiłem, to oni sprzątali ciała w schronisku, pewnie i tak mnie pamiętają, wolałbym żeby nie powiedzieli nic przy niej, nie zranili jej. Na wszelki wypadek na lewej piersi, w specjalnym pokrowcu niosę NÓŻ. Jest schowany, ale podejrzewam, że i tak doskonale zdają sobie sprawę z jego obecności.

– Dzień dobry. Przyjechałem po obrazy.

– Czekaliśmy na was, nie spieszyście się.

Pierwszy raz usłyszałem ich głos. Podnieśli się po kolei, jeden, potem drugi i trzeci, w idealnych odstępach, weszli do chaty i zaczęli wynosić malunki. Spakowali je do swojego jeepa ustawionego z tyłu w krzakach. W moim samochodzie odsunęła się szyba, Natalia pyta, i co? Nie denerwuj się, zaraz się wyjaśni, Adaś jest niecierpliw, wierci się i rzuca, to już blisko, dwadzieścia minut, zasunęła z powrotem.

– Jedźcie za nami – któryś z nich rzuca słowa w moją stronę, nawet nie spojrzął, gdy wydobywał je z gardła, on nie prosi, on rozkazuje.

Wyjechali szybko. Wsiadłem do auta, zamknąłem drzwi, co teraz? Zupełnie nie wiem, za nimi, jak tam synek? Trochę lepiej, ale nie jest tak jak zwykle, chyba źle się czuje, podróże mu nie służą, okej, muszę pędzić, bo mi uciekną.

Znowu te pejzaże, Natalia się rozgląda, nie była tu wcześniej. Wiosna w Bieszczadach, jej urok, dla mnie jednak jest inaczej niż kiedyś, znowu więcej do mnie dociera, więcej rozumiem, trudno się skupić, żeby nie podsłuchiwać. Za Kalnicą skręciliśmy w prawo, w starą zwirową drogę przegrodzoną wygiętym szlabanem z zakazem wjazdu, wystraszyłem się, bo mój samochód to nie terenówka, ale wciąż jechałem. Zresztą to nieważne, ważni są oni, moja rodzina. Parę kilometrów i gwałtowny skręt w lewo, tym

razem polna dróżka, przynajmniej równa, ale bardzo stroma, mocno pod górę i ponownie w dół. Jechali powoli, jakieś trzydzieści metrów przede mną, dziesięć, piętnaście na godzinę, a chwilę później zniknęli, jakby zapadli się pod ziemię. Nagle jeden z nich wyskoczył mi przed maskę, kazał zjechać na bok. Zaparkowałem na łące w wysokich chaszczach, na wzniesieniu. Natalia stanęła niedaleko mnie, z Adamem na rękach, plecami do nich, nie chciała patrzeć. Na dachy naszych aut naciągnęli wielki kawał siatki maskującej.

– Po co to? – spytałem.

– Nigdy nic nie wiadomo – enigmatyczna odpowiedź.

Zabrali malowidła, a ja plecak. Z przodu ona z dzieckiem, na końcu brodacze. Po niespełna stu metrach moim oczom ukazała się znajoma brama. Ujrzałem dom. Dokładnie taki, jakim go zapamiętałem, a może nawet jeszcze ładniejszy. Robił olbrzymie wrażenie, niemal natychmiast wróciły wspomnienia. Szliśmy w jego stronę. Strażnicy tuż za nami, mimo swojej słusznej wagi w ogóle niezrażeni, miarowo, z twarzami jak maski, bez śladu jakichkolwiek emocji.

– Rzućcie to tam!

Miejsce dobre jak każde inne, jest płasko, to wystarczy. Natalia trzyma się na uboczu, nie martw się, kobieto, przy mnie są niegroźni, panują nad nimi. Ułożyła się na trawie i zaczęła karmić piersią Adasia. On taki sam jak ona, identyczne ruchy.

– Znajdźcie jakąś benzynę, ropę czy rozpuszczalnik, coś, co by się łatwo paliło, do tego zapałki albo zapalniczkę i przynieście tutaj. Mamy mało czasu.

Nie drgnęli ani na milimetr, ale spodziewałem się tego. Ścisnąłem powieki i schowałem rękę pod kurtkę. Złapałem mocno NÓŻ i poruszyłem nim. To sygnał dla nich, ostrzeżenie. Po chwili zerwali się szybko, gestami pokazując, że już w porządku. Spokojnie, przestań, to się nie powtórzy, będziemy cię słuchać.

To jest ten dzień. Wielokrotnie zastanawiałem się, jak będzie wyglądać. Starałem się zbudować szczegółowy plan działania, przewidzieć ewentualne niespodzianki, które mogą się wydarzyć. Wiedziałem, że muszę ich tu przywieźć. To były jego najważniejsze słowa. Właśnie to powiedział na

początku i to kazał zakodować, nauczyć się, zatrzymać na wieki. Tamten Adam. Siedzieliśmy wtedy przy stole w kuchni, w tym domu.

– Nie powinienes być sam, gdy zapłonie ogień, bo to oni są twoją największą bronią, a zwłaszcza On, Pierwszy, twój syn, i sama jego obecność. Dlatego zaufaj mi i sprowadź ich tu, gdy przyjdzie odpowiedni moment.

– Podpalcie to!

Mają w oczach łzy, drżącymi rękami oblewają płótna płynem lanym prosto z kanistra. Obraz górskiej chaty, portret kobiety, dwójka młodych ludzi na tamie, kudłaci faceci na ławeczce lądują wspólnie na stosie i, przesiąknięci ropą, zaraz spłoną.

– Już! Natychmiast!

Płomień bucha na kilka metrów, osmalając ich twarze, zapach spalonych włosów, pisk pękającego drewna. Wkrótce pożoga stabilizuje się, tworzy jakiś rodzaj ściany czy ekranu, zmienia odcień na zimniejszy, srebrny, przypomina drżącą rzekę, drżącą coraz mniej, albo może wibrujące lustro. Po drugiej stronie stoi ojciec. Jest sam. Zakapiory z boku, nabrali barw ognia, pomалу przestają być realni, czuję, że już się mnie nie boją, łapię NÓŻ, ale to nic nie daje. Idą po mnie. Obiecałem sobie dawno temu, że dzisiaj ostatni raz go użyję, później zrobię dla niego skrytkę, później już tylko Adaś będzie mógł go dotykać, tylko on, a MY rozstaniemy się na zawsze.

Pomóż mi, proszę. Niech coś się stanie! Teraz! Adaś zaczął drzeć się z tyłu, wrzeszczy jak w amoku, Natalia nie jest w stanie go utrzymać, padaczka, epilepsja, opętanie, nieistotne. To się dzieje za szybko. Brodacze zatykają uszy, jego krzyk sprawia im ból, cofają się skuleni, chowają w jasności, otoczeni iskrami, dopiero tam dochodzą do siebie, już zrozumieli, że muszą się trzymać z daleka. Jesteśmy bezpieczni.

– Czekałem na ciebie, Antoni. – Jego głos docierający stamtąd, młody, metaliczny, tubalny. Sprawia wrażenie, jakby był w moim wieku, nie pamiętam go takiego. Ojciec.

– Żegnaj. Ucałuj wszystkich. Przepraszam, ale nie ma innego wyjścia – odpowiadam.

Kręci głową, próbuje mnie zatrzymać, chyba nie spodziewał się tego, jego ruchy są jak modlitwa.

– Ależ jest sposób! Mylisz się. Możesz tu wejść, z siostrą, z dzieckiem, możesz nawet zabrać nóż. Życie tutaj jest lepsze, ten świat wyciąga dobro z ludzi, tutaj jesteśmy nieśmiertelni. Natalia, córeczko! Twój synek i ty nigdy nie umrzecie, nigdy nie zachorujecie. Pomyśl o tym. Nigdy i nigdzie nie zapewnisz mu takiego bezpieczeństwa, takiej niezniszczalności i miłości, jak tu. Wcześniej popełniałem błędy i wiem, że was skrzywdziłem. Ale teraz mnie posłuchajcie, chociaż raz. Ten jeden raz... błagam.

Odwróciłem się i spojrzałem na nią, błyskawicznie odgadłem jej intencje, nie potrzebowałem już o nic pytać.

– Oni pierwsi.

Wskazałem na strażników, a ci powoli przeszli, prawie bez ruchu. Mały kroczek do przodu przez ogień, albo raczej pomiędzy ogniem, potem krok do tyłu i naprzeciwko stanęła trójka ogolonych, ubranych w garnitury mężczyzn, przypominających młodych dyplomatów albo aktorów. Aleksander cały czas nie spuszczał nas z oka, a na jego policzku pojawiły się łzy.

– Wypala się, ale jeszcze zdążycie – zawiedzionym, pełnym cierpienia głosem.

– Jeśli tam jest tak cudownie, to dlaczego płaczesz?

Już nic nie powiedział, widziałem, jak się przygląda i blednie razem z żarem.

– Żegnaj – powtórzyłem.

Ale już nie dotarło do niego. Czemu przyszedł sam? Tak ładnie wyglądał. Czy to mogło się potoczyć inaczej? Miesiące przygotowań i wystarczyło parę zdań. To koniec? Tak łatwo? Została zaledwie kupka popiołu. Tylko tyle? Już?

Natalia mnie wspiera:

– Dobrze zrobiłeś. Tak, to trudne, ale spójrz na Adasia, spójrz na tego chłopca. On wszystko zmieni, naprawi ten świat. Kiedyś się przekonasz, że było warto.

Mówiła to, co chciałem usłyszeć, nic nowego, nic, czego bym nie wiedział. Ale to tak łagodnie koilo, głaskało delikatnie niewielką smutną

mikrocząstkę mnie, która wyła z tęsknoty, wrzeszczała, znosiła katusze.

– Przeszkadza mi moja własna bezbronność, ostateczność sytuacji, tego, że nie zobaczę ich już nigdy, że już tu nie wrócą, że nie będę w stanie ich nakłonić, że nie poznają swojego wnuka.

– Rozumiem cię Antoni, ale nie ma się nad czym zastanawiać. Ich już nie ma. Umarli. Już nikt nas nie powstrzyma.

Godziny analiz, setki scenariuszy, a trwało to tak krótko. Za krótko. Miałem dziwne uczucie, jakbym coś przegapił. Przestań się dręczyć, Antoni! Las cię próbuje przywitać.

I przestałem.

## 12. Uczta, narada, taniec.

Czekali przy ogromnym stole uginającym się od potraw, które nawet z daleka prezentowały się niezwykle wystawnie, jak na bogatym weselu. Stół nakryty białym obrusem, a właściwie kilkoma białymi obrusami, bo jeden by nie starczył, a na nim wazy, talerze, dzbany, kielichy, sztucce. Całość wysoko, na wzgórzu, skąd rozciągała się piękna panorama.

Pierwszego rozpoznałem tatę. Napełnił czymś szklanę, później rozłożył szeroko ręce i ruszył w moją stronę. Staram się ściągnąć wzrokiem Marię, ale nigdzie nie mogę jej znaleźć.

Myślisz, Aniołeczku, że się schowała, że planuje dla mnie niespodziankę? Aniołeczku? Jesteś? No tak! Zapomniałem, zostawiłem cię, a tak pusto bez twojego głosu. Kogo się będę radził w potrzebie? Kto mi podpowie? Ale zaraz, nie ma też mamy mojej ukochanej, może siedzą gdzieś razem, może szykują jedzenie, oby tylko nic się nie stało.

– To na twoją cześć! – Jego słowa dochodzą z oddali, brzmią dawno niesłyszane dźwięki, takie radosne. To Jerzy, mój ojciec.

– Wyglądamy cię od wieków. – Jest już blisko, już obok. Uścisnął mnie, a ja, wciąż rozgorączkowany, szukam ich, a przede wszystkim jej, mojej najdroższej żony, szukam złych wieści w jego oczach, ale ich nie znajduję.

– Nie obawiaj się. Dobrze z nią. Teraz usiądź, i spróbuj czegoś, koniecznie, już ci nakładam, pewnie jesteś głodny, do tego taki chudy, skóra i kości.

– A ona?

– Nie martw się.

Protestowałem, ale nie słuchał. Siłą usadził mnie na honorowym miejscu, z najwyższym krzesłem w samym środku i poszedł po nią, zniknął na chwilę, a oni podchodzili do mnie po kolei, witali się, śpiewali. Hura! Aleksander uratowany! Niech nam żyje!

W tle malownicze pagórki, jezioro, tama. Nie wiedziałem, gdzie patrzeć. Na początek mój brat Stanisław, któremu łyzy wielką rzeką łały się po twarzy, mówił, że dzięki mnie jest zdrowy, że nie będzie w stanie nawet w części odwdziaczyć się za to, co mu dałem i kogo mu przyprowadziłem, i wskazał Zuzannę, kwitnącą, śliczną, ciągle bosą, która klęknęła przede mną,



wtulona w moje stopy. Nie trzeba, kochanie, jak to nie trzeba? Nigdy panu tego nie wynagrodzę, tego, że nie jestem już smutna. Potem para, Monika i Cypis, widzimy się pierwszy raz, ale znam was od zawsze, śmiali się głośno, ochlapali mnie winem, potrząskali butelkę, on w samych spodniach, z pustym miejscem nad lewą piersią, przezroczystym, ona w krótkiej spódniczce, całuje mnie w usta, bo nie potrafi inaczej, bo zasłużyłem, wygłupiają się, tańczą dookoła mnie, jakbym był solenizantem, jubilatem, bohaterem.

W końcu poczułem jej dłonie na ramionach. W końcu! Rozpoznałem momentalnie po tym, jak je ułożyła, jak nacisnęła. Zatrzymałem oddech, serce, wszelkie ruchy wewnątrz ciała i czekałem, aż się odezwie.

– Powiedz, że to ty.

– To ja.

Dopiero wtedy się odwróciłem. Ona! Taka sama jak kiedyś w kościele, tak ją zapamiętałem, wydała mi się jeszcze ładniejsza i młodsza. Nabrałem powietrza w płuca, a wszechświat ruszył i od razu byłem pewien przyszłości, następnych kroków. Siadłem obok i milczałem, ale w środku mnie pędziły obietnice, przyrzeczenia, że zaczniemy od nowa, że to cudowna puenta. I prawdopodobnie trwałbym tak z nią na wieczność, gdyby nie płacz dziecka. Skąd tu dziecko?! – pomyślałem i spojrzałem zdziwiony na swoją lubą.

– Ty nic nie wiesz! – Marysia.

– Masz brata! – ojciec.

– Mamy brata – Stanisław.

– Chodź do nas, przytul się – matka.

Matka! Kochana mamusia! Najpierw doleciały słowa, były szybsze, niż to, co ujrzałem. Ona, moja królowa, z dzidziusiem na ręku, to chyba za dużo dla mnie, są jakieś granice spełnienia. Podnoszę się i podchodzę, do niej, do najcieplejszego miejsca na Ziemi.

– No odezwij się wreszcie, Oluś. – Na jej twarzy promienieje uśmiech, nie mogę w to uwierzyć.

– Dajcie mu spokój, za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Niech zje, biedaczysko, napije się, później będziemy gadać – tata.

– Jak ma na imię? – pytam, głaszcząc go po głowie, odwraca się ode mnie, nie zna, protestuje, wstydy się, mały śliczny chłopczyk.

– Adam. Tak wybraliśmy, bo jest pierwszym dzieckiem, które tu się urodziło. Ładnie, prawda? Boże! Jacy jesteśmy szczęśliwi, że w końcu dotarłeś.

Marysia łapie mnie za ramię i razem wracamy, pod rękę, z powrotem do stołu.

– Spocznij wreszcie! – mówi.

Jerzy wstaje i uderza długą łyżką w drewniany kielich, próbując zagłuszyć ogólną wesołość, harmider, śpiewy. Nikt tego nie słyszy, dlatego gestami stara się ich utemperować, nakazać im. I powoli milkną, siadają na swoich krzesłach. On stoi naprzeciwko, teraz jest poważny.

– Zanim rozpoczniemy, pragnę cię powitać, mój synu, po latach tułaczki, w twojej nowej ojczyźnie. Wszyscy wypatrywaliśmy cię z utęsknieniem. Wszystkim nam brakowało cię bardzo, a mnie szczególnie, jeszcze trochę i chyba bym zwariował, szczerze. Dlatego jedyne, co jestem w stanie powiedzieć, to... To po prostu witaj. Twoje zdrowie – ostatnie dwa zdania nieco cichsze, jakby bolesne.

– Zdrowie! – wykrzyczane chórem.

Ciepły, cierpki smak wina. Pomału zaczyna we mnie puszczać to napięcie, schodzi ze mnie. Już nie mogę się doczekać samotnej chwili z Marysią. Wiem, ona pracuje, ciągle donosi kolejne potrawy, polewa, podaje. Od czasu do czasu siada mi na kolanach, przeczesałając dłońmi włosy. Jej wzruszona prześliczna twarz.

Reszta chciała, żebym w kółko gadał, żebym opisywał odległe światy. Więc tkiałem opowieści a oni słuchali i nic nie omijałem, nawet tych złych rzeczy, o nożu, o zabijaniu, o krwi na podłodze i o nieuchronnie nadchodzącym spotkaniu z moim Antonim, z moją Natalią, o pewnym konflikcie, o zagrożeniu, aż rodziców w nostalgię wprowadziłem, aż przerwałem hulankę.

– Przestańcie się smucić. Dzisiaj czas zabawy! Dzisiaj to my zapełmy nici wytchnienia, a przeszkody rozwiążemy, rozsuptamy, ale kiedy indziej, przecież mamy na to całą nieskończoność – mama przejęła stery w swoje ręce i niemal natychmiast powróciły szalone igraszki, wymieszane z opowieściami mojego brata i Zuzanny, o historii ich miłości, o nowej posiadłości, którą miałem niedługo zobaczyć, o wędrówkach wiecznie

niepokornych Moniki i Cypisa, ich miejscu na tamie, o wynalazkach taty, które niesłychanie mnie zadziwiły, więc od razu zaproponowałem wsparcie, oczywiście również o kuchni mamusi, pieszczącej niewyobrażalnie podniebienie wyjątkową gamą smaków. Dobrze, że tu głodu nie można nasycić, dzięki czemu próbowałem, raczyłem się, dosłownie bez ustanku, bo przyjęcie nie miało zamiaru zgasnąć, wciąż trwało i trwało, a ja nie potrafiłem się nim zmęczyć i nacieszyć.

Marysia znów obok, znowu czule całuje.

– Teraz moja historia.

I wypowiedała się prosto do ucha łamiącym głosem o tym, że nic nie pamięta z tamtego dnia, żadnego bólu, tylko jak spałaś, jak się śmiałaś przez sen, gdy wychodziłam, nie miałam serca ci przerywać, a potem już nic, ciemność, bezkresną pustą ciemność, i przejście tutaj, gdy mnie wrzuciłaś mocno, pierwsze dni, gdy nie mogła się obudzić, a później nie miała najmniejszej ochoty, bo beze mnie, bez Natalki i Antosia, i do tego wszystko tu stoi, nie ma gwiazd, księżycy, nic nie przemija, przez co tęsknota też przeminąć nie zdoła, miałam wątpliwości, ale Stanisław pomógł, Krystyna i Jerzyk – rodzice, przytaczali zdarzenia, o których nie wiedziałam, dzięki czemu poznawałam cię jeszcze bardziej i zasypiając dotykałam myśląc o tobie, ciebie przywołując, jak leżysz nago w łóżku uśmiechając się, tego ostatniego poranka w mieście, i tak się toczyło. I wreszcie jesteś. Wreszcie!

– Odtąd już zawsze z tobą, kochana.

Bawiłem się z nimi, ucztowałem, cieszyłem się chwilą. Kiedy chciałem, byłem pijany, kiedy chciałem wytrzeźwieć, trzeźwiałem. Aż nadszedł czas narady, czas przygotowania do spotkania mojej krwi z krwią moich dzieci, podobno taką samą, ale przez nóż już całkiem odmienioną. Więc zapragnąłem ich wysłuchać, zanim podejmę decyzję, bo każdy widział to inaczej i powstał słowotok, który się przenikał, w którym wyrazy, a co za tym idzie i dźwięki, wzajemnie się mieszały, tworząc orkiestrę.

– To moje wnuki i należy im się szansa. Podejmij wszelkie wysiłki i postaraj się nakłonić ich, żeby dołączyli, żebyśmy żyli razem, żebyśmy zamknęli wyjście, już próbowałam rozmawiać z Antonim, gdy przechodził blisko bramy, ale oni mnie zakłócili, nie pozwolili, by obietnice do niego

doleciały, zrozum, nic nas nie ogranicza, sami jesteśmy w stanie kształtować rzeczywistość – na początek moja mama Krystyna.

Następnie ojciec:

– Nie wpuszczajmy ich, są wypaczeni, nieodwracalnie, gdyby weszli tutaj... tragedia, to by zabiło ten kraj, Australia musi pozostać nietknięta, przypomnijcie sobie, co zrobili z Cypisem, poznaliście jego świadectwo, bezwzględnie trzeba się odizolować, niech spalą obrazy, a brodacze niech strzegą przejścia, niech się zamknie na wieki, na amen, tamten świat to zło, doświadczyłem go w trakcie wojny, doświadczyłem go w getcie, niech lepiej nie wyłazi, niech zginie, mamy szansę na wieczną harmonię, idyllę, nie zmarnujmy jej!

– Nie bądźmy tacy samolubni, to przecież dzieci Aleksandra, poza tym tak nie wolno, to grzech, to nie po chrześcijańsku, zjednoczmy siły, może nasz Adam i ich Adam mogą to wspólnie uczynić, może nie powinniśmy się zamykać, pokażmy im się, przygarnijmy ich – mój brat Stanisław.

To zaledwie uwertura do symfonii zdań, które zlewały się, malując gamy rozwiązań, z góry na dół i w kółko przekonując mnie o tym, że nie ma dobrego rozwiązania, że wszystko dawno zaprzepaszczone. I wrażenie to rosło niezachwianie.

Aż nastał ten dzień. Dzień, w którym obok bramy ukazało się lustro. I poszedłem tam sam, bo taki był mój wybór, pewnie nieprzemyślany, instynktowny, ale mój, a oni pozasłaniaли okna i zostali w domu.

Wróciłem jedynie z trzema strażnikami. Przywitali mnie smutno, z poczuciem niedosytu, ale z drugiej strony pogodzeni, pocieszając się słowami zupełnie bez wartości. Powiedziałem tylko jedno:

– Dla nas już nie istnieją.

Wtedy, nie wiadomo kiedy i jak, strażnicy wyciągnęli z pokoju ojca instrumenty i zaczęli grać starą piękną melodię, Coltrane, *Blue Train*, a mieszkańcy, łącząc się w pary ruszyli do tańca. Najpierw ospale i smutno, później z coraz większym przekonaniem, z większym zaangażowaniem, wreszcie nawet z euforią, a ja przycisnąłem do siebie moją ukochaną Marysię, przytuliłem ją mocno.

– Chciałbym, żeby nigdy nie przestali.

– Tutaj to łatwe, Aleksandrze.

– Znalazłem cię.

I trwała zabawa, a z tego powodu, że czas nie miał żadnego znaczenia, co parę minut wracałem do stołu, żeby kosztować, upajać się, rozmawiać z bliskimi, by pojawić się znowu, chwilę wcześniej, zanim odszedłem, i znów mówić, żeby usłyszeć:

– Chciałbym, żeby nigdy nie przestali.

– Tutaj to łatwe, Aleksandrze.

– Znalazłem cię.

# RETUSZ

## 1. Zakończenie.

Jestem Adam i urodziłem się w świecie z obrazu. Inni przyszli tu i się osiedlili. Inni są uciekinierami, emigrantami z zagranicy, z miejsca, o którym w kółko rozprawiają, jakie jest złe i okrutne.

To moje ulubione zajęcie, słuchanie opowieści o dzikiej krainie, w której nic nie jest pewne, w której na każdym rogu czyhają zagadki i niespodzianki. Bo tutaj dokładnie wiem, co przyniesie jutro, tu życie nie zaskakuje. Czuję się jak odmieniec, bo tylko mnie to nie odpowiada, tylko mnie nudzi. No, może jeszcze Monikę i Cypisa, chyba ich też trochę to męczy. To właśnie oni odkryli sposób na wyrwanie się stąd i wymykają się w tajemnicy, gdy nikt nie patrzy. Kiedy próbuję ich pytać, zbywają mnie, tłumaczą coś niejasno, że podróżują niebieskim pociągiem, że za wcześniej dla ciebie, chłopcze, nie nadajesz się. Cokolwiek by to znaczyło, bardzo im zazdroścę...

Są też muzycy. Oni również umieją się tam przedostać. Niedawno nawet przeciągnęli tu jakieś auto. To jedyny samochód po tej stronie. Ojciec przerobił mu silnik na parowy. Teraz już z oddali widać, jak jadą, grając tę swoją zagmatwaną, chaotyczną muzykę.

Często mam wrażenie, że oni wszyscy są martwi, że kiedyś umarli i dopiero wtedy się tu przenieśli. Że to dlatego się nie starzeją, dlatego zawsze wyglądają młodo, zawsze pięknie i radośnie. Podczas gdy ja, Adam, pierwszy rdzenny mieszkaniec, rosnę, dojrzewam, właściwie nieprzerwanie zbliżam się do śmierci, oni są, zdaje mi się, wieczni. Przed laty, gdy byłem dzieckiem, gdy zorientowali się, że mój czas przemija i dostrzegli związane z tym zagrożenia, postanowili, że któregoś dnia pozwolą mi odejść. Ten dzień nadciąga, nadchodzi nieubłagane, wielkimi krokami. Zewsząd słyszę nieustające rady i przestrogi, żebym nie szukał swoich krewnych, żebym unikał noża, żebym nie wchodził do domu w górach, identycznego jak nasz, żebym mówił jak najmniej, żebym znalazł głos, odnalazł Aniołeczka. Tata nauczył mnie historii, przynajmniej tego, co z niej pamiętał, matka dużo

opowiadała o religii, o Chrystusie, o codziennych obyczajach. Wierzą, że sprostam wyzwaniu, żeby uda mi się przetrwać w obcym kraju, uchodząc wszelkim niebezpieczeństwom. Wydaje mi się, że im więcej wchłonął mój umysł, tym tak naprawdę mniej wiem i jestem mniej przygotowany. Dlatego zdecydowałem nie czekać, aż wybiorą idealny termin i uciec dzisiaj po kolacji, bez pożegnania, bez zbędnych słów. Obawiałem się, że będą usiłowali mnie powstrzymać, że się nie zgodzą.

Nie zjadłem zbyt wiele. Po kryjomu schowałem to, co zostało do tobołka, który uszył mi ojciec, specjalnie na przyszłą wyprawę. Zapragnąłem ostatni raz przyjrzeć się im, ich twarzom, zawłaszczyć, zatrzymać na zapas te ruchy, te proste rozmowy. Nikt się niczego nie domyślił, tylko mama dziwnie spojrzała, inaczej. Wystraszyłem się, że odgadła moje plany, że mnie przejrzała. Ale nie, po posiłku wrócili do swoich zajęć, a ja jak gdyby nigdy nic poszedłem w stronę przelęczy. Nie oglądałem się. Bałem się, że zobaczę tatę, jak macha mi na pożegnanie, albo matkę, brata, kogokolwiek. Nie chciałem tego. Dlatego mknąłem, z każdą chwilą przyspieszając kroku, czasem prawie biegłem. W końcu dotarłem do bramy. Do tej pory widziałem ją jedynie z daleka. Zakazane miejsce. Bez przerwy ostrzegali mnie, żebym nie podchodził blisko, bo wyłącznie ja jestem w stanie przez nią przejść. Teraz jest zamknięta. Nie mogę jej otworzyć ani nawet poruszyć. Szarpię zawzięcie, ale nic z tego. Może górą? Może przeskoczyć? Wspinam się po niej, jest ogromna, niewygodna, ledwo daję radę. Przekładam nogę, już jestem w połowie, a ona zaczyna się chwiać. Nagle zaczepiam się. Czuję olbrzymi ból w kostce. Lecę, frunę z wysokiej wieży, całą wieczność. Wreszcie spadłem. Uderzyłem się mocno, prawdopodobnie zwichnąłem bark.

Jest ciemno, zimno i mokro. Mówili mi, że będzie ciemno, ale nie spodziewałem się, że aż tak. Szukam gwiazd i księżyca, nie ma ich. Chyba oślepiłem! Ręce mi drżą, zgubiłem gdzieś tobołek. Wstaję, próbuję iść, ale wciąż się potykam. Mój wzrok nie potrafi się przyzwyczaić. Drzewa, śliskie liście, para z ust i nosa, wszystko nowe, zadziwiające, wyostrzone, staram się opanować oddech.

Dokąd teraz? Zgubiłem się, wygląda na to, że ktoś mnie obserwuje, mam takie wrażenie. Ruszam ścieżką, po omacku, ciągle się przewracając. Jest!

Znalazłem małe światło, u góry, po drodze na szczyt. Podążam w jego kierunku. Czemu tu tak zimno? Ale już dobrze. Jestem obok domu. To stary góralski dom. Kopia naszego. Włączona żarówka na werandzie, zasłonięte okna. Nie wolno mi tu być. Uprzedzali mnie. Dym leci z komina. Nie wytrzymam na zewnątrz. Nie mam gdzie się podziać. Muszę zaryzykować, muszę wejść do środka chociaż na minutę, żeby się ogrzać. Na pewno? Pomyśl, zastanów się! Boli mnie ramię i stopa. Zmarzłem na kość.

Wchodzę! Jednak wchodzę! Chwytam za klamkę i drzwi ustępują. Przyjemne uderzenie ciepła. Siadam na ławce w przedsionku i ogrzewam ręce. Ktoś woła, ktoś usiłuje wciągnąć mnie głębiej, żebym się wtoczył, żebym go wytropił. Idę za głosem, nic nie zdoła mnie zatrzymać. Tutaj się nie zgubię, znam na pamięć rozkład pomieszczeń. Najpierw do jadalni, to tam jest źródło dźwięku. Nikogo nie ma, ale wyczuwam coś pod podłogą. Nieruchome, połyskuje w szczelinach, lśni coraz intensywniej. Nie mam jak się dostać, więc próbuję to stamtąd wyrwać, wysuwam deskę, wsadzam rękę, wyciągam na zewnątrz i odwijam ze szmatki, nóż. A więc to nóż! To jego miałem się strzec. Łapię za rękojeść.

Zmiana. Jak oświecenie.

Teraz mam świadomość, jak są groźni. Śpią. Dokładnie wiem, kto, gdzie, w jakiej pozycji. Zdaję sobie sprawę, że przybyłem w ostatniej chwili. Mało brakowało, a bym się spóźnił. To już wkrótce, nowa religia, nowa filozofia, nóż zastępuje krzyż, zastępuje półksiężyc, zastępuje każdy znak, literę, wyraz. Jego symbol to dwie przecinające się linie i półokrąg, tuż przy nim, z prawej strony. Adam to Mesjasz, czyniący cuda, uzdrawiający, twórca kolejnej rasy, morderca ludzkości, niewyobrażalny chaos, krachy na giełdach, zbiorowe samobójstwa, głód, rewolucja, burdel, histeria, entropia. Przelatują wizje, jedna straszniejsza od drugiej. Nie mogę do tego doprowadzić, człowiek musi ocaleć, musi wygrać.

Po cichu skradam się do jego pokoju. Leży na brzuchu. Podchodzę z boku, chwytam za włosy, gwałtowny ruch, prawie bez dźwięku, nawet nic nie poczuł, gorąca, lepka ciecz na moich dłoniach, za ciemno, żebym widział, że jest czerwona, za ciemno żebym widział, jak umarł Adam, jak nie zdążył krzyknąć, za ciemno, żebym dostrzegł, że wygląda tak samo jak ja, że wyglądamy jak bracia bliźniacy, albo nie, bo bliźniacy zawsze czymś



się różnią, a my jesteśmy tacy sami, identyczni jak lustrzane odbicie. Czas na jego rodziców, bez wahania, bo nie ma na to miejsca. Najpierw on, jego ojciec, Antoni, również bez problemów, szybko i bezgłośnie. Ona się obudziła, wrzeszczała przeraźliwie, ale krótko. Jestem w amoku. Z ogromną przyjemnością wbijam wielokrotnie ostrze w ich ciała. Spełniam się. Idealna wolność. Wychodzę z siebie i staję obok, nie potrafiąc się nadziwić, że ja to ja. Z twarzą zaplamioną farbą, rytmicznie gram na ich ciałach, a od moich uderzeń aż pękają kości, stawy, szalony wzrok. W końcu przestaję, nie pozostał mi ani gram energii. Zmęczenie wywołuje torsje. Nie jestem w stanie dłużej znieść tego zapachu, odurza mnie, potrzebuję świeżego powietrza, nie da się już tu wytrzymać, wybiegam na zewnątrz, próbuję zahamować na schodach, ale nie daję rady, nóż każe mi biec, każe mi stąd uciec, podpowiada, że ten dom za mną zaraz zniknie.

Już nie jest mi zimno, płonę, już się nie potykam, zrzucam ubranie, kurtkę, buty, spodnie, jestem zwinny jak pantera, przeskakuję, omijam, utrzymuję równowagę. Zbliżam się. To tu. Ściągam siatkę maskującą i otwieram drzwi auta. Padam na tylne siedzenie, wręcz sparaliżowany z wyczerpania. Powinienem tu przeczekać, bo umrę. Nie mogę ruszyć się choćby na milimetr, bo umrę. Nie mogę sobie nic przypomnieć, szczególnie tego, czego dopuściłem się przed chwilą, bo umrę. Ostatkiem sił zamykam oczy. Zaśnij, Adam. Niesamowity ból, nieograniczony, narasta zamiast minąć. Mdleję od niego.

Budzę się, gdy jest już widno. Wszystko upaprane juchą. Zaczynam kaszleć, duszę się, później wymiotuję. Wydaje mi się, że śnię, że to koszmar, jak w horrorze, okropny, tętniący ucisk w uszach, nie czuję palców u rąk. Znowu mdleję.

Odnalazł mnie patrol Straży Granicznej. Jakimś cudem wypatrzyli samochód ukryty w krzakach na poboczu. W środku byłem ja. Myśleli, że nie żyję, bo leżałem półnagi, bez ruchu, cały we krwi. Potem się przerażili, bo rzuciłem się na nich z nożem w rękę. Byłem jednak zbyt słaby, żeby zrobić im jakąkolwiek krzywdę. Zabrali mnie do szpitala, tam okazało się, że cierpię na amnezję pourazową i postarają się mnie odnaleźć na liście zaginionych, bo ja nie pamiętam niczego. Imienia, nazwiska, daty i miejsca urodzenia, mojej rodziny. Zupełnie niczego. Spytali mnie, skąd pochodzę. Z

Australii, ale czy z Sidney, czy z Melbourne, czy z Perth? Mieszają mi się, koala, strusie, krokodyle, Aborygeni, kangurek Hip Hop, góralska chatka, pociąg. Nie wiem, kim jestem. Naprawdę nie wiem, kim jestem.

## Rafał Cuprjak



Przyszedł na świat w roku siedemdziesiątym siódmym, gdzieś w cieniu świętej wieży. W szkole podstawowej wzorowy uczeń, później mu przeszło, tak że ledwie skończył średnią i studia. Kontestator i buntownik, większość życia przepracował fizycznie, ale też mu przeszło. Pisze od dziecka, czyli odkąd skończył trzydzieści pięć lat. Za dnia przykładowy mąż i ojciec, w nocy wymiotuje słowami w ilościach niezliczonych na ekran komputera. Doświadczenie w sztuce wyższej... brak. Doświadczenie w sztuce jakiegokolwiek... brak. Wycisza go muzyka, punk rock, hip-hop, metal, jazz, nieważne co, ważne żeby szczerze i z sercem, żeby iść za jego głosem, poczuć ciary na plecach, bo chyba o to chodzi.

# Spalić wiedźmę

## Magdalena Kubasiewicz



Sara Weronika Sokolska, zwana Saniką, w niczym nie przypomina nadwornej czarodziejki. Młoda, żywiołowa i dzika jak magia, którą włada, stanowi jedną z największych tajemnic królewskiego dworu. Nie wiadomo, gdzie uczyła się magii i kto był jej mistrzem, ani nawet skąd przybyła do Krakowa. Plotki mówią, że jest najbliższą przyjaciółką i powiernicą króla Julina, a może nawet kimś więcej. Media donoszą o jej spektakularnych wyczynach: polowaniach na biesy, inkuby i strzygi, o pojedynkach z członkami Łoży Czarodziejów.

Wydaje się, że Sanika jest najpotężniejszą czarownicą w Polanii i tylko szalencie mógłby rzucić jej wyzwanie. A jednak nawet moce wiedźmy mogą okazać się niewystarczające w starciu z przeciwnikiem, który pragnie zniszczenia Krakowa. Wrogiem, za którym stoi pradawna i niezwykle potężna magia...

*„W alternatywnej, przesyconej magią rzeczywistości monarchii Polanii rządzi król Julian, a drugą co do ważności osobą po władcy jest Pierwsza Czarownica, harda i nieugięta Sara Weronika Sokolska. Gdy nad Krakowem zawisa widmo czarnoksiężskiej apokalipsy, to ona staje przed wyborem: chronić miasto czy... siebie.*

*Magdalenie Kubasiewicz udało się zgrabnie wpisać motywy z krakowskich legend w nowoczesność, a baśniową symbolikę połączyć z wartką akcją. Smok wawelski, czarnoksiężnik Twardowski, diabeł z Krzysztofórowów zyskują nowe oblicze, ale to pyskata Sara skradła moje serce.”*

**Agnieszka Hałas**, autorka cyklu „Teatr węży”

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/spalic-wiedzme-magdalena-kubasiewicz/>

# Studnia Zagubionych Aniołów

## Artur Laisen



Astronom ze Szklanej Wieży nieustannie śledzi splątane linie losu, różne światy połączone wspólnymi historiami, dziejącymi się wciąż od nowa. Każda z nich jest osobną opowieścią, będącą zarazem częścią nieskończonej całości. Każdy bohater ma tam swoje miejsce, swój czas i rolę.

Młodzi warszawiacy – Joanna, Tomasz, Kinga i Michał – niespodziewanie zostają wyrwani ze znanej im codzienności. Przekroczwszy granice naszego świata, odnajdą się w baśniowym Hamanie – krainie, której idylliczność może okazać się jedynie kruchą skorupą, skrywającą niepokojące i niebezpieczne wnętrze. O co toczy się gra, w którą zostali wpłątani? Na czym polega niebezpieczeństwo zagrażające Światowi Błękitu? Czy zbliżająca się kometa naprawdę zwiastuje powrót Mrocznej Gwiazdy – tajemniczego Demona z Zewnątrz, o którym wspominają pradawne legendy? Podejmując wyzwanie uczestnictwa w nadchodzących wydarzeniach, każdy z przybyszów będzie musiał odnaleźć własną opowieść.

Mityczni Jeźdźcy Światła uwięzieni w Studni Zagubionych Aniołów czekają...

*Studnia Zagubionych Aniołów* otwiera sagę fantasy Teraia

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/studnia-zagubionych-aniolow-artur-laisen/>

# Okup krwi

## Marcin Jamiołkowski



Herbert wie, że spokojne życie w jednej z podwarszawskich miejscowości, gdzie nikt nie zna jego mrocznej przeszłości. Nawet przed ukochaną kobietą skrzętnie skrywa kim jest naprawdę. Bycie skromnym krawcem z Podkowy Leśnej jest spełnieniem jego marzeń.

Przeszłość jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. Melania zostaje uprowadzona i jej życie zależy tylko od tego, czy Herbert zdąży na czas dostarczyć tajemniczą przesyłkę do Warszawy – miasta, od dawna pozbawionego magii, w którym moce Herberta nie działają.

Pokonanie 30 kilometrów w kilka godzin nie wydaje się być wielkim wyzwaniem. Staje się nim jednak, kiedy jego tropem ruszają: magowie, wysłannicy tajemniczego „Bractwa Miast”, wyznawcy Bazyliuszka, najemnicy i policja. Przeszkody piętrzą się na każdym kroku i tylko poznani przypadkowo sojusznicy oraz niespodziewanie budząca się do życia magia stolicy dają szansę na ocalenie ukochanej. Czasu jest coraz mniej.

Warszawa nie miała do tej pory swojego maga.

Teraz już ma! Nazywa się Herbert Kruk!

PIERWSZY TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/okup-krwi-marcin-jamiołkowski/>

# Order

## Marcin Jamiołkowski



Magia powróciła do Warszawy, a wraz z nią nadciągnęły kłopoty – zaginął ważny dla bezpieczeństwa stolicy artefakt. Prowadzone konwencjonalnymi metodami śledztwo nie przynosi rezultatów, a więc czas na rozwiązania magiczne. Do pomocy zostaje zwerbowany Herbert Kruk.

Kto planuje wyrządzić krzywdę pozbawionej ochrony Warszawie i jej mieszkańcom?

Jaką moc kryje w sobie Order, który miasto otrzymało kilkadziesiąt lat temu z rąk potężnego maga i dlaczego został skradziony?

„Coś się wydarzy” – mówią ogłoszenia w autobusach. Czy ponure przeczucia Herberta się sprawdzą? Jakie sekrety skrywają tajemnicze tunele, położone głęboko pod Warszawą?

Tropy prowadzą w różne miejsca, a czasu jest jak zwykle za mało.

*„Wpędzić maga w kłopoty to jedno, ale wplątać tak ciekawie i zabawnie, jak to zrobił Marcin Jamiołkowski, to naprawdę wyższa szkoła jazdy.*

*Dawno się tak świetnie nie bawiłem, czytając książkę polskiego autora.*

*Dodatkowy plus za podejście do magii oraz legend. Naprawdę pomysłowa urban fantasy.”*

**Romuald Pawlak**, autor bestsellerowych powieści Armia ślepców, Inne okręty i Rycerz bezkonny

DRUGI TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/order-marcin-jamiolkowski/>

# Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina

## Jacek Wróbel



W wozie Mistrza Haxerlina można znaleźć najbardziej kurioz... wszechstronne artefakty, takie jak stos rogów ostatniego jednorożca, oryginalne kopie mieczy z najgłębszych czeluści piekieł czy bezdenne dzbany na wino. Godziwe zarabianie na życie sprzedawaniem tych dziwów wiąże się jednak z niebezpieczeństwami czyhającymi na dzielnego przedsiębiorcę: demonami, bandytami, krwiożerczymi kapitalistami, seksaferami, reklamacjami i dawnymi kolegami ze studiów.

Czy Mistrz Haxerlin poradzi sobie ze wszystkimi kłódami rzucanymi mu pod nogi przez los? Czy, o zgrozo, odkryje w sobie altruistę? Kto wie, jakie niespodzianki przyniesie życie właściciela obwoźnego magicznego kramiku...

*„Życie wędrownego maga i alchemika powinno być usłane różami. Zazwyczaj tak bywa. Haxerlin właściciel wędrownego kramu „Cuda i Dziwy” ma podwójnego pecha. Nie jest ani prawdziwym magiem ani prawdziwym alchemikiem. Dlatego oprócz wciskania ludziom kitu musi sobie dorabiać. Na przykład przemytem. Niestety życie wędrownego oszusta i kombinatora pełne jest trudów i niebezpieczeństw. W dodatku orżnięci klienci potrafią całe lata chować urazę...”*

**Andrzej Pilipiuk**, jeden z najpoczytniejszych polskich pisarzy fantastycznych, „ojciec” Jakuba Wędrowycza

PIERWSZY TOM PRZYGÓD MISTRZA HAXERLINA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/cuda-i-dziwy-mistrza-haxerlina-jacek-wrobel/>



# Pokój światów

## Paweł Majka



I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odtąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i na pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler Losu, uzależniony od czarciwego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiek – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmora dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

ZDOBYWCA LITERACKIEJ NAGRODY  
IM. JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO  
NOMINACJA DO NAGRODY  
IM. JANUSZA A. ZAJDLA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/pokoj-swiatow-pawel-majka/>

# Chór zapomnianych głosów

## Remigiusz Mróz



Okręt badawczy „Accipiter” przemierza bezkres kosmicznej próżni, a jego załoga pogrążona jest w głębokiej kriostazie. Nieliczni świadomi są dramatu, który rozgrywa się na pokładzie. Astrochemik Håkon Lindberg budzi się przedwcześnie z kriogenicznego snu i widzi, jak ginie jeden z ostatnich członków załogi. Prócz niego rzeź przetrwał tylko nawigator, Dija Udin Alhassan.

Czy to on jest odpowiedzialny za fiasko misji? A może stoi za tym jakaś niewypowiedziana siła? Obca cywilizacja? Nieokreślony byt? Ludzkość podróżuje między gwiazdami, odkrywa miriady światów, ale nigdy nie napotkała żadnych oznak życia.

Chór zapomnianych głosów to SF z tempem właściwym powieściom sensacyjnym, intrygą iście kryminalną i klimatem rodem z horrorów. Zakończenie powinno zaskoczyć nawet najbardziej przewidującego czytelnika.

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/chor-zapomnianych-glosow-remigiusz-mroz/>

# CK Monogatari

## Artur Laisen



W kieleckiej firmie KZDM-Nagita zawrzało. Z centrali w Tokio przysłano Sho Kyubimori, ekscentrycznego wiceprezesa, pragnącego zrealizować monumentalny i tajemniczy projekt architektoniczny. Jego śladem podąża enigmatyczna emisariuszka klanu Oda – Yuki Yamada oraz śmiertelnie niebezpieczny egzekutor Yakuzy – pan Toru.

I nie są to bynajmniej najbardziej egzotyczni przybysze z Kraju Kwitnącej Wiśni. Wkrótce w prowincjonalną rzeczywistość wdrą się też *yūrei*, *kitsune* i inni przedstawiciele japońskiego świata magii, duchów i demonów...

Piotr Jaskulski, dyrektor finansowy firmy, wiodący do tej pory spokojne i monotonne życie, nieoczekiwanie staje przed iście mefistofelesowym wyborem. Od tego, czego naprawdę pragnie i jaką cenę jest gotów zapłacić za spełnienie marzeń, zależeć będą losy całego miasta.

„CK Monogatari” to opowieść o samotności i przemijaniu, o naszym miejscu w czasie i przestrzeni, a także, przede wszystkim, o gubieniu i odnajdywaniu samych siebie.

Metafizyczny thriller nie tylko dla miłośników fantastyki!

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/ck-monogatari-artur-laisen/>

# Kotku, jestem w ogniu

## Dawid Kain



Życie w świecie opanowanym przez książkolekółków nie jest łatwe, ale Edward Egan, mieszkaniec Postmoderny i nieuleczalny utracjusz, stara się skupiać na jego jasnych stronach. Dostarczając czytelnikom narkomanom dobrej jakości teksty, pisane przez przyjaciela, szalonego Zampano, jest w stanie zarobić tyle, by starczyło na używki, kobiety i oczywiście kolejne lektury.

Jednak pewnego dnia wszystko się zmienia. Edward budzi się w jakimś zimnym, obcym miejscu, daleko od domu, imprez i przyjaciół. Nie pamięta, jak tam trafił. Na dodatek pewien natręt namawia go do szukania rzekomo najważniejszego dzieła literackiego w historii, zwanego Raportem. Czy pojedyncza książka jest w stanie odpowiedzieć na każde z kluczowych dla naszej egzystencji pytań? Gdzie ją znaleźć i czy w ogóle warto?

Powieść o czytaniu, do czytania. Zupełnie inna niż wszystkie.

*„(...) wielka literacka zabawa z czytelnikami, a zarazem uniwersum, z którego wcale nie chce się wychodzić.”*

**Milena Buszkiewicz**, redaktor Booklips

*„Równie wciągająca, choć wymagającego skupienia, opowieść o literaturze.”*

**Robert Ziębiński**, redaktor Dzika Banda

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/kotku-jestem-w-ogniu-dawid-kain/>

# Błąd warunkowania

## Anna Nieznaj



Jest koniec XXI wieku, układ sił na świecie zmienił się radykalnie. Jednak najlepszym narzędziem prowadzenia wojny pozostaje nauka: zbroi globalne potęgi, buduje prywatne imperia, dostarcza narzędzi szaleńcom.

Gdy Czarne Koty – genetycznie zmodyfikowani agenci unijnego wywiadu – próbują sprostać roli, do jakiej ich zaprojektowano, pewien niedoszły naukowiec o duszy awanturnika wpada w niebezpieczne towarzystwo. Ich losy zaczynają się splatać.

*„Bardzo lubię taką „fantastykę bliskiego zasięgu”, gdzie świat i bohaterowie są jeszcze na tyle podobni do tego, co znamy, że można ich bez większego trudu zrozumieć, a jednocześnie jest w tym wszystkim fantastyczny element inności, który każe czytelnikowi mówić: Wow, sam bym na to wpadł! Tym elementem są tu przede wszystkim ludzie-koty, pomysł na pozór może nieszczerólnie oryginalny, ale zrealizowany tak, że byłam pod sporym wrażeniem. A jest w książce jeszcze więcej: są elementy cyberpunku, akcja i skomplikowane uczucia, jest nawet wątek kryminalny, a także Europa przyszłości ze zmienionym i nader ciekawym układem sił politycznych. Nie jestem pewna, czy chciałabym w niej żyć, ale wiem, że bardzo chętnie przeczytam drugi tom tej historii.”*

**Anna Kańtoch**, autorka bestsellerów, pięciokrotna zdobywczyni nagrody im. Janusza A. Zajdla

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/blad-warunkowania-anna-nieznaj/>

# Malajski Excalibur

## Daniel Nogat



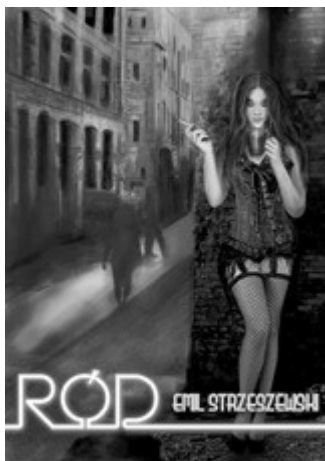
Kuala Lumpur, nieodległa przyszłość. Trwa zimna wojna pomiędzy globalnymi potęgami, czyli Chinami i światem arabskim, stolica Malezji stanowi zaś jedną z głównych aren konfliktu. Owain Llewelyn, specjalista od zdobywania trudno dostępnych informacji, otrzymuje nietypowe zadanie: ma odnaleźć Taming Sari, legendarny malajski artefakt. Przyjmując zlecenie, wplątuje się w grę, w której chodzi już jednak o coś więcej, znacznie więcej, niż tylko o zdobycie pamiątkowego ostrza.

Na planszy pojawiają się kolejni gracze: chiński i kuwejcki wywiad, nigeryjskie i hinduskie gangi, triada oraz tajne stowarzyszenie, które od dawna nie powinno istnieć. Giną ludzie, odżywiają uśpione konflikty, w wieloetnicznym malezyjskim kotle zaczyna wrzeć. A to przecież dopiero początek.

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/malajski-excalibur-daniel-nogat/>

# Ród

## Emil Strzeszewski



Książka, która zwala z nóg niczym apateja!

Gdzieś w naszej lub nie naszej rzeczywistości istnieje Miasto, które z pozoru tętni życiem. Bezimienni bohaterowie zmagają się z codziennością skrywającą całkowity rozkład społeczeństwa i moralności. Zdegenerowane miasto jednak upomina się o każdego z nich i zmusza do dokonania najistotniejszych wyborów.

Wolna wola zdaje się być jednak iluzją, a jedynym ratunkiem jest wyciszenie, ucieczka w stan beznamiętnej konsumpcji rzeczywistości. Ale czy takie życie warto jest kontynuowania? Być czy trwać?

*„To wspaniale, że nareszcie doczekaliśmy się na kogoś takiego, jak Strzeszewski. Świetne pióro, odważne i oryginalne pomysły, punkowa zadziorność – „Ród” to brawurowa i bezwzględna literatura.”*

**Paweł Majka**, autor bestsellerowego „Metro 2033: Dzielnica obiecana”, zdobywca literackiej nagrody im. Jerzego Żuławskiego i nominowany do nagrody im. Janusza A. Zajdla za „Pokój światów”

*„Romans z „Rodem” Emila rozpoczął się banalnie – od uwiedzenia. Zostałem uwiedziony. I chociaż wydawałoby się, że za stary jestem na miłość od pierwszego wejrzenia, to jednak dałem się zauroczyć tej historii od pierwszych akapitów.”*

**Marcin Jamiolkowski**, autor „Okupu krwi”

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/rod-emil-strzeszewski/>



KUPUJ W

**madbooks.pl**



# Spis treści

## Szkic

### Ciało

1. Sen, kroki, góry.
2. Cypis i Monika, wyjazd, wspomnienia.
3. Schronisko, getto, Izaak.
4. Venus i Penafort, sama, nowe życie.
5. Burza, schronisko, towarzystwo.
6. Zabawa, diabły, taka mokra.
7. Izaak, koniak, telefon.
8. List, TO, pobudka.
9. Spotkanie, kłótnia, netbook.
10. Opatrunek, niemal, miłość.
11. Strzelanina, słowo, dziecko.
12. Sen, oparzenie, światło.

### Kontrast

1. Aleksander, skrytka, być silnym.
2. Rajmund, Justyna, Henryk.
3. Natalia, praca, urodziny.
4. Pożegnanie, ucieczka, umieranie.
5. Zakupy, talent, prośba.
6. Pena, pierwszy raz, suka.
7. Fakty, kłamstwo, politycy.

8. Stanisław, powrót, trzy wizyty.
9. Pobudka, portret, ławka.
10. Kolacja, NK, zaklęcie.
11. Omija mnie, to nie on, pudełko.
12. Dwie Krystyny, taniec, nadzieja.

## Barwy

1. Integracja, horror, zdębiałem.
2. Matka, zatrucie, wdepnięcie.
3. Telefon, znajomości, Superior.
4. Dzieciństwo, nowe mieszkanie, nowy dom.
5. Wariat, obrzyn, służbówka.
6. Monika nie żyje!, sterylność, szkoda.
7. Powrót, tramwaj, prawie koniec.
8. Australia, pąsy, brama.
9. Morderca, Jeanne, ogień.
10. Zakopiemy was, Woodstock, punkowo.
11. Muzyka, wahadło, wykład.
12. Ślimak, boska iskra, prochy.

## Perspektywa

1. Smutna, imiona, Działowa.
2. Kocie vibrato, Złoty, Uciekaj stąd!
3. Wybór, odbiornik, nie uwierzysz.
4. Sznurówki miłości, pieczęć, to.
5. Namalowana, niewinna, stokrotka.
6. Eldorado, purpurowa, przedstawiam ci.

7. Przeprowadzka, pizama, Pierwszy.
8. Chimery, plan, dziwadło.
9. Melancholia, Mela, poematy.
10. Odwiedziny, niebieski pociąg, przezroczysty.
11. Oszczędny, ogień, umarli.
12. Uczta, narada, taniec.

Retusz

1. Zakończenie.